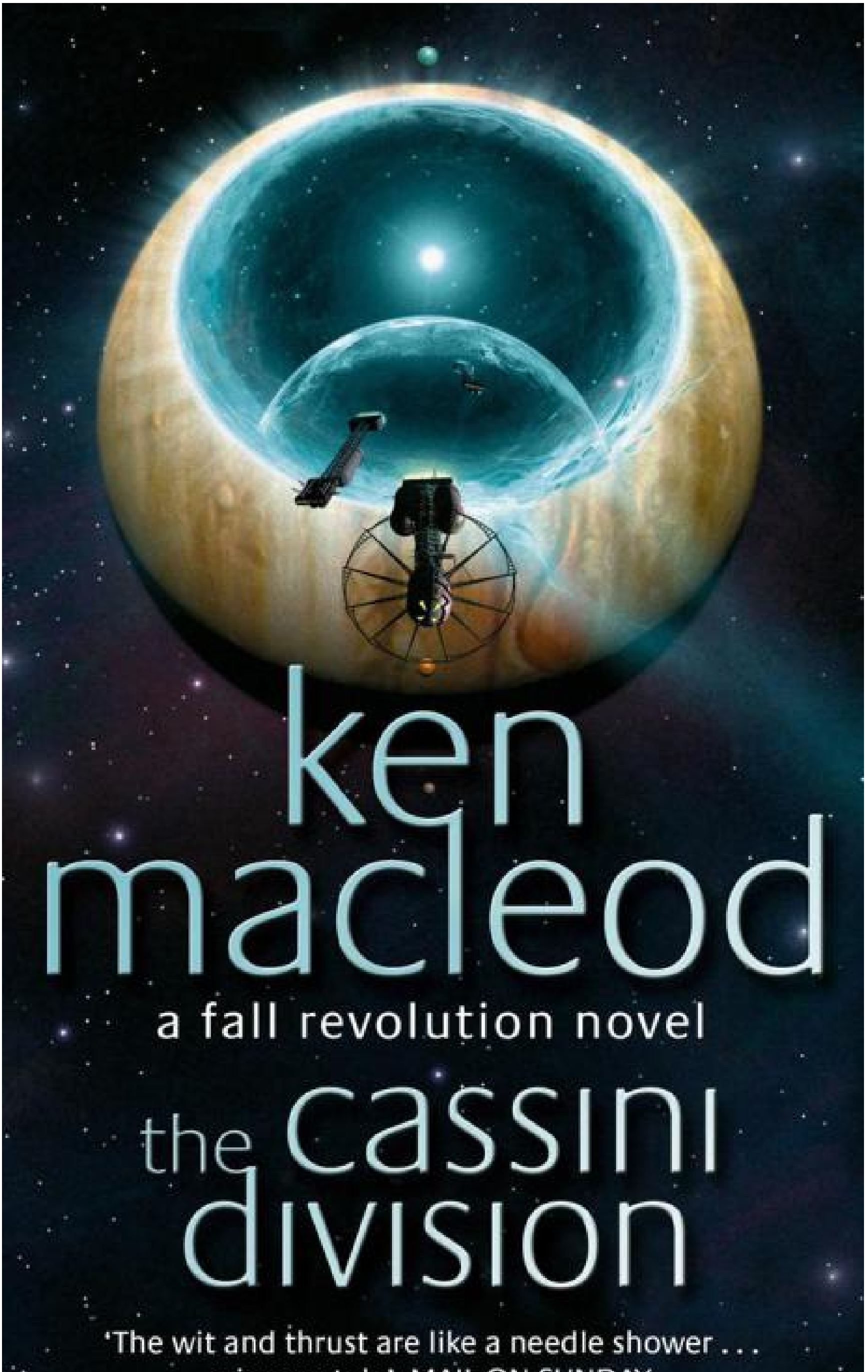
JESIENNA REWOLUCJA
FALL REVOLUTION
TOM 3

ODDZIAŁ CASSINI
THE CASSINI DIVISION

KEN MACLEOD

Na podstawie wydania TOR, Nowy Jork, 2009
przetłumaczył i opracował:
Jacek Hummel

Warszawa, 2021


ken macleod
a fall revolution novel
the cassini division
'The wit and thrust are like a needle shower . . . a joyous tale' MAIL ON SUNDAY

Mairi Ann Cullen

Dzięki dla Carol, Sharon i Michaela, oraz Johna Jarrolda i Mica Cheethama, Iaina Banksa oraz Svein Olav Nyberg; Andy McKillopa, Jo Tapsell, Paula Barnetta i Kate Farquhar-Thompson.

Dzięki także Timowi Hoolmanowi za pracę redaktorską w Orbit, Davidowi Angusowi za skierowanie mnie ku mapom Kallisto, oraz socjalistom, za Ziemię.

Człowiek jest żyjącą osobowością, której dobrobyt i cel są ucieleśnione w nim samym, która pomiędzy sobą a światem ma tylko swoje potrzeby jako mediatora, który nie jest winien wierności żadnemu prawu od chwili, gdy naruszają jego potrzeby. Obowiązek moralny osoby nigdy nie wykracza poza jego pragnienia. Jedyną rzeczą, która przekracza te pragnienia, jest materialna władza *większości nad jednostką* – Joseph Dietzgen, „Natura działania ludzkiego mózgu”[1]

[1] tłum. własne

Rozdział 1

Patrząc wstecz

Ciągle, ciągle istnieją fotografie kobiety, która weszła bez zaproszenia na imprezę na pokładzie obserwacyjnym Casa Azores, pewnego wieczoru wczesnej wiosny dwa tysiące trzysta trzeciego roku. Ukazują ją absurdalnie młodą, około dwudziestki, mniej niż jedna dziesiąta jej prawdziwego wieku. Mięśnie zbudowane izotonicznymi ćwiczeniami indukcyjnymi i nierozciągnięte przez grawitację, włosy jak czarna mgławica, ciemna skóra, zmarszczki nakątne oczu, płaski nos i cienkie usta, których uśmiech pokazuje szerokie, białe zęby. Niesie w prawej dłoni litrową butelkę idealnej kopii Lagrange 2046. Jej lewa dłoń jest na jej ramieniu, a w zaciśniętych palcach wisi kurtka bolera koloru starego złota, pasująca do sukni, której prawie okrągły rąbek spódnicy kołysze się przy kostkach, gdy kroczy. Coś, co wygląda jak mała małpka, jest usadowione na jej prawym, nagim ramieniu.

Coś błysnęło. Mrugnęłam na pierścieniowe powidoki i spojrzałam się na młodego mężczyznę ubranego w kobaltowoniebieską pidżamę, który opuścił skrzynkę z soczewkami i reflektorami krótko, przepraszająco się uśmiechając, gdy zanurkował w tłumie. Prócz niego moje przybycie było niezauważone. Choć pokład miał dobre sto metrów kwadratowych, nie było miejsca na wszystkich zaproszonych, nie mówiąc już wszystkich, którzy się pojawili. Naturalny

rozwój wieczoru, z ludźmi przychodzącymi i oddryfującymi w bardziej prywatne okoliczności, zmniejszyłby ciśnienie, ale jeszcze nie teraz.

Jednak było wystarczająco dużo miejsca na różne działania: bliskie tańce, skulone jedzenie, rozbabrane picie, intensywne rozmowy i dla zadziwiającej liczby dzieci skaczących pomiędzy nimi wszystkimi. Sprytnie zogniskowany system dźwiękowy utrzymywał każdą grupkę imprezowiczów dość zadowolonych, i zamkniętych, w ich specyficznych nastrojach. Lokalne mody wydawały się pasować do imprezy, luźne i płynne, ale obcisłe: kobiety w sari i halkach, mężczyźni w garniturach-pidżamach lub poważnie wyglądających togach i tunikach. Dominujące kolory były podstawowymi barwami morskiego jedwabiu: błękitami, zieleniami, czerwieniami i bielami. Mój własny strój, choć charakterystyczny, nie wydawał się nie na miejscu.

Centrum pokładu było zajęte przez słup szybu wentylacyjnego budynku szerokości dziesięciu metrów. Gdzieś w jednej z tych grup dookoła niego, rozmawiających nieco głośniej niż delikatny biały szum opadającego powietrza, byłaby para, której obecność była okazją do zabawy, ludzie, z którymi chciałam porozmawiać, jeżeli nawet tylko przez moment. Nie było powodu przepychać się przez tłum, jak każdy tutaj, kto naprawdę chciał, w końcu do nich bym dotarła, upewniając się, że jestem kierowana w ich kierunku.

Skierowałam się do stołu z drinkami, odstawiłam butelkę i podniosłam kieliszek białego „Mare Imbrium". Pierwszy łyk powiedział mi, że było, dostatecznie trafnie, bardzo wytrawne. Mój lekki grymas napotkał rozumiejący uśmiech. Pochodził od mężczyzny w niebieskim, któremu jakoś udało się stanąć przede mną.

– Nie jesteś do tego przyzwyczajona?

Zatem wiedział, lub się domyślał, skąd przybywam. Zrobiłam

przedstawienie z oglądania go, przy drugim łyku. Był, inaczej niż ja, prawdziwie młody. Nieźle wyglądający, na anglosłowiański sposób, z brudno blond potarganymi włosami i różową, ogoloną twarzą, szerokie kości policzkowe, niebieskie oczy. Prawie tak wysoki jak ja, wyższy, jeżeli zdjęłabym buty. Jego osobliwe urządzenie wisiało na pasku dookoła szyi.

– Wódka Kometa bardziej mi pasuje – powiedziałam. Podałam kieliszek czarnym, małym pazurom małporzeczy i wyciągnęłam rękę. – Ellen May Ngwethu. Miło mi cię poznać, sąsiedzie.

– Stephen Vrij – powiedział, podając rękę. – Wzajemnie.

Obserwował, gdy drink wracał.

– Mądra małpa – powiedział.

– To prawda – odpowiedziałam, niezbyt pomocnie. Inteligentny skafander kosmiczny, prawdę mówiąc, ale ludzie tutaj mieli tendencję denerwować się dookoła rzeczy tego rodzaju.

– Dobra – kontynuował – jestem w komitecie blokowym i dzisiaj wieczorem powinienem witać niezaproszonych i niezapowiedzianych.

– Ach, dzięki. I błyskać w nich jasnym światłem?

– To aparat fotograficzny – powiedział, unosząc to. – Sam go zrobiłem.

Był to pierwszy raz, kiedy widziałam aparat dostrzegalny przez nieuzbrojone oko. Moje zainteresowanie nie było *całkowicie* udawane, aby uniknąć pytań o mnie, ale po kilku minutach jego wyjaśnień o błonie celuloidowej i długościach soczewek, wydawał się niezaskoczony, że mój szklisty wzrok wędrował. Uśmiechnął się i powiedział:

– Cóż, baw się dobrze, Ellen. Dostrzegam nowych gości.

– Do zobaczenia. – Obserwowałam go, jak przeciska się do drzwi. Tak więc moje zdjęcie pojawiłoby się w gazecie budynku

i setki tysięcy osób je zobaczą. Sława. Jednak nie taka, żeby się nią martwić. To był środek Atlantyku i pośrodku niczego.

Casa Azores było (jest? nieprawdopodobne, będę się trzymała byłego czasu, choć ten ból jest ostry) na Graciosa, małej wyspie w archipelagu na północnym Atlantyku, który jest (prawdopodobnie nawet teraz) oceanem na Ziemi. Była to tak daleko od gdziekolwiek, że, nawet z pokładu obserwacyjnego na wysokości jednego kilometra, nie można było dojrzeć sąsiadujących wysp. Widoki morza i nieba mogły być imponujące, ale właśnie teraz wszystkie wielkie okna pokazywały odbite światła ze środka. Winda, którą wjechałam, była przy krawędzi i musiałam dostać się do obszaru centralnego w ciągu kilku najbliższych godzin, gdzieś po tym, gdy tłum się przerzedzi, ale zanim wszyscy będą zbyt wyczerpani, by myśleć.

Dopiłam kieliszek, wzięłam butelkę dobrej Stolicznej „Dotyk Słońca", podałam małpie kilka pucharów na nóżkach, żeby trzymała w małych palcach i ruszyłam na imprezę.

– Nanotech jest *sama w sobie* w porządku – wyjaśniała drobna i bardzo intensywna artystka. – Mam na myśli, możesz *zobaczyć* atomy, tak? Cholera, możesz je *poczuć* manipulatorami, przesunąć je i złożyć razem. To mechaniczne wiązania sięgające cały czas aż do Twoich palcy. I ekranu, jeżeli o to chodzi. Ale całe to elektroniczne sprawy kwantowe są, wiecie, *upiorne*...

Miała słuchaczy. Ruszyłam dalej.

– Jesteś z kosmosu? Och, wspaniale. Pracuję z ludźmi na orbitalach. Robimy rozwałki. Powiedzmy, że masz ognisko replikatorów gdzieś tam, naturalnych lub nano, jakby to robiło różnicę... *tak czy inaczej*, zanim rozwalimy, przechodzimy przez strefę ewakuacji, raz, żeby sprawdzić, że nikt nie został, dwa, żeby wchłonąć i nagrać wszystko, co mogłoby zostać utracone. Nie masz dużo czasu, jesteś w kombinezonie izolacyjnym, który musi być zbłyśnięty z cie-

bie, zanim wyjdziesz, z oczywistych powodów, przy tym zabiera to także większość owłosienia, ale nawet wtedy, możesz zobaczyć, poczuć i usłyszeć dużo, a przez godziny lub dni, zależnie jak szybko rozprzestrzenia się epidemia, nie ma nikogo w pobliżu na dziesiątki kilometrów. Wiesz, prawie za każdym razem, gdy to robiłem, znajdowałem gatunek, który nie był w banku. Czasem, rodzaj. Nieznany nauce, jak to mówią. Skończyły mi się dziewczyny, po których je nazywałem, musiałem zacząć wykorzystać moich prawdziwych *krewnych*. A potem wychodzisz, siedzisz z goglami i obserwujesz rozwałkę. Mam na myśli, lubię zobaczyć błysk, wybuch atomówki to druga najlepsza rzecz do obserwowania.

Ekolog zatrzymał się i wziął kolejny głęboki wdech fajki wodnej. Machnęłam, dziękuję za zaoferowanie sztacha. Westchnął.

– Czasy, kiedy nikogo nie ma wokół ciebie... musisz uwielbiać to doświadczenie odludzia.

Dotarłam do połowy drogi do centrum pokoju. Chciałam zaoferować upalonemu naukowcy kieliszek wódki, ale małpa, w chwili roztargnienia, pożarła ostatni, pusty kieliszek. Mężczyzna nie miał nic przeciwko. Zapewnił mnie, że zapamiętał moje nazwisko i jakiś żuk, robak lub bakteria pewnego dnia zostanie nazwany na moją cześć. Zdałam sobie sprawę, że nie zapamiętałabym jego nazwiska. Lub może nie powiedział mi, lub może... działa się wokoło pewna ilość palenia pasywnego. Podziękowałam mu i ruszyłam dalej.

– I nie *rób* takich rzeczy – wymamrotałam. – Rzuca się w oczy. – Zimna łapa pobawiła się moim uchem, a delikatny, brzęczący głos powiedział:

– Mamy mało krzemianów.

Podrapałam w odpowiedzi małą niby-bestię i miałam nadzieję, że nikt nie zauważył ruchu moich ust. Poczułam nagły, przejmujący ból i pragnienia oczyszczającej głowę dawki kawy, zatrzyma-

łam się przy najbliższym bufecie. Kobieta ubrana w prosty, poplamiony, biały fartuch na cudownym zielonym sari nałożyła mi na talerz ślimaki w sosie pomidorowym. (Wszystko prawdziwe, jeżeli o to chodzi. Myślę, że musiały być, moje usta ślinią się na wspomnienie, nawet teraz). Zdecydowałam się na kieliszek białego wina. Dookoła stały wolne krzesła, więc usiadłam. Kobieta też usiadła, po drugiej stronie stołu, i rozmawiała ze mną, gdy jadłam.

– Właśnie rozmawiałam z naszymi, specjalnymi gośćmi – powiedziała. Miała niezwykły akcent. – Tacy interesujący ludzie. Sztuczna kobieta i mężczyzna z gwiazd! I powrócił z martwych, w pewnym sensie. – Spojrzała na mnie bystro. – Może spotkałaś ich wcześniej, sama będąc z kosmosu?

Uśmiechnęłam się do niej.

– Skąd wszyscy wiedzą, że jestem z kosmosu?

– Twoja suknia, sąsiadko – powiedziała. – Złoty to kosmiczny, prawda? To nie jest żaden z naszych kolorów.

– Oczywiście – powiedziałam. Przez chwilę myślałam, że domyśliła się, że był to skafander kosmiczny. Gdy to powiedziała, po tym jak miałam chwilę, żeby się przyjrzeć, jak się porusza, subtelny sposób, w jaki jej twarz pokazuje mimikę, stało się oczywiste, że była w zaawansowanym drugim stuleciu. Nie dałoby się jej oszukać. Spojrzała prosto na mnie, jej oczy błyszczące jak szpilki w jej ułożonych czarnych włosach.

– Złoto jest takim użytecznym metalem – powiedziała. – Wiesz, Lenin myślał, że będziemy go używać w pisuarach. . .

Roześmiałam się.

– Nie jedyny jego błąd!

Jej odpowiedź była stopień lub dwa chłodniejsza niż jej pierwsze uwagi.

– Nie zrobił zbyt wielu, a te, które zrobił były przeciwieństwem. . . tego,

co jest zwykle mu zarzucane. Myślał zbyt dobrze o ludziach, jako jednostkach i jak masach. Tak czy inaczej – kontynuowała, zadowolona – niektórzy z nas ciągle dobrze *o nim* myślą.

Teraz umiejscowiłam jej akcent.

– W Południowej Afryce? – Byli notorycznie konserwatywną grupą. Niektórzy z nich byli wirtualnie komunistami.

– Ależ tak, sąsiadko! – Uśmiechnęła się. – A Ty jesteś z... nie mów mi... nie z orbity ziemskiej, nie Lagrange... nie jesteś też Księżycówką czy Marsjanką, to na pewno. – Zmarszczyła brwi, patrząc, jak unoszę szklankę, patrząc przeze mnie na, może, wspomnienie, jak podchodziłam do stołu. Ważąc i mierząc moje odruchy. – Tak! – Klasnęła dłońmi. – Jesteś dziewczyną z Kallisto[1], prawda? A to oznacza...

Jej oczy lekko się rozszerzyły, brwi uniosły.

– Tak – powiedziałam cicho. – Oddział Cassini. I tak, widziałam wcześniej waszych gości. – Mrugnęłam, leciutko, i wykonałam palcami drobny ruch w dół, gdy sięgałam przez stół po kawałek chleba. Nawet jedna na sto nie zauważyłaby tego gestu. Ona zrozumiała, uśmiechnęła się i zaczęła rozmawiać o innych sprawach.

Oddział Cassini... W astronomii, Przerwa Cassiniego jest ciemnym pasmem w pierścieniach Saturna[2]. W astronautyce Epoki Heliocenu, Oddział Cassini był dumną nazwą – oryginalnie nadaną żartobliwie – w istocie ciemnego pasma, sile wojskowej w pierścieniach Jowisza. Wiecie o pierścieniu Jowisza, ale dla nas było to więcej niż tylko niezwykły wynik inżynierii planetarnej, to było ciągłe

---

[1] drugi co do wielkości księżyc Jowisza, trzeci w Układzie Słonecznym, najbardziej oddalony z księżyców galileuszowych, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Kallisto_(ksi%C4%99%C5%BCyc)` – przyp.tłum.

[2] por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Przerwa_Cassiniego` – przyp.tłum.

przypomnienie mocy naszych wrogów. To było nasze Guantanamo, nasz Mur Berliński. (Wyszukajcie je. Historia Ziemi. Są pliki.).

Oddział Cassini był siłą frontową Związku Słonecznego, naszą kolektywną pięścią w twarz wroga. W naszym bezklasowym społeczeństwie, był najbliższy elicie. W naszej anarchii, najbliższe państwu, w naszej wspólnocie posiadało największy udział w bogactwach. Rekruci wybierali się sami i niewielu mogło spełnić standardy tego rygoru. W terminach zwykłej siły ognia Oddział mógłby zmiażdżyć wszystkie państwa, jakie Ziemia kiedykolwiek znała, i miałby dostatecznie dużo resztek, żeby poćwiczyć strzelanie do celu w nudne popołudnie. Zasoby, które kontrolował, mogłyby kupić wszystko na Ziemi, w czasach, kiedy świat był własnością. I ciągle czekał na starcie, żeby dać tyle, ile się da, by przeciwstawić naszą ludzką moc nikczemnemu gniewowi bogów.

Innymi słowami... Oddział był tam, żeby skopać postludzką dupę. I tak zrobiliśmy.

(I tak. Ciągle jestem z tego dumna).

Południowoafrykańska kobieta mogła mieć niezdrowe poglądy na temat Władimira Iljicza, ale okazało się, że była jedną ze „starych towarzyszek". Choć Międzynarodówka już dawno temu rozpuściła się w Związku, jej byli członkowie utrzymywali swoje kontakty, wolnomularstwo weteranów. Nigdy naprawdę tego nie akceptowałam, ale teraz tutaj to mi pomogło. Przedstawiła mnie jednej ze swoich przyjaciółek, która przedstawiła mnie kolejnej i tak dalej. Przy niewypowiedzianej umowie przekazywali mnie sobie w łańcuchu znajomości, przesuwając mnie przez tłum znacznie szybciej, niż sama bym sobie poradziła. Tylko pół godziny po tym, gdy skończyłam kawę, znalazłam się w małej grupie ludzi, w ognisku, gdzie byli specjalni goście imprezy: sztuczna kobieta i mężczyzna, który wrócił z gwiazd i ze zmarłych. Nawet pięć lat po ich przybyciu,

nadal ściągali tłum, tym bardziej że rzadko to robili, preferując wędrowanie i rozmawianie z ludźmi, których zdarzyło im się spotkać.

Sztuczna kobieta miała na imię Meg. Nie wyglądała teraz sztucznie, a w istocie jej ciało – jak rozumiem, sklonowane po jednej z dawno martwych malajsko-amerykańskich aktorek porno – było pod niektórymi względami bardziej naturalne niż moje. Tylko jej osobowość była sztuczna. Była to ludzka osobowość pod każdym względem, który moglibyśmy zbadać, ale działała – jak zawsze nalegała – na górze prawdziwie sztucznej inteligencji.

W takim razie drobna, piękna kobieta stojąca kilka metrów ode mnie, elegancko paląca papierosa z tytoniem, z czarnymi włosami zwisającymi aż do talii, nosząca długą, czarną, satynową halkę i (chyba że oczy mnie zwodziły) *absolutnie nic więcej*, była jedyną autonomiczną AI na Ziemi. Niepokojąca myśl, która trapiła mnie, od kiedy ją poznałam.

Autonomiczna AI jeszcze mnie nie zauważyła. Patrzyła na swojego towarzysza, Jonathana Wilde'a, człowieka, który wrócił. Wilde, jak zwykle, perorował, jak zwykle, wymachując dłońmi, jak zwykle, paląc tytoń, podły nawyk, który wydawał się w obojgu głęboko zakorzeniony. Był wysokim mężczyzną, ostre rysy, haczykowaty nos, głośny. Jego akcent się zmienił, ale ciągle brzmiał dziwnie w moich uszach.

– . . . nigdy właściwie go nie *poznałem* – mówił – ale widziałem go w telewizji i czytałem nieco tego, co wystawiał w trakcie Jesiennej Rewolucji. Muszę powiedzieć, że to niespodzianka, że ciągle jest pamiętany. – Przerwał, uśmiechając się szybko i smutno. – Szczególnie że ja zostałem zapomniany!

Ludzie dookoła się roześmiali. To był jeden ze stałych żartów Wilde'a, że idee, które on – lub raczej ludzka istota, której był kopią – forsowała wtedy w dwudziestym pierwszym wieku były teraz

zainteresowaniami tylko antykwariuszy, a jego nazwisko było tylko przypisem w historii Ruchu Kosmicznego. W jakiś dziwny sposób, właśnie to zapomnienie schlebiało jego próżności.

Gdy tam stał, uśmiechając się, zobaczył mnie. Gapił się na mnie jakby chwilowo zmieszany. Meg odwróciła się, zobaczyła się i uśmiechnęła się do mnie zachęcająco. Wilde skinął lekko głową i wrócił do dyskusji. Nie wiedziałam, czy czuć się zlekceważoną, czy czuć ulgę. Jako pierwsza osoba, którą ujrzał po wyjściu z tunelu czasoprzestrzennego, byłam ważna w życiu Wilde'a. . . ale nie chciałam, żeby mnie przedstawiał w ten sposób, w ten sposób dając wszystkim obecnym znać, skąd jestem.

Meg podeszła i złapała moją dłoń.

– Miło cię znowu widzieć, Ellen.

– Tak, ciebie też – powiedziałam i naprawdę tak uważałam. Jej osobowość mogła być syntetyczna, ale jej urok był prawdziwy. Czasem zastanawiałam się, co widziała w Wilde, którego legendarny wdzięk nigdy na mnie nie działał.

– Co Cię sprowadza? – spytała Meg.

– Nie jest łatwo was znaleźć – powiedziałam lekko. – Zatem pomyślałam, że skorzystam z możliwości.

Meg uśmiechnęła się.

– Jesteś zajętą kobietą, Ellen. Czegoś chcesz.

– Och, wiesz – powiedziałam. – Może moglibyśmy porozmawiać o tym później?

Patrzyła na mnie, drobna zmarszczka na jej gładkich brwiach.

– Oczywiście – powiedziała. – Sprawy wkrótce powinny się uspokoić.

Roześmiałam się.

– Masz na myśli, kiedy Wilde porozmawia z każdym? – Coś w tym rodzaju. – Zaciągnęła mnie do najbliższego krzesła, tuż za

tłokiem i usiadłam z nią. – To wszystko jest trochę wyczerpujące – powiedziała w roztargnieniu. Potarła jedną nagą stopę drugą i zgasiła papierosa. Małpa zeskoczyła z ramienia, uchwyciła się brzegu popielniczki, jej wielkie oczy błagające mnie. Pokręciłam głową. Pokazała zęby, potem odwróciła się ode mnie i pozwoliła Meg bawić się z nią.

Głos Wilde'a niosący:

– . . . cała rzecz: zamiana jego powiedzeń w pismo, a jego w proroka męczennika, to prawie jedyna nieracjonalność, która wam ludziom pozostała! Myślę, że on by się *roześmiał*! – A z tym, rozbrzmiał śmiech Wilde'a, a ci wokoło niego dołączyli, niezdecydowanie. Rozmowa skończyła się w ciągu następnych kilku minut, Wilde przyszedł do nas i usiadł koło mnie. Troje z nas przycupnęła jakby na kłodzie wciąganej w wir. Dookoła nas ludzie się bawili, co jakiś czas ktoś by przydryfował, ujrzał brak odpowiedzi i się odwrócił. Niektórzy wyszli, ale większość trzymała się w pobliżu, taktownie poza zasięgiem słuchu.

Wymieniliśmy powitania, a potem Wilde odsunął się ode mnie i usiadł ramię w ramię z Meg.

– Cóż, Ellen – powiedział. – Masz nas tam, gdzie chciałaś. – Zapalił papierosa i przyjął kieliszek wódki. Spojrzał na kieliszek.

– Ten miał już kilka innych drinków w sobie – zauważył. – Fajna rzecz o wódce, oczywiście, jest taka, że wcale to nie przeszkadza. Każdy smak jest postępem. Już jestem pijany. Zatem jeżeli jest coś, o czym zapomniałaś zapytać nas na odprawie. . .

– Przesłuchaniu. – Zawsze nienawidziłam starych, etatystycznych eufemizmów.

– . . . to śmiało. Teraz masz szansę. – Zakołysał się do tyłu i spojrzał na mnie z wyzywającym uśmiechem.

– Wiesz, czego chcę, Wilde – powiedziałam ciężko. Byłam nieco

pijana i bardziej niż nieco zmęczona. Grawitacja Cię dopada (a kosmos jest do bani, ale takie jest życie). – Nie proś mnie, żebym to przeliterowała.

Pochylił się do przodu. Mogłam poczuć dym i alkohol w jego oddechu.

– Och, wiem lepiej niż to – powiedział. – To samo stare pytanie. Cóż, ta sama stara odpowiedź, nie. Nie ma mowy, nie ma kurwa *mowy*, że dam *wam ludzie* to, co tak ostrożnie nie pytacie.

– Dlaczego nie?

Zawsze to samo pytanie, które ma zawsze tę samą odpowiedź:

– Nie pozwolę wam położyć łap na tym miejscu.

Poczułam, że moje pięści zaciskają się po bokach i powoli je rozluźniłam.

– Nie *chcemy* tego żałosnego miejsca!

– Ha! – powiedział Wilde, otwarcie nie wierząc. – Nieważne. To nie będę ja, który da wam środki do przejęcia.

Zatem to będzie musiał być ktoś inny, pomyślałam. Mówiłam spokojnie i cicho.

– Nawet, żeby zwalczyć Zewnętrznych?

– Nie musicie walczyć z Zewnętrznymi.

– Czy to nie my powinniśmy to ocenić?

Wilde skinął głową.

– Jasne. Wy osądźcie sami i ja sam osądzę.

Chciałam wytrząsnąć odpowiedź z niego. Nie miałabym żadnych skrupułów. Jeżeli chodziło o mnie, nie był ludzką istotą, tylko sprytną kopią.

Również, paradoksalnie, chciałam *móc* go traktować jak człowieka, jak sąsiada. To tylko zwiększało moją frustrację. Gdybym tylko mogła zaufać Wilde'owi i powiedzieć mu jak źle, jak szybko rzeczy się dzieją, mógłby zgodzić się powiedzieć mi, co chciałam

wiedzieć. Jednak Oddział ufał mu nawet mniej, niż on ufał nam. Powiedzenie mu prawdy mogło uruchomić znacznie, znacznie gorsze rzeczy. Wilde i Meg oboje byli w rękach wroga, byli całkiem dosłownie produktami wroga i nawet teraz nie byliśmy w stu procentach pewni, że byli – lub byli tylko – tym, co twierdzili, i wydawali, że są. Myślałam przez chwilę, jak mogłoby to wyglądać, gdybyśmy kiedykolwiek ich potraktowali jako ognisko zakaźne i uderzyli z orbitalną rozwałką. Nie byłoby ostrzeżenia, ewakuacji, żadnej pracy w ostatniej chwili dla ekologów.

Małporzecz przeskoczyła z kolan Meg na moje. Pozwoliłam temu wbiec na ramię i ułożyć się na barku, i wygładziłam podołek mojej spódnicy. Spojrzałem w górę.

– To dobrze – powiedziałam. – To zależy od was. – Wzruszyłam ramionami, fałszywe futro fałszywego zwierzęcia pocierało mój policzek. – Robicie to, co wydaje się najlepsze. – Wstałam i uśmiechnęłam się do obojga.

Przez chwilę Wilde wyglądał na skonsternowanego. Miałam nadzieję, że zostanie wytrącony z równowagi moim brakiem uporu tak, że zmieniłby zdanie. Jednak taktyka nie zadziałała. Musiałabym skorzystać z drugiej opcji: trudniejszej, ryzykowniejszej i, jeżeli już, z mniejszymi szansami na sukces.

– Do widzenia – powiedziałam. – Do zobaczenia.

W piekle, prawdopodobnie.

Pochyliłam się ponad barierką dookoła dachu Casa Azores i spojrzałam w dół. Ziemia była tysiąc metrów niżej. Nie miałam zawrotów głowy. Wspinałam się na wyższe drzewa. Wzdłuż plaży były światła, podskakujące łodzie naprzeciwko plaży, potem falochron, a za nim, zielono-niebieskie pola alg, farm rybnych, plantacji wodorostów i konwerterów energii cieplnej oceanu, aż do horyzontu. Sterowce – nie wiedziałam, czy w ramach nocnej pracy, czy re-

kreacji – dryfowały jak srebrne bąble ponad nimi. Sam budynek, choć w środku całej tej cieplnej mocy, wyciągał elektryczność z innych źródeł. Technicznie cała budowla była wieżą Carsona, zasilaną chłodnym powietrzem opadającym z góry centralnym szybem i napędzającym turbiny po drodze.

Na dachu było zimno. Odwróciłam się od widoku na dół, owinęłam ramiona kurtką i spojrzałam w niebo. Gdy moje tęczówki się dopasowały, mogłam ujrzeć Jowisza pośród zamętu fabryk orbitalnych, luster, żagli słonecznych, satelitów i habitatów. Przez lornetkę mogłabym dojrzeć Kallisto, Io, Europę. . . i Pierścień. Był to tak dobry symbol sił przeciwko, którym występowaliśmy.

Nasi wrogowie, w jakimś procesie, który nawet po dwóch wiekach był, jak mówimy, *nie do końca zrozumiały*, rozkruszyły największy księżyc Jowisza, Ganimedesa, i pozostawiły ten pierścień pędzących odłamków i niepokojące maszyny. A, oryginalnie w obrębie pierścienia, ale teraz bardzo poza nim, było coś jeszcze bardziej imponującego i groźnego: tysiąc sześćset metrowa przerwa w czasoprzestrzeni, tunel czasoprzestrzenny do gwiazd.

Dwa wieki temu, Zewnętrzni – ludzie tacy jak my, którzy kilka lat wcześniej kłócili się z nami w zapoconych przestrzeniach prymitywnych osiedli kosmicznych – stali się bardzo nie tak jak my: post-ludzcy i superludzcy. Jak w „Ludzie podobni Bogom”. Pierścień był ich dziełem tak jak Brama.

Po tych triumfach, zagłada. Ich szybkie umysły trafiły na granicę w prędkości przetwarzania lub osiągnęły oświecenie lub może zwyczajnie się pogubiły. Większość z nich uległa zniszczeniu, inne zdryfowały w atmosferę Jowisza, gdzie odtworzyły swego rodzaju kontakt z rzeczywistością.

Ich jedynym kontaktem z nami, kilka lat później, był epidemia radiowych wirusów informacyjnych, którym nie udało się przejąć,

ale zniszczyły, każdy komputer w Układzie Słonecznym. Ciemny dwudziesty drugi wiek osiadł jak mżawka.

Ludzkość zmagała się z Upadkiem, Zieloną Śmiercią i Krachem i wyszła z tego mrocznego wieku z głęboką niechęcią do systemu kapitalistycznego (który sprowadził Upadek), do Zielonych (którzy sprowadzili Śmierć) i do Zewnętrznych (którzy sprowadzili Krach i których programy wirusowe ciągle były emitowane, co sprawiało, że obliczenia elektroniczne i komunikacja były w najlepszym przypadku ryzykowne).

System kapitalistyczny został zniesiony, Zieloni wymarli, a Zewnętrzni…

Z Zewnętrznymi jeszcze trzeba było się policzyć.

Sprawdziłam, że jestem sama na dachu. Chłód, karbowane leje procesu Carsona wzdychały w nieskończonym oddechu, ich perlista kondensacja drżąca w kroplach. Przesunęłam się w ich cieniu i spojrzałam na, nie na niskowschodzącego Jowisza, ale na Księżyc. Przykucnęłam, rozpościerając suknię niedbale, sięgnęłam i podrapałam głowę małpy i wyszeptałam w jej ucho.

Małpa zaczęła się rozpuszczać w rękaw kurtki, potem w suknia i kurtka razem spłynęły jak rtęć i przekształciły się w antenę talerzową średnicy trzech metrów w obrębie, której przykucnęłam, moja głowa przykryta delikatną siatką, która rozwinęła się z tego, co kiedyś było kołnierzem. Pręt grubości igły gładko wyrósł w ogniskową anteny. Nici przewodów rozwinęły się na pokładzie, szukając źródeł mocy, znajdując jedno w sekundy. Przekształcony inteligenty skafander mruczał dookoła mnie.

– Ciągle nie – powiedziałam. – Ruszam po drugą opcję.

– Wiadomość wąskopasmowa wysłana – powiedział skafander. – Potwierdzenie z przekaźnika Lagrange.

I to było wszystko. Tylko odbiorcy wiadomości wiedzieliby, co

miałam na myśli przez „drugą opcję”. Moja misja była ograniczona nie tylko do ciszy radiowej, powód, dla którego przybyłam tutaj sama, sprawiał, że nie mogliśmy nawet ufać zwykłym rozmowom. Wiadomość radiowa na wąskim paśmie mogłaby zostać odebrana przekazana laserem, który miał taką przewagę, że Jowiszanie nie mogliby ani zakłócić, ani jej podsłuchać. Odbiłaby się od naszego statku, *Strasznego Piękna*, który w tym momencie był po drugiej stronie Ziemi i byłaby posłana do bazy Oddziału na Kallisto. Ze strony Kallisto w ciągu kilku godzin nadeszłoby proste potwierdzenie. Nie miałam zamiaru tutaj czekać, nie w ten sposób. Wstałam i powiedziałam skafandrowi, żeby przyjął poprzedni kształt. Kiedy suknia była przywrócona, niepotrzebnie, ale odświętnie zawirowałam i wpadłam prosto w kogoś ramiona. Gdy cofnęłam się o krok, ujrzałam, że wpadłam na Stephana Vrija, fotografa.

Staliśmy przez chwilę, patrząc na siebie.

– Rzeczy, które dostrzegasz, kiedy nie masz aparatu – powiedziałam.

– Nie śledziłem cię – powiedział niezgrabnie. – Po prostu się rozglądałem. Ostatnia część mojej pracy tego wieczoru. To niesamowite, jakie szalone rzeczy ludzie robią tutaj, po imprezie.

– Możesz o tym zapomnieć? – spytałam.

– Ok – powiedział. Spojrzał w bok.

– Zatem obiecuję, że cię zapomnę. – Sięgnęłam i złapałam jego dłoń. – No chodź. Wypiłam dużo drinków, a Ty żadnego, tak?

– Tak – powiedział, wyglądając na nieco zdziwionego, gdy ciągnęłam go za dłoń i kierowałam się zdecydowanie ku szybowi windy. Uśmiechnęłam się do niego.

– Czy jest lepszy sposób na rozpoczęcie nocy?

– Masz rację – powiedział.

– Cóż, nie – powiedziałam – mam nadzieję, że to *Ty*. . .

Śmiejąc się, poszliśmy do jego pokoju.

Kiedy jesteś pośród innych ludzi lub inni ludzie są pośród was i pożądasz ich dziwnego ciała, idź i skorzystaj z przyjemności, miej synów i córki z nimi, a Twój lud będzie żył długo na ziemiach, a dzieci wypełnią nieba.

W każdym razie tak jest napisane w Księdze Jordana. *Genetyka*, rozdział 3, werset 8.

Obudziłam się w wygodnym, o ile bezładnym, łóżku. Stephan Vrij spokojnie chrapał koło mnie. Oboje byliśmy nadzy, a ja byłam pod kołdrą. Nasunęłam kołdrę na niego i on przewrócił się we śnie.

Wnosząc po kącie, pod jakim światło wpadało przez okno, był środek poranka kolejnego pięknego dnia. Pokój był zrobiony z czegoś, co wyglądało i pachniało jak sosna, ale nigdy nie było ścięte w deski, potem zbite gwoździami lub sklejone razem (co niektórzy ludzie na Ziemi ciągle robili, jak później odkryłam, i nie wszyscy dlatego, że musieli, ale dlatego, że mogli sobie pozwolić na poświęcenie czasu na takie mody). Zamiast tego, to wszystko było wyhodowane na miejscu, ściany i podłoga zakrzywiająca się jedna w drugie, kable użytkowe pojawiające jak winorośl z sęków. Błyszczące monochromatyczne zdjęcia – ludzi, krajobrazów, morza – były przyczepione do ścian. Wyglądały szczegółowo i precyzyjnie tak jak fotografie, prócz braku koloru. Rozrzucona dookoła, na niskich krzesłach i stole lub podłodze, była raczej żenująca liczba i różnorodność bielizny. Najwidoczniej popisywałam się, ja lub inteligentny skafander. Moje wspomnienia nocy były zamglone i ciepłe.

Leżałam jeszcze kilka minut, uśmiechając się do siebie i mając nadzieję, że zaszłam w ciążę. Zrobienia tego tuż przed wojną wydawało się perwersyjne – tradycyjnie robiono tak po wojnie – ale

ta wojna skończyłaby się, zanim ciąża byłaby widoczna. Jeżeli wygralibyśmy, mogłabym nie wrócić na Ziemię przez długi czas, i potrzebowaliśmy wszystkich genów, jakie moglibyśmy zdobyć. Jeżeli przegralibyśmy. . . ale porażka nie była warta rozmyślania.

Stoczyłam się z łóżka, zebrałam kawałki i części, ustawiłam je do złożenia się jako sprzęt turystyczny, prócz jednej lub dwóch rzeczy, które mogłyby służyć jako bielizna. Nie, żebym właściwie potrzebowała bielizny w skafandrze kosmicznym z inteligentnej materii, ale były bardzo fajne. Zatem, na swój sposób, były szorty, skarpetki, buty i plecak, który złożył się na podłodze. Skafander zawsze miał dobry smak.

Mieszkanie było całkiem proste i standardowe, a jego logika funkcjonalna była znajoma, więc nie miałam trudności ze znalezieniem składników śniadania. Przyniosłam śniadanie Stephenowi, zjedliśmy i kochaliśmy się po raz ostatni. Stephen zrobił mi zdjęcia, a ja znowu obiecałam mu, że o nim zapomnę i się pożegnaliśmy.

Mniemam, że zapomniał o mnie, do tej pory, ale lubię myśleć, że ktoś ciągle ma tę fotografię.

Na dole na poziomie ziemi było gorąco. Słońce było wysoko na niebie, kolosalne, tak jasne, że widziałam je z zamkniętymi oczami i tak gorące, że aż raniło mi skórę. Nawet powietrze było gorące. To jedna z tych rzeczy, o których ci nie mówią, jak grawitacja.

Pomiędzy podstawą wieży a plażą były jakieś niskie budynki. Magazyny i składy sprzętu do użycia przez ludzi pracujących w błękitno-zielonych lub bawiących się na plaży, kramy z napojami, domy z jedzeniem i tak dalej. Powędrowałam nabrzeżną drogą, szukając miejsca turystycznego.

Nagie, małe dzieci biegały, krzycząc, ścigając się od wieży do plaży i z powrotem. Nieco starsze dzieci siedziały w cieniu i słuchały dorosłych lub nastolatków, gdy gorliwie przemawiali przed

tablicą lub nad maszyną. Od czasu do czasu dziecko dołączyłoby do jednej z tych grup. Od czasu do czasu dziecko wstałoby, uprzejmie skinęło nauczycielowi i odeszło robić coś innego.

Dwoje takich dzieci zajmowało się miejscem turystycznym, które znalazłam. Skład był łatwy do znalezienia, surowa konstrukcja z biocementu, plastiku i czegoś, co wyglądało jak drewno wyrzucone na brzeg, ale prawdopodobnie było resztkami syntetycznego drewna. Powiedziałam sobie, że musi być bardziej solidne niż wyglądało, gdy schylałam się pod zasłoną z morskiego jedwabiu i stałam, mrugając w chłodnym, przyciemnionym wnętrzu.

Wewnątrz, ściany były wyłożone uginającymi się półkami, które były wypełnione wszystkim, co turystka mogłaby potrzebować. Stare pudełka cynowe ze złotymi i srebrnymi monetami, nowe plastikowe skrzynki naboi, naoliwiona broń, buty, kapelusze i szaliki. Z sufitu zwisał szeroki wybór zwykłych ubrań: luźne sukienki, futrzane kombinezony, t-shirty i płaszcze kąpielowe. Wydawało się, że jest znacznie więcej możliwych celów, niż liczba możliwych turystów. Byłam sama w składzie, prócz chłopca i dziewczyny siedzących przy ladzie z szachownicą pomiędzy nimi.

Chłopak podniósł wzrok.

– Cześć – powiedział. Machnął ręką. – Obsłuż się sama. Jeżeli chcesz czegoś, czego tutaj nie ma, powiedz nam. – Uśmiechnął się roztargniony i wrócił do zastanawiania się nad szachownicą.

Pogrzebałam w brzęczących stosach dolarów, rubli, marek, funtów i jenów, żeby zebrać sześćdziesiąt gramów złota i sto srebra w najdrobniejszych monetach, jakie mogłam znaleźć. Z regału z bronią wybrałam automat colta i kilka magazynków amunicji. Jedzenie i inne rzeczy mogłam dostać wszędzie, a skafander produkował lepsze buty, skarpetki itd niż cokolwiek tutaj. Ale nie mogłam ominąć szansy niesamowitego scyzoryka z czerwoną rączką oznaczonym

intarsjowanym stalowym krzyżem w tarczy. Miał dwa ostrza i mnóstwo sprytnych narzędzi. Byłam pewna, że znajdę wykorzystanie dla większości z nich.

Pożegnałam dzieci, obiecałam oddać wszystko, czego nie zużyję (z mentalnym zastrzeżeniem co do noża) i wyszłam znowu w słońce. Po kilka sekundach wróciłam do środka i znalazłam okulary przeciwsłoneczne. Śmiech dziewczyny towarzyszył mi przy wyjściu.

Teraz gdy nie musiałam mrużyć oczu, żeby spojrzeć, było łatwiej znaleźć pozycję lotniska na podstawie ścieżek sterowców, ultralekkich i helikopterów. Poszłam wzdłuż drogi na brzegu przez kilka kilometrów, aż dotarłam do niego. Miałam kilka ofert podwózki po drodze, ale odmówiłam im wszystkim. Pomimo gorąca i grawitacji, i chwil dezorientacji, kiedy jakaś konserwatywna część mojego mózgu stwierdzała, że horyzont po prostu *nie może* być tak daleko, w końcu przyzwyczaiłam się do chodzenia po otwartej powierzchni planety, i wkrótce, ku mojemu zaskoczeniu, odkryłam, że to lubię. Morska bryza niosła swojski zapach zielono-niebieskich pól, odległe konwertery błyszczały i brzęczały, pobliskie wody w obrębie sztucznej rafy skrzyły, a na nich pływacy i ludzie na łodziach wypełniały powietrze radosnymi okrzykami.

Lotnisko było na cyplu ziemi, który wykraczał na kilkaset metrów, przecinając rafę koralową. Sterowce poruszały się przy masztach cumowych, śmigłowce i ultralekkie samoloty bzyczały pomiędzy nimi. Wysoko nad głowami, diamentowo-włóknowe latające skrzydła używane dla poważnych ładunków napinały kable jak gigantyczne latawce. Przybyłam na jednym, z kosmodromu w Gwinei i wyglądało, że wyjadę na jednym z nich. Myśl o przelocie sterowcem była pociągająca, ale zabrałaby zbyt dużo czasu. Nie wiedziałam, jak dużo czasu mam, ale ostateczny termin, Katastrofa Ko-

smiczna, był nie dalej jak trzy tygodnie. Cokolwiek robiłam, musiało się skończyć przed nią.

Tuż przed ogrodzeniem lotniska, odwróciłam się i spojrzałam na Casa Azores. Stąd, było możliwe ją zobaczyć w całości. Sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych u podstawy zbiegało się na wysokości kilometra do stu metrów kwadratowych. Ściany wyglądały dziwnie naturalnie, pokryte roślinami pnącymi i wiszącymi ogrodami, przerywane portami dla szybowców i oknami, które błyszczały jak lód. Zbudowane i utrzymywane przez biliardy organicznie zaprojektowanych nanomaszyn, wieża była prawie tak wybitna jak drzewo i znacznie bardziej efektywna. Sposób życia tego i otaczającej akwakultury podtrzymującej nie był mój, ale był tym, który byłam szczęśliwa, mogąc chronić. Dużo interesującej pracy, dużo interesującego wypoczynku. Przygoda, jeżeli chciałaś, relaks, jeżeli wolałaś. Nieskończenie przedłużona młodość i zdrowie. Wszystko, czego nie mogłaś otrzymać po prośbie, mogłaś, z pewnym rozsądnym zaangażowaniem czasu i kłopotu, nanofabrykować dla siebie.

Niedostatek mediów i problemy z komunikacją w czasie rzeczywistym, były jedynymi stratami wobec świata przed Upadkiem i Krachem. Próbowaliśmy to potraktować jako okazję. Cała rozrywka i wiedza pośród trzydziestu miliardów ludzi była (w końcu) dostępna w Kablu, a wydarzenia na żywo były zapewniane przez stałe, zwyczajowe przybywanie i wyjazdy artystów, badaczy i wykładowców. Brak sztucznych sław oznaczał niekończące się niespodzianki.

W całym systemie wewnętrznym – Ziemia, orbita, Lagrange, Księżyc, Mars i Pas Asteroidów – warianty tego samego sposobu życia trwały. Kultury i języki były bardziej zróżnicowane niż kiedykolwiek, ale system, który był podstawą, był wszędzie ten sam. W pływających miastach, sztucznych górach schodkowych jak zig-

guraty, w wieżach jak ta lub wyższych, w miastach podziemnych, w ogromnych habitatach na orbitach, w nasłonecznych kopułach ciśnieniowych, w jaskiniach lodu, większość ludzi żyła tym sposobem życia: prosto, samowystarczalnie, mały wpływ i ekologicznie rozsądnie.

Było to podtrzymywalne materialnie i psychologicznie, punkt kulminacyjny społeczności gatunku ludzkiego, naturalnego środowisko świadomego zwierzęcia, które to świadome zwierzę, po takim czasie i kłopocie, w końcu stworzyło dla siebie. Nazywaliśmy to epoką Heliocenu. Wydawało się jak chwila w słońcu, ale nie było powodu, w zasadzie, dlaczego nie mogłoby przetrwać Słońca i upowszechnić się pod wszystkimi słońcami nieba.

Lustrami słonecznymi kontrolowaliśmy czapy polarne. Zlodowacenia i masowe wymierania, które znaczyły plejstocen, były skończone. Następna epoka lodowcowa, spóźniona, nigdy nie nadejdzie. Laserami w kosmosie i atomówkami mogliśmy osłonić Ziemię od asteroidów. Moglibyśmy sprowadzić utracone gatunki z DNA w wystawach muzealnych. Wkrótce, w najbliższym wieku, kontrolowalibyśmy cykl Milankovicia. Byliśmy bezpieczni.

Nic dziwnego, że mieli tutaj tak mało turystów: kto chciałby opuszczać miejsce takie jak to? Westchnęłam, z drżeniem, i skierowałam się do bramy lotniska.

Rozdział 2

Po Londynie

W końcu odbyłam podróż sterowcem. Trasa latającego skrzydła zabrała mnie aż do Bristolu, miasta, które ciągle było portem dla ruchu atlantyckiego, choć już nie dla handlu. Stare miasto z dokami było całkiem dobrze zachowane, ale nabrzeża, gdzie cukier (wymieniany za, i hodowany przez, niewolników) kiedyś lądował, teraz utrzymywał pojazdy rekreacyjne. Nowe miasto było w modnym stylu azteckich piramid, z wystającymi pomostami powietrznymi w połowie w górę. Wylądowaliśmy o trzynastej, wylatując z Graciosa o jedenastej. Miałam szczęście złapać drugi lot tego dnia do Londynu. Wyleciał około trzynastej trzydzieści i dotarł do Alexandra Port około osiemnastej. To był ten rodzaj rzeczy, jakie zdarzają się, kiedy podróżujesz wewnątrz atmosfery.

Pogoda, oczywiście, była inną. Wyszłam z windy i na dach, żeby dowiedzieć się, że wielkie krople wody spadają z szarego nieba prosto na mnie. Wygrzebałam z plecaka czapkę z kapturem – oczywiście, wszystko część skafandra – i założyłam. Z kapturem chroniącym oczy przed wodą, było łatwiej zobaczyć, gdzie jestem. Dach miał rozmiar i wygląd małego parku, oprócz wzgórz w oddali i dziwnych efektów wizualnych deszczu, mógłby być gdziekolwiek pod kopułą miejską. Przeszłam po trawie, koło kapiących drzew i krzewów, do miejsca, gdzie mały i radośnie pomalowany sterowiec był

zakotwiczony do centralnego słupa. Inni ludzie również się schodzili, razem kilkadziesiąt, kiedy wspinaliśmy się spiralnymi schodami i wchodziliśmy po trapie do gondoli sterowca. Moi współpasażerowie byli ubrani podobnie do mnie, ale większość miała raczej więcej ekwipunku. Z dosłyszanych rozmów, gdy strząsaliśmy nasze mokre ubrania i zajmowaliśmy miejsca, zrozumiałam, że większość z nich, przynajmniej dla nich samych, była poważnymi ekoturystami, szczerze badającymi historię naturalną lub archeologię miejską. Jednak niewielu oparło się zabraniu wędki lub karabinu. Polowanie i wędkowanie w Londynie uchodziło za doskonałe.

Siedzenia były ustawione raczej w sposób bardziej podobny do pokoju niż pojazdu, ale nie miałam kłopotu z zajęciem miejsca przy oknie. Sterowiec odbił zgodnie z rozkładem, wznosząc się przez niskie chmury, a potem zostawiając je za sobą. Po wyglądaniu przez okno przez pół godziny na lasy liściaste przerywane tylko starymi drogami i nowymi budynkami, wstałam i obeszłam wszystkich, pytając, jakie chcieliby napoje, potem poszłam do kuchni i je przygotowałam.

Kiedy kawa się parzyła, dołączyła do mnie kobieta, która przedstawiła się jako Suze. Była drobna, włosy brązowe, piwne oczy, ciemna skóra. Bardzo angielska. Domyśliłam się, że jest mniej więcej w wieku według wyglądu.

– Czy wiesz – powiedziała, gdy nalewaliśmy kawę do kubków i herbatę do filiżanek – że w starym systemie, byli ludzie, którzy robili to w ramach całodziennej pracy?

– Robili co?

– Podawali napoje w samolocie.

Wiedziałam to doskonale.

– Naprawdę? – spytałam. – Dlaczego? Czy oni... lubili to, czy co?

– Nie – powiedziała szczerze – robili to, ponieważ był to sposób dostania tego, co potrzebowali do życia.

Machnęłam dłonią na półkę z kanapkami.

– Masz na myśli, to było wszystko, co musieli jeść?

– Nie, nie, to było dlatego...

Nagle się roześmiała.

– Wkręcasz mnie, co?

– Tak – przyznałam. Zaczęłam nalewać kawę. – Zobaczmy, czy możemy wykonać pracę lepiej niż niewolnicy pensji, dobrze?

Kiedy skończyłyśmy podawać lunch innymi pasażerom, wzięłyśmy własne tace. Zobaczyłam, że ona, tak jak ja, chciała siedzieć sama, zatem zaprosiłam ją do siebie. Rozmawiałyśmy, gdy jadłyśmy.

Nie było uprzejme pytać sąsiadów, czym się zajmują, gdzie się udają i tak dalej. Musiałaś to obchodzić i nie naciskać, jeżeli nie chcieli się otworzyć.

– Dlaczego powiedziałaś mi to o starym systemie? – spytałam.

– W tej chwili – powiedziała Suze – jestem socjolożką.

Wyciągnęłam nieznajome słowo ze starych wspomnień.

– Kimś, kto bada społeczeństwa?

Skinęła głową.

– Tak, ale teraz nie ma zbyt dużo do badania!

– Co masz na myśli?

– Rozejrzyj się. – Machnęła dłonią. – W dzisiejszych czasach, chcesz badać społeczeństwo i co odkryjesz?

Było to pytanie retoryczne, ale naprawdę chciałam poznać jej zdanie.

– Cóż – kontynuowała – to wszystko jest takie *oczywiste*, takie przejrzyste. Wszyscy wiemy jak to wszystko działa mniej więcej od piątego roku życia. Próbujesz sama się dowiedzieć i ktoś po prostu

Ci *powie*. A to wszystko byłoby prawdą, nie ma tajemnic, nic się nie dzieje poza sceną, za kulisami. Ponieważ nie ma *sceny*, wiesz, co mam na myśli?

– Tak, oczywiście – powiedziałam, myśląc *Ha! Niedużo wiesz, dziewczyno!* – Więc jakie społeczeństwo badasz, jeżeli nie nasze?

– Badam stare systemy – powiedziała Suze – i dowiaduję się interesujących rzeczy. Czasem po prostu nie mogę się powstrzymać od opowiadania o nich ludziom. I tak czy inaczej, to sposób na zachęcenie ludzi do rozmowy.

Prychnęłam.

– Tak, to świetna metoda – powiedziałam. – Przy prawie wszystkim, co robisz, możesz powiedzieć do kogoś „Czy wiesz, że w systemie pensji, niektórzy ludzie musieli to robić każdego dnia lub *umrzeć z głodu*?"

Roześmiała się z mojego tonu udawanego szoku i wielkich oczu. Przez kolejne chwile, współzawodniczyłyśmy w sugerowaniu działalności, do których to zdanie nie pasowało i okazało się, że nasze zasoby grubiaństwa i obrzydliwości są niewystarczające.

– Mimo wszystko – powiedziała, kiedy przestałyśmy – to fascynujące w pewien sposób. – Spojrzała się na mnie, jakby nie pewna, czy iść dalej. – Kapitalizm miał w sobie rodzaj... elegancji. Problemem jest, cóż, starzy ludzie, hm, bez obrazy, nie są zbyt dobrzy w wyjaśnianiu tego, ponieważ tego tak bardzo nienawidzą, a stare książki... – Westchnęła i wzruszyła ramionami. – Po prostu nie mają *sensu*. Wszystkie mają te równania, jak w prawdziwej nauce, ale kiedy spojrzysz na założenia i pomyślisz, hej, chwila, to nie może być prawda, więc *jak* to działało? *Tak czy inaczej* – kontynuowała, mocniej – to jedyne interesujące pytanie socjologiczne, jakie pozostało. – Wyjrzała przez okno, potem pochyliła się i powie-

działa cicho. – Dlatego jadę do Londynu – wyznała. – Porozmawiać z ludźmi spoza Związku.

Potem odsunęła się i spojrzała na mnie, jakby prowokując mnie do szoku, niepewna, czy nie pomyliła się co do tolerancji. Nie chciałam udawać mojej reakcji, byłam zadowolona i zainteresowana. Mieliśmy, oczywiście, sieć agentów i kontaktów w rejonie Londynu, a na starych towarzyszy zawsze można było liczyć, ale moja misja była nawet dla nich tajna. Nikt nie wiedział, że przybywam, lub czego szukam, choć ten wyciek informacji nie mógł być dłużej powstrzymywany. Oczekiwałam, że będę musiała się opierać na prędko poznawanych, i prawdopodobnie nieaktualnych, informacjach.

Teraz dostałam możliwość przewodnika. To mógł być łut szczęścia! Lub zupełnie coś innego, jeżeli chciałam być paranoidalna. Jej wcześniejsze uwagi o braku tajemnic były zbyt przejrzyste, by być jakiegoś rodzaju podwójnego blefu. Jeżeli była zamieszana w jakieś tajemnice (inne niż jej, dla niektórych, przykre zainteresowania), raczej by nie poruszała tego tematu. Poza tym była zbyt młoda...

Studiowałam jej twarz i próbowałam ukryć moje wątpliwości, moje przewidywania. Przez dekady i wieki, tracisz talent do konspirowania. Oddział nie był Związkiem, prawda, ale nawet nasza polityka wyblakła i zmiękła w nie-zabijanie, jak zardzewiała artyleria w omszałych stanowiskach, wszystkie nasze niszczycielskie moce skierowane na zewnątrz.

Zdecydowałam, że, czy jej obecność była przygodna, czy wpływ jednej z tych ukrytych sił, których istnienia ona tak naiwnie zaprzeczała, nie mogłam stracić. Jeżeli była niewinna, to otrzymałabym wartościowe kontakty i informacje, jeżeli nie, jedynym sposobem było podtrzymanie gry.

Zatem powiedziałam:

– Hmmm, to interesujące. Czy znasz wielu nie-spółdzielców? – (To było grzeczne określenie. Pozostałe uwzględniały: „pasożyty”, „łamistrajki”, „męty” i, wypowiadane z drwiną i udawanym splunięciem, „bankierzy”). Uważane było za akceptowalne wymienianie monet z nimi za ich dziwne ręczne prace i ekscentryczne nanowyroby i do najmowania ich jako przewodników, ale większość ludzi unikała od jakichkolwiek bliższych kontaktów, jakby niespołecznicy chorowali na niewidoczną chorobę skóry.

– Kilku – powiedziała, patrząc z ulgą. – Badałam, wiesz, wzorce handlu w dolinie Tamizy.

– Wzorce handlu?

– Większość ludzi myśli, że niespołecznicy żyją z żebrania ze Związku, ale to tylko uprzedzenie. – Skrzywiła się, ciągle mówiła po cichu, jakby nie chciała, by inni pasażerowie usłyszeli. – Właściwie są całkiem samowystarczalni. Robią rzeczy i wymieniają się pomiędzy sobą, używając małych odważników metalu dla pośrednich wymian. To dlatego kiedykolwiek coś proponują turystom, robią to tylko za metalowe odważniki. – Suze się roześmiała. – Znowu to robię. Jestem pewna, że to wszystko wiesz.

– Cóż, w teorii – przyznałam – ale byłoby interesujące zobaczyć jak to działa w praktyce. Prawdę powiedziawszy, jadę do Londynu, żeby odszukać... pewną osobę. – Pomyślałam o ryzykach. Będę zasięgać informacji o tym człowieku, jak tylko wylądujemy, pośród wszystkich ludzi. Nieważne, jak będę dyskretna, informacja się rozniesie. Wydawało się, że nie będzie szkody, jeżeli zacznę teraz. – Nazywa się Isambard Kingdom Malley.

– On *żyje*? – Suze zabrzmiała niedowierzająco. – W Londynie? – Zrozumienie pojawiło się na jej twarzy.

– Tak – powiedziałam. – Jest niespołecznikiem.

Isambard Kingdom Malley był kiedyś fizykiem. Opracował Teo-

rię Wszystkiego. Ostateczne równania. Kiedy byłam tak młoda, tak jak wyglądam, była moda na t-shirty z równaniami Malleya na nich. TW-shirty, jak je nazywaliśmy. Równania, przynajmniej, były eleganckie.

Malley urodził się w 2039, zatem miał sześć lat w czasach Jesiennej Rewolucji. Jego teoria pojawiła się we wczesnych latach sześćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku, w krótkim wzroście nowych technologii i rozwoju badań, który znaczyły ten okres, kiedy imperium USA/ONZ upadło, ale barbarzyńcy jeszcze nie wygrali. Jego ostatni artykuł był skromnie klasyczna *Manipulacja czasoprzestrzenią przy pomocy materii nie-egzotycznej*, Malley, I.K., Phys. Rev.[1] D 128 (10), 3182 (2080). Opisywał w nim teoretyczną możliwość chaotycznego kwantowego tunelu czasoprzestrzennego i napędu wirtualnej masy opartego na fluktuacjach kwantowych. Słynny „Dodatek II: Rozważania techniczne” wskazywał na pewne praktyczne problemy z konstrukcją Bramy i Napędu, szczególnie że wymagałyby miliard razy więcej mocy obliczeniowej niż była wówczas osiągalna.

Tydzień po publikacji artykułu, czasopismo zostało zamknięte przez grupę w imieniu lokalnego oddziału Byłych Stanów Zjednoczonych, za „niebiblijne spekulacje fizyczne”, „bluźnierstwo” i (według niektórych źródeł) „czarną magię”. Pewna elegijna trafność była zawarta w myśli, że artykuł, w którym nakreślono drogę do gwiazd, został opublikowany w tym, co się okazało ostatnim wydaniem czasopisma: Zachód ciągle mierzył wysoko, kiedy upadał.

Trzynaście lat później, Zewnętrzni zbudowali bramę tunelu czasoprzestrzennego i wystrzelili międzygwiezdną sondę, sięgając granic przestrzeni i czasu. To, że nigdy nie dosięgła oczekiwanego

---

[1] Przegląd Fizyczny – czasopismo wydawane od 1893 roku, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Physical_Review` – przyp.tłum.

końca – że ciągle, w rzeczywistości, szła mocno, ciągle nadawała niezrozumiałe dane z niewyobrażalnej przyszłości – obalało Teorię Wszystkiego Malleya, która była oparta na dotychczas niezachwianym Modelu Standardowym kosmologii skończonego wszechświata. Jednak teoria Malleya ciągle była jedyną, jaką posiadaliśmy. Pasowała do danych, prócz niewzruszonych faktów Sondy. W obrębie granic nasze techniki, Teoria ciągle działała. Nikt nie zaproponował niczego, żeby ją zastąpić. (To była dla mnie drażliwa kwestia. Czasem zastanawiałam się, jak źle przedstawiało to nasze społeczeństwo: może, w końcu, pewne podstawowa niepewność społeczna jest konieczna, żeby wyostrzyć intelekt geniusza. Może nie mieliśmy więcej szans na rozwinięcie dalej fizyki niż wyspiarze z Pacyfiku na rozwinięcie silnika parowego. Lub, jak miałam nadzieję, może po prostu Newton, Einstein czy Malley nie pojawiają się tak często).

Podejrzewałam, że Malley sam byłby Zewnętrznym, ale nigdy nie udał się w kosmos. Ostatnie kompleksy startowe Ameryki były wtedy atakowane przez motłoch, który myślał, że rakiety niszczyły warstwę ozonową lub robiły dziury w kryształowych sferach nieboskłonu. Uciekł z Ameryki do Japonii, a potem zagadkowo wrócił do Anglii w czasach Zielonej Śmierci, gdzie pracował, jak potrafił najlepiej według zdolności i malejących zasobów jako lekarz, rozdając antybiotyki i antygeriatryki przesądnym osadnikom i nostalgicznym uchodźcom, przeprowadzając terapię telomerową na przestraszonych młodocianych, którzy traktowali to, jeżeli w ogóle, jako jeszcze jedną próbę rytuału dorastania. Wiedzieliśmy, że przetrwał wiek barbarzyństwa i że zarejestrował się do wyborów, kiedy formalnie kapitalizm został zniesiony i założony został Związek Słoneczny. Najwidoczniej głosował przeciwko rewolucji społecznej, ponieważ

na kolejnym wieku światowej wspólnoty uciekł w bezdroża Londynu, uparty nie-spółdzielca.

Poważnie teraz potrzebowaliśmy jego pomocy.

Malley, widać, podążał za nakazem Epikura, by „żyć w zapomnieniu”. Suze nigdy nie słyszała o nim więcej niż plotkę.

– Czy chciałabyś, żebym z Tobą pojechała, przynajmniej częściowo? – zasugerowała. – Mogłabym Ci pomóc w poszukiwaniach, a Ty mogłabyś, cóż, szczerze mówiąc, są tam miejsca, gdzie wolałabym się sama nie zapuszczać.

– Tak, bardzo bym chciała – powiedziałam. – To naprawdę po sąsiedzku, Suze.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie i spytała:

– Jak chcesz go znaleźć? Wiesz może, gdzie przebywa? A w ogóle, dlaczego chcesz z nim porozmawiać? Jeżeli nie masz nic przeciwko pytaniu.

Podrapałam się po uchu i wyjrzałam przez okno. Szliśmy znowu ponad niskimi chmurami i przez ich oślepiająco biel wyrastało z lewej miasto.

– Wieżowiec Swindon – zauważyła Suze. Przed nami, cień sterowca pędził jak falujący koń przez kontury chmur. Spojrzałam na Suze.

– Nie, nie mam nic przeciwko pytaniom – powiedziałam. – Powiem Ci, gdy będziemy w nieco bardziej prywatnym miejscu. I wtedy, będzie zależeć od ciebie, czy chcesz pójść ze mną, czy nie.

– To ok – powiedziała.

– Powiedz mi, co dowiedziałaś się o Londynie – powiedziałam, a ona tak zrobiła. Do czasu, gdy skończyła, prawie tam byliśmy. Wyglądaliśmy na lasy i bagna, ruiny, ślady ulic, ważnych dróg, na skrzyżowania, z których unosił się dym z kominków stłoczonych osad. Suze zaczęła podniecona pokazywać elementy krajobrazu:

Lotnisko w Heathrow, jego heksagram pasów widoczny tylko z lotu ptaka, jak znak jakiegoś starożytnego kultu skierowany do bogów w niebie, Zapora na Tamizie daleko na wschodzie, samotna linia srebrnych kropek na terenie zalewowym Tamizy, Hyde Park z jego historycznym Rogiem Mówców, gdzie Pomnik Nieznanego Socjalisty wznosił się na setki metrów ponad drzewami, patrząc z pogardą zwycięzcy na upadłe i upadające wieże City, a gdy sterowiec skręcił i zaczął się obniżać, nasz cel, dumne pylony Alexandra Port.

Na widok Alexandra Port ciarki przeszły mi po karku. Było to jedno ze wczesnych centrów Ruchu Kosmicznego, który był wspólnym przodkiem Zewnętrznych i nas. Żyli dzisiaj ludzie, których podróż w kosmos zaczęła się w zatłoczonych halach portu, na czekaniu na połączenie sterowcem do kompleksów startowych w Gwinei i Kazachstanie. Maszty cumownicze były ich Statuą Wolności, Wyspą Ellis[2].

Lub Zatoką Botaniczną[3]. Moje paznokcie wbijały się w dłonie. Odwróciłam się i przygotowałam się do lądowania.

Sterowiec zatrzymał się, jego silniki mruczące, gdy stabilizowały pozycję, tuż nad płaskim dachem terminala. Pojazd ze schodami podjechał do wyjścia i wszyscy zeszliśmy. Dwoje lub troje osób pracujących w utrzymaniu weszło na pokład i zaczęło go sprawdzać. Choć jego automatyczne systemy były bardziej niż wystar-

---

[2] wyspa położona w porcie miasta Nowy Jork, niedaleko wyspy Manhattan. W latach 1892–1924 na wyspie działało główne centrum przyjmowania imigrantów do Stanów Zjednoczonych, przybywających z Europy na wschodnie wybrzeże. Przez cały okres jej działania, do chwili ostatecznego zamknięcia w 1954 roku, stacja przyjęła około 12 milionów imigrantów, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ellis_Island` – przyp.tłum.

[3] głębokowodna zatoka na wschodnim wybrzeżu Australii, w Nowej Południowej Walii. Nad zatoką położona jest aglomeracja Sydney. Zatoka została odkryta 29 kwietnia 1770 roku przez Jamesa Cooka, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Zatoka_Botaniczna` – przyp.tłum.

czające do tego zadania, było coś w lotnictwie, co podtrzymywało zwyczaj ludzkiej kontroli.

Z dachu terminala mogliśmy zobaczyć prawie panoramę Londynu, łagodne wzgórza zamglone dymem ze spalanego drewna. Lasy były przerywane tu i tam przez wieże, których stal i beton przetrwały dwa wieki zaniedbania, oraz przez szerokie korytarze wokół starożytnych dróg. Na wschód Lee Water rozpościerało się aż do bagien Hackney i odległego blasku Tamizy. Na pobliskich wzgórzach na zachód, ruiny starych budynków ceglanych i ulic były ciągle, ledwie, widoczne jako kruszące się ściany i popękane płyty pośród drzew.

Było to powszechne nieporozumienie – które, szczerze mówiąc, nikt z nas nigdy nie uważał za stosowne publicznie poprawić, choć fakty były jawne dla każdego, kto zapytał – że Zielona Śmierć była pojedynczą zarazą, rezultatem genetycznie opracowanego wirusa przez jakąś fakcję Zielonych w przypływie maltuzjańskiego szału. Rozsądna epidemiologia wyjaśniała, że było to kilka chorób, prawdopodobnie naturalnych, wszystkie, które uderzyły w tym samym czasie i były rozprzestrzeniane przez żołnierzy, uchodźców i osadników. Nieład, oraz osłabienie społecznych systemów odpornościowych medycyny i nauki, był w istocie częściowo odpowiedzialnością band Zielonych i ich wielu sojuszników i poprzedników, by nawiązać do wieków lub więcej irracjonalizmu i antyhumanizmu. Faktycznie, paniczne opuszczenie miast jako centrów epidemii było same, częściowo, wynikiem tego sposobu myślenia i prawdopodobnie doprowadziło do większej liczby śmierci niż kiedykolwiek choroby. Zatem, choć Zieloni nie byli do końca odpowiedzialni, jak ludzie kiedyś myśleli, za miliardy zmarłych, uważam, że trudno potępiać kogokolwiek za tak zwane „ekscesy” po oswobodzeniu. (Tak czy inaczej, liczby egzekucji były nadymane przez super entuzja-

styczne lokalne komitety. Na całym świecie nie było więcej niż sto tysięcy. Góra. Szczerze.).

Długoczasowy efekt Zielonej Śmierci nie dotyczył wielkości populacji, która odbiła się ostro po rewolucji społecznej i teraz bardzo ładnie się układała, dziękuję bardzo, ale na jej dystrybucji. Większość starych metropolii pozostała pusta, długo po tym, gdy stały się całkowicie bezpiecznym miejsce do życia. Były radośnie zostawione, dość odpowiednio, tym, którzy odrzucili nowe społeczeństwo i woleli jakąś wersję starego.

Wieś, także, wracała do dziczy, gdy agrokultury były zastępowane akwakulturami, hydroponiką i sztuczną fotosyntezą. Niemniej jednak wsie były znacznie rzadziej oddawane niespołecznikom niż stare miasta, z powodu ich wartości rekreacyjnej dla ludzi z gęstych arkologii[4] Związku.

Alexandra Port sama niewiele się zmieniła, ponieważ nigdy nie były pozostawiona skutkom natury lub człowieka. W czasach Zielonej Śmierci była kanałem dla wyjeżdżających uchodźców i przybywającej pomocy, a nawet w czasie upadku Zachodu, była utrzymywana przez ziemskie pozostałości Ruchu Kosmicznego, jej granice strzeżone, personel zaopatrywany z zewnątrz, garnizon w środku pustkowia.

To było jak na starych zdjęciach, myślałam, gdy schodziliśmy do hali dworcowej: Pałac Ludu, w stylu retro, nawet gdy był nowy, wtedy w dwudziestym wieku, i nowsze, dwudziestopierwszowieczne budynki terminala i warsztatów rozciągały się na szczycie wzgórza pod wysokimi słupami. Jedynym dowodem nowoczesnej technologii, który dojrzałam, były ruchome schody, którymi jechałyśmy i ich

[4] struktura lub osiedle o niezwykle wysokiej gęstości zaludnienia, często osiągająca wysokość powyżej 1 kilometra. Termin został stworzony przez architekta Paolo Soleriego jako połączenie „architektury” z „ekologią”, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Arkologia` – przyp.tłum.

kontynuacja w chodniku, który zabrał nas do wyjścia. Ich bezszwowy ruch plastiku – nie nanotech, po prostu sprytny – zdumiałby wczesnych inżynierów kompleksu.

Przeszliśmy przez Pałac Ludu, teraz dom gościnny jak również dom dla ludzi pracujących w porcie. Spojrzałam na słońce i na zegarek.

– Zostaniemy tutaj na noc? – zasugerowałam. – Wyruszymy w podróż z rana?

Suze skinęła głową.

– Tak, jest zbyt późno na ruszanie dalej – powiedziała. – Znam różne miejsca do spania w Londynie, ale one są ściśle czymś, co robisz dla doświadczenia. – Sprawdziliśmy tablicę w holu i okazało się, że jest dużo wolnych pokoi. Większość z naszych towarzyszy turystów najwidoczniej wolała wątpliwy urok i przygodę znalezienia noclegu w jednym z rodzimych zajazdów lub domków myśliwskich Londynu. Wybraliśmy pokój dwuosobowy w zachodnim skrzydle i zabraliśmy nasze rzeczy. Był tam mały piecyk, kawa i inne zaopatrzenie w pokoju oraz zaproszenie na wieczorny posiłek lub późniejsze czynności społeczne. Kiedy Suze brała prysznic, poprosiłam skafander o dyskretne sprawdzenie pokoju. Nic nie znalazł, oprócz oczekiwanego dzikiego życia i standardowych robotów czyszczących. Zdecydowanie nie było innego rodzaju pluskiew, nie żebym serio oczekiwała, ale to była rutyna, jak inspekcja sterowca.

Suze wyszła właśnie spod prysznica, gdy agent skafandra przedstawiał raport.

– Och! – powiedziała. – Domowa myszka. Jak słodko!

– Grrr – powiedział skafander, ale jestem pewna, że Suze usłyszała pisk. Sama wzięłam prysznic i pojawiłam się, gdy Suze przygotowała kawę i ubrała się na kolację.

– Dzięki – powiedziałam, biorąc kawę. – Fajna suknia.

Suze spojrzała na nią z zadowoleniem.

– Plisy fortuny, tak ją nazywają – powiedziała. – Możesz ją wepchnąć do plecaka, a kiedy ją strząśniesz, nadal wygląda świetnie.

– Ach – powiedziałam – muszę ci coś pokazać.

Założyłam swoje rzeczy, które ciągle były przepocone i pogniecione od podróży. Razem składały się tylko na część skafandra, reszta była myszą i plecakiem z zawartością, ale było ich wystarczająco, żeby zrobiły trik Kopciuszka i udawać koronki z pamięci archiwum sukni debiutantki. Zawirowałam i uśmiechnęłam się na otwarte usta Suze.

– Skafander kosmiczny z inteligentnej materii – wyjaśniłam, siadając i poklepując bufiastą spódnicę. Suze ciągle wytrzeszczała oczy.

– Jesteś z kosmosu?

– Tak – powiedziałam. – W rzeczywistości Oddział Cassini.

– Super! – Zdumiony wzrok Suze zmienił się w onieśmielony i lekko winne, podniecenie, które napotykałam wcześniej. W świecie obfitości, pokoju i bezpieczeństwa, Oddział był największym skupiskiem niebezpiecznego uroku niebezpieczeństwa, seksownego dreszczyku przemocy. Byli tacy, którzy gardzili i bali się go z tego powodu i tacy, którzy – czasem sekretnie nawet dla samych siebie – uwielbiali to. Wyglądało na to, że Suze była pośród tych drugich.

– To dlatego chcę porozmawiać z Malleyem – powiedziałam.

– O tunelu? – Bystra dziewczyna.

– Tak. Chcemy, żeby nam pokazał jak się przedostać. Na Nowego Marsa.

– Założyć naszą *własną* kolonię?

Pokręciłam stanowczo głową.

– Nie potrzebujemy kolejnych pustyń!

Coś – nagłe światło w jej oczach – powiedziało mi jej skrytą

odpowiedź: potrzebujemy, potrzebujemy! Nie wszyscy tak uważali, ale wiedziałam, że wystarczająco wielu, żeby Wilde widział to spojrzenie wiele razy, gdy opowiadał swoje historie. Nic dziwnego, że miał szalone pojęcie, że jeżelibyśmy przeszli, to skolonizowalibyśmy tamto miejsce.

– Zatem dlaczego chcemy przejść? – spytała Suze. – Dlaczego teraz?

– Musimy się przedostać – powiedziałam ostrożnie – ponieważ istnieje szansa, że ludzie po drugiej stronie tunelu majstrują przy tych samych bytach, którymi Zewnętrzni, Jowiszanie, stali się po tej stronie. Zamierzamy przejść i zatrzymać ich, za wszelką cenę. – (Była to prawda, do pewnego stopnia, dość niewielkiego). Suze siedziała w jednym z foteli i patrzyła na mnie, potrząsając głową.

– Dlaczego ludzie o tym nie *wiedzą*? Dlaczego nam nie powiedziano?

– Nie trzymamy tego właściwie w tajemnicy – powiedziałam. – Po prostu przedstawiliśmy informacje w raportach naukowych i tak dalej, a nie zrobiliśmy z tego wielkiego wydarzenia. Na razie, wszyscy, którym udało się pojąć, co się dzieje, zgodzili się z nami, że nie ma potrzeby panikować.

– To może być prawda – powiedziała z oburzeniem – ale potrzebna jest dyskusja. Nie możesz po prostu iść i *zrobić* czegoś takiego jak to bez jakiegoś, jakiejś. . .

– Upoważnienia? Tak właściwie, *możemy*, w tym sensie, że nikt nie może nas zatrzymać. Nie chcielibyśmy tego, ponieważ my, to jest Oddział, rozpadlibyśmy się, gdybyśmy stanęli przeciwko Związkowi, ponieważ mamy silną i dobrze uzbrojoną mniejszość, która *nie* chce sprzeciwiać się Związkowi. Jednak, prawdę powiedziawszy, jesteśmy upoważnieni. Jesteśmy upoważnieni do ochrony Systemu Wewnętrznego przed zagrożeniami z zewnątrz, a jeżeli moż-

liwa inwazja postludzka wychodząca z tunelu takim nie jest, to nie wiem, co może być.

Suze nadal wyglądała na zmartwioną.

– Co z Nowymi Marsjanami? – spytała. – Nie widzę ich wyrażających na to zgodę.

Roześmiałam się.

– Jeżeli ciągle są ludźmi... są tylko grupą niespołeczników. A my wiemy, jak sobie z *nimi* radzić.

Suze spojrzała się na mnie dziwnie i chciała coś powiedzieć ale cokolwiek miała na myśli, wiedziała lepiej.

– Dobra – powiedziała jasno – dość tego. Chodźmy i złapmy sobie jakiegoś lotnika.

Kolacja była w wielkiej sali, gdzie wcześniej było codzienne spotkanie planujące (gdy czekałyśmy w barze), a potem tańce. Sala, wcześniejsze centrum wystawiennicze, była udekorowana muralami przedstawiającymi epizody z historii Londynu: Zaraza, Ogień, Blitz, Śmierć, bitwy Cable Street, Lewisham, Trafalgar Square, Norlonto. Okropności życia pod Zielonymi (jeden szczególnie działający na wyobraźnię panel pokazywał jakiegoś prześladowanego racjonalistę przywiązanego do drzewa i pozostawionego, by zmarł z głodu i odwodnienia, napawający się tym Zieloni Dzicy tańczący wokół i kobieta lojalnie wyglądającą zza pobliskich krzaków, nagrywającą słowa czarnej ewangelii wychrypianego z jego wysuszonych ust). Radość i zemstę oswobodzenia, wiwatujące tłumy witające żołnierzy sinosowieckich (Szinosowów, jak wszyscy ciągle ich nazywali) i wieszanie kacyków Zielonych i szamanów na ich świętych drzewach. Napięcie głosowania w sprawie rewolucji społecznej. Podnoszące na duchu.

Inne dekoracje sali, te jego mieszkańców, były bardziej atrakcyjne. Kostiumy na Ziemi miały tendencję podążania za lokalnymi

tradycjami i technikami. Tutaj, to był styl rodzimy, podjęty (jak później zauważyłyśmy) od niespółdzielców: bawełna, dużo barw i haftów. Niektóre ubrania noszone po pracy były znacznie piękniejsze niż nasze, ale przynajmniej nasze suknie imprezowe oznaczały nas jako gości. Nie brakowało nam uwagi i wyrwałyśmy, w istocie, lotników.

Wcześnie następnego ranka wróciłyśmy oddzielnie do pokoju, w którym żadna z nas nie spędziła nocy, zebrałyśmy nasz sprzęt i zjadłyśmy śniadanie w głównej sali. W świetle dziennym murale wyglądały ponuro i naiwnie niż bohatersko. Słońce przez panele na dachu było jasne i ciepłe. Suze rozłożyła mapy.

– Cóż – powiedziała – gdzie idziemy dzisiaj?

– Nasz przyjaciel żyje obecnie w Ealing Forest – powiedziałam. – Mam jakby jego adres. Spędza czas w jakiejś technicznej szkole niespołeczników i jest znany z przeszukiwania targów za starymi książkami i sprzętem.

– Proste – powiedziała Suze. – Pojedziemy główną ścieżką do Camden Market, zostawimy samochód w magazynie Związku, potem weźmiemy łódź kanałem do Północnego Kołowego. . . – jej palec wbił się w ścieżkę zaznaczoną na mapie, potem śledził ją do innej cienkiej linii – . . . a potem do Ealing.

– Jesteś pewna, że kanał jest najszybszy?

Suze raźno kiwnęła głową.

– Drogi są utrzymywane przez niespółdzielców, a oni są tacy, jak się spodziewasz. Drogi wodne są nasze. Wszystko od pogłębiania do utrzymania śluz jest wykonywane przez maszyny Związku.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– To najmniej przykry sposób utrzymania obecności. A jeżeli

kiedykolwiek będziemy chcieli ją zwiększyć, kanały mają wielką zaletę krążenia dookoła, szczególnie w poduszkowcach.

– Hmm – powiedziałam. – Zastanawiam się, czy udałoby nam się pożyczyć poduszkowiec.

– Zbyt głośne. Turyści ich nie lubią i tubylcy oczekują kłopotów.

Na parkingu wybrałyśmy krzepki, niskozawieszony łazik[5] z kołami, które, według specyfikacji, mogłyby sobie poradzić z każdą dziurą i korzeniem drzewa w Londynie. Sterowanie było standardowe, ale nie ufałam swoim odruchom w tej grawitacji, zatem Suze usiadła za kierownicą. Pojechałyśmy długą, krętą drogą do południowego wyjścia, przez tłum natrętnych ludzi (dla mnie, nowe i niepokojące doświadczenie, dla Suze: „Tylko żebracy i handlarze, przyzwyczaisz się"), w górę wzgórza i potem w dzikie lasy.

Mały silnik elektryczny pojazdu był cichy. Gdy jechałyśmy wzdłuż błotnistych traktów, w cieniu wysokich dębów i wiązów, z których kapał deszcz z poprzedniego wieczoru, mogłyśmy usłyszeć ciągły śpiew ptaków, sporadyczne wycie wilka czy szczeknięcie lista i daleki, niesamowity krzyczący śmiech gibonów. Pustułki unosiły się wysoko na ścieżkami w lesie. Leśne gołębie łopotały pomiędzy drzewami, a co jakiś czas żywy błysk papugi przelatywał przed naszymi, zaskoczonymi oczami. Co jakiś czas mała sarna wyskoczyłaby na ścieżkę, spojrzała na nas i odbiegła, zaskakująco głośne uderzenia kopyt.

Większość ruin po obu stronach było pokrytych bluszczem, jego zielone liny po cichu i powoli ściągały pokruszone cegły do ziemi. Niektóre ze ścian, jednak, nosiły znaki niedawnych napraw, gliną, plecionką lub cegłami zabranymi z innych ruin naprawiających luki i dachami, zwykle piętro lub dwa niżej niż oryginalnie, na bel-

[5] w oryg. buggy – lekki pojazd terenowy, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Samoch%C3%B3d_terenowy` – przyp.tłum.

kach i ze strzechą. Były polany, gdzie całe wioski zostały zbudowane z odzyskanych materiałów, bez śladu pozostawienia oryginalnych budynków. Zaczęliśmy traktować unoszący się dym przed nami jako sygnał do zwolnienia i uważania na biegające kurczaki, wędrujące świnie, szczekające psy i biegające, krzyczące dzieci. Zainteresowanie dorosłych zmieniało się od ukrytego i ponurego do otwartego i służalczego, ten drugi typ gorączkowo kierował naszą uwagę do rzeczy, które były narysowane lub opisane na krzykliwych szyldach.

Postawiłam Suze pytanie, które nasunęło mi się z porównywania starych map podziału politycznego z obecnymi geograficznymi: że obecne społeczności mogły być pozostałościami starożytnych, kwitnący chrześcijańscy fundamentaliści tutaj, anarchiści dookoła Alexandra Port, lichwiarze ciągle nawiedzający pochylone wieże przy rzece, muzułmanie na wschodzie i Hindusi na zachodzie... ale wyprowadziła mnie z tego fantazyjnego błędu. Wielkie migracje Śmierci i mroczne wieki dosłownie przeszły po wielkich miastach, nie zostawiając śladu po wcześniejszych kłótliwych kulturach.

Ruch ludzi na ścieżce wzrósł, gdy, w ciągu następnej godziny, zbliżyliśmy się do Camden Market. Było kilka mechanicznych pojazdów, a te kierowane przez konie były tylko nieco częstsze. Piesi ogólnie chodzili w grupach: radosne grupy turystów z plecakami i karabinami, którzy machali i witali nas, gdy mijaliśmy, oraz poważne drużyny niespołeczników, człapiących z dużym ładunkiem na plecach, lub na przeciążonych zwierzętach, lub na podobnie przeładowanych wózkach. Niespołecznicy zwykły rzucali nam nie więcej niż oceniające spojrzenie lub sprytny uśmiech.

Camden Lock Market, ogromna, zdeptana polana na przecięciu kilku dróg i głównego kanału miała wygląd miejsca, którego drzewa – i ich czciciele – nigdy nie podbili. Jak Alexandra Port,

ale z powodów ekonomicznych niż strategicznych, pozostało żywe i funkcjonowało przez wszystkie katastrofy, które spadły na miasto. Fizycznie było właściwie większe niż w dwudziestym pierwszym wieku, ponieważ niektóre z tradycyjnych, innych targów Londynu, na wschodzie, były w trakcie odpływu dwa metry pod ujściem Tamizy.

Naszym pierwszym przystankiem był magazyn Związku, opalisadowany teren na brzegu rynku. Wewnątrz zwyczajnie strzeżonej bramy był niski garaż, skład i budynek wypoczynkowy. Suze spojrzała się na ten ostatni dyskredytująco.

– Dla mięczaków – zauważyła. – Jaki jest sens przybywania tutaj, jeżeli nie chcesz się wmieszać?

Gdy odstawiłyśmy pojazd do garażu, podnieśliśmy paczki, schowaliśmy do kabury pistolety i pochodziliśmy dookoła, zaczęłam dostrzegać dokładnie, o co chodziło. Miejsce gwarantowało większości ludzi Związku silny szok kulturowy. Dla mnie wyglądało jak zupełny chaos i brzmiało – by użyć słów, których korzenie leżą w starożytnych doświadczeń podobnych sytuacji – jak barbarzyńskie bablanie.

Targ składał się z: długich, ogrodzonych obszarów wypakowanych bestiami o smutnych oczach, marmurowymi stołami poznaczonymi krwią, wypełnionymi mięsem bestii, rybami pływającymi w szklanych zbiornikach lub trzepoczącymi na płytach, zadaszonych drewnianych stołów wypełnionych ceramiką, bronią, książkami, maszynami, ubraniami, tkaninami, ziołami, lekami, starociami, produktami spożywczymi, stojakami, na których płaszcze się bujały i suknie trzepotały w ciepłej bryzie.

Każdy z kramów i stołów miał kogoś za nim, którego pełnoczasowym zajęciem było uważanie na niego, obserwowanie zza niego, rozmawianie z każdym po drugiej stronie, podawanie wyrobów i od-

bieranie pieniędzy. Sprzedawcy i kupujący wypełniali powietrze dźwiękami ich targów, sprzeczkami, żartami, dokuczaniem, oferowaniem, odmawianiem. Nagrana muzyka, którą każdy użytkownik straganu i większość ich klientów niezgodnie narzucali wszystkim innym, grała na niespołecznym poziomie z przenośnych urządzeń, które były stosownie nazywane głośnikami.

Do tego były zapachy: zwierząt, ich odchodów i rzezi, ludzi, potu, zapachów, które miało zamaskować, dymiących ziół, które, zaczynałam podejrzewać, nie były tutaj rozrywką, a koniecznością.

Zatrzymałam się przed kramem, na którym suszone liście tytoniu i konopi były rozłożone w oznakowanych wiązkach, ładnie posortowane w otwartych pudełkach. Kobieta za stoiskiem była pięknie ubrana w wyszywaną bawełnianą bluzkę i długą spódnicę z drukowanej bawełny, zebranej w talii sznurkiem. Trudno było określić jej wiek, jak wielu dorosłych niespółdzielców, wydawała się łączyć oderwaną uważność wieku z niewinnym egoizmem młodości i na tym wszystkim, jej kosmetyki tworzyły zaskakującą maskę: policzki poczerwienione, reszta twarzy wybielona, oczy przyciemnione, usta zaczerwienione, jak by nie spała całą noc i właśnie była w stanie podniecenia seksualnego. Jednak miała ładny uśmiech.

– Suze – powiedziałam, trącając łokciem – mogłybyśmy. . . ?

Suze uśmiechnęła się i skinęła głową, potem kiedy sięgnęłam do kieszeni mojego plecaka, zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Ja to załatwię – wymamrotała.

Spojrzała na kobietę za stołem i wskazała palcem liście opisane jako „Kent Gandzia".

– Ile za to?

– Najlepszy towar, pani – powiedziała kobieta. – Dwa gramy złota, pięć gramów srebra za trzy deko.

(To właśnie później zrozumiałam z tego, co powiedziała. Wtedy

jej dziwny śpiew usłyszałam jako: „Nojlepszytworpani,dwa gromyzłota, piyńć gramowstrzybra zatrzidek.”).

Suze wzdrygnęła.

– Japierdole! – powiedziała. – To wielawert, co? – (Nadal tego rozumiem, zostawiam, tak jak brzmiało).

– Nie – powiedziała kobieta. – Zza rzyki, tojes. Transport jebany kryminał. Nigdzie nie dostaniesz taniej.

Machnęła dłonią dookoła reszty targu.

– Sprobuj i sama obaczysz. Wrócisz.

– Raczej nie – powiedziała Suze, biorąc mnie za łokieć i stanowczo kierując mnie dalej. Przeszłyśmy tylko kilka kroków, kiedy kobieta zawołała: – Dobra, dam wam specjalnie, tylko do spróbowania. Opuszczę cenę.

Wróciłyśmy i transakcja, po jeszcze kilku słowach, została zakończona. Ku mojemu zdziwieniu oboje, kobieta i Suze uśmiechały się do siebie, obie najwidoczniej zadowolone z wyniku, który, jak każda nalegała, doprowadziłby jedną lub drugą, jeżeli zbyt często by się powtarzał, do kompletnej nędzy.

Usiedliśmy przy stole kilka metrów dalej i zamówiłyśmy kawę i bułki wypełnione smażonym mięsem, które prawie na pewno nie było wyhodowane z niebiesko-zielonych. Nie jestem uczuciowa co do bestii, ale próbowałam nie myśleć o tym za dużo – morskie mięczaki to jedna sprawa, kręgowce to zupełnie inna. Kiedy skończyłyśmy jeść, Suze skręciła małego skręta z tytoniu i konopi, zapaliła i podała mi, po kilku doceniających zaciągnięciach.

– Dobry towar – powiedziała.

Sprawdziłam i potwierdziłam.

– Tak – powiedziałam. – Tak jak powiedziała kobieta. Ale czy ona. . . nie znienawidzi cię za sposób, w jaki spowodowałaś, że zaakceptowała taką małą ilość srebra?

Suze zaśmiała się głośno.

– Dostała bardzo dobrą cenę, akceptowalną ilość srebra, za to. Jest zadowolona ze srebra, a my jesteśmy zadowolone z konopi. Och, dzięki.

Spojrzałam na nią, gdy znowu się zaciągała.

– Zatem oboje kłamaliście?

– Nie, oczywiście, że nie. – Suze zachichotała. – To konwencja. Jak blefowanie w grach strategicznych.

– Ale dlaczego zawracałaś sobie tym głowę? Dlaczego po prostu nie dałaś jej tego, co poprosiła pierwszym razem? – Mam na myśli... – Wzruszyłam ramionami, mając na tyle rozumu, żeby rozumieć, że mówienie ile mamy naprawdę metalu przy sobie, mogło nie być dobrym pomysłem.

– Ach – powiedziała Suze. – To interesujące pytanie. W teorii, ok, wszyscy turyści Związku mogliby przynieść tyle, hm, zbywalnych, ile zechcą, i kupić wszystko, co chcą. To spowodowałoby, że ilość, którą tubylcy oczekując za swoje dobra, poszłaby w górę, i wszyscy byliby w gorszej sytuacji. To jedna z rzeczy, które są wyjaśniane nowicjuszom. Kiedy były państwa, było to nazywane inflacją. – Zmarszczyła brwi. – Pewnego rodzaju, prócz tego, że używali pozornych pieniędzy...

Wcięłam się prędko, nie chcąc zajmować głowy kolejną komplikacją (*pozorne* pieniądze? Że *co*?).

– Ok, ale jeżeli kobieta by została przy pierwszej ofercie, co ...och! Rozumiem. Poszłabyś do kolejnego straganu.

Suze uśmiechnęła się, podając skręta.

– Jeszcze z Ciebie zrobimy ekonomistkę.

– Ha! Trudno uwierzyć, teraz, że cały świat kiedyś tak był kierowany. – Suze trzeźwo skinęła głową. – To i różne kombinacje tego i pomiatanie ludźmi. Dziwne.

Wstałyśmy, żeby wyjść i zostałyśmy wywołane przez zgorszony krzyk od użytkownika kramu z jedzeniem.

– Przepraszam! – powiedziała Suze do niego, rumieniąc się, gdy podawała srebrną monetę. – Reszty nie trzeba.

To zabrało jej jeszcze więcej tłumaczenia: zwyczaj ceny, która nie była ceną, ponad tę cenę, kwota, o którą nikt nie prosił, ale której pominięcie wzbudzało urazę. Wędrowałyśmy ku kramom z książkami i maszynami. Dym, kawa i jedzenie skierowały chemię mojego mózgu, w kierunku, na jaki miałam nadzieję. Pomagały mi się dostosować do tego, co działo się dookoła mnie, ale ciągle pozwalałam Suze zajmować się rozmowami.

Przeglądała stragany z książkami, warsztaty i zbiorniki nanotech, dokonując okazjonalnych drobnych zakupów i najwidoczniej delikatnie pytając o Malleya. Czasem używała pełnego nazwiska, czasem tylko zastanawiała się na głos, czy ktoś słyszał o „Naukowcy” lub „starym doktorze”. Większość sprzedających wydawała się znać ją z widzenia i mniej się targowała niż wobec innych turystów Związku. Przy ostatnim kramie, podniosła i przekartkowała przestarzały podręcznik fizyki, który wykopała z jednego z plastikowych pudeł na podłodze stoiska.

– Gdybym tylko znała kogoś, kto mógłby mi to wyjaśnić – powiedziała, mimochodem podając książkę sprzedającemu. Był pulchny, nawet jak na niespołecznika, różowa skóra i dziwny wielokolorowy płaszcz, który sprawiał, że wyglądał jak jakiś baryłkowaty czarodziej. Spojrzał na książkę, zmrużył oczy i jego chwyt nagle się napiął. Zabrał książkę.

– Przepraszam, proszę panny – powiedział. – Nie na sprzedaż.

Suze spojrzała się na niego najlepszym, niewinnym wzrokiem turystki.

– Och? Taka szkoda. Dlaczego nie?

– Zostałem poproszony o zachowanie tego przez tego faceta Wheelera dla Profesora.

– Pewnie – powiedziała Suze. – Profesora Malleya, prawda? – Wydawała się zapomnieć o sprawie, pochylając się do przodu i wyciągając kopię rzadkich *Domowy Nanowarsztat*, Loompanics, 2052.

– Hej, spójrz na to! – Podała mi i spojrzała znowu na użytkownika kramu, brwi uniesione.

– Tak, Malley – powiedział. – Co jakiś czas przychodzi. Nie widziałem go jednak przez kilka tygodni.

– Ciągle prowadzi szkołę przy Ealing, co?

– Dokładnie – powiedział użytkownik. Jego akcent mieszał się z lokalną wymową, ale jego dykcja była czystsza, przynajmniej dla mnie. Suze spojrzała na cenę napisaną na okładce książki i podała mężczyźnie złotą monetę bez jej zwyczajowego targowania. Wydawał się traktować opłatę za nieco więcej niż książkę (zaczynałam powoli łapać, jak umysły tych ludzi działają, pomyślałam zadowolona) i kontynuował:

– Ciekawe, że pytasz się o niego. – Podrapał brodę na górnym podbródku. – Kilku waszych. . . – kaszlnął – . . . hm, członków Związku było tutaj ostatnio, szukając go.

Poczuła zaskoczenie.

– Tak, on jest naprawdę całkiem sławny – odpowiedziała Suze lekko. – Jestem pewna, że wielu ludzi chce z nim porozmawiać. Zastanawiam się, czy oni byli kimś, kogo znam?

Wzruszył ramionami.

– Ciężko powiedzieć, wy ludzie wszyscy. . . mam na myśli, to było dwóch facetów, racja, w Twoim wieku, prawdziwym wieku, i jej wzrostu. – Wskazał na mnie. – Wysocy, ciemni, ale nie. . . hm, bardziej hinduscy, porównując z wami moje panie, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

– Czy zauważyłeś – spytałam ostrożnie – cokolwiek niezwykłego w sposobie poruszania?

Jego twarz się rozjaśniła.

– Tak! To jest to! Coś o nich mnie męczyło. Nie mogłem tego wskazać. Ale jeden z nich miał śmieszny sposób wiszenia na krawędzi stołu, jak to, co Ty właśnie robisz. . . – Puściłam się i wyprostowałam, świadomie – . . . i obaj w ten sam sposób upuszczali rzeczy. Książki, które wzięli do ręki. – Wyjął ołówek zza ucha i pokazał, naśladując kogoś w roztargnieniu kładącego ołówek jakieś pół metra nad stołem, potem odwracający się i patrzący na miejsce, gdzie tego już nie było. Wszyscy się roześmialiśmy.

– Myślę, że wiem, kim są. – Uśmiechnęłam się. – Kiedy dokładnie mówisz, że tutaj byli?

– To musiała być niedziela – powiedział mężczyzna. – Weekendowy targ. Dzisiaj jest środek tygodnia.

Dzisiaj była, musiałam pomyśleć przez chwilę, środa. Skinęłam głową i uśmiechnęłam się.

– Dziękuję serdecznie.

– Do zobaczenia – powiedział użytkownik kramu.

– Zdrowia, Tommy – powiedziała Suze i poszłyśmy, Suze pochłonięta starym książkami, które kupiła, pokazując mi zatrważająco dokładne instrukcje budowy replikatorów nano, używając tylko prostego komputera, skaningowego mikroskopu tunelowego[6] zrobionego z części telewizora i kilku chemikaliów możliwych do znalezienia pod zlewem kuchennym, w którym wyniki mogły być „bezpiecznie izolowane” według demonicznie nieodpowiedzialnego au-

---

[6] rodzaj mikroskopu elektronowego z sondą skanującą, który umożliwia uzyskanie obrazu powierzchni dzięki wykorzystaniu zjawiska tunelowego, od którego przyrząd ten wziął swoją nazwę, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Skaningowy_mikroskop_tunelowy` – przyp.tłum.

tora książki dra Franka N. Steina (prawdopodobnie pseudonim, uroczyście powiedziała mi Suze).

– „Sprzedaż tylko w celach informacyjnych” – powiedziała, z niedowierzaniem cytując zastrzeżenia wydawcy. – Wiesz, rzeczy w tej książce są *ciągle* niebezpieczne! Można by zacząć tym własne ognisko zakaźne!

– Bardzo dobrze, że wyjęłaś to z gorących rączek niespołeczników – powiedziałam.

Spojrzała się na mnie.

– Hmm – powiedziała. – O to chodzi. Nigdy o tym nie pomyślałem.

Dotarłyśmy do końca jednej z alejek kramów. Szłam dalej, póki nie dotarłyśmy do końca polany. Suze podążała za mną w cień jednego w wysokich drzew. Usiadłyśmy na maszcie ze sprężystego buku i spojrzałyśmy się na jeszcze bardziej zatłoczony targ.

– Cóż – powiedziałam, głośno wzdychając – nie wiedziałam, że ciągle robią takie jak Ty, Suze. To było genialne. Mogłabyś być kimś takim jak ludzie ze starych czasów, szpieg lub detektyw, lub coś takiego.

– Ach, dzięki. – Suze podniosła suche nasiono i zaczęła je dzielić swoimi paznokciami. – Mniemam, że jestem w pewien sposób. Badaczem. – Spojrzała się na mnie dziwnie, prawie zażenowana i zastanawiałam się, nie po raz pierwszy, jakie społeczne naciski – tak niewykrywalne dla niej, może, jak ciśnienie powietrza, którym oddycha – spadły na nią ze strony społeczeństwa, którego nie badała: jej własnego. – Zatem są ludzie, którzy szukają Malleya.

– Tak – powiedziałam. – I żaden mi znany, to mogę ci powiedzieć.

– Może naprawdę są tylko studentami, chętnymi porozmawiać

z wielkim fizykiem – powiedziała Suze bezbarwnie. – O co chodziło z tym, jak się ruszali?

– Przestrzeniowcy – powiedziałam. – Klasyczne odruchy zero g. Lagrange lub Księżyc, jeżeli chcesz wiedzieć. Nie z Oddziału, o ile wiem.

– Ale czy wiedziałabyś?

– Tak sądzę.

Suze spojrzała spode łba na mnie.

– Wiem o „minimum wiedzy” – powiedziała. Spojrzała w dół, potem w górę. – Z książek.

Przyjęłam to jako naganę i przez chwilę chciałam jej powiedzieć wszystko. Jednak się powstrzymałam.

– Ten księgarz – powiedziałam. – Nazwałaś go Tommy. Znasz go?

– Rozmawiałam z nim parę razy – powiedziała. – On jest... on był w Związku.

– Naprawdę? Cóż, to wyjaśnia sposób jak gada.

Suze się roześmiała.

– Wszyscy jesteśmy tak świadomi swojej wyższości, co?

– Mniemam, że tak. – Dobra, jesteśmy lepsi. Nigdy nie rozważałam tej kwestii. – Dlaczego ktokolwiek chciałby opuścić Związek?

– Spytałam go o to – powiedziała Suze. – Nie mogłam wyciągnąć z niego nic, co miałoby sens. – Brzmiało to jak przyznanie się do osobistej porażki. – Nie dogadywał się z sąsiadami, tak właśnie to ujął.

– Z trzydziestoma miliardami do wyboru? Jestem zdziwiona, że dogaduje się z kimkolwiek.

– Nie sądzę, że miał na myśli szczególnych sąsiadów.

Skrzywiłam się.

– Dziwne. Tak czy inaczej, to jego sprawa.

– Tak *właśnie* to powiedział!

Wpatrzyłam się w nakrapiane słońcem liście. Wiewiórka przebiegła po niskiej gałęzi, spojrzała na mnie i zaczęła fukać tak jak moje opory.

– Już prawie południe – powiedziałam. – Myślę, że lepiej już pójdę.

Suze zachmurzyła się.

– Nie chcesz mojego towarzystwa?

Pochyliłam się i ścisnęłam jej dłoń.

– Bardzo dużo mi pomogłaś, Suze. Ale... myślę, że nie byłoby sprawiedliwe wciągać cię w to dalej. To mogłoby być bardziej niebezpieczne, niż sądzisz.

Spierała się dalej, bezskutecznie. Jednak z widzialną wesołością zaprowadziła mnie do doku łodzi i pożegnała się niespodziewanym i bardziej niż sąsiedzkim uściskiem.

Pożyczyłam mały ponton z zewnętrznym elektrycznym silnikiem. Mógł iść pięć kilometrów na godzinę i nawet z nieuniknionymi opóźnieniami w śluzach, zabrałoby mi tylko kilka godzin dotarcie do stacji Związku na skrzyżowaniu Grand Union Canal i ścieżki znanej jako Północna Kołowa.

Kanał, pod dębami, bukami oraz zwisającymi wierzbami, które tłoczyły się na brzegu, często był zacieniony. Ścieżka holownicza nie była utrzymywana, zatem jedyny ruch wymagał własnego napędu: wolno sapiące barki kupców i podróżników niespółdzielczych, cicho ślizgające się motorówki, łodzie i kajaki podróżników Związku. Pogłębiarki i inne roboty konserwacyjny pracowały, błyszczący metalowe kraby błyskały, pełznąc po dnie lub wspinając się na nabrzeża. Ławice piskorzy i cierników unosiły pyszczki ku powierzchni, dotykając wody jak krótkie, lokalne podmuchy deszczu. Czaple i zimorodki w odpowiedzi próbowały cela. Gdzie kamienny lub ce-

glany brzeg był skruszony do poziomu wody, sarny i kangury patrzyły, gdy mijałam. Mosty były zwykle nowe, drewniane. Większość starych, kamiennych mostów dawno temu się zapadła, a ich resztki zostały wyciągnięte z wody i rzucone bez ceregieli na stosy po obu stronach.

Rozsiadłam się na poduszce powietrznej pontonu, rumpel pod jednym łokciem, i rozluźniłam mięśnie, jednocześnie pozwalając umysłowi toczyć się swobodnie, stopniowo przezwyciężając przewlekły wpływ skręta. Z kołnierza mojej koszuli pozwoliłam wici skafandra wspiąć się po karku, koło szczęki i policzka i dookoła gałki ocznej, gdzie podłączył się do mojego nerwu optycznego. Nie było to do zauważenia z mniejszej odległości niż kilkadziesiąt centymetrów i prawdopodobnie rozpoznane, ale dla kogokolwiek dalej wyglądało to jak dziwna, cienka blizna. Przez chwilę czekałam na to, żeby pokazało moją pozycję jako przedstawienie mapy, którą z rozmyślnym mrugnięciem mogłabym zobaczyć przed oczami jak powidok. Minuta po minucie mała kropla mojej pozycji w czasie rzeczywistym poruszała się po zagiętym i wygiętym przewodzie kanału w perspektywie.

Przyglądałam się temu i się martwiłam. Dwóch ludzi z kosmosu szukało Malleya i mieli trzy dni przewagi nade mną. Jedna z drobniejszych rzeczy, których nie powiedziałam Suze, była taka, że istniała fakcja – nie, to zbyt mocne określenie – szkoła myślenia w Oddziale (i, szerzej, pośród kolonistów kosmicznych poza nim, a nawet na Ziemi), która chciała negocjować z Zewnętrznymi, o ile byłoby to możliwe. Jak gdyby! Sama myśl próby negocjowania z bytami, które mogły wykorzystać dowolną łączność do zepsucia Twojego mózgu tak łatwo jak zhakowanie komputera sprawiała, że czułam się chora. Jeżeli ci mężczyźni szukający Malleya byli częścią tej

grupy, Mediatorów, jak ich nazywaliśmy, to mogliśmy być w najgorszym rodzaju kłopotów.

I nie było sposobu wezwania pomocy, bez jednocześnie zwiększania niebezpieczeństwa, w jakim byłam.

Silnik łodzi miał zapas prędkości, na sytuacje awaryjne. Pochyliłam się do przodu i nacisnęłam mocno na drążek. Dotarłam do stacji Związku kwadrans wcześniej, niż obliczałam. Spuściłam powietrze z łodzi, zabrałam kolejny cylinder z gazem i zapakowałam je do kolejnego pożyczonego łazika. Potem była kwestia kierowania na południe, wybierania ostrożnie mojej drogi pomiędzy wypiętrzonymi kawałami betonu i powalonymi drzewami.

Ruch był wolny na Północnym Kołowym.

Rozdział 3

Wiadomości Znikąd

Artyleria oszalała. Alarmy bębnią grodziami, wiązadła przyzębia rezonują, moja szczęka boli, gdy wbijam się w siedzenie. Odbijam się, wtedy siedzenie łapie mnie i przytula. Skafander staje się twardy w sekundę (*Nie mogę się ruszać!*), wszystko staje się czarne na sekundę (*usuniemy tego buga z następnym wydaniu lub ktoś UMRZE!*), potem światłowody się włączają, stawy reagują, a moje palce tańczą na oparciach i dowodzę.

– Wyłączcie ten hałas!

Moje zęby i uszy śpiewają z ulgi. Patrzę prosto przed siebie. Brama jest jakieś sto kilometrów dalej, dokładnie na celowniku, jak zawsze, a liczba statków inwazji, komet-pocisków lub niewymownych Lovecrafta kierujących się wprost na nas, policzmy, *zero*.

– Jeśli to kolejne partackie ćwiczenie, to...

– TO NIE SĄ ĆWICZENIA – mówi Statek. Jego głos cichnie, gdy wzrasta powiększenie, zbliżenie soczewek, klikanie aparatów. – Spójrz.

Jest maleńki. Siatka odczytu pokazuje, co? Sześćdziesiąt *centymetrów* średnicy. W Sterowaniu Ogniem na sterburcie, ktoś się śmieje. Moja pierwsza myśl to *witamy w domu, Pioneer 10!*[1]. To jest, w istocie, jak jakaś wczesna sonda: korpus jak pająk, mózg jak

[1] bezzałogowa sonda kosmiczna NASA, Pioneer 10 stał się też pierwszą

komar. Ale (po namyśle) *to nie jest jedna z naszych*. Nie pasuje do żadnego projektu pojazdu kosmicznego, jaki ludzie kiedykolwiek zbudowali (znam je wszystkie, jak twarze starych przyjaciół) i najwidoczniej solidne oprzyrządowanie tej rzeczy jest (*klik,klik*) nagle, rażąco, sprzętem nano. Głębie fraktalne inteligentnej materii stają ostre, gdy powiększenie się zwiększa i sonda nadal dryfuje w naszym kierunku: powierzchnia płynna, czołgająca…

Uderzam odcięcie i widok zmniejsza się do kropki. Nie było dostatecznej ostrości, żeby zadziałał wzrokowy atak Langforda (*ale pomyślałaś o tym, co?*) i ustawiam mikro-babbage[2] pędzące po wydruku i zgłaszając po sekundach, że jest ok. Żadne brzydkie wirusy nie wpłynęły w naszą siatkówkę, nie popędziły nerwami wzrokowymi i nie przejęły naszych mózgów (*ale tak właśnie by powiedzieli, prawda?*) i paranoja wzywa…

Wystarczy. Ignoruj uczucia. Zaufaj komputerom.

(I tak, *wiem*, że atak Langforda jest tylko memem na własnych prawach[3], replikującym się przez wieki, jak stary żart, marnującym zasoby za każdym razem, kiedy działamy na nieznaczącej znikomej szansie, że skoro ktoś mógł to wymyślić, jakoś mogłoby to być zrobione. Jakie pokręcone umysły *zaczynają* takie rzeczy?).

W skrzydle są dwadzieścia cztery statki i tuż przed alarmem (całe dziewięćdziesiąt sekund temu) cała komunikacja statek-statek

---

sondą, która osiągnęła prędkość ucieczki z Układu Słonecznego, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Pioneer_10` – przyp.tłum.

[2] zapewne mowa o rodzaju maszyn analitycznych, wzorowanych na wymyślonych i zaprojektowanych przez Charlesa Babbage'a, które można uznać za pierwsze programowalne komputery ogólnego zastosowania o konstrukcji mechanicznej, napędzanych silnikiem parowym, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Maszyna_analityczna` – przyp.tłum.

[3] zapewne mowa o opowiadaniu D.Langforda z 1988, opisującego odkrycie obrazów, które mogą doprowadzić obserwatora do śmierci, por. `https://en.wikipedia.org/wiki/BLIT_(short_story)` – przyp.tłum.

została zamknięta i fizycznie wyłączona: całkowita cisza radiowa jest pierwszym odruchem statków, zanim nawet ostrzegą załogantów. Dekady niczego przechodzącego, prócz dziwnych skał, dekady ćwiczeń dla każdego wyobrażalnego (i jeszcze trochę) wypadku. Każdy w Oddziale musiał to robić, kadencje są na okrągło regularnie, jak orbity, a za każdym razem jest nam wbijane, że jeżeli coś się zdarzy, działamy na własną rękę.

Jesteśmy tuż za Tobą. Ale kiedy stajesz naprzeciw superludzi, rozkazy są na odwrót: pierwszy jest *sauve qui peut*[4], drugi to „zniszczenie”, trzeci to „nie ma litości”. . . kapujecie. Nasze miecze ciągle są karbowane.

Myślenie za siebie jest tym, po co tutaj jestem. W tym momencie chwalebna możliwość Pierwszego Kontaktu kłóci się z niepokojącą myślą, że ta rzecz pochodzi od naszych dawno odeszłych – lub zawsze obecnych – wrogów. Mała sonda zmniejszyła dystans do dwudziestu kilometrów i wydaje się zwalniać: pchnięcia lotnej masy reakcyjnej są kolejnym dowodem, że to nie jest jakiś dawno zagubiony podróżnik.

– Wywołuję to – mówię i wprowadzam standardowe zapytanie na wszystkich kanałach i pojedyncze oświetlenie radarem. Ku mojemu zaskoczeniu, odpowiedź jest natychmiastowa. Babbage mruczą przez sekundę i wtedy tłumacz mojego skafandra wypowiada wiadomość:

– Jednostka górnictwa kometarnego NK łamane osiem siedem jeden z Miasta Statku do niezidentyfikowanej, proszę o odpowiedź, over.

Nie przyjmuję tego. Mój umysł jest ciągle pełen hałasu o tym, że ten pojazd (skoro jest oczywiste, że nie to powracający wróg, który mówi nam, że opór jest bezcelowy, itd.) jest prawdziwą, obcą

[4] fr. ratuj się kto może – przyp.tłum.

kosmiczną sondą. Ku mojemu stałemu zażenowaniu, jedyną rzeczą, o jakiej pomyślałam (ale czy pomyślałam?) jest włączenie transmisji video i powiedzenie, mój głos piszcząc z zaskoczenia:

– Mówisz *anglosłowiańskim*, robocie?

Więcej komputerowej dyskusji, potem ludzki głos:

– Angielski?

– Tak, angielski – paplam radośnie, ciągle mówiąc falsetem, ciągle słysząc space operę – podłapałeś ze starych transmisji, tak? Język się zmienił. . .

W tym momencie wejście video się włącza, obraz ziarnisty przez szumy antywirusa. To twarz starego, starego człowieka. Miał terapię telomerową i jakieś dość prymitywne odmładzanie, ale to wszystko. Znaczenie wszystkiego, co maszyna powiedziała, świta mi. To nie obcy posłaniec, ale coś prawie tak dziwnego: cyfrowy duch uciekiniera z więzienia, jednego z niewolników Zewnętrznych, który, dwa wieki temu, uciekł z orbitalnego obozu pracy do czegokolwiek, co leży za Bramą.

– Dużo się zmieniło – mówię temu.

Pamiętając moje pierwsze spotkanie z tym, co okazało się być zreplikowanymi umysłami Wilde'a i Meg ciągle mnie zawstydza, co pojawiło się, gdy wspomnienie wróciło do mnie, gdy prowadziłam dość pustym odcinkiem ścieżki, na północ od Ealing Forest.

Wiedziałam ogólnie kim lub czym był od razu. Nie miał pojęcia, kim byliśmy i był zaskoczony, kiedy mu powiedzieliśmy. Nie sądzę, że nam uwierzył. Częściowe przezwyciężenie naszych wzajemnych podejrzeń zabrało godziny rozmawiania, po którym nastąpił prawie bezpośredni fizyczny kontakt, zanim Wilde i Meg zaakceptowali, że byliśmy ludźmi. Nawet po tym, gdy zabraliśmy przechowywane komórki, które przywieźli ze sobą (zachowane jak talizman przez wszystkie ich przygody jako roboty), wyhodowaliśmy

ciała dla nich, przetransferowaliśmy umysły do nowych mózgów, nigdy nie potrafiłam się zmusić do myślenia o nich jako ludziach. Ich opowieść, co się im przytrafiło, nie zmniejszyła mojego niepokoju.

Wilde powiedział nam, że robotnicy ludzcy i eks-ludzcy zhakowali ścieżkę przez wirującą „wormhole-córkę[5]" do „prawie już nadającego się do zamieszkania" świata, który nazwali Nowym Marsem. Przetransferowani zamienili się z powrotem w ludzi i „teraz" (tysiące lat świetlnych stąd i tysiące lat w przyszłość) zamieniali Nowy Mars w Nową Ziemię w raczej rycerski proces terraformowania, który wykorzystywał wielki zapas komet w lokalnym systemie.

Społeczeństwo na Nowym Marsie było czymś, co Wilde nazywał, wolnorynkową anarchią. Dla nas brzmiało to bliżej wielorakie wzajemnej tyranii. Najpotężniejsza osoba w tym była naszym najstarszym żyjącym wrogiem, człowiekiem nazwiskiem David Reid, pierwszy właściciel kompanii przymusowej pracy. Miał we władaniu kopie zmagazynowanych zachowanych umysłów Zewnętrznych i był podatny na argument, że byłoby bezpieczne odtworzyć je „już wkrótce".

Wyobraź sobie naszą radość.

Zatrzymałam łazika przy dwumetrowym głogowym żywopłocie, rodzaj splątania naturalnego drutu kolczastego, tylko kilka kroków przed przerwą, w której była brama do Szkoły Technicznej w Ealing. Wyłączyłam silnik i rozsiadłam się na chwilę, naciągając i rozluźniając mięśnie, które napięły się od długiej i czujnej

---

[5] wormhole, tunel czasoprzestrzenny – hipotetyczna właściwość topologiczna czasoprzestrzeni będąca rodzajem „skrótu" pomiędzy co najmniej dwoma obszarami Wszechświata lub rodzajem mostu łączącego wszechświaty, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Tunel_czasoprzestrzenny` – przyp.tłum.

jazdy i się rozejrzałam. Szkoła była budynkiem z połowy dwudziestego pierwszego wieku, którego stal, beton i szkło miały wytrzymać wybuch. Jego krępa, trzypiętrowa masa przetrwała maszynerię bardziej podstępnego zniszczenia znacznie lepiej niż starsze budynki na otaczającej polanie. Te dawno temu zostały przekształcone w niskie mieszkania z wszystkimi zwykłymi akcesoriami życia post-miejskiego niespołeczników, dziećmi, psami, świniami i gównem.

Była godzina szesnasta. Cienie trzydziestometrowych dębów i wiązów w lesie pokrywały dobrą ćwiartkę polany. Sto metrów dalej, na brzegu lasu, dym wznosił się zza małej szopy, z której można było usłyszeć brzęk ciągle uderzanego metalu. Niskotechniczna wersja kuźni, domyślałam się, zastanawiając się, jak była nazywana. Kilku dorosłych traktowało mnie z bardziej niż zwykłą nie-spółdzielczością, dosadnie ignorując moją obecność lub ostro odciągając dzieci, które tak nie robiły. Zostawiłam plecak z tyłu – jak dziki pies, potrafił się przypilnować – ale upewniłam się, że mój pistolet w kaburze był widoczny, gdy szłam do bramy.

Brama, grube, kreozotowe drewno, była na zasuwę, najwidoczniej zaplanowaną, by trzymać z dala zwierzęta mniej inteligentne niż pies. Zamknęłam ją za sobą i przeszłam dziesięć metrów wybrukowanej ścieżki do głównego wejścia. Na lewo i prawo ścieżki były ogrody warzywne, z działkami oznaczonymi naprężonymi sznurkami i opisanymi etykietami. Młody człowiek, klęcząc na starym worku i grzebiąc w glebie, spojrzał na mnie obojętnie.

Na betonowej płycie nad podwójnymi drzwiami jakieś oryginalne nazwisko zostały zatarte i nowe zostało wyrzeźbione wraz z ozdobieniami liści, młotów, sierpów, wyrobów szklanych, żeby ukryć konieczny wandalizm. Okna na poziomie parteru były nieco większe niż szczeliny. Na innych piętrach były bliższe normalnej

wielkości. Spoglądając w górę, widziałam, że niektóre z nich były pęknięte, na tyle dawno temu, że jakieś zielone algi lub mech tam się umościł i rozprzestrzenił się w pęknięciach. Twarde szkło. Same ściany, oczywiście, były pokryte bluszczem.

Pchnęłam drzwi, które otworzyły się, by wpuścić mnie do szerokiej sali z kamiennymi schodami wznoszącymi się z lewej i prawej oraz szeroką, drewnianą barierą w kształcie litery U na środku, za którą siedział młody mężczyzna, paląc fajkę i czytając książkę. Nie było nikogo więcej, choć szmer głosów i dźwięk maszyn niósł się z innych części budynku. Pachniało mocno niemineralnym olejem, prawdopodobnie używanym do smarowania zamiast gotowania. Światło było zapewniane przez drzwi, klatki schodowe i bardzo jasną rurę nad miejscem, gdzie siedział mężczyzna. (– Jeszcze nigdy nie spotkałam niespołecznika – powiedziała mi Suze – który byłby zbyt dumny, by produkować elektryczność, lub zbyt biedny, żeby ją kraść.)

Gdy drzwi zamknęły się za mną, mężczyzna podniósł wzrok, odłożył od niechcenia fajkę i trzymał dłoń poniżej, pod progiem biurka. Obserwował mnie ostrożnie, gdy szłam. Miał chudą twarz i wąską brodę, nosił koszulę z domowej bawełny.

– Dzień dobry, pani – powiedział.

– Dzień dobry, człowieku – odpowiedziałam z podobną formalnością. – Zastanawiam się, czy mogłabym porozmawiać z doktorem Malleyem?

Zjeżył się.

– Obawiam się, że nie – powiedział. Mięśnie na jego prawym ramieniu napięły się.

– Jeżeli jest zajęty, to zaczekam – powiedziałam, patrząc dookoła, jakby szukając krzesła.

– To nie to – powiedział. – Czekanie nic nie da. Doktor Malley powiedział, że nie chcę was więcej widzieć.

– Więcej kogo?

Spojrzał w bok, podniósł wzrok wyzywająco.

– Ludzi z kosmosu.

Aha.

– Posłuchaj, młody człowieku – powiedziałam. – Przyjechałam z daleka, żeby porozmawiać z doktorem Malleyem. Nawet dalej niż myślisz. I nie zamierzam zostać zatrzymana przez ciebie lub nawet przez dowolną, śmieszną broń, którą trzymasz w dłoni. Użycie tych rzeczy szybko wymaga praktyki, a ja mam kilkaset lat forów.

Nieśmiało wycofał dłoń.

– A teraz – powiedziałam uprzejmie – z góry dziękuję za zaprowadzenie mnie na spotkanie.

Szłam za jego ponurym krokiem, w górę po schodach i wzdłuż słabo oświetlonego korytarza do pokoju, którego mosiężna tabliczka pokazywała (pośród bardziej zakręconych liści, spomiędzy których wielkie litery wyłaniały się jak ruiny) nazwisko „Dr I.K. Malley".

– Zapukaj i wejdź – powiedziałam cicho i tak zrobił. Weszłam za nim do małego biura z wielkim oknem, którego najwidoczniej grube i stare płyty szkła zniekształcały zewnętrzny widok. Drewniane regały na ścianach wyginały się pod ciężarem książek i papierów, które częściowo pokrywały podłogę. Pokój pachniał starym papierem, zniszczonym dywanem, dymem fajczanym, whisky i potem. Miał dwa krzesła, jedno z nich za biurkiem, które stało brzegiem do okna. Zgarbiony za nim, patrząc na nas, był mężczyzna, które oczywisty wiek musiał być ustabilizowany około trzydziestki, ale który nie dotknął antygeriatryków przez przynajmniej sto lat. Jego włosy i drobna broda były białe, skóra ciemna i poryta, oczy szare, zimne jak marsjańska zima.

– Myślałem, że *powiedziałem* ...– zaczął. Potem spojrzał na mnie i machnął ręką ze znużoną rezygnacją.

– W porządku – powiedział matowym głosem. – Tak czy inaczej nic by to nie dało. Będą ciągle przychodzić. – Na biurku stała w połowie pusta butelka whisky i pełna szklanka.

Młody człowiek niechętnie wyszedł, patrząc spode łba w odpowiedzi na mój pożegnalny uśmiech. Malley odwrócił się do mnie i wskazał mi drugie siedzenie w pokoju, zniszczony skórzany fotel przy oknie. Przedstawiłam się i wyciągnęłam dłoń. Wyglądał na nieco zaskoczonego, wstał i ją potrząsnął. Jego chwyt był jak stara skórzana rękawiczka dopasowana dobrze do metalowej dłoni. Był wysoki, ale przygarbiony, miał na sobie kraciastą bawełnianą koszulę i wełniane spodnie. Ubrania wydawały się zbyt szerokie w pasie i zbyt krótkie na kończynach. Złożył się na fotel i oparł łokciami na biurku.

– Zatem co wy bękarty teraz chcecie? – powiedział bez wstępu lub przeprosin. Łyknął drinka i zamknął oczy.

Wzruszyłam ramionami i rozłożyłam ręce.

– Doktorze Malley – powiedziałam – muszę powiedzieć, że kompletnie nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jestem tutaj w imieniu Oddziału Cassini Grupy Obrony Słonecznej i zapewniam cię, że nikt inny nie został wysłany do ciebie.

Malley bawił się cybuchem fajki. Jego palce były grube, końcówki pobrudzone szarym popiołem i żółtą smołą.

– Dzień przed wczorajszym – powiedział – kilku chłopaków pojawiło się znikąd i powiedziało mi, że są z obrony kosmicznej. Powiedzieli, że sprawdzają plotki, że param się AI. Oczywiście, kompletne brednie. Uczę lokalnych chłopaków podstaw elektroniki. Pojawia się jakiś bystry, rzucam w niego odrobiną Feynmana i Hawkinga. – Jego oczy konspiracyjnie błysnęły. – I odrobiną Malleya.

Kilku, którzy cokolwiek rozumieją, niezmiennie spierdalają i dołączają do Związku, nieważne, co mówię. – Otworzył skórzaną sakiewkę i zaczął napełniać główkę, ręce działające automatycznie, gdy patrzył smutno za okno. – Można powiedzieć, że obniżam średni współczynnik inteligencji w tych częściach, zbrodnia dla mnie, ale nie, zdaje się, dla was.

Parsknął śmiechem. Uśmiechnęłam się zachęcająco. Nie tak, że rozumiałam wszystko, co mówił, słowo w słowo, ale łapałam jego dryf.

– Zatem – kontynuował, zapalając miksturę antyczną Zippo – to była niespodzianka, tych dwóch goryli naciskających, zostawiających mnie z subtelnymi ostrzeżeniami o strasznych konsekwencjach. Słowa „epidemia" i, chyba, „czerwony, płonący krater" zdarzyły się w tej rozmowie. Tak jak w starych dobrych czasach pod Jankesami. Żadnych czarnych garniturów z wybrzuszeniami pod pachami, ale poza tym *plus ça change*[6].

To, muszę powiedzieć, mnie zatrzymało. Nie było *prawa* przeciwko paraniu się sztuczną inteligencją (lub żadnych przeciwko niczemu innego, jeżeli o to chodzi). Nie istniała nawet reguła Związku przeciwko temu. Dla innych spraw nieobjętych regułami Związku (prawie wszystkich), ustanowiliśmy żelazną zasadę: „Rób to, co ujdzie ci na sucho". Jednak wywołanie epidemii – sztucznej inteligencji, choroby, nanorobotów lub innego rodzaju aplikatorów – było czymś, co nie uszłoby ci na sucho. Twoi sąsiedzi wykluczyliby cię z towarzystwa, lub zbojkotowali, a jeżeli jednym z istotnych udogodnień, które wybrali, by zaprzestać ci dostarczać, byłby, przykładowo, Twój następny oddech, to stałoby się czymś – kiedy sprawa dotarłaby do rad sąsiedzkich – co *im* uszłoby na sucho.

A w najgorszym przypadku, gdyby epidemia zaczęłaby się fak-

[6] fr. tym bardziej zmienia – przyp.tłum.

tycznie rozprzestrzeniać, siły obrony kosmicznej Systemu Wewnętrznego przeprowadziłyby orbitalną rozwałkę. Nigdy nie słyszałam, żeby pojawiali się na dole i grozili ludziom przed faktem. Wydawało się to raczej małostkowe.

– Nadgorliwość – powiedziałam, częściowo myśląc na głos, częściowo blefując. – Muszę to zbadać. Ale zapewniam cię, że Oddział nie ma z tym nic wspólnego. Chcemy przedstawić raczej odmienną propozycję.

– Tak – westchnął – jestem pewien, że chcecie. Dobry glina, zły glina i tak dalej.

Czy to możliwe? Myśl, że ktoś inny w Oddziale, lub raczej szerzej w aparacie Obrony Słonecznej, mógłby pogrywać z moją misją, był tak wkurzający, że przez chwilę, szczęśliwie, zaniemówiłam. Po sekundzie lub dwóch, skupiłam się i uspokoiłam: może wypadłam z umiejętności konspiracji, ale nie z samokontroli. Wzruszyłam ramionami.

– Nic o tym nie wiem – powiedziałam.

– Zatem czego chcecie ode mnie?

– Doktorze Malley – powiedziałam z uśmiechem – czy wiesz, jak ludzie po drugiej stronie tunelu czasoprzestrzenny, ludzie, o których powiedział nam Wilde, go nazywają? Nazywają go Milą Malleya.

– Widziałem taśmy – powiedział Malley sucho. – Pochlebne, nieprawdaż?

Miałam nadzieję, że tak. Czas na kolejne pochlebstwa.

– Znajdujemy się – powiedziałam ostrożnie – w chwili, gdy potrzebujemy pilnie zrozumieć tunel czasoprzestrzenny. I na własną rękę, nie umiemy. Tylko jedna osoba może nam pomóc i tą osobą jesteś Ty. Czy chciałbyś udać się ze mną na Jowisza i popracować nad prawdziwą fizyką?

Malley brał łyk whisky, gdy to mówiłam i parsknął tak mocno, że wróciła nosem. Zabulgotał, zakasłała, potem odchylił się i roześmiał.

– Więc do tego doszło! Trzydzieści miliardów ludzi w waszej utopii i musicie mnie prosić! Wy naprawdę rozczarowujecie.

Uśmiechnęłam się.

– Wiem, co masz na myśli, doktorze Malley. I myślę, że to, co chcemy, może zmienić to wszystko, na dłuższą metę. Oddział to nie Związek. To wszystko, co mogę powiedzieć, na razie.

Oparł brodę na splecionych palcach i spojrzał na mnie.

– Hmm – powiedział. – Interesujące. To zwykle było nazywane gambitem Wolffa.

Uniosłam brwi, on wzruszył ramionami.

– Poszukaj tego. – (Nigdy tego nie zrobiłam.) – Tak czy inaczej – kontynuował – jesteś za późno. – Dolał do kubka i uniósł ku mnie w ironicznym toaście:

– Za geniusz naukowy Isambard Kingdom Malleya. – Wypił na raz i odstawił głośno kubek. – I za to, co już dawno to zmarnowało. To, postępujący wiek i gorsząca młodość.

– Nie! – Wstałam. – Mylisz się! To tylko objawy. Twój prawdziwy problem jest taki: opracowałeś najpiękniejszą i udaną teorię fizyczną, jaką kiedykolwiek człowiek wymyślił, a wtedy superludzkie byty poszły dalej, użyły jej, zastosowały, posunęły do granic i *obaliły*. I nigdy nie przebolałeś podejrzenia, że, by przekroczyć swoją teorię, musiałbyś przekroczyć swoje ludzkie ograniczenia. A teraz, nie możesz nawet tego!

– Dokładnie – powiedział. Dolał, znowu, do kubka. – Dzięki wam, ludzie!

– Nam? – powiedziałam, dotknięta niesprawiedliwością tego oskarżenia.

– Tak, wy, z blokadą podboju kosmosu i pracy komputerowej, waszą niekończącą się zimną wojną z Jowiszanami. Oddział Cassini ma tam bardzo intratną posadkę, podczas gdy reszta ludzkiej populacji jest spławiana jakimś statycznym spokojem. Ograniczona bez powiadamiania, racjonowana bez wiedzy, co tracą. Racje są hojne, przyznam to wam, ale praktycznie to, co tak wielkodusznie nazywacie Związkiem Słonecznym, jest cywilnym zapleczem ekonomii wojennej.

To było poza możliwością dyskusji.

– Myśl, co chcesz – powiedziałam. – Ale dlaczego nie przyjedziesz i sam nie zobaczysz?

Malley wyjął scyzoryk, rozłożył pożółkły stalowy szpic i zaczął grzebać w główce fajki. Spojrzałam w bok. Potem było szuranie krzemienia i teraz znajomy zapach palonego suchego zioła odświeżył się w pokoju.

– To kuszące – przyznał Malley. – Szczerze mówiąc, chciałbym zobaczyć Bramę... Milę Malleya, haha!... z bliska. Byłbym zachwycony znalezieniem drogi do świata opisywanego przez Wilde'a, którzy brzmi tak bardzo bardziej interesująco niż ten. – (Prawie podskoczyłam, nawet poruszyłam kwestii nawigowania w tunelu, co było tym, co naprawdę od niego chcieliśmy). – Ale jak mówiłem, to strata czasu. Nie radzę sobie już z matematyką. To zabawa młodych ludzi, a Malley już nie jest młodym człowiekiem.

Brzmiał naprawdę niebezpiecznie blisko płaczu. Usiadłam znowu, pochyliłam się nad biurkiem i spojrzałam szczerze w jego jakoś przekrwione oczy.

– Wiek i alkoholizm – powiedziałam – są uleczalne. Jak dobrze wiesz. Kilka terapii i poczujesz się lepiej, niż kiedykolwiek pamiętałeś, lepiej niż możesz sobie nawet *wyobrazić*. Będziesz miał dostęp do największych komputerów, które ma Oddział, najlepsze

instrumenty, dekady obserwacji. Wszystko, co chcemy, to żebyś pokazał nam drogę do Nowego Marsa. Jeżeli to zrobisz, możesz robić cokolwiek innego, co ujdzie ci na sucho tak jak reszta z nas.

Malley odchylił się, ssąc fajkę. Nigdy wcześniej nie zauważyłam okropnego dźwięku bulgotania, które smoła i ślina robiły w tych rzeczach.

– Umowa stoi – powiedział.

Zajęło mi chwilę zrozumienie, że to znaczyło, że się zgodził.

– Znaczy, mamy plan.

– Tak! – zachichotał Malley. – W rzeczy samej. Mamy plan.

Mój plan, w tym momencie, polegał na tym, aby cofnąć się po śladach do Alexandra Port i dostać się na następne połączenie sterowcem do latającego skrzydła w Gwinei, a po kolejnym starcie laserowym spotkać się z *Strasznym Pięknem*, kliprze termojądrowym, na którym przybyłam, który obecnie był zaparkowany na niskiej orbicie ziemskiej. Po drodze – ostatnia poprawka – zamierzałam pokazać lub opisać Malleyowi ostatnie osiągnięcia społeczeństwa Związku, od których tak starannie się odciął przez ostatnie sto lat: gigantyczne maszyny Babbage mielące przez macierze bilansów materiałowych Leontiewa, farmy morskie, wieżowce kilometrowej wysokości, jaskinie głębokie na kilometr, wielka sala (prawie opuszczona) Rady Centralnego Planowania z jej złotym posągiem Misesa…

Tyle o planie.

– Czy jest ktoś, z kim chciałbyś się pożegnać?

Malley wpychał książki, instrumenty i stosy tytoniu do torby podróżnej, jasno pokazując gotowość opuszczenia tu i teraz. Uśmiechnął się do mnie chłodno.

– Jak myślisz?

– Nie jesteś w bliskim związku?

– Bez wątpienia wiejska dziwka będzie za mną tęskniła.

Zarumieniłam się i wyjrzałam przez okno, zmiana tematu.

– W ogóle, dlaczego to miejsce jest zbudowane jak forteca?

Malley kaszlnął od kurzu wznieconego swoim grzebaniem.

– Posterunek policji. Okna się otwierają, przy okazji. Rozumiem, że po to, żeby więźniowie mogli przez nie wyskoczyć.

Nie do końca pewna co miał na myśli (lub, może nie chcąc wierzyć w to, co usłyszałam) pobawiłam się zamkiem i zasuwą. Okno otworzyło się i wychyliłam się, żeby odetchnąć nieskażonym powietrzem. Po moim pierwszym długim westchnięciu ulgi, rozejrzałam się po kiwających się czubkach drzew, zachodzącym słońcu i w dół. . .

Przed Szkołą był tłum około pięćdziesięciu osób, w większości dorosłych i wszyscy trzymali jakąś broń: karabiny, strzelby, nawet – jak chłopi ze starych horrorów – widły. Niektórzy tłoczyli się dookoła bramy, inni stworzyli szeroki półokrąg dookoła łazika, ponad którym części mojego skafandra z plecaka zamieniły się w brzęczącą chmurę pyłków obronnych.

Musiałam coś powiedzieć, co ściągnęło uwagę Malleya. Wystawił głowę przez okno koło mnie.

– Och, gówno! – powiedział.

– Czy to sprawka tego miłego człowieka w recepcji?

– Prawdopodobnie – powiedział Malley.

– Dlaczego?

Odwrócił się do mnie i zmarszczył brwi.

– Naprawdę tego nie łapiesz, co? Ludzie żyją tutaj, ponieważ was *nie lubią*! I nie chcą, żebyście mnie zabrali.

– Możesz im powiedzieć, że jedziesz, ponieważ chcesz!

Cofnął głowę.

– Mogę spróbować.

Ludzie dookoła pojazdu cofali się od bolesnego i daremnego zadania próbowania czegokolwiek wobec roju obronnego. Ruszyli przez tłum przy bramie i, będąc najwyraźniej bardziej ryzykownymi duchami, zaczęli prowadzić ich przez główne drzwi. Niektórzy spojrzeli do góry i mnie zobaczyli. Podniosły się krzyki i ruch ku drzwiom stał się falą.

Byliby na schodach w ciągu minuty.

– Skafander! – krzyknęłam, wystukując instrukcje na mankiecie. Rój ponad łazikiem okrążył jeszcze raz, potem skierował się linią ku mnie, i gdy kucnęłam w środku, stłoczył się nade mną i reformował. Cały mój strój spłynął i przekształcił się podstawową formę skafandra kosmicznego. Skafander stał się sztywny, wszystko się stało czarne (już dwie kolejne wersje i ten jednosekundowy bug *ciągle* nie był poprawiony), a potem stał się przezroczysty i znowu ruchomy.

Malley gapił się z otwartymi ustami, gdy moje ubrania zmieniły się w bezszwowy, matowo czarny, ciasny pancerz z anonimową czarną kulą zamiast hełmu i masywnie, przesadnie umięśnione ramiona.

– Skafander kosmiczny nano – wyjaśniłam zniecierpliwiona. – Przez parapet, już!

Zawahał się, potem usłyszał dźwięk biegnących stóp w korytarzu. Złapał torbę i wydostał się na zewnątrz, częściowo siedząc pod odsuniętym oknem. Podążyłam za nim na gzyms i objęłam go ramionami.

– Trzymaj się – powiedziałam mu niepotrzebnie.

– Lina – zażądałam, a potem skoczyłam. Z ramion skafandra wysunęło się kilka kabli, jeden złapał się gzymsu czystym przywieraniem, inny opuszczający nas szybko na ziemię. Wylądowaliśmy delikatnie. Rozejrzałam się. Awangarda tłumu patrzyła na nas

z okna, gdy kable wsunęły się w skafander, maruderzy tłumu stali dookoła pomiędzy bramą a drzwiami, patrząc na nas z miną, którą ciągle pamiętam jako nieco złośliwą satysfakcję.

Malley, trupioblady, chwiał się na nogach koło mnie. Zwymiotował na skafander, a ten już spragniony wchłaniał substancje organiczne. Podniosłam Malleya, jak aktor w stroju „Killer Robot" niosący aktorkę w stroju „porwanym i odsłaniającym" i skierowałam się do łazika. Tłum dookoła mnie się rozproszył. Wsadziłam Malleya na siedzenie pasażera i wskoczyłam za kierownicę.

Nie doceniłam tłumu. Nie byli jakimś spanikowanym motłochem, ale wioską chłopów, obserwując, coś, co postrzegali jako nakłonienie lub porwanie lubianego i potrzebnego nauczyciela. Ci, którzy pobiegli po schodach, wylewali się dołem, a pozostali zbliżali się do łazika. Studenci, w większości młodzi, dołączali się do osób wylewających się przez drzwi Szkoły. Nie podchodzili groźnie, zostawiali kilka dobrych metrów przerwy, ale formowali coraz bardziej solidną masę dookoła nas. Rozejrzałam się po ścianie ludzi ubranych w ich kolorowe wełny i bawełny, ich szerokie skórzane pasy. Na kompetentnie trzymaną, choć okrutną, broń, ich gładkie i wrogie twarze.

Cóż, przynajmniej mogli ujrzeć moją twarz.

– Złóż hełm – wymamrotałam, a kula dookoła mojej głowy otworzyła się z góry, otwór poszerzający się, a potem zwężający, gdy inteligentna materia spływała w tymczasowy pierścień opierający się na obojczyku. Odwróciłam się do Malleya, zanim ktokolwiek mógł zareagować i spytałam:

– Czy mógłbyś im wyjaśnić?

Malley wzruszył ramionami. Jego dłonie drżały. Wytarł wierzchem dłoni usta i wstał, łapiąc się krawędzi szyby łazika.

– Hej, przyjaciele! – zawołał. – Posłuchajcie mnie! Dzięki za

troskę, ale wszystko jest w porządku. Wyjeżdżam na chwilę z tą kobietą z... zewnątrz. Jadę z własnej woli. Zatem proszę, nie martwcie się! Przepuście nas, proszę.

Najwyższy i najtwardziej wyglądający mężczyzna przepchał się naprzód i stanął dokładnie na naszej drodze.

– Przepraszam, doktorze Malley – powiedział. – Ale nie jesteśmy pewni, że *jedziesz* z własnej woli. Ci goście z kosmosu, ci *socjaliści*, mogą zrobić rzeczy Twojemu mózgowi, że *myślisz*, że robisz to, co chcesz, ale robisz, to co *oni* chcą, prawda?

– Tylko nie *to* stare kłamstwo – wymamrotałam pod nosem. Mogłam się domyślić, że dominująca ideologia niespołeczników byłaby rozwiniętym systemem urojeń paranoidalnych.

– Jestem pewny, że mogą – powiedział Malley. Odzyskał nieco opanowania. – Ale wątpię, żeby potrafili to zrobić w pół godziny.

Wysoki facet wyglądał skonsternowany przez całe dwie sekundy.

– Cóż, zatem – powiedział z nieubłaganą logiką – musiała Ci zagrozić. Że rozwalą z orbity wioskę, czy coś. W porządku, doktorze Malley, możesz nam powiedzieć! Nie boimy się ich!

– Zapewniam was... – zaczął Malley, ale wiedziałam, że było to bezcelowe. Dyskusja nigdzie nas nie doprowadzi. Nie mogłabym wiarygodnie zagrozić Malleyowi, a jeżeli doszłoby do grożenia tłumowi, mój pistolet (teraz w moim skafandrze i wciskający się boleśnie w moje biodro) nie mógł się równać z ich bronią. Czy skafander odtworzyłby hełm na czas, żeby ochronić przed postrzałem, było eksperymentem, którego nie chciałam sprawdzać.

– Zasuń hełm – wyszeptałam i włączyłam silnik. W chwili ciemności, sięgnęłam i złapałam ramię Malleya.

– Siadaj już! – krzyknęłam, ciągnąc mocno. Drugą dłonią chwyciłam kierownicę. Po omacku znalazłam pedał sterowania nogą i nacisnęłam go. Pojazd szarpnął do przodu i gdy widok się przejaśnił,

ujrzałam mężczyznę z przodu rzucającego się z drogi w ostatniej, możliwej sekundzie. Inni postąpili podobnie, rozpraszając się jak kręgle. A potem byliśmy po drugiej stronie, lecąc ulicą wioski, płosząc kurczaki i sypiąc kamieniami. Jeden lub dwa strzały zostały oddane, ale przemknęły nad głową, wątpiłam, czy rzeczywiście celowali, żeby trafić. Jedyni ludzie pomiędzy nami a końcem wioski byli bardziej zainteresowani ucieczką z drogi niż zatrzymaniem nas. Ale jeden z nich, ujrzany przelotem, gdy przelatywaliśmy, trzymał prostokątny kawał plastiku z metrowej długości cienkim prętem dźgającym w niebo. Trzymał to jednym końcem przy ustach, a drugim przy uchu i mówił w to szybko.

Miałam paskudne podejrzenie, że było to radio.

– Mówiłem Ci, że uczę ich elektroniki – powiedział Malley kilka minut później, gdy podskakiwaliśmy na kolejnej leśnej drodze, kierując się kompletnie w złym kierunku wobec Alexandra Port.

– Jak możesz być tak nieodpowiedzialny! – wrzasnęłam. – Radia mogą złapać wirusy, wiesz o tym.

– Tak i stopić się w dłoni, więc co!

– Co z wirusami *umysłu*? Pomyślałeś o tym?

– Oczywiście, że tak – powiedział Malley, walcząc, żeby zapiąć pasy. – To tylko elegancki termin dla idei, których nie lubicie.

– Idei, których *kto* nie lubi?

– Wy wszyscy – powiedział Malley, machając ręką nad głową. – Związek. Oddział. To tylko cenzura.

Roześmiałam się tak mocno, że łazik niebezpiecznie się zabujał, gdy kierowałam dookoła kłody.

– Pewnie, jak zabieranie tego, co chcesz, to racjonowanie!

– Dokładnie mój punkt widzenia – powiedział Malley z niezrozumiałym triumfem.

Westchnęłam.

– Doktorze Malley, bardzo cenię sobie ciebie i wszystko, co osiągnąłeś, i mogę nawet zobaczyć, że dobrze postępowałeś z tymi ludźmi, ale z całym szacunkiem sugeruję, że jesteś trochę poza zasięgiem lub może błędnie poinformowany. . .

– Ha!

– . . . i ujrzysz rzeczy inaczej, kiedy dostaniesz się do Oddziału.

– Bez wątpienia. – Malley zachichotał ze świstem. – Bez wątpienia tak będzie.

Mapa – ciągle podłączona do oka – pokazywała, że byliśmy niedaleko Gunnersmere, jednego z pierwszych torfowisk ujścia Tamizy. Wioska Pod Wiaduktem była oznaczona jako porozrzucane domy wzdłuż brzegu. Przed nami mogłam już dojrzeć rzednące drzewa, dąb i buk zastępowane przez olchę i brzozę.

– Jak myślisz, do czego mogli używać radia? – spytałam.

Malley uśmiechnął się do mnie diabolicznie.

– Och, prawdopodobnie ostrzegali dalej.

– Niebiosa, człowieku! – Delikatnie nacisnęłam hamulec i z poślizgiem zatrzymaliśmy się w rozpryskach liści i buczyn. Nagle nasze otoczenie wydawało się bardzo ciche, prócz złowieszczych trzasków pod drzewami, i opuszczone, prócz przemykających kształtów w długich cieniach. – Mówisz, że zmierzamy prosto w *zasadzkę*?

– *Ty* zmierzasz – powiedział spokojnie Malley. – Zatrzymałbym cię za chwilę, ale czekałem, żeby się dowiedzieć, ile to zabierze, zanim zrozumiesz, że potrzebujesz mojej wiedzy, żeby się z tego wydostać.

Wzięłam głęboki wdech.

– Ok, doktorze Malley. Potrzebuję Twojej wiedzy. Tego lub śmigłowca ratunkowego.

– Może obu. Najpierw najważniejsze rzeczy. Zjedźmy tym ła-

zikiem z drogi, możliwie gdzieś nie rzucając się w oczy. Kilkaset metrów dalej jest kawałek odkrytej szosy i jakieś ruiny przy niej. Ślady nie powinny się rzucać w oczy, szczególnie w słabym świetle.

Włączyłam silnik i pozwoliłam się pojazdowi toczyć wolno w rejon, który wskazał Malley, gdzie wpływ wiatru i pogody odsłonił popękany asfalt. Wyglądałam ruin, których podjazd nie był zasłonięty roślinami lub pozostałościami roślin i odkryłam jedną z poobijanym, betonowym podjazdem prowadzącym do dziury, gdzie kiedyś były drzwi. W ciągu minuty lub dwóch, ukryliśmy łazik w kwadracie zrujnowanych ścian, gdzie pokrzywy, wierzbówki i konopie wyrastały do wysokości około dwóch metrów. Spojrzałam na pozostałą zawartość plecaka, rozrzuconą samotnie na tylnym siedzeniu pojazdu. Zmieniłam skafander w plecak i cętkowany czarno-zielony kombinezon, potem przepakowałam, z ciężkim dodatkiem sflaczałej łodzi, jej elektrycznego silnika i baterii oraz dodatkowej butli z gazem.

– To jedna z możliwych dróg – przyznał Malley.

– Teraz co? – spytałam.

– Czy masz jakiś sposób skontaktowania się z najbliższą placówką Związku?

Placówka, faktycznie.

– Tylko pośrednio – powiedziałam. – Mogę skontaktować się z nimi przez mój statek. Będzie nad horyzontem za około. . . – Mrugnęłam na zegarek unoszący się w moim lewym oku i sprawdziłam – . . . piętnaście minut. Ale naprawdę wolałabym tego nie robić lub wysłać jakiś ogólny sygnał. . .

W tym momencie usłyszałam rytmiczne uderzenia wzdłuż ścieżki z kierunku, z którego przyjechaliśmy.

– Co to znaczy?

– Galopujący koń – powiedział Malley. – Padnij!

Schowaliśmy się za ścianą. Wyciągnęłam pistolet, marząc, gdy to robiłam, że powinnam znać cechy pokrzyw, zanim zmieniłam skafander: na moich dłoniach zaczynała się pojawiać paskudna wysypka. Uderzenia brzmiały coraz bliżej, potem zwolniły i zmieniły się w klekot, gdy koń napotkał odcinek kostki brukowej. Gdy dotarł bliżej, wyjrzałam przez łodygi chwastów.

Młoda kobieta siedziała na plecach dziwnej, wielkiej bestii, trzymając ją i sterując ją przez układ skórzanych pasów i metalowych podstawek pod nogi. Jechała teraz całkiem wolno, rozglądając się z boku na bok. Jej ubrania były brudne, jak boki konia, a cienka strużka krwi wysychała poniżej siniaka na skroni. Gdy odwróciła się na prawo, prawie na mnie patrząc, rozpoznałam ją.

– Suze! – zawołałam, wstając.

Podskoczyła, a koń spłoszył się i zarżał, potem ona pociągnęła za pasy, które trzymała i coś powiedziała, a bestia się uspokoiła. Malley, z chrząknięciem i rumieńcem, wyprostował się i podszedł wolniej, podczas gdy przeskoczyłam nad przewróconymi cegłami i potem na ścieżkę.

– Wszystko w porządku, Ellen? – Spojrzała koło mnie na Malley, a jej oczy się rozszerzyły. – Czy to. . . ?

– Sam wielki człowiek w swojej osobie – powiedziałam. – Ale Suze, co z Tobą? Co się zdarzyło? – Nie żeby to było trudne do domyślenia.

– Śledziłam Cię – powiedziała. – Wiem, że nie chciałaś mnie zabrać, ale. . .

– To miłe – powiedziałam.

– Cóż. . . – Uśmiechnęła się do nas z góry, niepewnie. – Wzięłam barkę w górę kanału i tu pożyczyłam Bonnie. – Poklepała kark konia. – Jeździłam na niej wcześniej i jest znacznie lepsza na ścieżkach leśnych niż łaziki. Kiedy wjechałam w wioskę, tam wcześniej,

tubylcy zobaczyli, że jestem ze Związku i zaczęły się jakieś zamieszki, krzyczenie i bieganie. Obrzucili mnie kamieniami i, hm, cholera. Nie wiedziałam, co się dzieje, więc po prostu schyliłam się i wbiłam pięty. I oto jestem.

I oto jesteś. Kolejna niewinna do opieki.

– Ktoś za Tobą jechał?

Potrząsnęła głową.

– Co z wami? – spytała.

Przedstawiłam ją Malleyowi i naszkicowałam naszą sytuację.

– Och! – powiedziała, rozglądając się lękliwie dookoła. – Masz na myśli, że teraz mogą nas ludzie poszukiwać?

– Tak – powiedziałam. – Twoja kolej, doktorze Malley.

– Mów mi Sam – powiedział, prawdopodobnie zirytowany entuzjastycznymi spojrzeniami Suze. – Wszyscy tak robią. Skrót od Isambarda. Racja. Suze, czy możesz połączyć się z Alexandra Port, zorganizować podjęcie przez śmigłowiec?

– Tak, oczywiście, dok. . . Sam.

– Ok. – Przymknął oczy i uszczypnął się w czoło kciukiem i palcem wskazującym, wyglądając na tak zmęczonego, jak ja się czułam. – Zrób tak, poproś ich, żeby byli gotowi do startu za jakąś godzinę. Cofniemy się przez drzewa na wschód ścieżki, dookoła tyłów wioski, schowamy się na brzegu, a wtedy bez wątpienia Ellen będzie mogła podać im dokładne koordynaty z łącza jej magicznego skafandra, prawda?

Skinęłam głową.

– Ok – powiedział Malley. – Suze, obawiam się, że będziesz musiała się pożegnać z koniem, ale mogę Cię zapewnić, że tubylcy jej źle nie potraktują.

Suze zdjęła uprząż konia i posłała ją galopem na południe, klepiąc ją czule w zad. Potem odpięła nadajnik wąskopasmowy od pa-

ska, nastawiała go na najbliższy przekaźnik satelitarny i wywołała Alexandra Port. Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Wiadomość dotarła, ale nie mam potwierdzenia.

Malley wzruszył ramionami.

– Spróbujemy znowu, kiedy się tam dostaniemy.

Odwrócił się, a Suze i ja poszłyśmy za nim pod drzewami na wschodnią stronę ścieżki. Droga przez drzewa, kierowanie się ogólnie w prawo, była znacznie trudniejsza niż można było sądzić. To były stare lasy, zatem gałęzie były wysoko i dostatecznie grube, żeby zadławić większość podszycia. Jednakże, ruiny pod zwodniczym warstwami gnijących liści wynagrodziły ten brak. Uderzaliśmy się kostkami w ukryte bloki, wpadaliśmy po kolana w ukryte jamy. Co wydawało się martwą gałęzią, mogło okazać się niepokojąco solidnym i ostrym prętem zardzewiałego metalu. Malley nalegał, żeby pozostawać w gęstszej części lasu i szedł przez zdradzieckie ścieżki z pewnością, niosąc torbę, jak ktoś idący po dworcu. Koncentrowałyśmy się na unikaniu ran i męczyłyśmy się po cichu – lub przynajmniej nieartykułowanie – za nim.

Po około pół godzinie, Malley zaczął się kierować nieco bardziej w prawo i wkrótce wyszliśmy się w otwarty rejon wysokich traw poznaczonych krzakami i niskimi drzewami. Woda była około sto metrów dalej, a w tym miejscu rzeka miała prawie trzy kilometry w poprzek. Półtora kilometra do naszej lewej było Pod Wiaduktem z otaczającymi polami i ogrodami. Tylko kilka słupów pozostało ze struktury, która dała jej nazwę.

Po polach była rozrzucona linia ludzi z psami, kierująca się systematycznie ku miejscu gdzie byliśmy i komunikująca się z innymi ludźmi, bez wątpienia poza zasięgiem wzroku w lesie, przy pomocy ręcznych radionadajników. Przykucnęliśmy i Suze znowu spróbowała skontaktować się z Alexandra Port.

– Nic – powiedziała. – Nie rozumiem tego. Tak jakby specjalnie nas ignorowali!

– Czy to może być jakaś zasada? – spytałam jej. – Czy to coś ma wspólnego z zamieszaniem, które my. . . ja spowodowałam w wiosce? Na przykład, jeżeli zadrzesz z niespołecznikami, zostajesz sama?

Potrząsnęła głową ostro.

– Nie ma mowy. Musiałabyś się tłumaczyć, ale zawsze wyciągamy naszych ludzi. Hej, nawet pomagamy niespółdzielcom, jeżeli o to poproszą.

Malley chrząknął. – Hmm, zwykle tym, którzy najmniej na to zasługują, chuliganom wioski lub złodziejom.

Suze zgadzała się z nim, a poszukiwacze byli coraz bliżej.

– Dość – powiedziałam. – Oto, co zrobimy.

To, co zrobiliśmy, to bieg na złamanie karku do brzegu. Przedzierałam się przez wysoką trawę, nie przejmując się chowaniem czy unikami, zsunęłam się po brzegu, poczułam pod stopami żwir i pociągnęłam sznurek pompowania łodzi. Założenie butli z gazem i silnika na miejscu, było jedynymi przygotowaniami, jakie poczyniliśmy.

Ponton *nadął się ze świstem* do kształtu w ciągu pięciu sekund, mimo wrzucenia prosto w wodę. Suze nadbiegła dysząc, Malley sapiąc, za mną i wszyscy rozpryskiwaliśmy przez płycizny i pchaliśmy łódź, aż woda była na głębokość kolana, potem się wspięliśmy. Zabrało to mniej niż minutę, co było więcej czasu niż potrzeba, żeby pojawiły się krzyki i ujadanie psów. Kiedy pierwsi ścigający dotarli do brzegu wody, już włączyłam silnik i byliśmy już dziesięć metrów dalej. Kilku ludzi brnęło do nas, pies zanurzył się i dzielnie wiosłował po naszym śladzie.

Spojrzałam do tyłu. Zbliżali się, ale gdy woda stała się głębsza, przewagi się zmieniły. Kiedy woda stała się zbyt głęboka do brnię-

cia, byliśmy poza ich zasięgiem. Ktoś zagwizdał i pies też zawrócił. Teraz szóstka ludzi zebrała się na brzegu i gdy odwróciliśmy się i skierowaliśmy w dół rzeki, zauważyłam, że jeden z nich mówi do radia.

– Jak myślisz, co planują? – spytałam Malleya. Jako odpowiedź, Malley wskazał z powrotem na brzeg, na długie drewniane molo Pod Wiaduktem. Czterech mężczyzn było widocznych, biegnących przez nabrzeże. Zjechali po drabinie i do łodzi. Z czterema pracującymi wiosłami, łódź odbiła od nabrzeża i rzuciła się w pościg.

– Nie mają szans – powiedział Malley, tuż przed tym, gdy dwóch mężczyzn porzuciło wiosła i podniosło maszt, a potem żagiel.

– Wygląda na to, że mają – powiedziała Suze.

Z podniesionym żagle ich szybkość zbliżania się do nas widocznie wzrosła, choć obliczałam, że zabierze im to co najmniej pół godziny. Skierowałam się dalej od brzegu, mając nadzieję na złapanie głównego nurtu i nabranie odrobiny potrzebnej prędkości.

– Co *to* jest? – zażądałam odpowiedzi od Malleya. – To szaleństwo. Muszą wiedzieć, że chciałeś z nami wyjechać, mógłbyś łatwo wrócić tam, gdybyś nie chciał. Wszyscy nie mogą wierzyć w historię o praniu mózgu, czy cokolwiek. Zatem dlaczego nas ciągle ścigają?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Bardziej jestem zaskoczony, że Twoi ludzie nie odpowiedzieli na nasze wezwanie.

Nie do końca moi ludzie, ale miał rację. To było bardzo niepokojące. Rozejrzałam się. Słońce było teraz pod dość ostrym kątem i sytuacja – tafla wody, po której się poruszaliśmy, zalesione brzegi zakręcające na lewo przed nami – w innych okolicznościach byłaby idylliczna. Ptactwo wodne pływało lub muskało szeroką rzekę, a jej powierzchnia była oszpecona tylko przez inne małe łodzie…

– Co z tymi innymi łodziami? – spytałam Suze. – Pewnie niektóre z nich są gośćmi Związku?

– Tak, ale ciężko powiedzieć, które... ach!

Wskazała w dół rzeki na małe V białej piany.

– Jesteśmy uratowani! To łódź patrolowa Związku! – Uniesiona podnieceniem, zaczęła machać ramionami i krzyczeć, choć łódź – teraz dojrzałam, wodolot – był ciągle kilka kilometrów dalej. Przestała po chwili, zdjęła koszulę i zaczęła nią machać.

– Co patrolowiec ma do pracy? – spytałam.

– Pomoc na rzece, w większości – powiedział Malley.

– I utrzymanie obecności, jak mówią – zauważyła Suze, trzepocząc swoją koszulą i stojąc.

– Czy w ogóle interweniują wobec niespołeczników?

Malley skrzywił się i pokręcił głową.

– Może powinni, wioślarze Tamizy są skłonni zabierać to, co przyniesie ruch. Rabunek w biały dzień.

Nie zrozumiałam, ale Suze roześmiała się doceniająco.

Kurs wodolotu zmienił się nieco.

– Zobaczyli nas – powiedziałam. Spojrzałam nad ramieniem. Mężczyźni na łodzi pracowali znowu żaglem, halsując w różnych kierunkach. W ciągu kilku minut, wodolot – dziewięciometrowa łódź, pomalowana na biało, bandera z gwiaździstym pługiem Związku – wyłączył silnik i opadł na wodę, okrążył nas i podszedł z boku. Kobieta przy sterze pomachała do nas i zawołała:

– Cześć! Macie problem z tymi ludźmi?

– Tak! – krzyknęłam. – Dzięki za przyjście z pomocą.

– W porządku – powiedziała. – Gdzie zmierzacie?

Pomyślałam przez chwilę.

– Alexandra Port, ale ujście Lee byłoby w porządku, jeżeli chcesz nas podrzucić.

– Jasne. Żaden problem. Chodźcie na pokład. – Rzuciła nam linę i pociągnęliśmy zanurzający się ponton do małej drabiny z boku jej łodzi. Najpierw Malley, potem Suze, potem ja wspięliśmy się, a ja użyłam bosaka do wciągnięcia pontonu za sobą. Kobieta, która przedstawiła się jak Carla, miała długie blond włosy, opaloną twarz i uśmiech, który pokazywał krzywe zęby. Jej żółty kombinezon miał małą naszywkę z jej imieniem i „Patrol Rzeczny" wyszytą na niej.

– Czy odebrałaś nasze wezwanie? – spytała Suze. – Próbowaliśmy wywołać Alexandra Port.

Carla pokręciła głową. Skierowała nas do środka, kabiny przed kokpitem, i włączyła silnik.

– Rozgośćcie się – krzyknęła. – Powiedzcie mi, co się stało, kiedy będę wprowadzać tę rzecz na kurs.

Łódź nabrała prędkości, płat nośny wbił się w wodę i się unieśliśmy. Malley zapalił fajkę, Suze usadowiła się, wyglądając przez okno,a ja stałam koło Carli i opowiadałam jej wygodnie zredagowaną wersję tego, co się stało. Była tak zaskoczona, jak my, brakiem odpowiedzi. Przekroczyliśmy Gunnersmere, Hammersea, Southwater i właśnie dotarliśmy do City Basin, gdy Carla zauważyła:

– Bardzo dużo łodzi niespołeczników na rzece tego wieczoru. . .

Zauważyłam łodzie, ale nie mając podstaw do porównania, nie wiedziałam, że to było niezwykłe. Łodzie wioślarskie, żaglówki, skiffy, parowe motorówki, opalane drewnem i zadymione, i barki były widoczne na całym akwenie, ich kursy początkowo nieskoordynowane, a potem, gdy patrzyłam raz po razie, jasno się zbiegające. Na nas.

Carla zauważyła to kilka sekund po mnie. Zmarszczyła brwi i spróbowała się skontaktować. Laser mikrofalowy odbił się od jakiegoś satelity, na którego był dostrojony, ale nie wróciła żadna odpowiedź. Łodzie ciągle były daleko – dookoła na kilkaset metrów

– jednak ciągle powoli nas otaczały. Suze i Malley wyszli z kabiny i obserwowaliśmy w cichym zakłopotaniu i rosnącym osłupieniu.

– To już za dużo – powiedziałam. – Koniec z panną miłą dziewczyną. Carla, proszę, podejmij *szybkie* działania wymijające, zanim nas całkowicie zablokują.

Uśmiechnęła się, pokazała mi kciuki do góry i nacisnęła na przyśpieszenie. Łódź wystrzeliła do przodu i zaczęła kręty kurs ku wieżowcom City, które błyszczały na złoto i brązowo w niskim słońcu, jak pijane, pancerne Goliaty brodzące, żeby spotkać jakiegoś wodnego Dawida. Pomiędzy nimi a nami było kilka pojazdów niespółdzielców: czteroosobowa łódź wioślarska, może podobna do tej, która nas na początku śledziła, która skakała po wodzie jak wodny owad, oraz znacznie wolniejszy, cięższy parowiec opalany drewnem, który sapał z szokującą determinacją przed naszymi dziobem. Carla dotknęła koła, raz w lewo, raz w prawo. Łódź wiosłowa była zalana i spostrzegłam blade twarze na pokładzie parowca, gdy mknęliśmy koło jego rufy z kilkumetrową przerwą. Potem znaleźliśmy się pomiędzy pochylonymi, wyłaniającymi się wieżami, nasze odbicie przyśpieszające i odbijające się w przeszklonych ścianach.

Wyszłam ostrożnie na tylny pokład, przykucnęłam, ułożyłam skafander w jego formę misy anteny i wysłałam pilne wezwanie do *Strasznego Piękna*.

Inni trzymali się każdego, możliwego uchwytu i patrzyli się na mnie z zakłopotaniem, gdy wstawałam z ubraniem rekonstruującym się i wspinającym po mojej skórze.

– Dwadzieścia minut – powiedziałam. Nasze przejście posłało fale krzyżujące się w geometrycznych przestrzeniach skrzynkowych kanionów. Jednostki niespołeczników myszkowały pomiędzy zatopionymi budynkami, ale trzymały się dobrze z tyłu.

– Aż, co się wydarzy? – spytała Carla.

Uśmiechnęłam się, nagle pewna siebie, już z powrotem w swoim świecie, już wysoko ponad tym, z jego konspiracjami nie-spółdzielców, nieodpowiadającymi usługami ratunkowymi, ogólną zasadą zostawienia zbyt dużo naturze i prehistorycznej ludzkości, która rzuca się na każdą chwilę słabości.

– Obserwujcie niebo – powiedziałam im. – Nadchodzi *Straszne Piękno*.

Malley zauważył pierwszy, nowa i jaśniejsza gwiazda wieczorna powolna w świetle zachodzącego słońca. Choć schodziła w dół, wydawało się, że się wznosi, gdy poruszała się od horyzontu i ku nam. Dwa razy wydawało się, że migocze, a szersze wtórne odbłyski odpłynęły. Potem, bliżej, naprawdę błysnęło, z gromem, który runął na nas przez kilometry powietrza i który został nagle zastąpiony krzyczącym gwizdem kominów hamulców aerodynamicznych. Pióropusze superpodgrzanego powietrza wystrzeliły z jej powierzchni, potem trzeci i ostatni spadochron został uruchomiony, blisko kilometrowy baldachim jednowarstwowego węglowego włókna, na którym wielki statek unosił się jak ziarno ostu.

– Kieruj się na środek kanału – powiedziałam Carli. Wykonała, ledwie odrywając wzrok od opadającego statku. Nękające łodzie uciekły od wkraczającego cienia w szerokim kręgu zwiększającego się pośpiechu. Wystawiliśmy nosa spośród wież i weszliśmy na kurs na spotkanie jakby w przewrotnym oporze wobec otaczającej paniki.

– Och, och! – krzyknęła Suze. – To naprawdę piękne. . . straszne piękno!

Jej powierzchnie błyszczały jak latarnie, zakrzywione jak muszle, zawiłe jak wazy. Jej kształt przypominał paradoksalnie jajo kosmitów, gatunku lotnego, który żył w wyższych wymiarach, jego dźwięk brzmiał jak chór wściekłych aniołów lub adorujących diabłów. *Straszne*

Piękno wypuściła swój spadochron, który odleciał z widoku ponad wieżowcami i drzewami i bez wątpienia stworzył więcej niż jedną fortunę dla znalazcy. Uruchomiła rakiety manewrowe i ostateczny wsteczny ciąg, wysyłając kręcące się chmury pary ponad wodą w naszym kierunku i osiadła w końcu w korycie rozlewiska Londynu.

– To – powiedział Malley – jest najbardziej *szokująca* strata „delta v”[7], jaką *kiedykolwiek* widziałem.

Carla spojrzała na mnie z boku. Skinęłam głową:

– Cała naprzód.

Wodolot przepłynął przez te kilkaset metrów, które dzieliły nas od nieprawdopodobnego obiektu na rzece. Gdy się zbliżaliśmy, woda syczała i gulgotała, a płat nośny przestał podpierać nasz pojazd. Carla przesunęła dźwignię i kadłub opadł. Umiejętnie dopasowała naszą prędkość, aż prawie się zatrzymaliśmy pod zakrzywionym nawisem statku kosmicznego. Dookoła nas, srebrne brzuchy zabitych lub ogłuszonych ryb błyskały w kipiącej wodzie. Niektóre z nich bez wątpienia zostały ugotowane żywcem. Miałam nadzieję, że zawory wlotowe – już otwarte i połykające wodę, spragnione zastąpienia zmarnowanej masy reakcyjnej – przefiltrowałyby część z nich dla kantyny. Było to możliwe: jak wiele innych mechanizmów Oddziału, statek miał czuły nos i wygłodniały apetyt na użyteczne substancje organiczne.

Około piętnaście metrów nad nami, w najszerszym obwodzie *Strasznego Piękna*, odsłonił się właz i twarz spojrzała na nas: Tony Girard, obecnie oficer bezpieczeństwa na statku.

– Cześć, Ellen! – krzyknął. – Posyłam drabinę.

---

[7] wielkość skalarna, która ma wymiar prędkości określająca miarę „wysiłku” niezbędnego do wykonania manewru orbitalnego, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Delta-v` – przyp.tłum.

Złapałam plastikową drabinę, gdy dotarła do łodzi i odwróciłam się do Malleya. – Za Tobą.

Malley uśmiechnął się do mnie, cały cynizm zniknął z jego twarzy. Wyglądał jak chłopczyk, który ma właśnie jechać karuzelą. Podniósł torbę, przełożył najdłuższy pas przez kark i pod pachami, i ruszył na górę.

– Carla – powiedziałam – oczywiście poczekamy, aż znajdziesz się dostatecznie daleko, zanim wystartujemy, ale czy sobie poradzisz?

Osłoniła oczu i rozejrzała się po teraz prawie opuszczonej rzece.

– Poradzę sobie – powiedziała. – U ujścia Lee jest posterunek Związku. Dowiem się, dlaczego nikt nie odpowiedział na Twoje wywołania, lub moje, i dlaczego nie było innych łodzi patrolowych do pomocy. – Jej mina stała się mroczna. – *Ktoś* otrzyma trudne pytania.

– Skontaktuj się z nami, kiedy tak będzie – powiedziałam, pisząc nasz sygnał wywoławczy i jej podając, razem z pieniędzmi, która zabrałam z Graciosa. – I dzięki za wszystko. Ktoś będzie robił ci kłopoty, po prostu zadzwoń do nas. – Wskazałam kciukiem na statek, a ona uśmiechnęła się, wdzięczna za wsparcie moralne, ale prawdopodobnie nie biorąc mojej obietnicy na poważnie. To błąd, który ludzie robią wobec Oddziału, ale każda osoba robi go tylko raz. Uśmiechnęłam się, trochę do siebie, i złapałam ramię Suze.

– Byłaś wspaniała – powiedziałam. – Bardzo mi pomogłaś i to było naprawdę sąsiedzkie, że pojechałaś za nami.

– Nawet jeżeli nie było to konieczne! – Suze się roześmiała. – Zapomnij o pożegnaniach, Ellen. Jadę z wami. – Położyła dłoń na jednym ze stopni drabiny.

– Co? – Nie możesz…

– Mogę – powiedziała pewnie. – Każda osoba w Związku może

dołączyć do Oddziału, jeżeli istnieje statek, który ją może zabrać, a – poklepała kadłub – oto i on.

Miała rację. Była to zasada, ale w praktyce stosowała się do doświadczonych Przestrzeniowców z Obrony Systemu Wewnętrznego dołączających do Oddziału jako naturalny postęp i do członków różnych komitetów administracyjnych wstępujących, żeby zrealizować to, co uważali za demokratyczny nadzór. Mieliśmy dużo doświadczeń w wyperswadowywaniu marzycielskiej młodzieży z Ziemi, ale ostatecznie mogliśmy tylko odradzać, a – jeżeli nowy ochotnik okazał się bezużyteczny – delikatnie rozczarować go zadawaniem naprawdę nudnych zadań.

– Ale Suze! – spierałam się. – Masz tutaj pracę do zrobienia. Coś jest pomiędzy niespołecznikami, cała ta komunikacja radiowa, nikt nie wiedział, *że* to się dzieje. Lepiej byś zrobiła, gdybyś wykorzystała to, co wiesz, żeby pomóc Związkowi. . .

Podniosła wolną rękę.

– Nie – powiedziała. – Na to jestem już bezużyteczna. Niespółdzielcy widzieli mnie z Tobą, a wiemy, jak szybko się roznoszą takie rzeczy. Nie zaufają mi więcej i mają rację! A jeżeli naprawdę zamierzacie, gdzie mówiłaś, nie przegapiłabym takiej szansy za nic. Jadę.

I z tym odwróciła się i zgrabnie wspięła się na drabinę. Obserwowałam ją prawie do połowy, potem spojrzałam na Carlę. Uśmiechała się ironicznie, jakby mówiąc *z tą tutaj będziesz miała kłopoty*. Jedyną odpowiedzią, o jakiej pomyślałam, było wzruszenie ramionami i rozłożenie rąk.

– Takie życie – powiedziałam, potrząsając głową, a potem podążyłam za nowymi towarzyszami po drabinie i do statku.

Rozdział 4

Arcydzieło

Dźwięk uszczelniającego się włazu za mną był najmilszym dźwiękiem, jaki słyszałam przez jakiś czas. Tony Girard złapał mnie za ramiona, a potem pozwolił sobie przejść do uścisku.

– Wspaniale jest wrócić! – powiedziałam, gdy go puściłam i stał z boku, zarumieniony, gdy wyszliśmy ze śluzy. Wewnętrzny właz zamknął się za nami i usłyszeliśmy cichy, przytłumiony szum, gdy śluza wypełniła się wodą. Pokład brzęczał pod stopami, zakrzywione ściany wąskiego korytarza obejmowały mnie, znajome zapachy statki, metalu, plastiku i zielono-niebieskiego, bez końca wykorzystywanego powietrza, wody i organików, wypełniły moje wdzięczne nozdrza.

– Muszę powiedzieć, że to było cudowne lądowanie.

– Wspaniale, że wróciłaś – powiedział Tony. – Szczególnie z sukcesem.

Skrzywiłam się.

– Wilde byłby lepszy. *Zna* drogę…

– A kto powiedział, że jeszcze działa? Wyciągniemy znacznie więcej z Malleya w długim czasie. Dobrze zrobiłaś.

– Mam nadzieję, że masz rację. Najpierw muszę go osuszyć i zrestartować jego mózg.

Tony się roześmiał.

– Dwie tabletki z ambulatorium. Wyciągałem gorsze przypadki z bójek w Aldringrodzie. – Pchnął mnie przodem wzdłuż korytarza. – Kim jest ten mały cukierek?

– Nazywa siebie Suze – powiedziałam mu. – Nie znam jej innych imion. Właśnie zgłosiła się na ochotnika. Poznałam ją przypadkiem i była bardzo pomocna. Jest socjologiem...

– Kim? – Spojrzałam na niego. Przewrócił oczami w górę, potem w dół. – Och, racja, rozumiem. – Mrugnął mocno, zamykając encyklopedię swojego skafandra.

– Sprawdź ją – doradziłam. – Jest miła, ale...– Rozłożyłam palce i pomachałam dłonią, tam gdzie mógł dojrzeć ponad moim ramieniem.

– Kapuję – powiedział. – Miałaś jakieś problem z tubylcami?

– Drobne – powiedziałam. – Żadnych uszkodzeń tkanek u nikogo... ale dzieje się coś poważnego. Malley był naciskany przez kilku gości, którzy twierdzili, że są z obrony kosmicznej Systemu Wewnętrznego, a opisy ich się zgadzały, odruchy z nieważkości i tak dalej. Nadmienili, że był potencjalnym źródłem epidemii. Zaprzecza temu, ale to, co rzeczywiście robił, to było nauczanie elektroniki niespołeczników, żadnej w tym szkody, ale brudne dranie używają radia.

– Wirusy umysłowe mogłyby być zmartwieniem.

– Możliwe – powiedziałam. – Lub może Mediatorzy złapali jakieś wskazówki, co zamierzamy. Lokalny przedstawiciel Związku zbada to, będzie w kontakcie.

– Będę nasłuchiwał – powiedział Tony. Dotarliśmy do wewnętrznych drzwi na środkowy pokład. – Och, i Ellen...

– Tak? – Zatrzymałam się, moja dłoń na płycie i spojrzałam na niego. Przyjrzał mi się od stóp do głowy i zrobił minę dezaprobaty. – Nie możesz spotkać się z resztą załogi ubrana w ten *sposób*.

– Och. – Spojrzałam na porwany kombinezon, poplamione taśmy, zdarte buty, wcisnęłam kciuki w plecak. – Mniemam, że nie.

Odłożyłam sprzęt, który zebrałam i zawahałam się przed transformacją skafandra. W naturalnym środowisku ludzkim nieważkości lub niskiego g, większość z nas korzystała z jakiejś permutacji ubrań ciasno dopasowanych i lekko się unoszących. Ale nie mieliśmy cieszyć się tymi komfortowymi warunkami przez jakiś czas i potrzebowała jakiejś wyściółki. Wybrałam właściwie parametry i pozwoliłam skafandrowi przygotować coś, co je spełniało. Znalazłam się w grubym, pikowanym, jednoczęściowym stroju, z ramionami i nogami uszczelnionymi przy szerokich mankietach za pomocą ciasnych rękawic i skarpet. Miało odrzucany kaptur, który mógł szybko się zmienić w hełm w sytuacjach awaryjnych. Głębokie kieszenie były z przodu obu ud. Cała rzecz była prawdopodobnie modelowana na pamięci skafandra kosmicznego z Projektu Apollo, prócz tego, że była pomalowana na jasnoróżowy, satynowo watowana i upiększona głębokoróżową szarfą i mnóstwem koronek, wstążek i kokard, wszystkie różowe.

Skafander miał czasami swoje nastroje.

– Och, bardzo dostojnie – powiedział Tony. – Wyglądasz jak kogoś pra, prababka w sukni nocnej.

Więc to było to, co miało to na myśli. Pod spodem było kilka warstw ubrań. Z ich dotyku, skafander dalej rozwijał temat matczyno-buduarowy. Może zarejestrował, że jestem w ciąży, chociaż jeszcze nie zapytałam, żeby sprawdził. Było to miłe, na swój sposób.

– *Jestem* kogoś praprababką – przypomniałam Tony'emu, gdy zbierałam pistolet, amunicję i scyzoryk. Spojrzał na ten ostatni pożądliwie.

– Scyzoryk Szwajcarski! – powiedział. – Mogę dostać?

– Nie – powiedziałam, chowając do kieszeni. – Chociaż możesz mieć broń. Myślę, że nasi nowi rekruci będą oczekiwać tego po oficerze bezpieczeństwa.

– Ta – powiedział, gdy naciskałam płytkę i drzwi się otworzyły. – Po prostu nie sądzę, że będą oczekiwać takiego stroju po kapitanie.

Środkowy pokład był przestrzenią sterowania klipra termonuklearnego. Okrągły, piętnaście metrów średnicy i pięć metrów wysokości, był osłaniany od silnika przez dwa główne zbiorniki wody, a od promieniowania zewnętrznego przez osłony wody pomiędzy zewnętrznym a wewnętrznym kadłubem. Wyglądał i był podobny do szklarni, ciepły, lekko wilgotny, z oświetleniem zapewnianym przez słońce przefiltrowane przez wodę i lampy elektryczne. Instrumenty i okablowanie przeplatały się z hydroponiką i nieuchronnymi zwiniętymi rurami przezroczystego plastiku, w których krążyły algi. W trakcie burzy słonecznej, cała załoga – zwykle do sześćdziesięciu, licząc załogę i pasażerów – mogła stłoczyć się tutaj, ale większość czasu pokład był zajęty tylko przez załogę przy pracy. W tej podróży nie było pasażerów, więc byliśmy tutaj wszyscy.

Moja wspaniała załoga, moja banda. Tony Girard koło mnie, ekspert do bezpieczeństwa, którego umiejętności konspiracyjne wywodziły się z dawnych walk fakcji w Lagrange'u. Jaime Andrades, nawigator, który żartował, że jego talent pochodził od jego portugalskich przodków, ale który był czarnym ocaleńcem ze sławnej katastrofalnej, angolskiej kolonii na Księżycu. Borys Grobowski, artylerzysta, który spędził swój pierwszy wiek dorosłego życia w ruchomej artylerii Sinosowietów, w ich wolnym, ale nieubłaganym pochodzie od Władywostoku do Lizbony, rozszerzając demokrację od morza do błyszczącego morza. Andrea Gromowa, pilotka, która zaczynała, przed Upadkiem, przyśpieszając antyczne Energii

zatłoczone robotnikami przymusowymi z prywatyzowanych gułagów do obozów górniczych na asteroidach, potem przeszła do rewolucji w bitwie o Nowe South Yorkshire. Lu Yeng, informatyczka, w wieku siedemdziesięciu lat, była najmłodsza, urodzona na Kallisto. Jej rodzice dotarli tam po wstępnych negocjacjach pomiędzy Związkiem a Oddziałem. Intensywność jej doświadczeń przy neutralizacji wirusów Zewnętrznych wynagradzała jej względną młodość, aczkolwiek politycznie była nieco naiwna, zachowując dziwny szacunek dla Kim Nok-Yung, Shin Se-Ha i innych odkrywców Prawdziwej Wiedzy.

Żadne z załogi nie podniosło nawet brwi na mój skafander, kiedy Tony i ja wkroczyliśmy na pokład. Ekscentryczność to zasada. Suze i Malley siedzieli razem na krawędzi pryczy przeciążeniowej[1] i mieli pewne trudności z nieśmianiem się głośno. Spojrzałam się na nich miażdżąc, uśmiechnęłam się i pomachałam do reszty członków załogi, którzy rozpostarli się dookoła w kole około dziesięciu prycz przeciążeniowych.

– Dzięki wszystkim – powiedziałam. – To było doskonałe lądowanie. Gratulacje dla Jaime'a i Andrei. – Nawigator i pilotka odmachali. Poszłam prosto do najbliższej pryczy przeciążeniowej i się położyłam. Tony usadowił się w kolejnej pryczy, pociągnął przenośny instrument przypominający ekran telewizyjny z rączkami i zaczął skanowanie.

– Tony – spytałam po minucie – czy są jacyś ludzie w obrębie dwóch kilometrów od nas?

Nadal przesuwał rączkami przez kilka sekund.

– Nie – powiedział. – Nikt w wodzie, na pewno, a ci, którzy są

[1] oryg. acceleration couch, zapożyczam tłumaczenie takiego samego terminu z serii „Expanse" Jamesa S.A. Coreya – przyp.tłum.

zbyt głęboko w lesie, żebym ich wykrył, powinni być wystarczająco bezpieczni.

– W każdym razie, ogłoś alarm – powiedziałam.

Wewnętrzne alarmy dla myśliwców są kakofoniczne. Zewnętrzny alarm na kliprze termojądrowym, który ma startować z powierzchni planety, został tak opracowany, żeby obudzić martwych i posłać ich jak najszybciej poza zasięg. Słyszeliśmy go delikatnie, ale ciągle czuć było go w zębach. Pozwoliłam brzmieć mu przez dziesięć minut, podczas gdy my przechodziliśmy ostateczną kontrolę: wszyscy przypięci, zawory poboru wody zamknięte, lasery napędu naładowane, tor lotu czysty...

– Ok, towarzysze – powiedziałam – startujemy.

Andrea zmniejszyła regulator reakcji i statek się wzniósł, na początku wolno, drżąc od nosa do ogona.

– Dziesięć metrów – zaintonowała Andrea. – Trzydzieści, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć...

– Na pięciuset metrach, daj pełny ciąg – powiedziałam.

– Żryj protonową śmierć, Canary Wharf[2]! – powiedziała Suze.

– Hej, no co ty – powiedziałam. – Kilka wybitych okien.

Dziesięć sekund później Andrea przekręciła regulator do końca i kolejni niewidzialni ludzie rozpoczęli niemiły eksperyment sprawdzający ilu może się na mnie położyć. Kiedy dotarliśmy do orbity, było ich prawie siedmiu.

Napęd się wyłączył i wszyscy zniknęli. Odpięłam się i pozwoliłam sobie dryfować przez chwilę, ciesząc się uczuciem, póki trwało.

– Wszyscy w porządku? – wywołałam. Wszyscy byli.

– Dobra – powiedziałam – nie cieszcie się za bardzo nieważ-

[2] kompleks biurowy w Londynie walczący o miano centrum biznesowego z City, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Canary_Wharf` – przyp.tłum.

kością. Zbierzemy trochę lodu i potem będziemy gnać całą drogą z jednym g przyśpieszenia.

– Dzięki bogu za to – powiedział Malley, który czepiał się swojej pryczy, jakby bał się upadku. Suze była cicho, blady wygląd kogoś, kto jest skoncentrowany, żeby nie myśleć o byciu chorym. Kilku członków załogi zajęczało buntowniczo.

– Zamknąć się, wy tam – powiedziałam. – Byłam w jednym g przez trzy dni, podczas gdy wy próżnowaliście na orbicie. Możecie żyć z tym przez kolejne dziesięć dni.

– Ale my *już* żyliśmy w tym przez dziesięć dni – gderała Andrea. – W drodze tutaj.

Malley wytoczył się z pryczy i spojrzał na mnie.

– Zatem byliście w ciążeniu 1g przez całe dwadzieścia trzy dni? Zastanawiam się, jak ludzkie ciało może to znieść.

– Nie może – powiedziałam, wypuszczając się, żeby unosić się nad nim. – Stąd wiele chorób, które ciało dziedziczy. Co mi przypomina.

Złapałam wysięgnik, pchnęłam się do ambulatorium i wyklikałam trzy operacje.

– Po prostu połknij te – kazałam mu po powrocie. Złapał kapsułki kodowane kolorem i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Co zrobią?

– Jedna zatrzyma nałogi, ciągle będziesz cieszył się alkoholem czy tytoniem, ale nie będziesz ich potrzebował, inna cię odmłodzi, układ krążenia, mięśnie, skóra i tak dalej, a ostatnia wypoleruje synapsy. – Uśmiechnęłam się na jego podejrzliwą minę. – Tylko hardware, software ciągle będzie Twój. Szczerze, żadnego komunistycznego prania mózgu.

– Domyślam się, że muszę ci czasem zaufać – powiedział krzywo

i włożył tabletki do ust i połknął z trudem. – Tak jak się teraz czuję to również dobrze mógłbym napić.

– Lepiej poczekać, aż będziemy pod przyśpieszeniem – powiedziałam. – Wyciskanie z bulwy nie jest taką zabawą.

Suze obserwowała to z matowym zainteresowaniem.

– Mniemam, że – spytała żałośnie – nie macie nic na chorobę kosmiczną?

– Obawiam się, że nie – powiedziałam. – Po prostu musisz się przyzwyczaić. – Powstrzymałam się od dodania, że pierwsze sześć miesięcy jest najgorsze.

Suze skoncentrowała się na czymś nad nią i skinęła głową, jej usta zaciśnięte w cienkiej linii. Czułam się przykro, ale w tym samym czasie nieco rozbawiona, że prosiła o to samo, co każdy nowicjusz, które zabraliśmy. Lek na chorobę lokomocyjną, w rzeczy samej! Czego oczekiwali od nanotechnologii medycznej, cudów?

– O co chodzi z tymi jednostkami imperialnymi[3]? – Malley spytał, gdy obserwowaliśmy i słuchaliśmy Andrei, gdy kierowała nas do dokowania z tankowcem lodowym.

– Napotkasz argumentacje o ludzkiej skali, intuicji, wygodzie i tak dalej – wyjaśniłam – ale starsze i chamskie osoby w kosmosie podsumują to w dwóch słowach: jebana NASA[4]. Większość kolonii

[3] pytanie wynika z tego, że autor korzysta w tej serii powieści z obu systemów: metrycznego i imperialnego. Na wczesnym etapie, zdecydowałem o konwertowaniu wszystkich przypadków systemu imperialnego na system metryczny – przyp.tłum.

[4] NASA używa systemu metrycznego od 1990 roku, ale w niektórych misjach używa także systemu imperialnego lub korzysta z obu systemów, zob. `https://www.space.com/3332-nasa-finally-metric.html`, niemniej nawet w misjach wcześniejszych (przed 1990 rokiem) obliczenia były często przeprowadzane w systemie metrycznym, natomiast wyniki były wyświetlane w systemie imperialnym, zob. `https://ukma.org.uk/why-metric/myths/metric-internationally/the-moon-landings/` – przyp.tłum.

kosmicznych została zbudowana ze sprzętu ex-NASA lub według dokumentacji NASA wtedy, we wczesnych dniach, i od tego czasu zmiana byłaby zbyt dużym problemem. Jesteśmy w nim zablokowani.

– Tak – powiedziała Andrea. – To dlatego jesteśmy teraz cztery przecinek jeden jeden kilometra od stu tysięcy ton lodu[5] Po prostu musisz pokochać spójność tego wszystkiego.

– No ale – zachichotał Malley, jego usta zaciśnięte na niezapalonej fajce – mniemam, że powinienem być wdzięczny. Jeden Koma Pięć Osiem Kilometra Malleya po prostu nie brzmi tak samo.

Nawet Suze udało się roześmiać, choć ciągle wyglądała nieco zielono. Myśl o bałaganie, jaki mogłaby w każdej chwili zrobić, skłoniła mnie do poszukania pary skafandrów. Wyciągnęłam je i pchnęłam po jednym Malleyowi i Suze.

– Co mam robić z tym? – spytała Suze, oddryfując z ramiona przyciśniętymi około dziesięciu kilogramowej, pół metrowej piłce gumowego bąbla.

– Po prostu pozwól temu cię poznać – powiedziałam jej. Już to wpływało dookoła jej talii i przez brzuch. – Na początku to przyjmie formę najprostszego ubioru roboczego i plecaka, a potem pokaże ci, jak zmieniać się w to, co chcesz. Może udawać niemal każdą teksturę i zewnętrzny wygląd, który określisz. – Pomachałam dłonią w satynowej rękawiczce, różowa koronka obracająca się dookoła przedramienia. – Jeżeli nie określisz szczegółów, oczekuj niespodzianek! Ale nieważne jak frywolnie może to wyglądać, reaguje na próżnię, zanim zdążysz zauważyć. Jeżeli wyjdziesz na zewnątrz, lub jeżeli będziemy mieć, hm, *nagłą utratę ciśnienia w kabinie*, zmieni się natychmiast w skafander kosmiczny. Złap butelkę tlenu, jeżeli

---

[5] patrz przypis wcześniejszy

możesz, ale jeżeli trzeba, może pracować na zamkniętym obiegu praktycznie nieskończenie.

– A co z ubraniami, które mamy na sobie? – spytał Malley.

– Zostaną zasymilowane – zapewniłam go. – Skafander może przetworzyć właściwie wszystko.

Suze rozejrzała się, raczej dziko, gdy inteligentna materia pełzła po jej ramionach.

– A co z toaletą? – powiedziała.

– Jest miejsce zwane dziobem, tam, och, masz na myśli, jeżeli jesteś na zewnątrz w skafandrze?

– Tak.

– Tak jak powiedziałam – powtórzyłam cierpliwie – skafander może przetworzyć właściwie wszystko.

W tym momencie Suze dała możliwość skafandrowi zademonstrować te możliwość i kilka innych, w tym łapanie latających kropelek. Zostawiłam ich z tym.

Godzinę później zastąpiliśmy masę reakcyjną i paliwo wykorzystane w nieprzewidzianej wycieczce *Strasznego Piękna* na powierzchnię planety i przyśpieszaliśmy stałym przyśpieszeniem jeden g w mniej więcej prostej linii po płaszczyźnie ekliptyki ku Jowiszowi, lub raczej, gdzie Jowisz będzie za dziesięć dni. Po pięciu dniach, wyłączylibyśmy silniki, odwrócili statek i zwalniali resztę drogi przy jeden g. To, każdy to powie, nie jest najbardziej paliwooszczędna metoda poruszania. Większość transportu w Układzie Słonecznym prawie wcale nie używa paliwa i mimo tego jest całkiem szybka. Z dostatecznie wielkim żaglem słonecznym możesz przejść z orbity Ziemi na orbitę Marsa w tygodnie, na orbitę Jowisza w miesiące. Nie mieliśmy skrupułów z korzystania z kliprów termojądrowych, w tej mniejszości podróży, przy których nie mieliśmy tygodni czy miesięcy do straty.

(Jak to się zdarza, efektywność paliwowa, czy nawet masy reakcyjnej, nie była czynnikiem ograniczającym. Z napędami laserowej fuzji i praktycznie niewyczerpalnymi ilościami dostępnego lodu, moglibyśmy używać kliprów do wszystkiego. Czynnikiem ograniczającym była dostępność statków).

Powrót do masy sprawił, że Malley i Suze byli weselsi, a reszta nieco mniej. Zeszliśmy schodami z pokładu dowodzenia do kantyny. Był to lekko mniejszy pokój, również okrągły, z kilkoma mniejszymi stołami i jednym dużym okrągłym, bardziej niż odpowiednim dla nas wszystkich. W centrum tego stołu była winda do żywności, a przy każdym siedzeniu była mata z menu. Usiadłam z Malleyem po jednej stronie i Suze po drugiej.

– Możecie wybrać całkiem szeroki wybór jedzenia i napoi – wyjaśniałam – ale z oczywistych powodów wszystko zrobione z gotującą wodą jest specjalnością domu. – Przesunęłam menu. – Czy mogę zaproponować łososia z Tamizy, świeżo złapanego?

Większość z nas skorzystała z tego samego wyboru, stukając właściwe linie w menu, i parujące, posypane migdałami talerze pojawiły się w centrum stołu i były chętnie przekazywane dookoła. Teraz gdy automat miał wzór, mógłby skopiować „świeżo złapanego” łososia z Tamizy, aż napęd przestanie działać, ale prawdziwa rzecz miała dreszcz emocji. Było to subiektywne, ale gdy Malley (lekko pijany Tranquilitatis 2296 i na haju z pierwszego uderzenia połkniętych kapsuł) próbował nam powiedzieć, wartość i tak była subiektywna. Wydawało mu się, że coś pokazuje, ale uprzejmie pominęliśmy milczeniem to nieporozumienie.

Skończyliśmy jeść i włożyliśmy talerze z powrotem do środka. Winda w ciszy opuściła się z nimi. Malley pogrzebał w kieszeni (jego skafander był oparty na podstawowej formie tego, co nosił i wyglądał osobliwie tweedowo) i wyjął fajkę i tytoń.

– Czy palenie na statku jest ok? – spytał.

– Pewnie – powiedziałam. – Siedzimy dwadzieścia metrów nad palnikiem termojądrowym, człowieku. Ogień jest najmniejszym z naszych zmartwień. – Choć miałam nadzieję, że odpuści sobie, skoro nałóg minął. Niektórzy towarzysze bez zastanowienia marszczyli nosy, aż ktoś wpisał komendę na swojej macie, żeby zwiększyć wentylację.

Kiedy dotarliśmy do kawy, przedstawiłam wszystkich: Andrea, Jaime, Borys, Tony i Yeng. Suze patrzyła na mnie, kiedy skończyłam i spytała:

– Jednak Ellen, kim ty jesteś?

Wszyscy się roześmialiśmy.

– Ellen May Ngwethu – powiedziałam. – Urodziłam się w 2041 w kolonii kosmicznej w Lagrange, więc jestem prawie tak stara jak Malley, znaczy Sam! Walczyłam w początkowym rozłamie pomiędzy Zwrotem ku Ziemi a Zewnętrznymi i na Ziemi na początku mrocznego wieku. Pracowałam dla Obrony Ziemi przez długi czas, potem przeniosłam się na Jowisza. Jestem w Oddziale Cassini przez ostatnie, pomyślmy, siedemdziesiąt kilka lat, a teraz jestem w Komitecie Sterowania Oddziału oraz jestem łącznikiem z Komitetem Badawczym Anomalii Jowiszowej. To niewojskowe, naukowe ciało, które jest odpowiedzialne przed Radą Układu Słonecznego i ma prawie ostatnie słowo na temat tego, czym zajmuje się Oddział. Rada Układu Słonecznego ma ostatnie słowo. – Uśmiechnęłam się dookoła stołu. – W teorii. W praktyce, Oddział robi to, co mu się podoba.

Suze wyglądała lekko zszokowana, Malley zadowolony z siebie.

– Znam teorię – powiedział Malley. – W teorii, wszyscy robią to, co im się podoba. „Swobodny rozwój każdej jednostki jest warun-

kiem wojny wszystkich przeciwko wszystkim” lub inny taki nonsens.

Yeng zmarszczyła brwi na taki komentarz, Malley podniósł dłonie.

– Walić politykę, rozumiem z tego, co właśnie powiedziałaś, Ellen May Ngwethu, że jesteś kimś, kto w bardziej otwarcie hierarchicznej organizacji mógłby być nazwany członkiem Sztabu Generalnego. Oficer wojskowy i polityk. Zatem, co do kurwy robisz, brudząc swoje ręce, grzebiąc się w błocie w rezerwacie kułaków, tylko żeby podjąć starego fizyka?

– Dobre pytanie – powiedziałam. Malley spojrzał mi w oczy i zaczął bawić się fajką. Chciałabym mieć coś podobnie rozpraszającego, co zajęłoby moje ręce. – Jedna część odpowiedzi jest taka, że nie pracujemy w sposób, o którym myślisz…nasze komitety mogą wyglądać jak hierarchia, jeżeli narysujesz je na schemacie, ale to tylko tyle. To naprawdę nie jest jakiś rodzaj ukrytej odgórnej struktury. Zatem jeżeli Komitet Sterowania chce wykonać jakąś pracę, to nie ma jakiegoś biednego sługusa gdzieś na dole do posłania go do tej pracy. Zostaliśmy wybrani do tej roboty i ja byłam najlepsza do tej.

– Inna część odpowiedzi jest taka, że musimy zachować to, co robimy w tajemnicy. Oprócz Komitetu Sterowania Oddziału jedynymi ludźmi, którzy wiedzą, że planujemy natarcie przez tunel czasoprzestrzenny, to ci na tym statku. – Rozejrzałam się dookoła. – Jesteśmy tu, jesteśmy drużyną, a wy w niej! Jeżeli nie podoba wam się, co robimy, możecie się wycofać, ale nie opuścicie przestrzeni Oddziału, zanim to się skończy.

Malley i Suze oboje wyglądali na zakłopotanych i chcieli coś powiedzieć. Suze powiedziała to pierwsza:

– Ale *przed* kim zachowujecie tajemnicę?

– Przed Jowiszanami – powiedział Tony.

– Ale... ale... – Malley prawie się jąkał, gdy jego synapsy nie odpalały przy podnieconej wypowiedzi. – Jowiszanie, Zewnętrzni, oni są, oni są szaleni, uwięzieni w ich własnych wirtualnych rzeczywistościach!

Rozejrzałam się po zespole i dojrzałam delikatne kiwnięcia lub poruszenia.

– Już nie – powiedziałam. – Ale to długa historia i wszyscy mieliśmy długi dzień. Mamy jutro na to. Oprowadzę was po statku.

To, co odróżnia klipery termojądrowe od większości statków kosmicznych, jest to, że wewnętrzny układ ma określoną „górę" i „dół". A ponieważ ten przewoził tylko załogę, było mnóstwo miejsca do pokazania Malleyowi i Suze. Po obiedzie wykorzystałam pozostałą energię do wspinania się w górę i dół schodami po całym statku i wyjaśniania tego, co miało być wyjaśnione.

Kadłub klipera był jakby jajem w kształcie gruszki, sześćdziesiąt metrów długości i dwadzieścia metrów szerokości w najszerszym miejscu, które było zajęte przez kantynę i pokład dowodzenia. Wąski koniec zwężał się do rakiety i zawierał palnik termojądrowy, główne zbiorniki z wodą i systemy podtrzymywania życia. Ponad, lub z przodu, nad pokładem dowodzenia są sypialnie, ciasne, ale ozdobione roślinami pnącymi i rurami recyklerów (w praktyce trudnymi do rozróżnienia), co daje poczucie otwartości. Ponad tym, stłoczone dookoła wielkiego szklanego oka osłony cieplnej, są działa laserowe aktywnej obrony dla poradzenia sobie z latającymi śmieciami, które (przy prędkościach, jakie kliper może osiągnąć) muszą być *wszystkie* załatwione.

Nasza wycieczka kończyła się na galerii do spania, która, typowo dla tej klasy statku, była specjalnie zaprojektowana, żeby przypominać jaskinie klifowe wychodzące na główny szyb powietrza,

którego dno było przezroczystym dachem środkowego pokładu, a góra była przezroczystą osłoną cieplną, przez którą można było dojrzeć zniekształcone, ale rozróżnialne gwiazdozbiory. Losowe, ciche rozbłyski nadlatującego kurzu i meteoroidów, odparowywanych przez lasery systemu aktywnej obrony statku, zapewniały uspokajający odpowiednik spadających gwiazd naturalnego nieba.

Malley oparł się o balustradę i spojrzał w górę i w dół.

– Dlaczego układ recyklingowy? – spytał. – Czas podróży to dni lub tygodnie. Dlaczego nie wozić zaopatrzenia?

– Nie wszystkie podróże są takie krótkie i nie wszystkie kończą się w portach – powiedziałam.

– Hmm – powiedział. – Kolonizacja.

– Cóż – wzruszyłam ramionami – jest pas Kuipera i Oort.

– A Nowy Mars? – spytała Suze psotnie.

– Planujemy do przodu – zgodziłam się. Oboje się roześmiali.

Malley rozciągnął się i ziewnął.

– Miałaś rację – powiedział. – Czas do łóżka. Cóż, gdzie zostawiłem torbę?

Odnalazłam ich bagaż, potem pokazałam im ich kabiny i wczołgałam się do swojej. Tylko tyle przestrzeni, żeby stanąć i się położyć, jej zaokrąglone ściany pożyłkowane przezroczystymi rurkami niosącymi wirujące roje sztucznie zaprojektowanej luminescencyjnych pierwotniaków, wyglądało to jak w podmorskiej jaskini, z prostokątem pianki koloru piaskowego jako jedynym meblem. Pozwoliłam zewnętrznej garderobie skafandra zmienić się w grubą kołdrę i poduszkę i odkryłam, że wewnętrzne warstwy skafandra rozszerzyły swój zakres tekstur do puszystej dzianiny wełnianej i drapanego jedwabiu, a ich kolory odpowiednio do ecru, beżu i kilku odcieni brzoskwini. Było to bardzo wygodne. Odpięłam kilka pasków, naciągnęłam kołdrę na głowę i poszłam spać.

– Chcesz żyć w wymarzonym świecie! – oskarżyłam.

Wiszę za duży lewy palec stopy na dziurze w kącie aluminiowego wspornika, unosząc się pod kątem prostym do dzieciaka, z którym się kłócę, i wyciskam odrzuty piwa z haszem w usta z dyszy plastikowej butelki, która kiedyś zawierała coś całkiem innego (czego smak się utrzymuje) w zatłoczonym pokładzie rekreacyjnym (lub, nieuchronnie, „roz-kładzie") na stacji orbitalnej Obrony Ziemi pozostawionej skłotersom i rozpadowi orbitalnemu, jest 2062, i wiem, że nie może być i że śnię. Zatem oskarżenie nie jest szczególnie przekonujące.

Dzieciak ma dziewiętnaście lat i musiał ostatnio przybyć: jest gruby, a nikt nie jest – lub zostaje – gruby w nieważkości (to taka wspaniała dieta dla utraty wagi). Jego twarz, usiana erupcjami jak Io, przywołuje na myśl wszystkie pizze, które musiał w nią wepchnąć. Jego oczy mają skłonność do wybrzuszania: współczesny równoważnik okularów z denek od słoików, z powodu kilku operacji korekty rogówki, żeby skorygować krótkowzroczność wywołaną czytaniem. Gardząc chmielem i konopiami jako niezdrowymi, wysysa jakiś podły koktajl inteligentnych narkotyków z dodatkiem euforyków. Wie wszystko.

– Jesteś marzycielką – mówi. Macha ręką na okno, dziesięć metrów stąd po drugiej strony roz-kładu. Przez masę dryfujących pijaków, przez chmury dymu i dzikich kropel, pojawia się obraz ceglastoczerwonej powierzchni. Madagaskar, poznałabym wszędzie. – Ciągle tkwisz w komunistycznym altruizmie. Chcesz pomóc ludziom, którym nie możesz pomóc. Oni są skazani na zagładę. „Ziemia Trzecim Światem" ha ha. Czas dorosną i to zrozumieć, Ellen. Czas się wynieść. Tam jest wielki wszechświat.

– Dokładnie tak twierdzę. – Gestykuluję, również, na to, co jest

teraz Oceanem Indyjskim. – A Ziemia jest jego częścią. Chcesz żyć w wirtualnej rzeczywistości.

– Nie do końca. – Uśmiecha się, pokazując popsute zęby. – Będziemy uważać na zewnętrze, musimy, jeżeli chcemy zamienić całą tę głupią masę w inteligentną materię. Materię, która myśli, i marzy. Świat cudów, gdzie możesz zostać kimkolwiek chcesz, nie tym, co stworzyły fart i geny.

– Nie chcę zamienić wszechświata w wielki komputer dla wirtualnych rzeczywistości – mówię mu. – I, przy okazji, nie nazywaj mnie „komunistyczną altruistką". To zwykła ludzka troska. Nie lubię patrzeć, jak ludzie cierpią, zatem byłoby to bardzo *nieegoistyczne* ignorowanie dziesięciu miliardów ludzi błądzących w ciemnościach.

– Nie musisz patrzeć na ich cierpienie – mówi mi z nieznośną pewnością. – Możesz po prostu *ich wyedytować*. Tak czy inaczej, ich problemy są *ich* problemami. Dlaczego mają być Twoimi?

– Ponieważ dbam o nich i jeżeli to brzmi altruistycznie, pomyśl o tym w ten sposób: jestem wystarczająco egoistyczna, żeby chcieć zostać, och, księżniczką Galaktyki. Ok, w razie potrzeby, będę szczęśliwa, żyjąc wiecznie w Galaktycznym Imperium. *Osobiście chcę* widzieć wszechświat pełen ludzi dobrze się bawiących.

Pomachałam ekspansywnie na roz-kład, żeby podkreślić.

– Ludzie! – Parsknął. – Gdzie Twoja ambicja? Możemy być lepsi niż to.

– Chcesz być maszyną. – Wychyliłam drinka na raz. – Nie chcę.

Wzrusza ramionami.

– Jeżeli chcesz żyć w kosmosie, to lepiej być maszyną niż workiem morskiej wody. Dokumentacja projektowa ludzkiego ciała to: skafander kosmiczny dla ryby. Maszyny w kosmosie są w domu.

Uśmiechnęłam się tak szeroko i radosna, że myśli, że go lubię,

a ja wracam z cytatem z przestarzałej dystopii, która miała taki duży wpływ na mnie, kiedy byłam dzieckiem: *Ten Wspaniały Dzień* Iry Levina[6]. (Nie, żebyśmy byli w niebezpieczeństwie tego wspaniałego dnia, lub jakiegokolwiek innego, ale książka do mnie przemówiła).

– „Maszyny w kosmosie są w domu. Ludzie są obcy."

Ciągle się uśmiechał, ciągle myślał, że się zgadzam. Piwo haszyszowe doprowadza mnie do zjaranego i zdenerwowanego przemówienia:

– Obcy w obcym kraju. Marks nie miał racji, nie jesteśmy wyalienowani *od* naszej ludzkości, alienacja *jest* ludzkością. Zawsze jesteśmy w stanie zrobić krok do tyłu i spojrzeć na to, co robimy, z zewnątrz do pewnego stopnia, mamy zewnątrz, *wewnątrz* i to jest nieskończone jak kosmos. Żaden test Turinga nie może się zbliżyć, niezależnie jak dobry, w udawaniu organizmów. Maszyny rachują, ludzie obliczają. Maszyny mają programy, ludzie mają cele. – Przestałam, wpatrzyłam się w niego i wzięłam kolejny łyk piwa. – Zatem tak.

– Ludzie też są maszynami – mówi. – A maszyny zawsze będą wszystkim, co mamy, kiedy przeniesiemy swoje umysły do nich.

– Tak to nazywasz. Zdzieranie z mózgu warstwy po warstwie i modelowanie jej w komputerze jest czymś, co nazywam *umieraniem*.

– To przekraczanie – mówi. Uderza się w pierś, prawie wprawiając się w wirowanie. – *To* jest umieranie. – „Mięso to morderstwo"

– Tak – mówię okrutnie. – Gdybym miała *Twoje* ciało, też bym chciała czegoś innego.

Nie odbiera tego jako miażdżącego afrontu, jakim miał być.

---

[6] powieść science-fiction, wydanie polskie 1995 – przyp.tłum.

– Tak – mówi, ciągle z uśmiechem. – Kiedy się uploaduję, mogę wymodelować wirtualne ciało na Twoim.

Ekran telewizyjny na końcu baru rozprasza moją uwagą, gdzie pojawiają się twarze moich rodziców, mówiących do mnie w języku, którego nie rozumiem, uśmiechających się, uspokajających. Ich drgające, „martwe, ale elektryzowane" ciała dryfują przed ekranem, przypięte do rur, które wysysają ich mózgi.

– Żegnaj, Ellen – mówią – żegnaj. Do zobaczenia za dziesięć tysięcy lat.

Wściekła, odwracam się do dzieciaka, ale on już się zmienił, z łajzy w kroplę, kształt pantofelka z fraktalnymi rzęskami, łatą, która pokazuje piksle i mrozi twarz, moją twarz.

– Lubię Twoje ciało – mówi.

– Chyba śnisz! – krzyczę na niego. – Chyba śnisz!

I budzę się.

Kołdra mnie otula, poduszka spija moje łzy.

– Ciii – uspokaja. – Wszystko będzie w porządku.

Następnego dnia wstałam około jedenastej, czasu statku (który, wygodnie dla tych, którzy wsiedli wczoraj, był taki sam jak czas uniwersalny[7]) i poszłam na pokład. Raczej ku mojemu zażenowaniu, przyszłam ostatnia, a reszta załogi uhonorowała okazję, ustawiając swoje skafandry w różne przybliżenia okrutnie męskiego militaryzmu. Andrea i Borys zabawiali Suze i Malleya pokazami systemu aktywnej obrony, który, choć automatyczny, mógł być przejęty, żeby pokazać widowiskowe gry strzelanki z (najczęściej ma-

---

[7] czas słoneczny średni na południku zerowym, za który przyjęto południk przechodzący przez obserwatorium astronomiczne w miejscowości Greenwich, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Czas_uniwersalny` – przyp.tłum.

łymi, ale szybkimi) meteoroidami jako celami. Inni bawili się w mniej produktywny sposób.

Wychrząkałam powitanie do wszystkich i miałam samotne i zamyślone śniadanie w kantynie, wyganiając kłaki niespokojnego snu silną kawą. Zabrałam trzeci kubek ze sobą na górę i usiadłam na sofie.

– Ok, towarzysze – powiedziałam. – Mamy sesję. Yeng, czy mogłabyś poprowadzić?

Kiwnęła głową, odsuwając gogle i zbiornik nanotech, i klaszcząc w dłonie.

– No *chodźcie*, ludzie. Włączcie komputery celujące i chodźcie tutaj.

Andrea, Borys, Malley i Suze odciągnęli się od sterowania ręcznym ogniem i usadowili się na końcach sofy. Dostałam wstydliwy uśmiech od Suze, zarozumiały uśmieszek od Malleya. Leczenie działało, choć nie było zakończone, zmieniło jego wygląd przez noc: wyprostowało postawę, wygładziło skórę na twarzy, ścierając zmarszczki z okolic oczu.

– Twoje małe tabletki zdecydowanie coś zrobiły z moimi odruchami – powiedział. Borys rozłożył ręce i zrobił bujający ruch:

– Biorąc pod uwagę, od czego zaczynałeś. . .

Obaj mężczyźni się roześmiali. Miałam nadzieję, że to wskazywało na początek, na poziomie próbnym, przyjaźni.

– Suze, Suze – zaczęłam – reszta z nas wie, co zamierzam wam powiedzieć, ale każde z nas może odpowiedzieć na inne pytania, zatem. . .

Pracowałam przy długim, niskim siedzeniu sterowania, unosząc centralny zespół instrumentów nad głowami i obniżając wysięgnik, na którym był zawieszony aparat projekcji holograficznej. Macki wysunęły się z moich rękawic w interfejs systemu. Lampy elek-

tryczne się wyłączyły i włączyłam obraz Jowisza wielkości piłki nożnej, lekko oświetlony. Ustawiłam obracanie się z przesadzoną prędkością w świetle z zewnątrz, pod odbitymi, wielokrotnie zniekształconymi obrazami prawdziwych gwiazd nad nami.

– Krótka historia systemu Jowiszan – powiedziałam. – Zacznijmy od tego, jak wyglądał, zanim Zewnętrzni rozpoczęli projekt Jowisz. – Cztery księżyce galileuszowe krążyły dookoła, Wielka Czerwona Plama kręciła się z kolorowymi pasami planety. – Oto pierwsza wskazówka, że coś dużego się dzieje, co zauważyliśmy w 2090 roku. Prawdziwe nagranie archiwalne z Obserwatorium Farside.

Ganimedes rozkruszył się, nie wybuchł, nie rozleciał się na części, ale rozdzielił na miliony kawałków, które, w tym przyśpieszonym ujęciu, natychmiast rozprzestrzeniły się w krąg.

Wszyscy widzieliśmy to wcześniej – to film Zaprudera[8] w astronautyce: najszerzej znane obrazy i najdokładniej analizowane i dyskutowana sekwencja fotografii w historii podboju kosmosu. Technik, który nagrał to, miał poczucie humoru jak również poczucie historii, i odegrałam audio jego (rzekomej) pierwszej reakcji: „Och na gwiazdy, tam jest pełno bogów!”

Drobne uprzejme śmiechy dookoła.

– Ok – powiedziałam – wszyscy to słyszeliśmy. Ale miał rację. A my *ciągle* nie wiemy, jak to zrobili, nawet co do zasady. Sam Malley udowodnił koncepcję Bramy i Napędu, a nanotechnologia i transfer umysłu były dobrze zrozumiane znacznie wcześniej, zasadniczo już w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Niemniej jednak roztrzaskanie największego księżyca w Układzie Słonecznych było, hmm, rodzajem szoku.

Najbardziej przerażającym momentem mojego życia, mówiąc

[8] film nakręcony z zamachu na J.F. Kennedy’ego, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Film_Zaprudera` – przyp.tłum.

precyzyjnie. Skinęłam głową Tony'emu, który podjął tę stronę historii.

– Wszyscy – powiedział – pamiętali, że Zewnętrzni ogłosili swoje zamiary zamiany wszystkiego prócz gwiazd w inteligentną materię, zaczynając od mniejszych asteroid i działając na coraz większą skalę, aż do czegoś, co nazwali „mózgi wielkości Jowisza". Mieli powiedzenie: „Jeżeli nie działa na tym program i nie syntetyzuje atomów, to tylko zakrzywia przestrzeń". Zatem byliśmy raczej przejęci, gdy to zobaczyliśmy. – Uśmiechnął się do nas słabo. – Szczególnie ci z nas, którzy żyli na Księżycu.

Malley podniósł wzrok od szkicowania czegoś w notatniku, który wyczarował na kolanie swojego skafandra.

– Mogą istnieć sposoby wyprowadzenia, hmm, *niszczyciela planet* z tych samych schematów co Brama – powiedział. – Myślałem o tym przez lata, ale nigdy nie doprowadziłem tego dalej. Popracuję nad tym.

– Dobrze – powiedziałam, uśmiechając się najcieplej, jak mogłam. – Dobra, co do Bramy. – Przewinęłam taśmę do przodu, skupiając się na pierścieniu i powiększonym obrazie tego, co było granicami rozdzielczości naszych teleskopów w latach dwa tysiące dziewięćdziesiątych. Złożona konstrukcja dźwigarów nagle nabrała kształtu, trójwymiarowa sieć czarnych włókien w pierścieniu. W tym samym czasie powierzchnia Jowisza została zmieniona, jego pasy podzielone przez prądy krzyżowe. Zatrzymałam na zbliżeniu struktury.

– Te zdjęcia są z plików odzyskanych z robota konstrukcyjnego przez tak zwaną sztuczną kobietę, Meg, która była towarzyszką Jonathana Wilde'a w ciele tego robota – wyjaśniłam. – Czarne rozpory są, prozaicznie, poliwęglanowymi dwuteownikami, choć zawierają złożoną wewnętrzną maszynerię. Małe roboty, który widzicie przelatujące i najwidoczniej pracujące na strukturze są siłą

przymusowej pracy, każdy z nich ze skopiowanym ludzkim umysłem działającym na komputerze pokładowym. – Przerwałam, zacisnęłam usta na chwilę, wzięłam głęboki wdech i kontynuowałam. – Teraz *to*. . . – Zatrzymałam klatkę, potem puściłam dalej – . . . jest zupełnie innym rodzajem uploadu. To jest to, co nazywamy „superorganizmami”, a co eks-ludzcy robotnicy w projekcie nazywali „makro”. To obiekty inteligentnej materii, konstelacje bilionów nanomaszyn i jedna z wielu. Każda zawiera dosłownie miliony umysłów, w większości skopiowanych i wzmocnionych, następców oryginalnych Zewnętrznych. Wilde mówi o nich jako „szybki ludek” i termin się przyjął, ponieważ jest trafny: ich umysły myślą i doświadczają przynajmniej tysiąc razy szybciej niż nasze.

Wszyscy siedzieliśmy i patrzyliśmy na makro, koszmarny gigantyczny i wielokolorowy kształt amebowy, powierzchnie fraktalne wrzące, nibynóżki wyłaniające się i cofające, gdy to przeciekało dookoła dźwigarów. Jego wielkość pomniejszała skalę małych, metalicznie wyglądających robotów przymusowych sług.

– Nigdy nie pokazaliście tych zbliżeń ludziom na Ziemi – oskarżyła Suze. Przytaknęłam energicznie.

– To prawda – powiedziałam. – Zachowaliśmy je dla siebie, na razie. Wszystko, co ktokolwiek w Systemie Wewnętrznym widział, to rozmyte plamy, które pokazywały się na niektórych zdjęciach, które mieliśmy od jednej z sond szpiegowskich, zanim została wykryta i zniszczona.

– Bardzo demokratycznie z waszej strony – powiedział Malley. – Nie chcieliście wzniecać paniki, prawda?

– Nie do końca – powiedział Tony, pochylając się do przodu. – Jeżeli jesteś taki jak ja, doktorze Malley, jestem pewien, że czujesz reakcję niepokoju lub nawet strachu, który jest raczej obiektywnie trudny do wyjaśnienia. Nam samym trudno to wytłumaczyć i po-

dejrzewamy, że może to być wywoływane specjalnie przez subtelne efekty wzorców na powierzchni. Jeżeli to prawda, to prawdopodobnie miało na celu onieśmielać siłę roboczą. Testy na naszym własnych ludziach pokazały, że ta odpowiedź może łatwo być zamieniona w pragnienie przyśpieszonych działań przeciwko teraźniejszym następcom tych bytów. Tego nacisku wolelibyśmy uniknąć.

Teraz, pomyślałam. Kontynuowałam szybko, pokazując następujące stadia konstrukcji projektu w przyśpieszeniu. Nagle struktura się podzieliła, mniejsza, kołowa sekcja sama się odłączyła. Powierzchnia Jowisza zawirowała, równik był wykropkowany czymś, co wyglądało jak trąby wodne, które wzniosły się po zakrzywionych trajektoriach do Pierścienia. Krąg grubości włosa dookoła Pierścienia rozżarzył się do białości. Nowooddzielona struktura wydawała się sama złożyć w sobie i tam, wisząc jak błona mydła na pierścieniu była sama Brama: koło o szerokości mili rozciągniętej przestrzeni, jego krawędź lśniąca wszystkimi kolorami spektrum.

– Mila Malleya – powiedziałam. Malley ukłonił się nam ironicznie. – Jeżeli przyjrzycie się, zobaczycie chwilę, kiedy dzieli się na dwa nakładające się kręgi, dwie strony tunelu czasoprzestrzennego. Teraz. Mały, ciemny obiekt w centrum to statek Zewnętrznych, lub sonda, która. . .

Linia światła dźgnęła na stycznej ze świecącej linii dookoła wielkiego pierścienia, prosto w centrum Bramy.

– . . . odchodzi. – Wszyscy mrugnęli. Wszyscy nabrali powietrza, nawet ci, którzy widzieli tę scenę setki razy. – Zabierając jedną stronę wormhole'a ze sobą. Zauważcie jak strumień plazmy ewidentnie tylko *się zatrzymuje*, kiedy dociera do Bramy. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że strumień przechodzi z lokalnego obszaru czasoprzestrzeni do. . . gdzieś indziej. Jednak w przypadku, gdyby ktoś się zastanawiał, udało nam się namierzyć sondę przez

pierwsze kilka minut. – Pojawiło się ziarniste zdjęcie, pokazujące smugę światła i zamazaną kropkę. – Jak możecie zauważyć, jest tam strumień plazmy, który wychodzi najwidoczniej znikąd i przebywa kilkaset metrów przestrzeni do sondy, gdzie jest przekształcany w energię kinetyczną przez coś, co zakładamy, że jest, hm, napęd wirtualnej masy Malleya. Obliczamy, że sonda osiągnęła prawie prędkość światła w miesiąc. Potem, sprawy się skomplikowały, ponieważ obie strony tunelu są w tym samym układzie odniesienia[9].

Suze wyglądała na zdziwioną. Uśmiechnęłam się do Malleya.

– Sam, Twoja kolej.

Malley wzruszył ramionami.

– Upraszczając drastycznie. . . to nie jest faktycznie poprawne, by mówić o „obu stronach" tunelu. Statek podróżuje z jakimś dowolnie bliskim przybliżeniem do prędkości światła, zatem doświadcza relatywistycznej dylatacji czasu, czas biegnie wolniej na statku niż w domu. Naprawdę paradoksalną cechą wormohole'a jest to, że obie strony są w tym samym miejscu. Zatem cokolwiek wchodzi z jednego końca tunelu dociera na drugi koniec w czasie statku, co po, powiedzmy, roku, powinno być setki lat świetlnych stąd i setki lat w przyszłości. Z ciągłym przyśpieszeniem, sonda osiągnie granicę obserwowalnego wszechświata w trzydzieści lat według statku. Zatem, trzydzieści lat od startu, cokolwiek przechodzące przez tunel dotrze natychmiast w tym samym miejscu. To jest, jeżeli wolicie, maszyna czasu w przyszłość.

Suze uśmiechnęła się do nas.

– Jeżeli tak mówisz.

Roześmiałam się.

---

[9] zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Uk%C5%82ad_odniesienia` – przyp.tłum.

– W międzyczasie, jeżeli o tym mowa, dość dużo działo się dookoła Jowisza.

Powierzchnia planety była pocętkowana, miejsca ciągle ryczących tornad rozszerzały się w różne warianty Wielkiej Czerwonej Plamy. Wyciągnęłam zdjęcia zestawione w czasie z rejestrów wyciągniętych z umysłu AI Meg. Makra zmieniły się, gdy obserwowaliśmy, ich oryginalnie gorączkowa wewnętrzna aktywność przyśpieszyła, a potem zwolniła do zera. Kilka z nich wydawało się krystalizować i dryfować ku atmosferze Jowisza. Reszta widzialnie pomarszczyła się, gnijąc do kształtów szkieletu jak żyły na opadłych liściach.

Nowy kształt pojawił się na scenie, przebijając się przez martwe makra i ogromny teren budowy jak kamień przez pajęczynę. Punkt widzenia zbliżył się do tego kształtu, pokazując długie, awaryjne złożenie pojazdów, habitatów, obracających się szalenie w swojej osi i podążających niepewnie kursem wzdłuż linii strumienia plazmy. A potem punkt widzenia był umiejscowiony wyraźnie *na* połatanych razem statku, gorąca, biała linia uciekająca wstecz. Ujęcie zakończyło się w błysku niebieskiego światła.

– Promieniowanie Czerenkowa – powiedziałam. – Przeszli przez tunel, cóż, przez gałąź, wormhole-córkę, i jak wiemy, znaleźli nowy dom. Teraz zostawimy ich na chwilę i cofniemy się zobaczyć, co się stało po tej stronie. – Przełączyłam się na widok teleskopowy: fontanny gazu i strumienie, które je zasilały, ustały.

– Nie jesteśmy pewni – powiedziałam – czy to było planowane, sonda osiągnęła jakiś punkt, gdzie będzie przyśpieszać bez potrzeby bazy, lub może to był wynik katastrofy, którą widzieliście, jak się rozwijała, lub może faktycznie to była odpowiedź na ucieczkę siły roboczej na tej niezwykłej imitacji statku gwiezdnego.

Suze uśmiechała się od ucha do ucha.

– To był niezły wyczyn, taka ucieczka – powiedziała.

– Z całą pewnością – powiedziała Andrea. – Ciągle drżę za każdym razem, jak to oglądam.

– Dlaczego po prostu nie skierowali się do domu, do Systemu Wewnętrznego? – spytał Malley.

Wzruszyłam ramionami, ukrywając chwilowy ból.

– Częściowo dlatego, ironicznie, że nie mieli zasobów na tak długą podróż w, hm, *rzeczywistym wszechświecie*, zajęłoby im to lata, żeby wrócić do najbliższych kolonii ludzkich w *tej* rzeczy, a częściowo, ponieważ ich przywódcy, jako orbitalny obóz pracy, cóż, układ nie był do końca demokratyczny, zdecydowali, że chcą udać się do gwiazd.

– Także – dodał Tony – podejrzewam, że postludzie systematycznie wprowadzali w błąd ich o tym, co się dzieje w Systemie Wewnętrznym. Wilde zdecydowanie myślał, że zagłuszaliśmy ich łączność, co jest mniej więcej przeciwieństwem prawdy.

– Ok – powiedział Malley.

– Racja – kontynuowałam. – Następne wydarzenie, około roku później, to rozpoczęcie zalewania niszczącymi wirusami komputerowymi na częstotliwościach radiowych skądś wewnątrz atmosfery Jowiszowej. Dużo czasu nam zabrało wydobrzenie, a jeszcze więcej dostanie się tam samodzielnie. W ciągu pięciu lat, jednakże, nasze teleskopy odbierały coś, co większość z was uważa za tak znajome, że trudno sobie wyobrazić, jak niesamowite wydawało się to wtedy. – Roześmiałam się krótko. – Dzisiaj dzieci na pewno myślą, że ten wygląd Jowisza jest *normalny*.

Obraz planety się zamazał, pomarańczowy pas znany od czasów samego Cassiniego rozpadł się na krótko w chaos, a potem ułożył się w nową konfigurację, która była znana przez ostatnie kilka

wieków: olbrzymie heksagonalne twory, jak komórki konwekcyjne Bernoulliego w gotującej się wodzie.

– Jak widzicie, potrafili wpłynąć na własne środowisko, celowo, czy nie, nie potrafimy powiedzieć. Pamiętajcie, z jaką prędkością oryginalni postludzie pracowali, jeżeli została zachowana, byty, które teraz nazywamy Jowiszanami, musieli zrobić to w ciągu pięciu lub sześciu tysięcy subiektywnych lat, zatem to mógł być tylko produkt uboczny ich aktywności. Co około pięć lat, te komórki zapadają się i odtwarzają, a transmisje radiowe się zmieniają. Sądzimy, że reprezentuje to powtarzające się wzrosty i upadki kultur postludzkich w rzeczywistościach wirtualnych, choć z tego, co wiemy, mogli równie dobrze zdegenerować się do poziomu przedludzkiej inteligencji, a wszystko to może nie mieć większego znaczenia niż efekt pracy koralowców lub pszczół. Wiadomości wirusowe same w sobie mogły być po prostu odruchem obronnym, równoważnikiem chmury atramentu kałamarnicy lub roślinnych insektycydów.

Yeng uniosła dłoń, wykorzystując prawo przewodniczącej do przerwania.

– To wcale nie byłoby mniej niebezpieczne – wskazała. – Choroby biologiczne też nie są inteligentne, ale ciągle mogą nam zagrozić, a wirusy komputerowe, które coś tam generuje, są zdecydowanie zagrożeniem.

Kiwnęłam zdecydowanie.

– Tak... dlatego nasza łączność jest taka ograniczona i dlaczego większość naszych komputerów to takie ciężkie potwory, i *wszystkie* nasze komputery, aż do nanoskali, są mechaniczne. Jednak to tylko część tego. Co jakiś czas zdarzają się próby wystrzelenia rzeczy w kosmos. Te próby narastają w czasie. Dlatego przychodzimy.

To, co nastąpiło, było praktycznie propagandowym video Oddziału Cassini, pokazujące ciągłą czujność orbitalnej floty patrolu-

jącej tuż nad atmosferą jowiszową, rozwalającej cokolwiek większego niż ziarnko piasku, co wyglądało, że kieruje się w złym kierunku, oraz długa straż Bramy. Głos lektora starannie wyjaśnił, że to ostatnie nie było kompletną stratą czasu, jak się wydawało, ponieważ też byliśmy zasypywani danymi wysyłanymi z sondy, która ciągle pogłębiała naszą wiedzę o dalekiej przyszłości wszechświata. Malley uśmiechnął się do mnie sceptycznie.

Zatrzymałam video.

– Wszystko to jest teraz, niestety, nieaktualne – powiedziałam. – Ponieważ coś nowego się wydarzyło. – Zaznaczyłam miejsce dla późniejszego wykorzystania i pokazałam nowy materiał filmowy.

– To jest aktualne – powiedziałam. – Ostatnie kilka miesięcy. Jeszcze nie, hm, nie opublikowaliśmy tego.

Potężne wieże wymarły, tak jak zrobiły to dwukrotnie w przeszłości. Kiedy się odnowiły, pomiędzy nimi pojawiły się grona bąbli, huśtających się widocznie i potem tonących. Za każdym razem, gdy wracały na powierzchnię, grupy się rozszerzały i mnożyły, połączone długimi i (w tej skali) cienkimi, czarnymi linami. Powiększyłam rozdzielczość, pokazując czarne kształty poruszające się w obrębie czarnych linii, w obu kierunkach.

– O, kurwa – powiedział Malley.

– Dość – powiedziałam, uruchamiając skanowania. – Zdecydowanie wygląda to jak jakaś stabilna, zorganizowana forma życia, z habitatami, technologią i transportem. Na razie, to najlepsze szczegóły, jakie mamy. Może najważniejsze z tego jest to, że pomiędzy tymi klastrami są przesyłane wąskopasmowe wiadomości. Nie udało nam się ich zinterpretować, ale wyglądają jak inteligentna komunikacja. Istnieje prawdopodobieństwo, że to, co widzimy, jest dowodem, że Jowiszanie w końcu wydostali się z powracających pułapek ich odziedziczonych rzeczywistości wirtualnych i ujawnili

się jako nowy gatunek. Rozwijają się i zmieniają szybko, śledzimy przeloty w atmosferze, prędkość i częstość tych lotów z każdym tygodniem wzrasta.

– Rany! – powiedziała Suze. – Obcy!

– Nie – powiedziałam. – Postludzie, superludzie, forma życia post-Osobliwości, która może być daleko bardziej rozwinięta tak jak my wobec mrówek. Lub będzie, Już Niedługo.

Rozejrzałam się po kręgu. Malley i Suze wydawali się zdziwieni, ale nie zmartwieni. Moja załoga była zjednoczona srogim postanowieniem.

– Czy to dlatego jesteście tacy chętni, by przejść przez tunel? – spytała Suze.

– Więc możemy, możecie uciec, jeżeli będzie trzeba?

– To część tego – przyznałam. – A część tego jest taka, jak mówiłam, nie wiemy, co się dzieje po *drugiej* stronie: jeżeli to coś takiego jak to, chcemy wiedzieć.

– Jest jeszcze coś – powiedział Borys. – Coś, co powinniście wiedzieć.

Kiwnął głową, uruchomiłam standardowy film, w miejscu, gdzie zatrzymałam. Pokazywał nasze odległe ekspedycje w Pasie Kuipera, by, używając laserów i taktycznych atomówek, zmienić orbity komet w kierunku Systemu Wewnętrznego i wysłać je, okrążając Jowisza, do Marsa lub Pasa.

Przerwałam i włączyłam światła. Wszyscy oparliśmy się i spojrzeliśmy na Malleya i Suze. Wszyscy z nas, mniemam, czuli się spięci jak ja. Zdecydowaliśmy, w długich debatach w naszej podróży ku Ziemi, że Malley (lub Wilde, jeżeli udałoby się go przekonać) pozna całą historię, ponieważ byłoby niemożliwym ukryć przed nim, kiedy zacząłby pracować nad problemem wormhole'a,

i raczej było małoprawdopodobne, że oszukanie przyjąłby spokojnie.

Usta Malleya się otworzyły, potem zamknęły. Przełknął mocno i przemówił.

– Nie mówicie poważnie – powiedział. – Nie możecie, czy właśnie mówicie nam, że zamierzacie zorganizować bombardowanie kometarne i zniszczyć nowych Jowiszan?

– Tak – powiedziałam. – To dokładnie, co zamierzamy zrobić. Gdy tylko zobaczyliśmy ten nowy rozwój, puściliśmy rzeczy w ruch, dosłownie, w Pasie Kuipera. Zabrało to dużo pracy, ale jest teraz gotowe. Mamy ciąg masywnych komet, które przybędą w mniej niż trzy tygodnie. Pchniemy je w ostatnim momencie i nastąpi seria uderzeń po całej planecie. Powinno zadziałać, nowi Jowiszanie wydają się bardziej wrażliwi niż cokolwiek, co tworzy te wieże. Te bańki, które widzieliście, są tym, czym są, bańkami w atmosferze. Większość ich technologii wydaje się opierać na manipulacji polami elektromagnetycznymi, przepływem gazów i reakcjami chemicznymi na wielką skalę. Zamierzamy skierować strumień szybkich, ciężkich jąder komet w atmosferę Jowisza, uderzyć ich z siłą większą niż milion wojen jądrowych i wymazać ich na dobre.

– Ale nie wiemy, czy są wrodzy! – zaprotestowała Suze. – Próbowaliście się z nimi skontaktować?

– Oczywiście, że nie – powiedziała Yeng. – Ciągle masowo produkują te same stare wirusy. Jeżeli celowo nawiązalibyśmy łączność z nimi, kto wie, jakie odesłaliby nam niszczycielskie wirusy?

– Musicie być w stanie zbudować zabezpieczenia – powiedział Malley. Stukał niezapaloną fajką o zęby. – Nie widzę uzasadnienia.

– Są w stanie nas wyprzeć – powiedział Tony. – Przynajmniej,

jest duża szansa na to. Przedstawiają zagrożenie dla nas tylko swoim istnieniem. Czy to niewystarczające usprawiedliwienie?

Suze i Malley oboje pokręcili głowami.

– Zrobienie tego to zło – powiedziała Suze. – Moglibyśmy się od nich nauczyć. Moglibyśmy przekonać ich do wstrzymania nadawania wirusów. Mogą nie być w stanie nas skrzywdzić. Mogą nawet nie być świadomi naszego istnienia!

– Oto nadzieja – powiedziała Andrea. – W ten sposób, nie mają szansy na obronę.

Wszyscy się roześmialiśmy, prócz Suze i Malleya.

– A co z moralnością tego? – spytał Malley.

Większość z nas wzruszyła ramionami lub się uśmiechnęła. Yeng zmarszczyła brwi.

– Moralność? – powiedziała niepewnie. – Co to znaczy?

Niektórzy z nas się uśmiechnęli, Malley parsknął śmiechem.

– To ideologia – powiedziała Suze. – Ludzie myśleli kiedyś, że istnieje potężna inteligencja, która kontroluje wszechświat i że mówi im, co mają robić. Potem odkryli, że nie istnieje inteligencja władająca wszechświatem, ale przez około wiek po tym myśleli, że *wszechświat* mówi im, co robić. Niektórzy z nich mieli wątpliwości, ale myśleli, że jeżeli ludzie przestaną wierzyć, to zaczną gwałcić, zabijać i krzywdzić innych. – Skrzywiła się. – Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego tak myśleli, ponieważ niektórzy ludzie i tak cały czas gwałcili, zabijali i krzywdzili innych. Powód, dla którego większość ludzi tak nie robiła, był taki, że przede wszystkim nie chcieli tak robić, lub wiedzieli, że nie ujdzie im to na sucho. Teraz wiemy, że jeżeli chcemy, żeby inni przestali robić złe rzeczy, musimy *zatrzymać* ich i *nie* pozwolić im uniknąć konsekwencji. To dlatego mamy Związek! – podsumowała triumfująco, nieco zadyszana, ale widocznie zadowolona, że jej tajemne studia mogły być użyteczne.

– Ok – powiedziała Yeng – rozumiem. To było coś, co ludzie wiedzieli, zanim poznali „Prawdziwą Wiedzę”?

– Racja! – powiedziałam. – Dokładnie. Zatem Sam, mówiłeś?

Malley spojrzał na mnie groźnie. Potem jego mina złagodniała i wzruszył ramionami.

– Dobra – powiedział. – Jeżeli w ten sposób to widzicie, dobra. Myślę, że całe to „Czyń wedle swej woli będzie całym Prawem”[10] jest tak satanistyczne jak ten facet, który pierwszy to powiedział, ale pomińmy to.

Skinęłam głową. Łatwo było to puścić, ponieważ nie miało to sensu.

– Zatem, żeby przedstawić to w waszych pojęciach – kontynuował Malley – nie sądzę, żeby zniszczenie Jowiszan było naszą korzyścią. Są formą inteligentnego życia, prawdopodobnie są świadomi i nieposzanowanie świadomości jest niebezpieczne. Zły precedens. A po drugie, jak wskazała Suze, moglibyśmy odnieść korzyści z jakiejś pokojowej współpracy, jeżeli taka byłaby w ogóle możliwa.

Gapiłam się na niego, jakoś wstrząśnięta. Wiedziałam, że jest stary i że był nie-spółdzielcą przez większość swojego życia, ale jak na geniusza wydawał się niesamowicie tępy.

– Przede wszystkim – powiedziałam – masz rację o świadomości. Powinniśmy ją uszanować, każdą i u wszystkich z nas, chociażby dla własnego spokoju ducha. Ale tylko ludzie są świadomi. Te rzeczy tam to tylko podkręcone programy komputerowe! Mogą wydawać się świadome, ale jeżeli tak, to będzie tylko ochronne ubarwienie. Możesz odbyć głęboką, znaczącą rozmowę z własnym

[10] cyt. z „Thelema”, Thelema to nazwa systemu religijno-filozoficznego, który powstał w roku 1904 za sprawą Aleistera Crowleya, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Thelema` – przyp.tłum.

skafandrem, hej, możesz nawet mieć z nim relację seksualną, jeżeli to Twoja rzecz, ale nikt nie pomyśli, że skafandry są świadome. To tylko coś, w co wyewoluowały, poprzez rodzaj doboru naturalnego, w celu współpracy z ludźmi. Jowiszanie, jeżeli się z nimi skontaktujemy, bez wątpienia będą wydawać się wrażliwi, ale nie mogą czuć więcej niż plamy oczne widzą na skrzydłach motyli.

Malley odchylił głowę i wybuchł śmiechem.

– A wy ludzie szydzicie z ideologii! – zabulgotał, gdy trochę się uspokoił. – To najbardziej hermetyczny przypadek dogmatycznego, zamkniętego myślenia, jaki kiedykolwiek słyszałem! Naprawdę chcesz powiedzieć, że ani roboty, ani uploady, ani sztuczne inteligencje nie są naprawdę świadome i warte naszych starań?

– Całkowicie – powiedziałam. – To oczywiste.

– A nawet gdybyś miała rację, jaka jest *korzyść* dla Ciebie, lub nas, lub kogokolwiek w niszczeniu tych „skrzydeł motyla”, ślepych, jak mogą być? Co?

– Pozwól mi wytłumaczyć – powiedziałam cierpliwie. – Nie ma oznak inteligentnego życia nigdzie więcej w kosmosie. Sonda Zewnętrznych poleciała daleko i nic we wracających danych nie pokazuje strzępka śladu sygnału. Jesteśmy sami, oprócz Jowiszan. Jeżeli są lepsi od nas, nie ważne jak przyjaźni się wydają, zawsze będziemy na ich łasce. Nie będę żyła na łasce kogokolwiek lub czegokolwiek. To nasza najlepsza, ostatnia i jedyna szansa zdobyć wszechświat dla siebie i zamierzamy go zdobyć.

Malley wstał, rozejrzał się po nas, nie wściekły, nie zniecierpliwiony, trochę smutny, jakby część jego starczych uszkodzeń, które już zanikały, wróciła na jego plecy.

– Nie, nie z moją pomocą – powiedział.

Rozdział 5

Nadchodzący Wyścig

Malley poszedł do schodów i zszedł do kantyny. Suze wstała, spojrzała na mnie z niepokojem, wzruszyła ramionami i poszła za nim.

– Spotkanie skończone – powiedziała Yeng. Rozejrzała się dookoła, niepewna jak przyjąć to, co się wydarzyło, potem zdecydowała się spojrzeć na jasną stronę. – Czas, żebyśmy zjedli lunch.

Lunch zwykle był okazją do relaksu. Ten nie był. Siedzieliśmy dookoła mniejszych stołów w kantynie pojedynczo i dwójkami. Suze siedziała z Malleyem po jednej stronie pokoju, ja z Tonym po drugiej. Wszystkie rozmowy odbywały się szeptem.

– Sądzisz, że to zepsuliśmy? – spytał Tony.

Wzruszyłam ramionami.

– Kallisto brzęczy informacjami o bombardowaniu. Nie mogliśmy tego zachować przed nim, nie bez izolacji, która wywołałaby jego podejrzenia i brak współpracy!

Tony potarł brodę i spojrzał na mnie badawczo.

– Załóżmy, że się mylimy – powiedział miękko. – Kiedy myślę o tym, co proponujemy, cóż, pomiędzy Tobą a mną, Ellen, czasem sam mam o tym skrupuły. Załóżmy, że Jowiszanie *nie są* płaszczakami, załóżmy, że naprawdę są świadomi tak jak ty, czy ja, ale znacznie lepiej, z głębszym i bogatszym życiem wewnętrznym. W

końcu, mogli naturalnie wyewoluować ze wczesnych Jowiszan i nie są już jakimś rodzajem nowego wydania starych, szalonych uploadów, ale nowym gatunkiem, nowym ciałem. Czy to nie sprawiłoby, że katastrofa kosmiczna byłaby podobna jak, powiedzmy, grupa małp używających kamieni, żeby wybić mózgi z pierwszych ludzi?

Zwalczyłam w sobie przerażenie na początkowe wzdrygnięcie, te *zachwianie linii*, jak powiedzieliby starzy towarzysze, pochodzące od, z wszystkich, oficera bezpieczeństwa i najstarszego sojusznika. Zwalczyłam oburzenie. Jeżeli Tony ma skrupuły, to z pewnością też i inni, a on, przedstawiając je, oddawał mi przysługę.

– Tym więcej powodów, żeby to zrobić – powiedziałam, klepiąc go po bratersku. – Popatrz, gdzie niezrobienie tego doprowadziło małpy.

Rozumieliśmy się doskonale. W naszej dwustuletniej znajomości, nigdy nie spaliśmy ze sobą (nie licząc szybkiego seksu po pijaku, oczywiście). Nie był w moim typie ani ja w jego. Jednak w każdy inny sposób, znaliśmy siebie całkiem intymnie. Nie, żebyśmy się zgodzili we wszystkim, przynajmniej nie od razu, ale wiedzieliśmy jak dojść do porozumienia, albo zgodzić się na różnicę. Wiedzieliśmy, jak nasze umysły pracowały.

Wiedziałam, co się dzieje w Tonym, właśnie teraz. Choć intelektualnie zaakceptował Prawdziwą Wiedzę, nigdy nie został *oświecony* przez nią, inaczej niż ja, dla której trafiło mnie z siłą objawienia.

Prawdziwa Wiedza... fraza jest angielskim tłumaczeniem koreańskiego wyrażenia oznaczającego „współczesne oświecenie". Twórcy, grupa japońskich i koreańskich „pracowników kontraktowych" (niedokładne tłumaczenie koreańskie, tym razem, angielskiego pojęcia „robotników przymusowych") przyswoiła współczesne oświecenie ze zniszczonych dawnych edycji prac Stirnera, Nietzschego,

Marksa, Engelsa, Dietzgena, Darwina i Spencera, którzy składali się na cały dział filozoficzny biblioteki w ich obozie pracy. (Filozofia dwudziestego wieku i nauka została wykluczona przez ich pracodawców jako dekadencka lub wywrotowa – nie pamiętam dokładnie). Z oszałamiającą pracowitością, robotnicy wzięli te prace, które ironicznie traktowali jako ostatnie słowo we współczesnej myśli, i zsyntetyzowali z nich i z własnych gorzkich doświadczeń, pierwszą socjalistyczną filozofię opartą o całkowicie pesymistyczną i cyniczną wiedzę na temat ludzkiej natury.

Życie jest procesem rozkładania i używania materii innych, a jeżeli trzeba, życia innych. Stąd, życie to agresja, a udane życie to udana agresja. Życie to szumowina materii, a ludzie to szumowiny życia. Nie ma nic prócz materii, sił, przestrzeni, czasu, które razem dają władzę. Nic nie ma znaczenia, prócz tego, co jest ważne dla Ciebie. Moc czyni prawo, a siła wolność. Wolno Ci robić, cokolwiek jest w Twojej władzy, a jeżeli chcesz przetrwać i się rozwijać, lepiej rób to, co jest w Twoim interesie. Jeżeli Twoje cele są sprzeczne z celami innych, niech inni przeciwstawią swoją siłę Twojej, każdy za samego siebie. Jeżeli Twoje cele są zbieżne z innymi, pozwól innym pracować z Tobą, i przeciwko reszcie. Jesteśmy tym, co jemy, a *my* jemy *wszystko*.

Wszystko, co naprawdę cenisz, dobro, prawdę i piękno życia ma swoje korzenie w ewidentnie jałowej glebie.

To jest Prawdziwa Wiedza.

Na tej skale zbudowaliśmy nasz kościół. Zbudowaliśmy nasz idealizm na najbardziej nihilistycznych konsekwencjach nauki, nasz socjalizm na beznadziejnej interesowności, nasz pokój na możliwości wzajemnej destrukcji i naszą wolność na determinizmie. Zastąpiliśmy moralność konwenansem, odwagę bezpieczeństwem, umiar z nadmiarem, filozofię nauką, stoicyzm narkozą, a bogobojność nie-

śmiertelnością. Uniwersalny kwas Prawdziwej Wiedzy przepalił świat słów i odkrył wszechświat rzeczy.

Rzeczy, których mogliśmy użyć.

– To Wniebowzięcie Nerdów[1]!

Teraz to powiew świeżego powietrza, myślę, i odwracam się spojrzeć, kto powiedział tę dobrze dobraną drwinę z Osobliwości. To facet, odbijający się koło mnie, szczupły z prostymi, czarnymi włosami, żelowanymi na jeża, ostra broda modelowana na Lenina, wąska, łagodna twarz i szybkie, ciemne oczy. Cieszy się śmiechem, który pojawił się po naszej stronie, zakłopotane uśmiechy po drugiej.

Jest 2065 i jesteśmy znowu na roz-kładzie, ale rejon rekreacyjny jest teraz znacznie rozszerzony, jak na stacji kosmicznej, która właśnie została pchnięta na wyższą orbitę. Jesteśmy tutaj, żeby uczcić zakończenie pracy. Razem musi być około setki osób. Zaczynaliśmy jako jeden wielki tłum, ale gdy kłótnie się toczyły, całkiem dosłownie, oddryfowaliśmy na boki. Spolaryzowaliśmy się na przeciwnych stronach pokładu.

Spory toczyły się przez lata, ale zawsze pracowaliśmy razem. Dwie strony, których tutaj zebrani byli drobną próbką, są luźno oparte na dwóch falach kolonizacji kosmosu. Pierwsza grupa powstała w latach dwa tysiące czterdziestych i składała się z pionierskich osadników oraz siły Obrony Ziemi, które zmieniły stronę po Jesiennej Rewolucji. Druga fala nadeszła w późnych latach dwa tysiące pięćdziesiątych i wczesnych dwa tysiące sześćdziesiątych, i była wynikiem całkiem odmiennego procesu: zamierzonego po-

---

[1] oryg. Rapture of the Nerds, także tytuł powieści C.Doctorowa i C.Strossa wydana online w 2012 roku, autorzy przyznają, że zaczerpnęli tytuł z powieści Kena MacLeoda, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/The_Rapture_of_the_Nerds` – przyp.tłum.

rzucenia Ziemi przez techników, inżynierów i naukowców – oraz zdesperowanych bogaczy – którzy rozwinęli narastająco zaawansowaną technologię i możliwości startu w coraz bardziej izolowanych i obleganych enklawach. Sfuszerowali katastroficznie nieudany i kontrproduktywny „Zamach Ruchu Kosmicznego” w dwa tysiące pięćdziesiąty dziewiątym.

Ciągle przychodził dla nich sprzęt i od początku używali robotników przymusowych – w większości kryminalistów spłacających długi oraz politycznych i wojskowych więźniów z przegranej strony Jesiennej Rewolucji czy kolejnych konfliktów – żeby zbudować i obronić infrastrukturę, w kosmosie i na powierzchni Ziemi. Dla nas było to tylko nieco lepsze niż niewolnictwo, nie wspominając o podstępnym niweczeniu tradycyjnych prywatnych przedsiębiorstw Ruchu Kosmicznego lub etosu ochotniczej pracy. A dla nich była to zemsta za długie lata represji przed Rewolucją i trwające dokuczanie przez podzielone rządy i szalonych ludzi na Ziemi.

Zrozumiale, nie byli zainteresowani w wykorzystaniu teraz ogromnej i samopodtrzymującej obecności w kosmosie, żeby pomóc tym, których ślepemu gniewowi ledwo uciekli. My, od pierwszej fali idealistycznych lub chciwych kolonistów, byliśmy przekonani, że pomoc Ziemi jest dokładnie tym sposobem, żeby przezwyciężyć ten ślepy gniew.

Nazwaliśmy siebie: pierwsi osadnicy, Zwrot ku Ziemi, Piękni Ludzie, Gwiezdni Wojownicy.

Nazywaliśmy tamtych: innymi, Obcymi, Nerdami, Nową Grupą.

Tamci nazywali nas: Ziemomili, Zieloni, Komuchy, Ziemscy, Farmerzy Pyłu, Space Family Robinson.

Tamci nazywali siebie: Zewnętrznymi, Gang Osobliwości, Futuryści, Post-Ludzie.

Ich marzeniem była Osobliwość. Naszym Galaktyczne Imperium lub Federacja, czy cokolwiek. To ich rozśmieszało.

A teraz my śmialiśmy się z nich, lub przynajmniej kilkanaście osób w zasięgu słuchu kpiny tego człowieka, śmiało się z dość podobnej i przeciwnej grupy Zewnętrznych.

– To po prostu jest *głupie* – kontynuował. – Nie rozumiem, jak ktokolwiek dać się nabrać na pomysł, że komputerowy model mózgu jest tym samym co mózg. Mówicie o mechanicznym materializmie! Chodzi o stanie się maszyną, to śmierć i jej pragnienie jest *chore*.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział, że masz umrzeć – mówi najbliższy Zewnętrzny, młody mężczyzna (ale teraz wszyscy wyglądamy młodo), który nie pasuje do naszego ulubionego stereotypu nerda, ponieważ zrezygnował z diety „pizza i kola” na rzecz innego nałogu Zewnętrznych: kulturystyki. Unosi się, opalony, naoliwiony i nagi, w wolno obracającej się pozie lotosu, robiąc coś dynamicznego i bystrego z wyciskanym strumienie swojego drinka.

– Mamy już kopie zapasowe ludzi, którzy zostali zabici, chroniąc Canaveral, wiecie?

Łapie trzęsącą się kulę płynu ustami i połyka ją, jego kolejna rotacja pokazuje pytający uśmiech.

– I zamierzacie ich uruchomić? – pytam.

– Pewnie – mówi nam. – Gdy tylko usuniemy kilka błędów ze software'u środowiska wirtualnego.

Mężczyzna koło mnie się śmieje.

– Zatem wasi niewolnicy żołnierze otrzymają obiecany raj, kiedy umrą! Trzymajcie się tego pomysłu, chłopaki, zadziałało dla Mahometa.

Druga religijna aluzja prowadzi naoliwionego mężczyznę do zadania pytania, wyzywająco:

– Czy przeczytałeś kiedykolwiek coś o stanowisko rezurekcjonistycznym silnej AI? Nawet coś klasycznego, jak *Fizyka Nieśmiertelności*[2]?

– Nie tam – mówi brodaty mężczyzna. – Życie jest zbyt krótkie!

Zewnętrzny zatrzymuje obroty z doskonale wyliczonym rzutem pustej bańki do picia i patrzy chłodno na mój uśmiech.

– Oto myśl z niej – mówi. – Wystarczająco krótka dla was: odmawianie traktowania inteligentnych robotów jako *ludzi* jest równoważne rasizmowi.

– Zatem? – mówi mężczyzna po mojej stronie. – Zatem jestem rasistą. *Ludzkim* rasistą.

– Mi pasuje – Wtrącam się, wiedząc, że Zewnętrzny gra kartą rasizmu z myślą o mojej ciemnej skórze. Krzywi się na mnie.

– Oto kolejna, twierdzenie, że ludzkie jaźnie nie mogą być zaimplementowane na komputerach, jest równoznaczne z akceptacją śmierci, dla wszystkich, na zawsze. Czy to też ci pasuje?

– Mogę z tym żyć – mówię. Mężczyzna koło mnie chichocze doceniając i dodaje:

– Jeżeli pozwolisz nam żyć.

Zewnętrzny uśmiecha się, rozgląda się na przepychanki kolegów, potem na nas.

– Oczywiście, że pozwolimy wam żyć – mówi. – W rezerwatach dzikiej przyrody jak inne interesujące zwierzęta. Niektórzy z nas wolą myśleć o was jako o zwierzętach domowych. Sentymentalni postludzie bez wątpienia będą walczyć o „prawa człowieka”, to będzie jedna fajnych spraw, jak stare lasy czy ginące sowy. Czy nie byłoby lepiej, gdybyście się do nas dołączyli, i byli jak bogowie?

---

[2] prawdopodobnie mowa o pozycji F. Tiplera, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Frank_J._Tipler` – przyp.tłum.

Coś we mnie się wykręca. Wszystko jest nagle jasne. Doznaję coś, co później zrozumiałam jako początek Prawdziwej Wiedzy.

– *Jesteśmy* jak bogowie! – warczę. – *Jesteśmy* tutaj naczelnym drapieżnikiem. *Wy* możecie się stać maszynami, jak chcecie, ale wtedy będziecie martwi, a my będziemy żywi i *potraktujemy* was jak maszyny. Jeżeli nie będziemy mogli was użyć, to rozbijemy!

– Jeżeli się wam to uda – mówi.

Patrzę prosto na niego.

– Jeżeli się uda.

On wykonuje lekceważący gest i się odwraca.

Mężczyzna koło mnie wykonuje salto w powietrzu i unosi się przede mną, uśmiechając się, ramiona rozłożone. Wydaje mu się, że właśnie mi zasalutował niczym lotnicy.

– To było dobre – mówi.

– Hej, podobało mi się, co powiedziałeś – mówię mu. – „Wniebowzięcie nerdów".

Śmiejemy się, jakby to był stary, wspólny żart i przedstawiamy się sobie. Nazywa się Tony Girard, jest w Zarządzie Stacji, odpowiedzialny za pilnowanie grup Zewnętrznych wśród mieszkańców. Współpraca jest ważna, właśnie zakończone przyśpieszenie stacji było zrealizowane nowymi silnikami rakietowymi, które wyglądają, jakby zostały uformowane wtryskowo z diamentu i są nanofabrykowane przez Zewnętrznych. Jednak nie potrafi przestać wykłócać się z nimi.

– Mówią, że jesteśmy źli – mówi. – Powiem im, że jesteśmy.

– Ale nie jesteśmy! – protestuję.

– Nie z naszego punktu widzenia. Jesteśmy z ich strony. Reakcjoniści, kontrrewolucjoniści, ściągający ich z kolejnego etapu rozwoju ludzkości.

– Ta, zagłady!

Myślę o byciu złem. Dla nich, uświadamiam to sobie, naprawdę jesteśmy źli i szkodliwi, ale – i myśl chwyta mnie za gardło – nie jesteśmy źli i szkodliwi dla *nas samych*, a to jest wszystko, co jest ważne, *dla* nas. Zatem jak długo faktycznie osiągamy nasze własne dobro, nie jest ważne, jak źli jesteśmy dla naszych wrogów. Nasza Federacja będzie, dla nich, Imperium Zła, dziedziną Mrocznych Panów, a ja będę w nim Mroczną Panią. Ludzkość jest w istocie zła, z dowolnego nie-ludzkiego punktu widzenia. Objęłam moją nieprawość z drżeniem rozkoszy.

Powiedziałam Tony'emu nieco o tym i skinął głową.

– To bardzo wyzwalające – mówi. – Noszenie czarnych kapeluszy. – Wyciąga, obraca i odbezpiecza wyobrażony rewolwer. (Jak większość z nas, ma prawdziwy na biodrze). – Ratuje Cię przed poszukiwaniem duszy. Tak długo, jak unikasz bicia swojej własnej strony, robisz wszystko dobrze.

– Może jesteśmy Indianami. Tubylcami.

Tony'emu to się podoba.

– Dokładnie tak – mówi. – Skazani na zagładę, ale dzielni. Opór w kołach postępu. Strzelając strzałami w żelazne konie Objawionego Przeznaczenia[3].

– Oni są takimi mechanicystami [4] – mówię.

– Tak – odpowiada. – To dlatego lubię ich nakręcić.

---

[3] hasło sformułowane i użyte po raz pierwszy przez redaktora „Democratic Review" Johna L. O'Sullivana w lipcu 1845 roku, który wyraził pogląd, że prawo Stanów Zjednoczonych do przejęcia Oregonu leży cyt. „w naszym oczywistym przeznaczeniu, którym jest rozprzestrzenianie się i zajęcie całego kontynentu, ofiarowanego nam przez Opatrzność", por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Objawione_Przeznaczenie` – przyp.tłum.

[4] pogląd wywodzący się z XVI-wiecznej filozofii przyrody, zgodnie z którym natura jest zbudowana jak mechanizm. Jest zbiorem materialnych elementów w ruchu. Mechanicyzm jest połączeniem redukcjonizmu, determinizmu i materializmu, por. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Mechanicyzm` – przyp.tłum.

Śmieję się tak bardzo, aż się go łapię, a później tego cyklodnia odbywamy pierwszy z naszych szybkich, pijanych seksów.

Uśmiechnęłam się do Tony'ego cieplej niż zwykle i złapałam spojrzenie Yeng, potem zerknęłam na stół, gdzie Malley i Suze siedzieli głowa przy głowie. Yeng skinęła głową. Obie podniosłyśmy nasze tace i poszłyśmy do nich.

– Można usiąść?

Malley spojrzał do góry, potem na Suze.

– Żaden problem – powiedział.

Usiadłam koło Malleya, a Yeng wsunęła się na ławkę koło Suze i szybko się do niej uśmiechnęła. Suze popatrzyła w dół na talerz, potem na nas.

– Sam i ja mamy pytanie dla Ciebie – powiedziała Suze. – Jestem ze Związku, on jest niespółdzielcą, a okazuje się, że oboje mamy to samo pytanie. Niezależnie.

– Ok – powiedziałam.

– Czy byłabyś skłonna przynajmniej *spróbować* nawiązać kontakt z Jowiszanami, zanim ich zniszczysz? Czy mogłabyś przynajmniej spróbować jakoś się ugodzić?

Dostałam ciarek od idei kontaktu z Jowiszanami, ale również poczułam jej wdzięk. Niebezpieczeństwo przemawiało do mojej brawury, moja nienawiść do Jowiszan napędzała moją ciekawość wobec tego, jacy naprawdę byli, a, ponad wszystkim, potrzebowaliśmy współpracy Malley, żeby przedostać się przez Milę Malleya. To była kwestia zasadnicza.

Yeng wyglądała, jakby chciała odpowiedzieć. Mój wzrok powiedział jej, żeby była cicho.

– Rozważymy to – powiedziałam. – Nie mogę mówić za Od-

dział, oczywiście, ale nie powiedziałabym, że jest to wykluczone. Dlaczego?

– Czułbym się znacznie szczęśliwszy, pracując z wami – powiedział Malley – gdybym wiedział na pewno, że Jowiszanie naprawdę są dla nas zagrożeniem. Jasnym i obecnym zagrożeniem. A nawiązanie łączności z nimi jest jedynym sposobem, żeby to określić.

Suze kiwnęła głową w zgodzie.

– Kiedy ludzie w domu dowiedzą się, co robimy, a co się zdarzy ... a *wy* chcecie powiedzieć im tuż przed katastrofą, prawda ... myślę, że *chcieliby* wiedzieć na pewno. Byłoby cholernym wstydem zniszczyć rzeczy ... nawet jeżeli *byłyby* tylko rzeczami ... które mogłyby nam pomóc, a które mogłyby okazać się jedynym przyjaciółmi, jakich mamy w całym wszechświecie. Przykładowo, co jeżeli są bogami, ale bogami po *naszej* stronie?

Zatem Suze była mediatorem, pomyślałam ze smutkiem. Zastanawiałam się znowu, czy jakoś została wysłana, żeby mnie szpiegować, i znowu, odrzuciłam tę myśl.

– W porządku – powiedziałam. – Zrobimy to.

– Jak? – spytał Malley.

– Tuż po tym jak wrócimy – powiedziałam – flota zdalnych sond ma zacząć schodzenie w atmosferę Jowisza, głównie, żeby szpiegować, otrzymać lepsze i bliższe zdjęcia tego, w co trafią komety. Ich telemetria, radio, radar, laser, mogłyby zostać łatwo przystosowane do pierwszego etapu łączności. Przedstawię to tak mocno, jak mogę, a Ty i Suze możecie też za tym argumentować, jeżeli uważacie, że to pomoże.

Oczy Yeng błysnęły zaskoczeniem, z niezgody uniosła brew.

– To niebezpieczne! – powiedziała.

– Pewnie, że tak – powiedziałam. – Ale jeżeli ktokolwiek może

zbudować firewall, to tylko Ty. Muszą istnieć gdzieś plany awaryjne, projekty hardware i software, prawda?

Niechętnie kiwnęła głową.

– Dobre przypuszczenie.

Było to więcej niż przypuszczenie, ale Yeng nie musiała wiedzieć, że wiem więcej, niż powinnam wiedzieć.

– Zatem zabierz się do tego – powiedziałam. – Wykorzystajmy dobrze nasze dziewięć dni. – Odwróciłam się do Malleya. – A Ty pomożesz nam z wormholem?

– Jeżeli zrobisz, jak obiecujesz, to tak. – Podniósł fajkę i przesunął jej cybuch po górnej wardze, delikatnie wdychając nosem, potem ją odłożył. – Zacznę pracować na tym od razu, mam na myśli, nie mogę się powstrzymać od myślenia o tym. Kiedy dolecimy, wykorzystam wszystkie ośrodki badawcze, które mi obiecałaś i *jeżeli* szczerze spróbujecie uniknięcia. . . wojny, ponieważ o tym właśnie mowa, to podzielę się z wami wynikami.

– To umowa – powiedziałam mu. Malley skinął głową, Suze uśmiechnęła się do mnie, Yeng patrzyła niejasno zaskoczona.

– Mamy plan – dodałam, na jej rzecz.

– Mam wiele planów – powiedziała Yeng. – To wspaniale! Takie wyzwanie! – Uśmiechnęła się do mnie, jej słodka, drobna twarz się rozświetlająca. – Nie martw się, Ellen May, będziesz miała najlepszą, możliwą ochronę.

Zerwała się i prawie pobiegła schodami kręconymi, tak była chętna zacząć pracować nad jej projektem software'u antywirusowego.

– Co ona miała na myśli? – spytał Malley. – Dlaczego to Ty miałabyś nawiązać kontakt?

Odstawiłam moją już teraz zimną kawę.

– Ten sam powód. Dlatego mnie posłano za Tobą – powiedzia-

łam. – Jeżeli ktoś proponuje i naciska na jakiś zwariowany, niebezpieczny pomysł, jest sprawiedliwe, że to ta osoba powinna mieć zabawę z jej wypróbowania.

Malley spojrzał się na mnie dziwnie.

– Musicie w ten sposób tracić dużo kadry kierowniczej.

– Nie mamy „kadry kierowniczej" – powiedziała Suze.

– W Oddziale, mamy – powiedziałam. – Tylko nie kierujemy z tyłu. – Suze spojrzała tak zaniepokojona, że musiałam złagodzić.

– Robimy kopie zapasowe – zapewniłam ją.

Kopie były kontrowersyjne. Kiedy zostawiłam Malleya rozmawiającego z Andreą o dostępnych zapisach obserwacji bramy wormhole'a oraz Suze rozmawiającą z Tonym o *jej* zainteresowaniach i obserwacjach, usiadłam, wypiłam więcej kawy i martwiłam się o kopie.

Było kilka metod, w zasadzie, wykonywania back-upów: nieinwazyjne techniki skanowania dla żyjących, wlewy inteligentnej materii dla umierających lub dopiero co zmarłych. Końcowym wynikiem wszystkich z nich był zapis zdjęcia stanu mózgu, aż do ostatniego neuronu i synapsy. Ten stan mógł być odtworzony w „pustym" mózgu, zwykle, ale niekoniecznie, który był wymuszonym wzrostu klonem oryginału. Zewnętrzni udoskonalili proces dawno temu, jeszcze w latach dwa tysiące pięćdziesiątych i nauczyliśmy się go od nich. Później udoskonalili znacznie trudniejsze zadania „uruchamiania" skopiowanego umysłu, rozwijania zapisanego stanu mózgu z ostatniej chwili do kolejnej ostatniej chwili, i następnej... czy to w obrębie ciała robota, lub w wirtualnym środowisku, lub w jakiejś kombinacji obu. Nazywali to transferem, uploadem, ale my tego nie robiliśmy. Wymagało to współpracy autonomicznych sztucznych inteligencji, a ta posiadała własną logikę, która prowadziła,

chyba że przerwana siłą, do Osobliwości, Wniebowzięcia Nerdów, jak nazwał to Tony.

Ponieważ: gdy umysł był poza mięsem, gdy działał na krzemie niż na węglu i był otoczony przez AI, które mogły mu pomóc, nic nie powstrzymywało go od działania tysiąc razy szybciej i rozszerzania swoich możliwości – dostępnej wiedzy, czujników, magazynów pamięci i dostępów – tylko przez *podłączenie się do większej liczby rzeczy.* Umysł w uploadzie mógł być aktualizowany, a każda aktualizacja sprawiała, że następna była łatwiej wykonalna i szybsza do wprowadzenia. Ta droga prowadziła do uciekającej jazdy sztucznych inteligencji: Osobliwości.

Zewnętrzni nie traktowali tego jako zła, a zastąpienie ludzkości traktowali jako dawno spóźnione. My, którzy chcieliśmy, z jakiegokolwiek powodu, pozostać ludźmi, mogliśmy nawet być przekonani. Powtarzająca myśl, że uploady nie mają myśli, nie mają duszy, że są płaszczakami, bezmyślnymi emulacjami umysłu, że subiektywność (jak krzywo zauważył poszukiwacz Shin Se-Ha) jest „wyłaniającą się[5] właściwością węgla", nawet nam wydawała się absurdalna. Ale czy nie był to fakt, że rzekomi post-ludzie prawie wszyscy, w każdym przejawie, oszaleli. A wyjątki, ocaleńcy Projektu Jowisz, którzy stali się Jowiszanami, stali się źli.

Tak czy inaczej, źli dla nas.

Doświadczenie, i długi konflikt na niskim poziomie, zahartowały pierwsze spory i kłótnie z Zewnętrznymi (dawno temu, gdy byli takim samym ciałem jak my) w teorię, która – jak podkreślił Malley – była żenująco podobna ideologii: maszyny nie myślą, ra-

[5] oryg. emergent, emergencja to powstawanie jakościowo nowych form i zachowań z oddziaływania między prostszymi elementami, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Emergencja` – przyp.tłum.

chują. Tylko ludzie liczą. Uploady są płaszczakami, a kopie nie są oryginałami.

Co, dla kogoś rozważającego zrobienie kopii, było niepokojące. Dla kogokolwiek, kto obudził się, żeby dowiedzieć, że *był* kopią zrobioną z backupu, było to jeszcze bardziej niepokojące.

Tak mi powiedziano. A już wkrótce, jeżeli moja propozycja spotkania z nowymi bytami jowiszowymi poszłaby źle, sama bym się dowiedziała.

Lub raczej... ktoś inny by się dowiedział, ktoś taki jak ja, z moim nazwiskiem, twarzą, wspomnieniami, w tym wspomnieniem pomyślenia tej właśnie myśli. Życzyłam jej dobrze.

Na pokładzie dowodzenia Malley siedział w pryczy przeciążeniowej z oparciem podniesionym w kształt fotela. Yeng usiadła w podobnie dopasowanej pryczy kilka metrów dalej. Przed każdym z nich był ekran interfejsu komputerowego standardowy w całym Związku i Oddziale. Był wykonany z dwóch arkuszy cienkiego, twardego szkła, około trzydziestu centymetrów na sześćdziesiąt centymetrów z półcentymetrową grubą warstwą wielokolorowego płynu pomiędzy nimi. Wielokolorowy płyn był czystą wodą obfitującą w nanomaszyny, które przeszukiwały i przytrzymały drobne cząsteczki w różnych kolorach, zgodnie z instrukcjami wysyłanymi przez chemiczne i elektryczne impulsy, tworząc w ten sposób grafikę, poruszające się obrazy i tekst.

Ekran Malleya był pusty, prócz przesuwającego się bloku tekstu. Jego palce poruszały się po podkładce u podstawy ekranu. Nie mogłam rozróżnić czy pisze, czy czyta, czy może symbole na ekranie były naszymi danymi lub jego obliczeniowymi. Jego fajka sterczała z rogu jego ust, a małe pyknięcia dymu unosiły się z niej co kilka sekund, każde pyknięcie dryfujące delikatnie w górę, póki nie

zginęły w wentylacji. Wiedziałam, że lepiej z nim nie rozmawiać, i wątpiłam, czy w ogóle odpowie.

Yeng, jednak, spojrzała na mnie i wydawała się chętna przedyskutować to, co robiła. Przesunęła się w siedzisku i pokazała mi, żebym usiadła. Było dużo miejsca, choć zajmowałam więcej niż Yeng.

Jedną z zalet tego rodzaju komputera wobec staromodnych, niebezpiecznie podatnych, elektronicznych komputerów było to, że było to zarówno warsztat inżynierski, jak i laboratorium biochemiczne. Mogłaś wyizolować fizycznie małą skrzynkę – fiksel, jak było nazywane – na ekranie i uruchomić tam cały kompleks nanofabryczny. Mógł być zbyt mały do zobaczenia, ale to była drobna kwestia wykorzystanie reszty ekranu, żeby wyświetlał co się dzieje.

Ekran, na który patrzyłam, wyświetlał linię na górze i około tuzina kolumn. Yeng wskazała.

– Ostatnie wersje ich transmisji radio – powiedziała. – Sygnał trwał dziesięć sekund. Sprawdzam go na układzie urządzeń wejściowych, radio, telewizja, radar, odbiornik, komputery mechaniczne różnych wielkości mogą odebrać to przypadkowo, nawet ludzkie pigmenty w oczach. Uruchamiam.

Wiadomość była odegrana, w cichym i niewidzialnym pulsie przedstawianym jako fala dźwiękowa postępująca od linii na górze ekranu do góry zbioru kolumn. Wszystkie urządzenia poradziły sobie, lub całkowicie nie zareagowały, prócz jednej, gdzie kolumny zaczęły błyskać. Yeng wyczyściła resztę i powiększyła ten widok. Uwięziony w obwodach zminiaturyzowanej wersji naszego standardowego wejścia radaru, sygnał uruchomił wzorzec fali stojącej, który, gdy tylko Yeng połączyła radar z grupą nanokomputerów, odpowiednio spropagowała na nie i je wypaliła.

– Paskudne – powiedziałam. – Hakują teraz babbage. To nowe.

Yeng się uśmiechnęła.

– Racja, ale myślę, że znam sposób neutralizacji. – Zaznaczyła wiadomość i przesunęła ją do fixela zawierającego złożone organiczne cząsteczki, których dużą liczbę ostatnio wykryto, że uciekają z atmosfery Jowisza. Okazało się, że te molekuły miały interesującą cechę zacierania przekładni jednego z naszych nanobotów utrzymania kadłuba.

– Hmm – powiedziała Yeng, ssąc koniec warkocza jej długich niebiesko-czarnych włosów. – Musiały podłapać coś naszego, co zdryfowało w drugą stronę. Chyba że dopasowanie jest przypadkowe, co wydaje się małoprawdopodobne. – Wywołała model 3D mechanizmu przekładni. – Hmm – powiedziała znowu. Zdecydowałam, że to była chwila, żeby ją zostawić samą.

– Wiadomości dla Ciebie – powiedziała Yeng.

To był ranek czwartego dnia. Wpadliśmy w rutynę. Nie było dużo do roboty dla załogi, oprócz czytania, oglądania poruszających się obrazków, patrzenia w gwiazdy, grania gry lub muzykowania i próbowania uwiedzenia Suze w nasz wolny, ciągły taniec zawiłych relacji. Malley był pochłonięty studiowaniem zapisanych obserwacji Bramy Wormhole'a, patrząc godzinami na dziwne obrazy, potem odlatując w patrzenia na papier, który, bardzo powoli, wypełniany napisanymi równaniami. Yeng przepracowywała przez dekady zaprojektowanego software antywirusowego, aktualizując programy, rzucając je na bitwy ze złapanymi w pułapkę wirusami Zewnętrznych (niektóre komputerowe, inne prawie dosłownie biologiczne, molekularne silniki zniszczenia) i rozmnażając ocalałe. (A *ten* proces darwinowski również musiał być obserwowany, jaki jest lepszy sposób przeniknięcia do systemu niż subtelnie sterowana, przez manipulowanie atakami wirusowymi, ewolucja oprogramowania chroniącego?).

Właśnie zrobiła sobie przerwę, żeby sprawdzić skrzynkę pocztową. Kilka nieuniknionych łączności w czasie rzeczywistości, przeważnie po przybyciu i odlocie, były załatwiane bardziej bezpośrednio, przez zestaw komunikacyjny, choć nawet tam bariery obronne musiały być aktywne. Poczta była dla mniej ważnych lub osobistych wiadomości, a każda z nich przechodziła przez kryptograficzną kwarantannę, które przetwarzanie zajmowało miliardy nano babbage przez sekundy. Przekazała mi małą fiolkę zawierającą kulturę nanomaszyn, na których laser łączności przychodzącej został zapisany i odszyfrowany.

Mój skafander zjadł ją i wyświetlił wiadomości przed moimi oczami.

– Masz poważne kłopoty, Ellen May Ngwethu – zaczęła pierwsza wiadomość, bez wstępu. Twarz Sylvestra Tatsuro, obecnego przewodniczącego Komitetu Sterowania, nachmurzyła się na mnie. – Komitet Badawczy właśnie przegłosował utratę zaufania wobec Ciebie, zatem nie jesteś już łącznikiem z naszą administracją. Zażądali od nas, żebyśmy przekierowali kliper na Lagrange, żeby zabrał reprezentanta Rady Układu Słonecznego, nie mniej, który ma się tutaj udać, żeby osobiście przeprowadzić śledztwo. Jest wiele obaw co do naszych możliwych intencji. – Pozwolił sobie na krótki uśmiech. – O czym nikt poza Oddziałem jeszcze nie wie. Nasza samodyscyplina utrzymała linię, *na razie*. Ale ludzie z Obrony Ziemi dogadzają ich zwyczajowym, zazdrosnym urazom wobec nas i wzniecają różnego rodzaju podejrzenia. Szczęśliwie, mają całkowicie zły koniec kija, ponieważ uważają, że staliśmy się mediatorami. Najwidoczniej Twoje niezręczne wyciągnięcie Malleya spowodowało coś w rodzaju sensacji i różni ludzie, którzy widzieli, jak rozmawiałaś z Wilde'm, zaczęli publicznie spekulować. Naturalnie, prawdziwi mediatorzy robią z tego dużą sprawę, sugerując, że wreszcie

zmądrzeliśmy i jesteśmy w trakcie nawiązywania łączności z Jowiszanami. Opublikowałem komunikat mówiący, że to ostatnia rzecz, jaką rozważamy, że nasza gotowość pozostaje tak wysoko jak zawsze. – Kolejny szybki uśmiech. – Nie widziałem powodu, żeby wyjaśniać, że jesteśmy na *wyższym* poziomie alertu niż kiedykolwiek. I na koniec, Ellen, całe to gadanie wzbudziło zainteresowanie Jowiszem i kilku astronomów z Farside odbiło z ich rutynowej koleiny i przyjrzeli się blisko planecie po raz pierwszy od dekad. Już zauważyli pewne... osobliwości.

– W skrócie, poruszyłaś gniazdem os. Wszyscy zapewniamy ci osłonę, oczywiście, ale kiedy przyjedziesz, będziesz musiała się trochę tłumaczyć. Przy okazji, nie oczekuję odpowiedzi na tę wiadomość. Do zobaczenia, towarzyszko.

Była przerwa może sekundy, zanim obraz zniknął. W tamtym momencie, głowa Tatsuro przechyliła się w czymś, co mogłoby być kiwnięciem, jego powieki poruszyły się w czymś, co mogło być mrugnięciem.

Tygodnie temu, doszliśmy do prywatnej umowy na temat tego, co robić, jeżeli najgorsze stanie się najgorsze: Plan B. Było to coś, o czym nie śmialiśmy nawet mówić, nawet myślenie mnie niepokoiło. Jednak niezależnie od moich błędów, Tatsuro potrzebował mnie, żebym go wykonała. Obroniłby mnie przed oskarżeniami, dał, jak powiedział, ogień osłaniający.

To, że ciągle cieszyłam się jego zaufaniem, było jedynym pocieszeniem, jakie miałam. Reszta wiadomości mnie rozdrażniły i oburzyły. Powstrzymałam się od pozwolenia sobie na dalsze reakcje i pozwoliłam skafandrowi odtworzyć kolejną wiadomość.

Ta była od Carli z patrolu na Tamizie. Kadr pokazywał siedzącą w małym pokoju z ekranami i papierami leżącymi dookoła.

– Wiadomość dla Ellen May Ngwethu na *Straszne Piękno* – za-

częła dziwnie. – Och, Ellen, naprawdę nie powinnam ci tego mówić, ale hej, wydawałaś całkiem w porządku. Odkryłam, dlaczego nikt nie odpowiedział na wasze wezwania o pomoc z Alexandra Port. Była tam grupa sąsiadów z Obrony Ziemi mniej więcej w tym samym czasie, ostrzegająca o jakiejś komunikacji radiowej odbywającej się pomiędzy niespołecznikami i możliwością przeniknięcia wirusów Jowiszan. Cóż, wszyscy widzieliśmy, że niespółdzielcy używali radia i okazało się, że Alexandra Port i patrole i tak dalej wszystkie awaryjnie się wyłączyły, kiedy zaczęła się radiowa paplanina, na wszelki wypadek.

– Goście z Obrony Ziemi rozmawiali z naszym komitetem i wygląda na to, że prowadzili dochodzenie wobec tego faceta, którego zabrałaś, doktora Malleya. Czekali, żeby zobaczyć, co on zrobi, i muszę powiedzieć, że nie byli bardzo zadowoleni, kiedy *Straszne Piękno* nagle spadła z góry i go zabrała. Trochę wzniecili gówna w tej sprawie i jest to we wszystkich rurach dyskusyjnych tutaj.

Przerwała i westchnęła.

– Szczerze mówiąc, Ellen, mówią, że Malley i Oddział byli od jakiegoś czasu w zmowie, a te wszystkie radia, których tak beztrosko używali niespołecznicy były wynikiem zachęty Malleya, i waszej, jako część jakiegoś planu przetestowania efektów odbierania wiadomości od Jowiszan na ludziach, *testowania* ich na biednych niespółdzielcach, raczej niż na własnych ludziach. Możesz sobie wyobrazić, jaką to spowodowało awanturę.

Potrafiłam, bardzo dobrze.

– Dobra – podsumowała Carla – zostawię to tak. Jestem pewna, że jest to jakieś wielkie nieporozumienie, zatem teraz jest Twoje. Wszystkiego najlepszego. – Uśmiechnęła się raczej z przymusem i ujrzałam jej dłoń sięgającą do przodu, żeby wyłączyć nagrywanie.

Zaniepokojona twarz Yeng pojawiła się w polu widzenia, gdy wirtualny obraz zblakł.

– Wszystko w porządku?

– W porządku – powiedziałam, wstając.

– To nie żadne. . . osobiste złe wieści, prawda?

Uśmiechnęłam się i położyłam dłonie na jej ramionach.

– Nie, Yeng, to nic z tych rzeczy. Tylko drobne problemy polityczne, to wszystko.

Po uważnej chwili, odwróciła się do ekranu. Stałam, patrząc na jej plecy, i na równie niepomnego Malleya, przez kilka sekund, potem poszukałam Tony'ego. Wypoczywał na jednej z bocznych ław w kantynie, czytając książkę, widziałam ruchy sakkadowe[6] jego oczu, skanujące niewidzialną stronę. Odmrugnął ją, gdy usłyszał moje zbliżające kroki i uniósł brwi. W formie odpowiedzi, przechyliłam głowę lekko w kierunku narożnego stołu, gdzie Borys rozmawiał z Suze, nad szybko opróżniającą się butelką zmrożonej wódki i kilku kieliszkach. Wyrównywał jej łyki swoimi haustami.

Tony kiwnął lekko głową, pokazał szybko pięć palcy i wrócił do książki. Wzięłam kawę i wspięłam się po schodach, koło pokładu dowodzenia do sypialni i do mojego pokoju. Pięć minut później, jak sygnalizował, pojawił się Tony. Zastukał we właz i schylił się, usiadł przede mną na rozłożonej kołdrze mojego zewnętrznego skafandra.

– Widzę, że ciągle ubierasz się na mamusię – zauważył. – Mmm, nie wiem, czy mogę powstrzymać moje żądze.

– Lepiej się powstrzymaj – powiedziałam. – Jest coś pod tym wszystkim, co wydaje się, że *mnie* powstrzymuje . . .

---

[6] mimowolne ruchy oka, które wykonywane są podczas obserwowania obiektów, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Ruchy_sakkadowe` – przyp.tłum.

– Och, przestań . . . tak czy inaczej, Ellen, nie wydaje mi się, że zaprosiłaś mnie tutaj, żebym zerwał z Ciebie ubrania, zatem. . .

Wysłuchał podsumowania dwóch wiadomości. Potem oparł się i popatrzył w sufit, jego ręce klasnęły za głową.

– Myślę, że jesteśmy wystawiani – powiedział. – Obrona Ziemi . . . towarzysze. . . prawdopodobnie sprawdzają mięśnie na naszej części. *Nie myślą*, że zmierzamy do mediacji, nie ma mowy, ani nie prowadzimy *ludzkich eksperymenty* na niespołecznikach. Myślą, że mamy jakiś plan, żeby wygrać wojnę, kiedy nikt nie patrzy, zebrać zasługi, ogłosić Układ Słoneczny otwartym na zajmowanie i zająć samemu największy kawałek.

Gapiłam się na niego.

– Obrona Ziemi myśli, że *my* zbroimy się na . . . co, kontrrewolucję? Rozwiązanie Związku Słonecznego? To szaleństwo.

– Częścią ich pracy jest martwienie się o tego typu rzeczy – powiedział Tony.

– Dobra, przyjmuję Twoje zdanie. Jednak to, co chciałabym się zapytać. . .

– Tak?

– . . . to, co znalazłeś na temat naszego słodziaka.

– Ach, skromność zabrania – powiedział Tony szarmancko. – Ale oprócz tego, ona jest praktycznie miłą dziewczyną. Dorastała w Związku i nie potrafi naprawdę wyobrazić sobie niczego innego. Ponieważ wszystkie konflikty, w których realnie uczestniczyła, *zostały* rozwiązane w dyskusji, dosłownie dookoła stołu.

Westchnął.

– Namiętne globalne debaty o tym, który gatunek ożywić w tym roku. Rozmawianie z kimś takim młodym jest trochę. . . dezorientujące. Trochę czasu minęło, od kiedy dałem komuś trzeci stopień i nie dawałem jej niczego tego rodzaju. . .

Uśmiechnął się, patrząc gdzieś indziej.

– Pomimo krzyków, które mogłaś usłyszeć.

– Daj spokój. Myślisz, że jest pewna.

– Tak. Powiedziałbym, że jest tylko miłą, normalną dziewczyną, która nie wie, jak twarde może być życie. Dzisiejsza młodość, co?

– Jest jedna rzecz, co do której... jest twarda – powiedziałam. – Chce przerwać blokowanie wirusów. Chce ekspansji.

– Powiedziała Ci to?

– Nie – powiedziałam. – Domyśliłam się.

– Cóż, dobrze się domyśliłaś. Powiedziała mi, że jest naprawdę podekscytowana Nowym Marsem.

– Tak jak Sam Malley – powiedziałam. – A on mi to powiedział. Może jeżeli to, co Suze naprawdę chce, głęboko, to koniec patu, wtedy...

– Może być przekonana do naszego sposobu zakończenia, jeżeli do tego dojdzie?

– Tak. I może mieć wpływ na to, jak postrzega to Malley, szczególnie jeżeli... cóż, mają dużo wspólnego.

Tony patrzyła się na mnie, bioluminescencja wysyłała pasy światła na jego twarzy.

– Jesteś niepoprawna, Ellen.

Wzruszyłam ramionami.

– Muszę przyznać, że on z każdym dniem wygląda i pachnie lepiej ...

– Naprawdę będziesz mi winna, jeżeli stracę słodkie, młode ciało Suze dla tego starego reakcjonisty.

– Jeżeli nalegasz.

– Tak czy inaczej – dodał minutę później – nie możemy mieć zespołu myślącego, że odbywamy tajną dyskusję, czy coś.

– Nie – zgodziłam się, próbując znaleźć przycisk zwolnienia dla

najbardziej nieprzepuszczalnych wewnętrznych warstw skafandra. – Ludzie mogą gadać.

Tego wieczoru odszukałam Suze po obiedzie i usiadłam z nią w kącie.

– Interesująca rozmowa z Borysem?

Jej wzrok błyszczał.

– On jest niesamowity! Prawdziwy weteran Szinosowów! Nigdy wcześniej nie spotkałam żadnego. To jak... historia mówiąca do Ciebie.

– Cóż – powiedziałam – nie zawsze to wiarygodna historia. Wspomnienia Borysa po drodze trochę się pochrzaniły.

(To była miłosierna interpretacja).

– Co! Nie było plemion ludzi z dwoma głowami? Żadnych Yeti? Ani utraconych legionów ożywionych ofiar USA/ONZ? – Uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że nie. W każdym razie nie w taki sposób, jak je opisuje. *Były* dziwne rzeczy na stepie i lasach Europy, między nimi była broń halucynogenna. O tej wiemy na pewno, więc nie możemy być zbyt pewni co do reszty.

– Tak, wiem – powiedziała Suze, brzmiąc ze skruchą. – Zresztą. – Spojrzała na mnie spod czoła. – Nie przyszłaś tutaj, żeby rozmawiać o bitwie o demokrację. Przyszłaś porozmawiać o bitwie, która nadchodzi.

– To prawda – przyznałam. – Przepraszam, że jestem tak...

– W porządku – powiedziała Suze. – Miałam takie rozmowy w przeszłości. Powiesz coś, co *przekracza* granicę i nic się nie zdarzy, prócz kłócących się ludzi, ale pewne jak natura okaże się, że jedna ze starych towarzyszek wpadnie na przyjacielską rozmowę, żeby wyjaśnić lepiej różne sprawy.

– Nie jestem jedną ze starych towarzyszek!

– Och, ależ jesteś – powiedziała Suze. – Poznałabym ten wzrok wszędzie. Tolerancja, która przychodzi z kompletnej pewności, że masz rację.

Musiałam się uśmiechnąć, kiwnąć i wzruszyć ramionami na to, ponieważ sama znałam tę minę, nawet jeżeli nigdy nie rozpoznałam jej w lustrze.

– Ok, Suze, fakt jest... *musimy* wygrać. Dręczą nas, nękają, musimy ich rozwalić, na wieki. Nikt nigdy nie powiedział, że nie powinniśmy tego robić. To tylko... dokończenie roboty.

Suze wyglądała na zmieszaną.

– Tak, ale to takie ostateczne! Wszystko się zmieni.

Przytaknęłam energicznie.

– Dokładnie tak. Jednak, jeżeli tego nie zrobimy, wszystko się zmieni, ale na gorsze. Naszym sposobem, sprawy zmienią się na lepsze. Będziemy w końcu w stanie rozwijać się właściwie. I musimy. *Widziałaś* ile dzieci rodzi się ludziom?

Suze uśmiechnęła się krzywo.

– Ta. Ale to, co proponujesz, przypomina mi... rzeczy, o których czytałam, z dawnych czasów. *Lebensraum*. Objawione przeznaczenie. Takie tam.

Prawie pożałowałam (prawie) przyznania się jej i Malleyowi. Jednak ten rodzaj sporu musiałby się odbyć, wkrótce, z wszystkimi. Kiedy przedstawiciel Rady Układu Słonecznego przybędzie, on lub ona nie da się wprowadzić w błąd i wszystkim by powiedziała. Wtedy woda trafiłaby na pręty paliwowe w wielkim stylu.

– To nie jest tak, Suze – powiedziałam. – Szczerze. Zewnętrzni ...Jowiszanie nie są ludźmi. W niczym nie przypominają ludzi. Są tylko inteligentnymi wirusami komputerowymi, a to jest nasza szansa na wyczyszczenie dysku na dobre. A jeżeli nie skorzystamy z tej szansy ...– Zawahałam się, ponieważ był to rdzeń ducha Od-

działu, nasz Centralny Dogmat, i nie był dobrze przyjmowany przez ludzi, którzy prowadzili bezpieczniejsze życia – . . . oni nas zniszczą, lub użyją, tak szybko, gdy *oni* będą mieli szansę. To oni albo my.

Suze patrzyła zamyślona.

– Ok, rozumiem to – powiedziała. – Próbuję sobie wyobrazić przejęcia mojego umysłu, jak to się zdarzyło ze starymi komputerami w trakcie Krachu i. . . – Wzdrygnęła. – Zrobiłabym wszystko, żeby temu zapobiec. Raczej bym zginęła.

– Bardzo dobrze – powiedziałam. – Ale do tego nie dojdzie, ponieważ to my raczej *zabijemy*.

– Ale spróbujecie porozmawiać wcześniej? Tak jak obiecałaś?

I jak nasz własny przewodniczący prawie obiecał, że nie będziemy.

– Oczywiście – powiedziałam.

Nasza rozmowa przesunęła się do mniej ważkich tematów, a kiedy rozstawałyśmy się po kilku drinkach, byłam dość pewna, że wypróbowana i przetestowana technika przyjacielskiej rozmowy z jedną ze starszych towarzyszek nadal miała dużo zalet.

Rozdział 6

Walhalla

– To zabawne – powiedziała Suze. – Zawsze wyobrażałam sobie, że Jowisz z powierzchni Kallisto wypełniłby połowę nieba, a wszystko inne byłoby czarne.

– Stajesz się światowa, dziewczyno – powiedziałam jej. – Jowisz jest prawie dwa miliony kilometrów dalej i ciągle wygląda wystarczająco wielki dla mnie.

Była 08:48 UT dziesiątego dnia. Byliśmy na niskiej orbicie nad Kallisto, jej powierzchnia poznaczona kraterami lodu z charakterystycznym wyglądem granulowanego szkła. Pierścienie amortyzujące Walhalli wsunęły się pod nas, gigantyczny Jowisz wznosił się ponad horyzontem przed nami. Na obu ciałach prace umysłu były oczywiste: wzniesienia w kształcie plastra miodu roju Jowiszan, ciągle potworne w moich oczach po dwóch wiekach, na Kallisto jasna zielono-złota bańka wiosek w kraterze równikowym, mroczne wieże laserów obronnych, długie białe linie torów katapult elektromagnetycznych[1], wzdłuż której bloki lodu były wysyłane w kosmos. Kallisto ma cztery razy więcej wody w swojej lodowej skorupie niż Ziemia ma we wszystkich swoich oceanach. Pchnięte z asy-

[1] proponowana metoda wysyłania ładunków na orbitę przy użyciu silników, przykładowo elektromagnetycznych, do przyśpieszenia i wyrzucania ładunków, por. `https://en.wikipedia.org/wiki/Mass_driver` – przyp.tłum.

stą grawitacyjną Jowisza, te bloki lodu były wysyłane na niską orbitę transferową do Systemu Wewnętrznego, woda, którą wzięliśmy na orbicie Ziemi, przebyła całą tę drogę stąd i *ciągle* było taniej. Znacznie efektywniej niż wyciąganie wody z głębokiej studni grawitacyjnej Ziemi lub zdrapywanie szronu w cieniu na biegunach Księżyca.

Pomiędzy tymi najdalszymi, głównymi księżycami Jowisza i samą planetą był Pierścień: bliska krawędź pod tym kątem i odległości pokazywana jako nieprawdopodobne rzadkie światła, które, gdy oko patrzyło z perspektywy, składało się na coś, co wydawało się solidnym półksiężycem pasma bieli. Słońce ciągle było rozpoznawalne jako słońce, ale jego światło było wystarczające jasne, żeby wyglądać jak jasny dzień, nie tak jasne, że oślepiało i paliło, znacznie bardziej naturalne niż było na Ziemi.

– Wszyscy się zapiąć! – krzyknęła Andrea. – Hamowanie za dwie minuty!

Wystrzeliliśmy się od szerokich ekranów ku pryczom. Przypięłam się i sięgnęłam do wciąż brnącej Suze, pchnęłam ją delikatnie na miejsce. Poleciała, złapała i się odwróciła. Malley pozostawał przypięty przez nasze chwile w nieważkości. Jego powieki były zaciśnięte, ich nacisk tworzył jedyne zmarszczki na odmłodzonej twarzy. On i Suze byli obecnie na tym samym poziomie, fizjologicznie, ale jego odruchy, nawyki i oczekiwania systemu nerwowego pozostały takie same jak mężczyzny, który żył dwieście sześćdziesiąt lat w tej samej stałej grawitacji. Suze, miała mniej do oduczenia, dostosowywała się szybciej.

– Deceleracja za dziesięć, dziewięć, osiem…

Nie było potrzeby odliczania, ale Andrea też miała stare nawyki. Hamowanie tym razem było krótsze i mniej dotkliwe niż przyśpieszanie z Ziemi. *Straszne Piękno* wylądowało i usadowiło się w ko-

łysce lądowania jak dobrze złapane jajo. Cisza pozostawiona przez nagły brak niesłyszanych nut napędu była wypełniona złowieszczymi dźwiękami skrzypienia.

– Woda stopiła się pod palnikiem – powiedziałam Suze i Malleyowi. – Teraz znowu zamarza. Kołyska, na której spoczywamy, ma podpory, które sięgają głęboko w lód, więc jesteśmy całkiem bezpieczni.

Wszyscy wstaliśmy, uśmiechaliśmy się do siebie i odbijaliśmy się nieco w niskiej grawitacji, krzycząc i dowcipkując i ogólnie zachowując się, jakby został z nas zdjęty ciężar, choć pozostał. Suze i Malley patrzyli się na nas i ostrożnie, eksperymentalnie podskoczyli.

– Dobrze jest być w domu – powiedziałam, przekazując zbiorniki powietrza jak butelki szampana. Wpakowałam swoją z przodu skafandra i powierzchnia skafandra ją opłynęła.

– To wszystko, co trzeba z tym zrobić? – spytał Malley.

Skinęłam głową, kierując ich przez równie szybki i prosty proces przygotowywania skafandra na próżnię. Mój własny skafander wchłonął niektóre z bujniejszych upiększeń, gdy się zmniejszał. Czułam wewnętrzne warstwy odpływające z obrazów nocnego ubrania do bardziej funkcjonalniejszej jednoczęściowej izolacji od brody do stóp. Naciągnęłam kaptur na głowę i wymamrotałam:

– Hełm start.

– Wyglądasz bardzo śmiesznie – powiedziała Suze. Rozejrzała się. – Zdaje się, że my też.

– To praktyczne – powiedziałam. – Kolory sprawiają, że jesteś lepiej widoczna na powierzchni. W razie wypadku czy sytuacji awaryjnej to może uratować twoje życie.

– Ta – powiedział, wskazując na swój fuksjowo-purpurowy pancerz. – Nie chciałabyś być widziana w tym po śmierci.

Przeszliśmy do śluzy powietrznej i wyszliśmy w parach do platformy podniesionej przez kołyskę lądowiska. Wzięłam Suze ze mną i gdy czekaliśmy na innych, rozglądała się po polu lądowiska. Byłyśmy trzydzieści metrów nad powierzchnią i miałyśmy dobry widok na kilometry płaskiego i brudnego lodu, dziesiątki żurawi i kołysek lądowisk, dziesiątki czołgających się pojazdów i setki ludzi w jasnych skafandrach, wyglądających z tej wysokości jak nienormalny gatunek swoistych, wielokolorowych mrówek. Jedna ścian pierścienia Walhalli wyznaczała horyzont. Bloki lodu z odległej katapulty elektromagnetycznej wzbijały się nad głowami jak meteory skierowane w złym kierunku w tempie około jednego na minutę.

Poczułam się, jak zawsze przy powrocie tutaj, jak w domu, dosłownie oszołomiona bezpiecznym powrotem i tylko minuty od ciepłego ludzkiego tumultu lodowych jaskiń i absurdalnie wdzięczna bezbożnym, bezmyślnym siłom, które postawiły tę drogą oazę wody tak wygodnie w zasięgu ludzkości. Pierwsza fala kolonizatorów kosmicznych miała powiedzenie, coś pomiędzy litanią a obiegowym żartem, który brzmiał: „Jeżeli Bóg chciał wysłać nas w kosmos, dałby nam Księżyc, jeżeli chciał, żebyśmy terraformowali, dałby nam Marsa, jeżeli chciał, żebyśmy kopali na asteroidach, dałby na Pas, jeżeli chciał, żebyśmy kolonizowali, dałby nam Kallisto”. I tak dalej. Szczegóły, imię i płeć bóstwa obciążanego odpowiedzialnością się zmieniały, ale wiadomość była taka sama. Istniały nawet próby przełożenia tego w bardziej filozoficzną, poprawną formę, jako specjalny przypadek zasady antropicznej, ale zawsze uważałam, że są raczej wymuszone.

Jeżeli nie istniał, jak prawie każdy uważał, Bóg, to wszystko, co ktoś mógł uczciwie powiedzieć, to, że ludzki gatunek był po prostu niesamowicie fortunny. Musieli być jacyś zwycięzcy kosmicznej loterii, jakieś gatunki, które każde przypadkowe wydarzenie,

od odejścia dinozaurów do przyjścia lodu, pracowały, by doprowadzić, a potem rozpalić ogień rozumu. A których urodziny jako ludzi udających się w kosmos, konfiguracja planet była korzystna, same gwiazdy się uśmiechnęły: prawdziwy horoskop naszego prawdziwego przeznaczenia, nieskończenie większe niż cokolwiek wyobrażonego w drobnych prognozach astrologii.

Inne życie było pewne: Układ Słoneczny był zakurzony substancjami organicznymi, na planetach poza-Słonecznych nasze najlepsze teleskopy dostrzegały biosfery, Wilde raportował, że Nowy Mars miał wielokomórkowe organizmy, skamieniałości i węgiel. Inne umysły też mogły tam być, ale wielka cisza nieba przemawiała z bezwarunkową jednomyślnością. Niezależnie, jakie triumfy te inne umysły osiągnęły, komunikacja radiowa i podróże w kosmosie nie były pośród nich. Gwiazdy były nasze.

Wyjrzałam na zajętą, zatłoczoną, wesołą scenę pola lądowania, obserwując jak osłonięty chodnik do najbliższego wejścia tunelu rozwijał się w naszym kierunku. Dwójkami reszta dołączyła do mnie, wychylając się nad balustradą platformy, zatopieni w swoich myślach. Nowo wbudowane łącze laserowe hełmu zabrzęczało.

– To jest ponure miejsce – powiedziała Suze.

Przebyliśmy drogę od pola lądowania zjeżdżającą windą i szybkim pociągiem tunelowym do Centrali Oddziału w Bazie Walhalla, dziesięć kilometrów od pola i kilometr pod lodem. Zjazd windy był bardziej rodzajem nieważkości, na samym końcu stopniowo wyhamowujący. Pociąg tunelowy, podobnie, był w stanie przebyć większość drogi na ostrzach jak łyżwy, biegnąc w kanałach wiecznego lodu, rozmrożonego i zamrożonego. Po drodze, Malley spytał o trzęsienia lodu. Powiedziałam mu, że Kallisto była jednym z najstabilniejszych głównych księżyców. Nie wyglądał na uspokojonego.

Wszystkie to wyglądające na nowe kratery mogły sprawiać złe wrażenie.

Centrala Oddziału była mrowiskiem tuneli i komnat wyłożonych natryskiwaną izolacją, która pachniała lekko smołą i która była zabarwiona zgodnie ze schematem tak złożonym, że został porzucony, gdy tylko został wdrożony. Staliśmy na zewnątrz wewnętrznych drzwi głównej śluzy powietrznej, podczas gdy hełmy się opuszczały. Powietrze było chłodne, niosło więcej zapachu ludzi i maszyn, a mniej roślin i recyklerów niż to na statku. Odległe drżenie pomp powietrza mogło być dosłyszane i wyczute przez podłogę.

Przed nami stumetrowy jasnooświetlony żółty korytarz rozwijał się do skrzyżowania z niebieskim korytarzem. Wzdłuż korytarza ludzie przechodzili co kilka sekund, w znajomym kroku niskiej grawitacji znanym jako „księżycowe skoki". Żeby pozwolić na górną część trajektorii skoku, sufit korytarza nigdy nie był niżej niż około trzy metry.

– Żadnych straży? – spytał Malley. – Ani recepcji?

– Nie jesteśmy… – zaczęła Suze, była powstrzymana gestem i uśmiechem Malleya.

– Ok, ok.

Członkowie załogi zmieniali swoje skafandry na styl niskiej grawitacji. Suze pozwoliła wrócić swojemu skafandrowi do domyślnego stroju i paczki. Wybrałam niebieskie spodnie ze sztucznej skóry, top, szeleszczący, przezroczysty żakiet i torbę na ramię. Malley zaskoczył mnie, i pewnie siebie, całością średniowiecznego uczonego, leginsy, portki, tunika i płaszcz z dużą ilością czarnego futra.

Prowadziłam wzdłuż korytarza, skręciłam w lewo, a potem aż niebieski zmienił się w czerwono-białą posadzkę, spojrzałam na ręcznie wypisany znak przyczepiony do ściany, skręciłam w prawo na następnym skrzyżowaniu i zatrzymałam się przy drzwiach świeżo

wyciętego awaryjnego pokoju konferencyjnego. Tutaj, w końcu, był strażnik, mężczyzna w ciężkim pancerzu, uzbrojony w kilka pistoletów i lekki karabin maszynowy. Rozpoznał mnie i kiwnął głową.

– Czekają na nas – powiedziałam.

Zapukałam i weszłam. Mogliśmy być oczekiwani, ale obecni byli zajęci swoimi zadaniami i zajęło to kilka minut, zanim spotkanie mogło być zwołane dookoła stołu, który zajmował pierwszą sekcję wielkiego pokoju. To był długi stół, sześć metrów na dwa metry i około dwudziestu krzeseł dookoła. Część pokoju, którą zajmował, była lepka od świeżej izolacji. Za nim był ekran wyświetlacza i grupa terminali, a poza tym pula średniej wielkości babbage, który delikatne klikanie i warkot wypełniały ciszę. Około dziesiątki osób pracowało wśród nich, wyglądając jakoś na pognębionych: jako członkowie Komitetu Sterowania, niezależnie od zasad, nie mieli ostatnio doświadczeń z tak niskopoziomowymi zadaniami. Odległy kraniec pokoju przylegał do surowego lodu i tuzin robotów pracowała nad rozszerzeniem pokoju, topiąc lód, odprowadzając wodę, odfiltrowując substancje organiczne, rozwijając kable i linie zasilające w świeżo wytopione kanały i nakładając izolację tuż za postępującym frontem ich aktywności. Pod izolacją, nowe rzeczy w ścianach w końcu zamarzłyby na miejsce.

Sylvester Tatsuro był pierwszym, który podniósł wzrok znad babbage, którego pracowicie programował i podszedł do nas się przywitać. Był to mały i krępy mężczyzna, z cofającymi się czarnymi włosami, których nie silił się zastąpić i wąskimi ciemnymi oczami. Miał na sobie rodzaj przepasanej szaty z zielonego futra. Jego rękawy były nabijane wyświetlaczami i miał małą pulę sterowania wiszącą z paska na szyi.

Potrząsnął rękę Malleya, skinął na Suze i odwrócił się do mnie.

– Dlaczego ona jest tutaj?

– Chcę jej tutaj – powiedziałam. – Opinię, nie głosowanie, oczywiście. Poznałam ją przypadkiem, ale była bardzo pomocna i myślę, że przedstawia punkt widzenia, który dobrze, żebyśmy usłyszeli.

Tatsuro wzruszył ramionami.

– Jest Twoją odpowiedzialnością – powiedział. – Jeżeli chcesz ją zachować jako doradcę, w porządku.

– Dołączyłam do Oddziału – powiedziała Suze.

– Witam, towarzyszko – powiedział Tatsuro. – Ale w tym komitecie, jesteś ściśle doradczynią. Możesz odejść, kiedykolwiek chcesz, ale nieautoryzowana łączność poza Oddziałem jest zakazana. Każda taka będzie od razu wykryta i czynności będą podjęte. – Uśmiechnął się krótko. – Brzmię jak policjant ze starych czasów czytający Twoje prawa, ale jestem pewien, że rozumiesz, dlaczego ta zasada jest konieczna.

– Oczywiście, sąsiedzie – powiedziała Suze. – Rozumiem. Jestem bardzo dumna, że tutaj jestem.

– Dobrze – powiedział Tatsuro, uśmiechając się z każdym przejawem szczerości. – Co do reszty Twojego zespołu... – dodał, mówiąc do mnie.

– Załoga zostaje – powiedziałam.

Po chwili patrzenia w oczy, kiwnął głową.

– Co się tutaj dzieje? – spytał Malley, wskazując na dalszą część pokoju.

Tatsuro się rozejrzał dookoła.

– Przygotowujemy filtry informacyjne dla danych wracających z sond, które mają wejść w atmosferę Jowisza za kilka godzin – powiedział. – Naturalnie większość ze szczegółowego przetwarzania zostanie wykonana przez nasze zespoły naukowe, ale sprawdzamy je pierwsi. Pierwsza szansa, żeby się upewnić, że nie ma wirusów

umysłowych. – Uśmiechnął się słabo. – Jeden z przywilejów naszej pozycji.

– Słowa godne dobrego socjalisty – powiedział Malley.

Tatsuro odpowiedział półuśmiechem i wzruszeniem ramion, jakby nie chciał się kłócić, i zastukał głośno w stół.

– Zbierzmy się, towarzysze – zawołał szorstko. – Te rzeczy mogą poczekać.

Jeden po drugim pozostali członkowie komitetu zostawiali to, co robili i przenosili się do stołu. Wskazałam innym członkom załogi, że powinni się rozproszyć pomiędzy komitetem niż siedzieć w grupie, i sama usiadłam pomiędzy Malleyem i Suze, z Tatsuro pod kątem prostym wobec mnie, a nie naprzeciw. Nie zamierzałam dawać mu nawet najmniejszej przewagi siedzenia naprzeciw mnie, jeżeli chciał dyskusji nad moimi działaniami nad Ziemi.

Wydawało się, że nie chce. Pierwszym tematem porządku byliśmy, oczywiście, my. Ale Komitet – same znajome twarze, niektórzy starzy przyjaciele – wysłuchali mojego podsumowania, zadając tylko kilka pytań. Dopiero kiedy wspomniałam o moim porozumieniu z Malleyem, zaczęło się marszczenie brwi i mamrotanie.

– Kontakt nie był w żadnym stopniu rozważany – powiedział Tatsuro. – To bezwzględnie zmienia podstawę, według której działamy. To ponownie otwiera kwestie, które ustaliliśmy już dawno temu.

– Okoliczności uległy zmianie – powiedziałam. – Nie wierzę zbytnio w żadną współpracę z Jowiszanami, ale jeżeli jest to, co doktor Malley tutaj potrzebuje, żeby przekonać go do podzielenia się pracą z nami, jestem bardziej niż chętna, żeby spróbować.

Tatsuro pokręcił głową.

– To jest zbyt niebezpieczne. Nie możemy pozwolić sobie na

stratę Ciebie, Ellen, i nie możemy pozwolić na stratę czasu na jakieś *negocjacje*.

– Możemy kontynuować przygotowania do katastrofy kosmicznej – powiedziałam. – Kontakt, jeżeli ma się wydarzyć, nie powinien wchodzić w drogę. Jeżeli odbędą się negocjacje, wyobrażam sobie, że się zakończą przed uderzeniem, a na czas, żeby powstrzymać, jeżeli zakończą się pomyślnie. Jeżeli tam na dole są umysły post-ludzkie, wiemy, że potrafią myśleć szybko. A co do zagrożeń, cóż... czy to jest jakoś gorsze niż prowadzenie bezpośrednich obserwacji?

– Jeżeli mogę? – spytała Yeng. Kiwnięcia dookoła stołu. – Jest jeszcze gorzej, Ellen, komunikacja z konieczności odsłania Cię bardziej niż sama obserwacja i więcej przepuszcza. Wzmocniłam firewalle i to ...– machnęła dalej w pokój – ...oczywiście jest zorganizowane, żeby przefiltrować przychodzące obserwacje i je wyizolować.

– Prawda – zaburczał Tatsuro.

– Zatem pomiędzy nimi – kontynuowała Yeng – powinno to być więcej niż wystarczające. Jednak zalecam backup, na wszelki wypadek.

Spieraliśmy się przez godzinę, ale w końcu się zgodziliśmy. A kiedy doszło do porozumienia – w rzeczywistości konsensusu[2], nie było nawet potrzeby głosowania – ci z nas bezpośrednio zaangażowani poszli od razu do pracy, podczas gdy spotkanie trwało.

Yeng zastosowała proces backupu, sprzęt był pod ręką, ponieważ ktokolwiek wyciągnął krótką słomkę lub zgłosił się na ochot-

---

[2] proces podejmowania decyzji w grupie, w którym jej członkowie dyskutują i zgadzają się wspierać decyzję w najlepszym interesie całej grupy lub wspólnego celu, metoda konsensusu powstała m.in. aby uniknąć głosowania i przymusu większości nad mniejszością, więcej `https://pl.wikipedia.org/wiki/Podejmowanie_decyzji_w_drodze_konsensusu` – przyp.tłum.

nika, żeby zająć się obserwacjami z bliska, i tak by go potrzebował. Proces zajął czterdzieści minut, każda sekunda była, dla mnie, głęboko nieprzyjemna: zaczyna się od macki w nozdrzu, a kończy się lekiem przeciwbólowym na najgorszy ból głowy, jaki możesz sobie wyobrazić, prawdziwą migreną i mikropadaczkę razem, z szumem w uszach i żółtymi, brudnymi błyskawicami w oczach, gdy ból zamienia się w synestezję.

A potem to blaknie w tępej uldze. Stałam, patrząc na piętnaście mililitrów inteligentnej materii w dłoni, w obrębie, której moja dusza była zachowana, aż mały blok został płynnie wchłonięty przez skafander, znikając jak w tanim tricku, nic w moim rękawie.

– Naprawdę wycieńcza. – Yeng patrzyła z sympatią, potem oboje zauważyłyśmy dwuznaczność i się roześmiałyśmy. Poczułam się lepiej i wstałam. Komitet Sterowania przeszedł do dyskutowania zbliżającej się wizyty delegata Rady Układu Słonecznego. Jak zwykle w Oddziale, byli całkiem zdolni skupienia się na jednej rzeczy na raz, i zostawianie tych, którzy wprowadzali decyzję w życie, żeby się tym zajęli.

W trakcie mojego obrządku kopii zapasowej, ekran telewizyjny został przesunięty na jedną stronę i Malley używał go do obserwowania Bramy z bliska i w czasie rzeczywistym. Zarys Bramy był teraz czystszy niż na starych nagraniach, ponieważ przez kilka dekad ostrożnie dołączyliśmy układ instrumentów i rakiet dookoła jej obwodu. Instrumenty, których używaliśmy do obserwacji, rakiety do zmiany ich pozycji, stopniowo przesuwając Bramę z niskiej orbity Jowisza na obecną pozycję pomiędzy zewnętrznymi księżycami. Obecny obraz na ekranie pochodził z myśliwca wśród zwykłego roju, który obserwował.

Tam, gdzie był ekran telewizyjny, teraz był mniejszy ekran pokazujący przychodzące dane z Kontroli Misji o, raczej niż z, powo-

dzi sond obecnie zbiegających się na planecie, oraz pokład sterowania i hełm, dla uprzywilejowanej jednostki, która miała podążyć razem z nimi na dół.

– Przeprogramowałam niektóre z nich zdalnie – powiedziała Yeng. – To są standardowe sondy nurkujące dla gigantów gazowych. Jest tam nagrana wiadomość, tylko powitanie i zapytanie, dla Ciebie do odpalenia na częstotliwościach, które Jowiszanie używają do, jak sądzimy, łączności, oraz izolowany rdzeń na odpowiedź.

– Skąd będą wiedzieć, na których się skupić?

– Będą to tylko te, do których się dostaniesz. – Nie martw się, zostanie dostatecznie duży ułamek dla Ciebie, żebyś mogła się zbliżyć.

– Ok – powiedziałam. Spojrzałam na wyświetlacz Kontroli Misji. – Pięć minut do wejścia. Wszystko albo nic.

Malley odwrócił się od własnego ekranu i pokazał mi kciuki w górze, gdy siadałam i zakładałam hełm VR.

Jowisz się wynurzył, a ja wpadłam.

To, co mnie uderzyło pierwsze, to przejrzystość światła. Wiedziałam intelektualnie, czego się spodziewać, ale przyzwyczaiłam się do patrzenia na Jowisza z góry, i z daleka, jako kręcącej się masy chmur i wzniesień. Z bliska, skala przestrzeni pomiędzy tymi chmurami była dogłębnym szokiem. Pomiędzy kolumnami chmur były przepaści, kolumny światła, w które Ziemia mogłaby wpaść aż do metaliczno-wodorowego rdzenia.

Setki sond, wyszukanych, ale przeznaczonych na stratę, wyciętych jak kapsle w nanofabrykach, były pasywnie aerodynamiczne: szybowce w kształcie i przybliżonej wielkości kamiennych grotów strzał, ich fasetowane powierzchnie błyszczące jak postrzępione krzemienie, w ich kadłubach z cienkich prętów mieściły się spadochrony. Włókna ich anten ciągnęły się za nimi, równolegle do wałów. Czubki

sonda były lotkami i sterami, zatem ich lot mógł być kontrolowany, ale z minimalnym opóźnieniem dwunastu sekund, takie sterowanie mogło być jedynie zgrubne.

Gdy uderzyły w atmosferę przy prędkości pięćdziesięciu kilometrów na sekundę[3], przeskakiwałam pomiędzy sondami, szukając tych, które wydawały się kierować w interesujących kierunkach. Pierwszy, na którym się skupiłam, opadał w dół w spirali na prądzie wstępującym, w którym bańko-gromady (nie byłam przygotowana, jeszcze, żeby je nazywać „miastami"), dryfowały w górę. Przeskoczyłam do następnej, która kierowała się na jedną ze „ścian" komórek konwekcyjnych, wróciłam do pierwszej, gdy opadała. Różowe i pomarańczowe chmury mijały.

Za mną, nie mogłam inaczej pomyśleć, spadochrony rozkładały się jeden po drugim, i jeden po drugim były zrywane. Kiedy ostatni został zniszczony, sonda zwolniła do zwyczajnych dwudziestu kilometrów na sekundę i była na głębokości trzystu kilometrów w atmosferze, pędząc w zaciskającym się okręgu w studni czystego wodoru ku bańko-gromadom. Pchnęłam powierzchnie sterowania sondy i prawie je zatrzymałam, okrążając gromadę jak sterowany samolot. Bańko-gromada miała średnicę dwóch tysięcy kilometrów, wykonana z setek przezroczystych baniek. Tyle nasze teleskopy już pokazały, w tym wskazówki ruchu wewnątrz.

Bliżej... teraz mogłam dojrzeć czarne nici, każda przynajmniej szeroka na pół kilometra, która promieniowała z gromady i znikała w ścianie chmur. Te pasma połączone z innymi gromadami wydawały się niesamowite, biorąc pod uwagę dystans, ale każde wy-

[3] w oryg. autor używa jako jednostki mil na godzinę, biorąc pod uwagę, że prędkości w przestrzeni kosmicznej często są podawane w kilometrach na sekundę, odpowiednio przeskalowałem, dla przypomnienia pierwsza prędkość kosmiczna – minimalna prędkość na orbicie Ziemi wynosi 11,2 kilometra na sekundę – przyp.tłum.

jaśnienie, że były tylko jakimiś rurami wejściowymi lub wyjściowymi, była tak niepoparta dowodami, kusząca, jak myśli, że mogły być zwyczajną kanalizacją lub wentylatorami.

Jeszcze bliżej... ewidentna półprzezroczystość baniek wyostrzyła się do przezroczystości: wiele sześciokątnych szyb osadzonych w siatce solidnie wyglądających białych dźwigarów. Za nimi był ruch, niewątpliwy, określony. Nacisnęłam przycisk „wyślij" i znowu krążyłam dookoła. Brawurowym impulsem obróciłam sondę w bliskie przejście nad szczytem bańko-gromady. Wszystko, co zobaczyłam, oczywiście, to minutowej długości plama, po której nastąpiła ciemność, gdy sonda wpadła w chmury.

Odłączyłam się od sondy i przełączyłam na dane, przeglądając nagranie z małą prędkością, zmniejszając prędkość, aż wydawało się, że dryfuję razem, zwiększając powiększenie, aż każda płyta była tak wyraźna i bliska jak okno kokpitu.

I zobaczyłam za tymi oknami – wyglądające, grupujące się, najwidoczniej podążające za błyskającym światłem małego obiektu – głębokie, fioletowe oczy na gigantycznych twarzach, twarze słodkie i spokojne jak te wyobrażonych aniołów. Ich ciała również były anielskie: z długimi, opadającymi kaskadami złotych, srebrnych lub miedzianych włosów i rozległym, przeświecającymi szatami tęczowego światła, każda z napierśnikiem błyszczących, wysadzanych klejnotami filigranem[4]. Ich wygląd nie był bezpłciowy, czy androginiczny, były zróżnicowane w warianty ideałów męskiej i kobiecego piękna. Wnętrze bańki jarzyło się i błyskało od blasku ich uderzających skrzydeł. Nie takich jak skrzydła insektów, ptaków czy nietoperzy, ale doskonałych paraboli, zakrzywionych jak pola

---

[4] technika złotnicza polegająca na zdobieniu lub wykonywaniu całego przedmiotu z cienkich drucików ułożonych w ażurową siatkę, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Filigran` – przyp.tłum.

magnetyczne, błyszczących jak światło polarne, skrzydła zrobione z zorzy.

Gdy patrzyłam, zmienili się, płynnie w kształty fantastycznych ryb, unoszących się wielokolorowych szali, powódź kwiatów, jaskrawe ognie. Wizja skończyła się, gdy sonda minęła gromadę.

Ponownie odtworzyłam, tym razem dołączając do obrazów wiadomość, którą wysłałam i odkryłam, że odpowiedź została odebrana. Zawahałam się, potem zaczęłam działać i puściłam ją przez filtry firewalli. To, co wyszło, nie było żadnym rodzajem wirusa, ale całkiem prostolinijną wiadomością stworzoną i wysyłaną ciągle w sekundowej sekwencji angielskiego. Maszyny rozciągnęły impuls, spróbkowały to do dźwięku, który brzmiał w moich uszach, litery, który świeciły się przed oczami:

– Odpowiadając sondzie: przyjmujemy wiadomość. Czekamy na dalszą komunikację. Nieformalnie, cześć chłopcy i dziewczęta! Minęło tyle czasu! Pogadajmy! Do zobaczenia wkrótce!

Piękno Jowiszan, ciepło – i w istocie kolokwialna nieformalność – ich wiadomości, powinna wystarczyć, żeby stopić wrogość, wszelkie podejrzenia. Wesołość ich wyglądu, tony powitania i miłości w ich głosach, sprawiły, że zaczęłam tęsknić za ponownym ich widokiem i rozmową. Wyszłam spod hełmu VR, odłożyłam go i spojrzałam na Yeng. Czułam, że moje policzki napinają się od uśmiechu, wilgotne od łez. Yeng uśmiechnęła się do mnie i spojrzała na głową. Odwróciłam obrotowe krzesło i zobaczyłam, że reszta załogi i Komitetu Sterowania stłoczyła się za mną.

– A więc? – spytał Tatsuro. – Nawiązałaś kontakt?

– Tak – powiedziałam. Mój głos drżał.

– Żadnego hakowania? Żadnych wirusów?

Yeng pokręciła głową.

– Wszystko czyste – powiedziała. – Żadnych wirusów.

– W ogóle nic – powiedziałam. – Sami zobaczcie. Spójrzcie i powiedzcie mi, że to nie są najpiękniejsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widzieliście. One są. . . przeurocze. Kuszące. – Westchnęłam, przypominając sobie. – I najwidoczniej zdolne do nawiązania łączności z nami. Przez cokolwiek przeszli, zachowali jakąś ciągłość z ludzkością.

Obrazy, które widziałam, były wyświetlone raz jeszcze, tym razem na ekranie. Suze i Malley oglądali je, wniebowzięci. Załoga i komitet badali je ostrożniej.

– Co myślicie? – spytał Tatsuro. Inni byli, przez chwilę, zbyt zaabsorbowani tym, co widzieli, żeby mówić, więc zaczęłam pierwsza.

– Dlaczego nie spojrzymy na innych Jowiszan? – powiedziałam. – Tych, z którymi *nie* nawiązałam kontaktu. Zobaczmy, jak to jest typowe, zanim przejdziemy do wniosków.

Niechętnie inni wyrwali się z zamyślonego podziwu i zabrali do pracy. Kilka sond przeszło tak samo blisko, lub bliżej, innych bańko-gromad, jak ta, którą śledziłam, i obrazy mieszkańców gromad mogły być wyciągnięte. Ich wygląd szeroko się różnił i zmieniał się szybko, gdy obserwowaliśmy. Forma „anioła”, którą napotkałam jako pierwsza, była pośród nich, ale było tam wiele innych nie mniej pięknych. Najczęstszy, prosty kształt przypominał motyla, z parabolicznymi, kolorowymi skrzydłami, jak te u „anioła”, rozwijającymi się z centralnej kolumny lub rdzenia. Kształt rozbłysku słońca, który u „aniołów” pojawiał się na napierśniku lub naszyjniku, był cechą wszystkich bytów Jowiszan, choć czasem ukrytej w ich przyjętej formie.

– Ten klejnot wydaje się podstawą Jowiszan – powiedziałam. – CPU, może? Siedzi w błyszczącym kształcie dookoła niego jak magnes w polu. . .

– Czym to może równie dobrze być – powiedziała Yeng. – Większa forma jest jakby kontrolowaną aurorą, prawie obrazem telewizyjnym, który Jowiszanie mogą zmieniać do woli. – Uśmiechnęła się. – Wydają się... figlarni, kapryśni...

– Jowialni! – powiedział ktoś.

– To sugeruje – powiedział poważnie Tatsuro – stopień wspólności z nami, którego stare makra Zewnętrznych w ich ameboidalnych kształtach nie miały. Ich czas reakcji pokazuje, że ciągle są „szybkim ludkiem", ale ich wygląd jest bardziej ...pociągający, a oni wydają się oddzielnymi jednostkami. Muszę powiedzieć, że automatyczna reakcja na te byty jest całkiem odmienna od strachu i nienawiści, którą, wydaje się, wzniecały makra. – Machnął ręką przez jakiś wirtualny obraz, tworząc sekwencję pięknych, zmieniających się zdjęć. – Kiedy ludzie ich zobaczą, nie sądzę, żeby byli chętni do zniszczenia jak my jesteśmy, lub *byliśmy*.

Członkowie Komitetu Sterowania poważnie kiwali głową, pocierając ich brodate lub gładkie brody jak starzy chłopi słuchający intelektualisty. Patrzyłam na nich, zdumiona, że mogli być tak przekonani.

– Czy to nie jest oczywiste, co tutaj się dzieje? – spytałam. – *To* jest wirus umysłu, zabójczy mem. Szybki ludek po prostu dostosował się do środowiska, które zawiera ludzi z większą władzą niż oni mają, na razie. Ich piękno to wabik, precyzyjnie obliczony, żeby uruchomić nasze reakcje estetyczne. Ta wiadomość, te obrazy, były ich pierwszą linią obrony. Musimy się przez nie przebić, albo zginiemy.

Rozdział 7

Żelazna Stopa

To był początek sporu. Pozostali członkowie wiedzieli tak dobrze jak ja, że życie jest walką, w której piękno jest bronią: instrumentem przetrwania, jak płacz niemowlęcia lub uśmiech dziecka. Wiedzieli, że wiadomość, którą nagrałam, i dowolna inna komunikacja, mogła być wynikiem płaszczaków. Wiedzieli... ale po co kontynuować? Znali Prawdziwą Wiedzę.

Zatem ciągle mam problem z wybaczeniem lub w istocie zrozumieniem, następnych decyzji Komitetu Sterowania. Każda decyzja była poddana głosowaniu i każde głosowanie było przeprowadzane dwanaście do dwóch (ja i Joe Lutterloh, specjalista łączności). Komitet zdecydował: ujawnić reszcie Oddziału wszystkie obrazy Jowiszan i inne dane sond, przygotować się na bezpośredni kontakt używając (silnie strzeżonego) łącza radiowego, współpracować w pełni z delegatem Rady Układu Słonecznego, który miał przybyć za trzy dni. Było ciągle dużo czasu na odchylenie nadchodzącego pociągu komet z pasa Kuipera, wszystkie miały dołączone rakiety naprowadzające i prawie do ostatnich kilku minut wystarczyłby krótki ciąg, żeby je skierować na zwykle nieszkodliwą orbitę asysty grawitacyjnej dookoła Jowisza.

Tatsuro wydawał się wygrać większość komitetu argumentem, że nie było nic do stracenia, a prawdopodobnie dużo do zyska-

nia, robiąc te rzeczy w ten sposób. Oddział oryginalnie zamierzał przedstawić *fait accompli*[1] reszcie Związku, żeby nie ostrzec Jowiszan, ale wiedzieliśmy, że potem mogą być problemy. W ten sposób, wciągaliśmy resztę Związku w decyzję. Jeżeli współistnienie z Jowiszan okazałoby się niemożliwe, lub było przegłosowane, wtedy Jowiszanie ciągle nie mieliby czasu na reakcję, kiedy rozpoczęlibyśmy bombardowanie. Z punktu widzenia Jowiszan, nadchodzące komety mogły się wydawać nie bardziej groźne niż nasz zwykły ruch przychodzący, aż do ostatniej, fatalnej, drobnej zmiany ich kursu.

Myślałam, i dyskutowałam, że to raczej zakładało dużo o ich możliwościach. Niestety, otwierając temat negocjacji w celu nakłonienia Malleya do współpracy, umożliwiłam innym członkom komitetu powrócenie do ich wątpliwości i wahań, które mieli, jak również wystawienie ich na podstępny wygląd jakże atrakcyjnych i pociągających bytów Jowiszan. Pocieszałam się myślą, że współpraca Malleya była, w dłuższym czasie, najważniejszą rzeczą z mojego punktu widzenia.

Rozważania Komitetu Sterowania były prowadzone *in camera* tylko z powodu możliwego zagrożenia wirusowego. Skoro to było najwyraźniej niepotrzebne, spotkanie było otwarte tak jak wszystkie nasze spotkania zwykle były, a wszystkie decyzje były podatne na wpływ Oddziału jako całości. Pokój spotkań nadzwyczajny byłby zachowany, jednakże, jako pokój operacyjny dla obsługi bezpośredniej łączności. Podczas tego kontaktu, znowu byłby izolowany.

Malley, oczywiście, był zadowolony wynikami debaty i był chętny zająć się studiami Tunelu. Suze również wydawała się zadowolona i lekko uspokojona, kiedy nie pokazałam śladu wrogości wobec niej, lub kogokolwiek, kto się ze mną nie zgadzał. Przyjęłam moje

[1] fr. fakt dokonany – przyp.tłum.

porażki w głosowaniach z oznakami dobrej woli. Wewnętrznie wrzałam, ale radzenie sobie z takim rzeczami nie zabiera dwustu lat życia. Byłam w tym dobra już jako nastolatka. (*Starsza* nastolatka, co prawda).

Tak jak inni. Tatsuro nie został przewodniczącym za nic. Na końcu spotkania dodał łagodnie:

– Ellen, najwyraźniej nie jesteś chętna uczestniczyć w negocjacjach i nie dużo możesz dodać do naukowej analizy danych pomiarowych. Czy mogę zasugerować, do odwołania, żebyś kontynuowała prace z doktorem Malleyem, zapewniając mu praktyczną pomoc w problemie nawigacji wormholi?

Zgodziłam się, oczywiście, i reszta komitetu była bardzo szczęśliwa, że zajmuję się czymś, na co się zgodziłam, raczej niż niechętnie uczestniczę w czymś, na co się nie zgodziłam.

– Mamy dużo pracy – powiedział Tatsuro. – Ale sugeruję dodatkowo, żeby załoga *Strasznego Piękna* się wyspała. Ty w szczególności, Ellen, musisz być dość wyczerpana. Możesz zacząć pracę z doktorem Malleyem od rana.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Gdy wstaliśmy do wyjścia, Tatsuro odwrócił się, że jego twarz była, przez chwilę, widoczna tylko dla mnie. Zobaczyłam jego prawie niezauważalne mrugnięcie i wiedziałam, że nasza umowa jest podtrzymana.

Suze została z tyłu z Malleyem, który otrzymał stację roboczą na dalszym końcu pokoju, żeby kontynuować obserwację tunelu. Reszta z nas skierowała się do kabiny, którą dzieliliśmy jako załoga, choć niektórzy z nas bez wątpienia udaliby się gdzieś indziej dzisiaj wieczorem. (Noc i dzień w jaskiniach Kallisto nie mają nic wspólnego z niewygodnym okresem obrotu satelity, są samowolnie oparte na UT, jak czas naszego Statku. Dla wielu nie mają nic wspólnego z ich wzorem snu, który często jest oparty na przesunię-

tych zmianach i zniekształcony środkami pobudzającymi. Te ostatnie mają ograniczoną użyteczność: rytm dobowy był głęboko zakopany w naszych komórkach, że nie mogły go dosięgnąć nasze majstrowanie genetyczne czy interwencje farmaceutyczne, a zapotrzebowanie mózgu na regularny sen jest, choć nowsze w czasie ewolucyjnym, jeszcze mniej poprawialne.)

Stałam z boku, by inni weszli, potem pozwoliłam drzwiom się zamknąć i oparłam się o nie. Kabina była tak jak ją zostawiliśmy, kiedy opuszczaliśmy ją trzy tygodnie temu. Wszystkie ubrania i naczynia pozostawione dookoła bez wątpienia były cierpliwie i bezmyślnie czyszczone w czasie naszej nieobecności, co było dobre. Rośliny były odkurzone i podlane. Niski sufit świecił znajomym, słabym wieczornym światłem, kuchnia cicho szumiała sobie, a sypialnie za salonem wzdychały zapraszająco. Skrzynka pocztowa była uprzejmie cicha, choć prawdopodobnie zatłoczona wiadomościami od naszych kolegów, przyjaciół, przodków i potomków, jednak wiedziała lepiej niż przypominanie o tym, kiedy właśnie wróciliśmy do domu. Rozejrzałam się po Borysie, Yeng, Tony'm, Andrei i Jaime.

– Nie wiem jak wy, towarzysze – ogłosiłam – ale nie piszę się na żadną dyskusję. To był długi dzień i długa podróż i wszyscy potrzebujemy trochę relaksu. Jestem za wysokoalkoholowym drinkiem, jacuzzi w niskim g i odrobiną seksu w niskim g. W dowolnej kolejności, wszystko na raz i więcej niż raz.

– „Jeżeli", „W przeciwnym razie" i „Powtórz". – Uśmiechnęła się Yeng. – Ciągle podstawowa logika programu. – Złapała dłoń Tony'ego. – Napijemy się, ale wychodzimy.

– Zdaje się, że to zdecydowane – powiedział Tony. Ścisnął dłoń Yeng, pocałował czubek jej głowy, puścił dłoń i przeszedł do barku z drinkami, gdzie zaczął wprowadzać odpowiedzi na wykrzykiwane zamówienia. Andrea i Jaime też chcieli robić własne rzeczy.

– To zostawia nas – powiedziałam do Borysa. – Zatem, wielki artylerzysto, chcesz zrobić to ze mną, czy po prostu zostawisz mnie wyobraźni mojego skafandra?

Objął mnie ramieniem i pchnął mnie na sofę.

– Ach, Ellen, oczywiście zostanę z Tobą. Wszystkie dziewczyny we wszystkich barach Kallisto… – Przerwał, wyglądając marzycielsko i z żalem, póki przyjaźnie go nie kopnęłam – …nie mogłyby oderwać mnie od dobrej Pani, której jestem wiecznie wdzięczny.

Poznałam Borysa w dwa tysiące sto dziesiątym, na misji wojskowej do Szinosowów. Spotkaliśmy się na zamrożonej Lenie za Jakuckiem. Był gigantem w futrach, ja seksowną kosmonautką w nowym skafandrze kosmicznym z inteligentnej materii, z bańką hełmu i czarnym połyskiem. Anioł bardziej śmierci niż łaski, dostarczałam zestawy do użytku domowego, które zamieniały syberyjską rudę i rosyjską rdzę w błyszczącą, doskonale obrobioną broń ręczną. Jego głos był jak czarna melasa: amerykański akcent, głęboki, bogaty, przypominał mi Paula Robesona i nadal przypomina. Nigdy tego nie zapomniałam ani jego.

Przez kolejne dziewięć dekad widziałam Borysa, lub on widział mnie, w wielu różnych okolicznościach, ale nigdy nie mogłam zostać, a on nigdy nie mógł odejść. W końcu odnaleźliśmy się w ostatniej bitwie, przeciwko ostatnim wierzącym, ostatnim szalonym altruistom ryzykującym śmiertelne ciała i potencjalnie nieśmiertelne umysły za boga, kraj, obowiązek lub własność innych ludzi. Wyciągnęłam go ze zniszczonego i płonącego czołgu na przedmieściach Lizbony, zabrałam go ze sobą na orbitę i odbudowałam go i nigdy więcej go nie puściłam.

– Nie chcę Twojej wdzięczności – powiedziałam, sięgając dłonią po dużą „wódkę z lodem” od Tony’ego i sięgając w dół drugą.

– To nie dlatego wyciągnęłam cię z czołgu. To była czysta, egoistyczna żądza, towarzyszu, i tego chcę od Ciebie.

I to właśnie otrzymałam. Zrobiliśmy „Jeżeli”, zrobiliśmy „W przeciwnym razie”, potem „Powtórz” i robiliśmy do „Dopóki” aż do wyczerpania. Są tacy, którzy przeklinają nieważkość, ale dajcie mi niskie g dowolnego dnia lub nocy. Jest więcej *korzystania*. Co do jednego g i ponad... jest ok na chwilę, ale dobiera się do Ciebie. Nigdy nie zrozumiem, w jaki sposób Ziemia doszła do dzisiejszej populacji. Prawdopodobnie klonowanie.

Jednak w końcu, zasnęliśmy. Śniłam o aniołach i czasami się budziłam poruszona i wspominając inne rzeczy i przytulałam się do Borysa, aż znowu dołączyłam do niego we śnie.

Był dwa tysiące osiemdziesiąty dziewiąty i sprawy się rozpadały: jak na dole, tak i na górze. Każdy dzień, każda godzina pokazywała nowe katastrofy na ekranach, wybrane ze zmniejszającej się liczby funkcjonujących serwisów wiadomości i znacznie większej, ale również malejącej liczby amatorów łączności, hakerów i piratów. Sieć, która połączyła świat, umierała w ich ramionach. Minęły lata, od kiedy rakieta, która niosła głowicę bojową, uniosła się z powierzchni. Działaliśmy na własną rękę: setki tysięcy ludzi, miliony owadów i bestii, miliony ludzi i innych zwierząt *in potentia* jako zamrożone sperma i jaja, *in vitro* jak próbki komórek i nagrane stany mózgu, niezliczone duchy cyfrowe. Razem składały się na ułamek biosfery w kosmosie. Składały się na miliony jaj w setkach koszy. Już nie, szczęśliwie, w jednym. Rozmieszczona przez orbity Ziemi, Lagrange, Księżyc, Mars i Pas, ludzkość i jej zwierzęcy sojusznicy byli bezpieczni wobec wszystkiego, aż do niedalekiej supernowej. Niebo już nie upadnie, ale Ziemia tak.

Zielona Śmierć jest na jej wczesnych etapach. Już, laboratoria

biomedyczne, które mogły być jedyną nadzieją na lek, są podpalane. Zieloni prowadzą motłoch, szczęśliwi odwróceniem niepotwierdzonych podejrzeń od nich. Ja, wtedy, jestem całkowicie przekonana, że Zieloni świadomie przygotowali Śmierć w genocydowym poświęceniu dla jej bogini zła, Gai.

Zatem, po tym okropnym ostrzeżeniu o konsekwencjach tego rodzaju myślenia, któremu wszyscy zawsze się przeciwstawiali, pokazywanym ponuro i niepokojąco przed naszymi własnymi oczami, dwie fakcje Ruchu Kosmicznego, Opiekunowie Ziemi i Zewnętrzni, zjednoczeni w nieszczęściu, aby stawić czoło wyzwaniom przyszłości... Nie. Kłócimy się o zasoby, jesteśmy na krawędzi *walki* o zasoby, wody, w pierwszym rzędzie. Wpuszczamy całą moc słońca, którą możemy zaoszczędzić w kondensatory laserów wysokoenergetycznych. Sprawdzamy atomówki.

Zewnętrzni dawno – wystarczająco – temu opuścili, lub zostali wypchnięci, ze starej, bojowej stacji orbitalnej, na której ciągle żyję. Przenieśli się na Lagrange 4. Najbardziej tradycyjne typy Ruchu Kosmicznego, z powodów głęboko zakopanych w tradycji Ruchu, osiedlili się na innych punktach Lagrange, L5, gdzie budują flotę dla ich ekspedycji jowiszowej. I mają kopalnie na Księżycu.

To jedna z przyczyn konfliktu. Oni chcą księżycowego lodu z czap polarnych dla własnej ekspedycji. My jej chcemy dla naszego przetrwania, lód jest w Pasie, ale jego dostawy przez orbity transferowe to cienka strużka. Przyznanie praw do użytkowania określonych łat lodu księżycowego byłoby trudna do opracowania, nawet przy najlepszych intencjach i rozsądnym systemie prawnym. (Odkrycie? Pierwsze wykorzystanie? Obecne posiadanie? Czy liczy się pierwsza identyfikacja satelitarna? Pierwsze lądowanie? Pierwsze wytyczenie? Pierwsza udana kopalnio-fabryka?). W tych nieoświeconych dniach, wszyscy jesteśmy specjalistami w libertariańskiej

teorii pierwotnego zawłaszczenia, problem jest taki, że każde żądanie jest uzasadnione przez przynajmniej jedną rozsądną teorię oraz drużynę niewykwalifikowanych ekspertów prawnych pod bronią.

Martwię się kopalniami polarnymi na Księżycu, ponieważ moi rodzice, z którymi jestem w kontakcie, choć nie wydychaliśmy tego samego powietrza przez dekady, zarządzają jedną z nich, na rzecz przykrywki korporacji starego Ruchu Kosmicznego.

W międzyczasie, my – Opiekunowie Ziemi – używamy zasobów w donkiszotowskich wysiłkach jak orbitalne zrzuty leków (nie tak bezużyteczne jak brzmią, przy okazji, bo zrzucaliśmy medyczne *nanofabryki*) i orbitalne rozwałki dowolnych sił wojskowych, które wyglądały jako tego tygodniowi źli (wielki błąd) i obsługiwanie satelitów komunikacyjnych, które inaczej by *wygasły* (dobry ruch, z tym że w.w. źli wojskowi też ich używali). A Zewnętrzni twierdzili, używając jakiejkolwiek teorii własności dla własnych doraźnych celów, że przynajmniej część zasobów, które rzekomo traciliśmy na pomoc dla porażonej populacji Ziemi, należała do *nich*. Na przykład, pomogli pchnąć tę stację na obecną orbitę, zapłaciliśmy im, ale teraz żądali czynszu za *orbitę*, antydatując, z odsetkami.

– Jebane prawa własności – powiedziałam do Tony, gdy obserwowałam radar dalekiego zasięgu. – Wystarczy, żeby każdego zamienić w komunistę.

Siedzieliśmy w kratkę, każde patrzyło w ekran nad ramieniem drugiego, w jednym z modułów stacji, które ledwie miały miejsce dla obojga, nie licząc plątaniny kabli, rurek i unoszącego się przestarzałego sprzętu. Za otwartym włazem modułu, inni ludzie pracowali, ruszając się wolno w niemrawym, stęchłym powietrzu.

– Ha! – Tony nie odwracał się od komputera, na którym zestawiał przepustki dla ośmiuset pięćdziesięciu sześciu załogantów Stacji. – Już jesteś komunistką, Ellen, po prostu jeszcze o tym nie

wiesz. Kiedy ostatnio płaciłaś za zaopatrzenie, lub dostałaś wypłatę za pracę?

– Ach, to, to coś innego – mówię, machając dłońmi. Szczerze nigdy nie myślałam w ten sposób, nigdy nie zastanowiłam się o sposobach życia w kolonii, w której byłam wychowana, zatłoczona puszka na Lagrange zwana New View, lub w stacji orbitalnej. – Mam na myśli, to wszystko jest między nami. Wiemy, co trzeba zrobić, na co możemy sobie pozwolić, więc nie ma problemu. To, co miałam na myśli, i tylko jako *żart*, cholera, było to, że całe to gówno o tym, kto posiada co, sprawiało, że czułam się nieco. . . *bolszewicka*, czy to nie to słowo?

– Rozumiem – mówi Tony. – Jak Sinosowiety.

Związek Chińsko-Radziecki, motłoch spółdzielczych rolników, byłego Związku Radzieckiego, i weteranów Chińskiej Armii Ludowej, których obszarpane czerwone armie obecnie oblegały, lub jeżeli słuchałaś ich audycji, uwalniały, Sinciang.

– Myślałam, że oni są zaangażowani w przywracanie demokracji.

– Tak, na razie, choć nie wiem, jak demokratyczne to wszystko będzie, kiedy partyzanci wjeżdżają do miasta i zwołują zebranie. Ale na dłuższą metę, kiedy Szinosowy podbiją świat. . . – roześmialiśmy się razem – . . . ich teoretycy forsują najdziwniejszy komunizm, o jakim słyszałem: każdy posiada nic lub wszystko.

– Brzmi jak każdy głupi komunista od czasów Munzera. . .

– Nie, nie. . . każda *jednostka* posiada *wszystko*. Cały, przeklęty wszechświat.

– W tym każdą *inną* jednostkę?

– Tylko w zakresie, w którym możesz.

– Miło, jeżeli możesz to dostać. Po prostu chcę być księżniczką galaktyki.

– Skromnie z Twojej strony, moja słodka. Ale w tym jest haczyk, kosmos należy do Ciebie, *jeżeli zdołasz.*

– Więc co mnie powstrzymuje?

– Tylko inni rywale i Twoi prawdopodobnie niechętni poddani. Oraz rozmiar kosmosu. Jeżeli to ogarniesz... zrób to, dziewczyno!

– Och. Rozumiem. A ja myślałam, że jedzenie ludzi jest złe.

Tony spogląda na mnie z boku.

– Jedzenie ludzi jest *marnotrawstwem...* ale serio, jeżeli myślisz, że to złe, w porządku. Całkowicie się zgadzam. Zatem zrób coś z tym. Uzbrój ofiary! Określ tabu. Daj im zęby! Po prostu nie myśl, że ogłoszenie swoich moralnych poglądów wpłynie na jakąkolwiek część kosmosu dalej niż zasięg Twojego głosu.

– I chcą oprzeć *komunizm* na tym... tym nieskończonym samolubstwie? Co powstrzymuje od degeneracji tego w wojnę wszystkich przeciwko wszystkim?

Tony wzrusza ramionami.

– Bez wątpienia sądzą, że dojdziemy do jakiejś umowy.

Mówię mu wszystkie powody, dlaczego to nigdy nie zadziała, a on dzieli uwagę pomiędzy rozmawianie ze mną a narzekanie pod nosem na klikę Minsky'ego w c sześcian (*mnie* się pytacie?), kiedy uruchamia się alarm, i zdaję sobie sprawę, że to ja go uruchomiłam, odruchowo, zanim mój świadomy umysł zarejestrował punkt na ekranie radaru, który się zbliża *szybko*.

– Gówno gówno gównooOOO!!! – obwieszczam, usłużnie. Palce stukają, wbijając wiadomość do Komunikacji Kontroli Sterowania (z nadzieją, że klika Minsky'ego, czymkolwiek są, wie, z której strony przegrody jest powietrze), a punkt nagle rozmywa się w wybuchu odłamków z boku akurat, gdy światła stacji blakną pod poborem mocy, obiekt wypełnia ekran, a potem znika w górnym prawym

rogu i go nie ma, gdy się schylam i czuję, że powinno być *szzzzzzz*, gdy nas mijał nad głowami.

– Skała sto ton na kursie kolizyjny odchylona uderzeniem lasera – mówi spokojny głos w moich uchu. Nie trzeba dodawać, że cały proces od wykrycia do odbicia był automatyczny, zarówno ja na dyżurze, jak i załoga artylerii jesteśmy tam, tylko żeby się upewnić, że wiemy co się dzieje. Tutaj tylko w charakterze czysto doradczym, jak mawiali szeregowi USA/ONZ.

Alarm cichnie i światła wracają.

– Co *to*, kurwa, było? – mówi Tony.

Przesuwam kadr ekranu, gdy komputer pracuje, żeby złożyć dane z kamer satelitów i innych kolonii. Gromada habitatów i statków w Lagrange 4 nagle się wyostrza. Gdzie każde z nich było, jest kulisty punkt atomowego światła, przez chwilę myślę, że dostali, że *my* ich trafiliśmy. Atomówkami.

A potem widzę, że się ruszają. Błyski są stosami termojądrowymi, nie głowicami nuklearnymi. Flota Zewnętrznych wykonuje przyśpieszenie w manewrze transferu orbitalnego, kierując się na Jowisza. Nasza sieć łączności brzęczy. Inne obrazy zaczynają błyskać:

Teleżołnierze zbliżają się po powierzchni Księżyca, wpadają do obozów kopalni, przejmują kontrolę nad katapultą elektromagnetyczną. Używają jej do pchnięcia kilku strzałów ostrzegawczych w nas, a potem ciągle wysyłają ładunek za ładunkiem cennej wody na spotkanie z flotą Zewnętrznych.

Nasi ludzie w obozach umierają, zastrzeleni lub wdychając próżnię. Widzę montaż z kamer bezpieczeństwa teleżołnierzy pochylających się nad martwymi, zakładającymi szponiaste urządzenia na ich czaszki. Moja pięść jest przy ustach, zęby gryzą kostki.

Potem nazwiska moich rodziców pojawią się na liście zaginionych.

Twarz Davida Reida, właściciela firmy dostarczającej pracę niewolniczą, pojawia się na naszych ekranach w ostatniej wiadomości z floty Zewnętrznych. To jak video od porywaczy, twarz wychudzona, nieogolony, głos drży, oczy rzucają spojrzeniami co chwila na boki.

Jakieś przeprosiny, jakieś wyrazy żalu.

Potem wcina się gładka, pewna twarz jednego z Zewnętrznych. Wtedy, ciągle jeszcze byli ludźmi. Jeżeli możesz nazwać to człowiekiem. Mówi nam, co zrobili.

Moje kostki zaczynają krwawić.

Rzecznik Zewnętrznych powiedział nam, co się przydarzyło naszym ludziom w obozach przy kopalniach. Szczęściarze zostali bezspornie zabici. Reszta miała mózgi zeskanowane, zanim ich ciała zostały wystawione na próżnię. Zewnętrzni pozostawili nam szczegóły ich roszczeń do kopalni: mieli zapisy wykupów kompanii lata temu, czegoś, czego nie mogliśmy już więcej sprawdzić, a co dotychczas zaniedbali nam powiedzieć. Nasze wykorzystanie kopalni było, według nich, kradzieżą, a zbrodnia była powiększona przez opór wobec ich teleżołnierzy. Żądali odszkodowania, które zamierzali odzyskać w formie pracy od ludzi, których umysły „uploadowali”. Użyją ich nagranych i uruchomionych stanów mózgu do operowania ich robotami: szybsze i tańsze niż AI.

Nigdy nie powiedzieli nam, którzy zmarli zostali zeskanowani, a wysuszone zwłoki, które potem odzyskaliśmy, nie pokazywały śladów, które mogłyby odpowiedzieć na to pytanie. Przez lata miałam koszmary o tym, co zrobili moim rodzicom. Pojawiali się anachronicznie w snach innych czasów, przemawiając do mnie z ekranów telewizora. Po Konflikcie, nie miałam tylko ideologicznej an-

typatii, czy estetycznego niesmaku, dla Zewnętrznych. Nienawiść była wypalona w moim mózgu.

Co było jednym z powodów, dla których nie martwiłam się zbytnio decyzją Komitetu Sterowania o negocjacjach z nowymi Jowiszanami. Noc po decyzji co jakiś czas leżałam obudzona w ciemnościach, wtulona w nieświadomą, śpiącą masę Borysa, myśląc o tym wszystkim. Nieważne jak piękni wydawali się Jowiszanie, nieważne jak zwodnicze mogłyby się okazać ich wiadomości, ciągle było dostatecznie dużo żywych ludzi, którzy pamiętali i którzy nigdy by nie wybaczyli. To, oczywiście, nie był racjonalny argument za zniszczeniem Jowiszan, ale był z nim powiązany. Krótkie doświadczenie tego, co mogło się zdarzyć tym na łasce wyższej władzy, pozostawiło mnie i wielu innych z nieprzejednanym postanowieniem, by nigdy nie pozwolić istnieć władzy przewyższającej tę, którą posiadaliśmy. Mógł być tylko jeden dominujący gatunek, a ludzkość nie miała zamiaru porzucać tej pozycji. (Lub, jeżeli była, nie miałam zamiaru pozwolić.) Ale emocjonalna pamięć tego, co Zewnętrzni nam zrobili, i co ich jowiszowi potomkowie zrobili Ziemi w trakcie komputerowego krachu, powinno pomóc stwardnieć sercom, kiedy dojdzie do Zmiażdżenia.

Kiedy dojdzie do Zmiażdżenia... uśmiechnęłam się do siebie i zasnęłam.

Wstałam przed Borysem, w powoli narastającym dziennym spektrum światła sztucznego poranka i sprawdziłam email. (Częstotliwości elektroniczny były zbyt cenne i zbyt obłożone z wielokrotnie nakładającymi się środkami bezpieczeństwa, by były marnowane na cokolwiek innego niż ważne wiadomości i łącza w czasie rzeczywistym. Stąd, chemiczny email.) Część była praktyczna, część osobista lub sentymentalna: w tych dniach nie miałam właściwie

rodziny, poza przeplatanymi relacjami z załogą, ale miałam potomków. Odpowiedziałam na te listy, które wymagały odpowiedzi, wysyłając małe zakodowane molekularne nośniki wirujące po naczynkach w naczynia bazy i poza nią, do miast krateru: Skuld, Trindr, Igaluk, Valfodr, Loni... W skrzynce nie było nic tak ważnego jak moja obecna praca, zatem zostawiłam sączącą się kawę dla Borysa i poszłam do pokoju operacyjnego.

Dla mnie była to powolna droga. Korytarze były zatłoczona, a każdy, kogo spotkałam, wydawał się chcieć porozmawiać ze mną. Dyskusja i decyzja komitetu, oraz obrazy z sond, zostały przesłane błyskawicznie siecią światłowodów dookoła Kallisto. Każde forum, od ekranów do ulic, było tym przeładowane.

– ...masz rację Ellen, powinniśmy w nich uderzyć i nie tracić więcej czasu...

– ...czekałam dostatecznie długo...

– ...poczekajmy i zobaczmy...

– ...przykro mi to mówić, Ellen, ale sądzę, że Twoja pozycja jest zbyt radykalna...

– ...zapomnij o kometach, możemy przygotować atomówki, które je rozerwą, wyglądają dość delikatnie...

– ...dać im szansę, to nie tak jakby *oni* zrobili...

– ...pola magnetyczne, racja? Dobra, uderzenie w biegun z jednym dobrym wybuchem EMP...

Cały czas moje zmysły były bombardowane przez kolorowe ubrania, piękne twarze (jak poprawna byłam, na początku, nazywając nas pięknymi ludźmi). Ich nalegające, energiczne głosy, kompletna pewność wszystkich sprzecznych opinii, chętne, szczere, prawie dziecinne podskakiwanie, żeby móc powiedzieć. Też miałam swoje zdanie, ale unikałam sporów. Byłam szczęśliwa z tym wszystkim, niezirytowana. Nawet ci, którzy się ze mną nie zgadzali, wzmacniali

moje przekonanie, że miałam rację: to, że ci samodzielni ludzi, ten ułamek destylowanej ludzkości był wart więcej niż cokolwiek lub ktokolwiek w kosmosie. Były dobre źródła wartości, miary, kryteriów, ktoś dla kogo „dobry” znaczyło „dobry dla nas”, a my tym byliśmy. W naszym milionie było więcej witalności niż we wszystkich miliardach Ziemi, więcej piękna w nas niż w jakimkolwiek pięknym obrazku, który mogliby wyświetlać Jowiszanie.

Jednak, wejście do relatywnie cichego pokoju operacyjnego było ulgą. Od wczoraj pokój stracił swój nowo wyrąbany wygląd. Z instynktowną biofilią wszystkich osadników kosmicznych, ludzie przywieźli szybkorosnące rośliny, których liście i wąsy już się rozprzestrzeniały przez izolację bogatą w odżywki. Maszyna do kawy była ustawiona, a czyściciel – te karaluchy czystości – ryły w nieuniknionych zaspach wyrzuconych plastikowych kubków. Roboty na lodowym przodku rozszerzyły pokój o co najmniej dziesięć metrów przez noc, a regały i rzędy maszynerii nadążały. Kamery dla wiadomości były obecne i aktywne, według skafandra.

Kilku członków Komitetu Sterowania było obecnych. Niektórzy właśnie przybyli, jedno lub dwoje było tutaj całą noc. Clarity Hardingham, najmłodszy członek komitetu, młodsza nawet niż Yeng, podniosła wzrok na mnie. Była połączona z jednym z banków komputerów, najwyraźniej przeglądając wirtualny obraz. Widziałam skupienie w jej oczach i szczeliny jej zielonych źrenic zmieniające się z chwili na chwilę. Sądząc po ciemnych rejonach dookoła jej oczu, była tutaj całą noc. Odsunęła kasztanowe loki za skronie i odmrugnęła wyświetlacz.

– Dzień dobry, Ellen – powiedziała. – Zrobisz mi kawy, proszę?

Podałam jej jedną.

– Wyglądasz jakbyś powinna napić się kakao – powiedziałam jej.

– Och, walić to – powiedziała, połykając tabletkę, popijając łykiem kawy. – To jest zbyt ekscytujący, żeby spać. Przynajmniej dla mnie. Mniej więcej trzymałam fort od około czwartej.

– Robiąc co? Protokoły łączności?

– Aagh! Chciałabym! Dobra, pracowałam nad tym wcześniej, więc nie mogę narzekać. Nie, to, co robiłam przez ostatnie cztery godziny to pobieranie opinii, uruchomimy właściwe badanie opinii trochę później, kiedy będziemy podejmować decyzję. To tylko wstępne, sprawdzenie, co towarzysze myślą, jaka powinna być nasza pozycja negocjacyjna. – Uśmiechnęła się dziwnie, drapiąc ucho. – To jest, jeżeli mamy jakąś. Więcej niż dwie osoby na dwanaście zgadza się tutaj z Tobą, Ellen.

– Nie jestem zaskoczona.

– Cóż, ja również. Ale z tych, którzy chcą negocjować, sądzę, że najważniejszym tematem jest zakończenie ataków wirusowych. Następnie, przejście do jakiegoś porozumienia co do... sfer wpływów, jeżeli chcesz.

– Dosłownych sfer. – Uśmiechnęłam się.

Clarity skinęła głową.

– Tak! Większość towarzyszy skłania się do idei, że Jowiszanie powinni zachować Jowisza, a my resztę.

Popatrzyłam się na nią ponuro.

– To jest tak głupie. Dobra, powiedzmy, że *pochopne*. Wiemy, że Jowiszanie przeszli od niczego do jakiejś formy kultury w ciągu tygodni, ich loty z napędem cały czas wzrastają ...

– Nie, Ellen, śledziliśmy to kiedy cię nie było. Liczba lotów nie wzrastała ani liczba gromad. Mogli dotrzeć do jakiegoś płaskowyżu w swoim postępie. W końcu, pamiętaj, że mogli odziedziczyć wszystkie swoje dane technologiczne od wcześniejszych bytów, i teraz po prostu wdrażają je, zatem ich wcześniejszy nagły

wzrost wcale nie musi wskazywać, że, hm, powtarzają rozwój ludzkości od epoki kamienia aż do szybszych platform.

– Z naszego punktu widzenia, byłoby to znacznie gorsze – powiedziałam. – Co jeżeli w trakcie czasu ich przodków w rzeczywistości wirtualnej, wszyscy byli zajęci pracą projektowania na przyszłość? My tylko *założyliśmy*, że stare makra Zewnętrznych oszalały i że wszyscy ich następcy aż dotąd też byli szaleni. Mogliśmy się mylić. Te, które wyłoniły się w rzeczywistym świecie, mogły mieć za sobą nieskończone generacje symulacji projektująco-badawczych, które mogły wdrożyć od ręki.

Clarity wzruszyła ramionami.

– Masz rację, jest za wcześnie, by spierać się jak będziemy negocjować, zanim dowiemy się do, czego są zdolni, dlatego *kolejnym* najważniejszym punktem dla większości ludzi jest ustalenie tego dokładnie oraz jakiś rozsądny dostęp, żeby potwierdzić ich wersję, którą nam dają, na temat tego, co planują.

– Prawa do kontroli? Przynajmniej to ma nutę zdrowych podejrzeń.

– Mogłabyś tak to przedstawić. – Clarity dopiła kawę i rzuciła kubek na wielki stół. – Zrobiłabyś *tak*.

Obie się roześmiałyśmy, ale słyszałam lekkie napięcie w jej głosie i w moim.

Inni członkowie Komitetu nie podnieśli wzroku znad pracy, kiedy weszłam, i ciągle byli nią zaabsorbowani. Nie przeszkadzałam. Spędziłam mniej więcej godzinę przy nieużywanym interfejsem, ściągając podsumowania nocnej pracy, wzrastająca liczba, która była modyfikowana i aktualizowana, gdy więcej osób się pojawiało. Zespoły naukowe, w bezpiecznej odległości w innych labiryntach, oceniali fizykę i chemię bytów Jowiszan: większość solidnych wyników na razie mówiła, że bańki były wykonane z laminowanych

płyt jednocząsteczkowego diamentu. Że „skrzydła" były, jak myśleliśmy, wykonane z pływu zjonizowanych cząsteczek w polu elektromagnetycznym. Że „ciała" były kombinacją tych pól i projekcji holograficznych. Że cały wygląd był nie tylko dekoracyjny i ekspresyjny, ale był także środkiem komunikacji, językiem światła. Rdzeń osobnika jowiszowego, mózg i silnik całej rzeczy był wyszukaną strukturą, która pojawiała się na napierśnikach na aniołach. Ten obiekt sam był aerodynamiczny i pobierał energię bezpośrednio z szybkich wiatrów i olbrzymich elektrycznych pulsów atmosfery Jowisza, który nawet spokojny (z punktu widzenia człowieka) był nieprzerwanym, gwałtownym sztormem.

Uderzyło mnie, że ciało Jowiszan miało twardą strukturą. Zakłócenie wyglądu, nawet rozbicie diamentowych baniek, mogło być tak łatwe, jak sądzili entuzjaści atomówek, których spotkałam. Zniszczenie ich źródła zabrałoby dokładnie to, co zaplanowaliśmy.

Malley i Suze weszli o dziewiątej, z zadowolonym, zaspanym wyglądem ludzi, którzy spędzili pierwszą, niespodziewaną noc razem. Oderwałam się od interfejsu i wstałam.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Suze uśmiechnęła się wstydliwie, Malley wyszczerzył zęby.

– Cześć – powiedział. Potarł dłonią zaczerwienione oczy. – Boże, jest gdzieś tutaj kawa?

Przyniosłam trzy kubki i przeszliśmy do stacji roboczej Malleya. Suze przyciągnęła kilka dodatkowych krzeseł i usiedliśmy. Krzesła wrzecionowate, na Ziemi załamałyby się pod nami.

– Jak się wam wiedzie? – spytałam.

– Och – powiedziała Suze – zaczęliśmy się. . .

Przerwała i zachichotała.

– Cóż, tak – powiedział Malley. Uśmiechnął się do niej znowu.

– Suze czarująco myśli, że wyjście z niespołecznikiem jest jakąś dekadencką perwersją…

– *Nie* myślę tak!

– Muszę powiedzieć, to sprzyja, hm, energii reakcji. Nie, żeby wymagało to dużego dodawania, jesteś tuż po tych terapiach odmładzających. Zapomniałem, że można czuć się tak dobrze. – Westchnął i rozprostował. – Z drugiej strony, czuję się dziwnie. Częściowo z powodu tej grawitacji, warunków, a częściowo to… wy ludzie. Twoi ludzie. Nie są tymi, których oczekiwałem, nawet po spędzeniu dni z wami na statku. Tłumy tam w korytarzach są tak… – Pokręcił głową. – Wy w Oddziale nie jesteście tacy jak ludzie w Związku, przynajmniej przy tych, których widziałem. Ludzie w Związku wydają się wystarczająco szczęśliwi i też wolni na swój sposób, ale wy tutaj jesteście bardziej *spięci*, jesteście mniej zadowoleni z siebie. Wy, Ellen i Twoja załoga, cóż… trudno to powiedzieć, ale jesteście inni, wydajecie się nieść więcej z przeszłości.

– To prawda – powiedziałam. – Niektórzy z nas są prawie w Twoim wieku.

Spojrzał na mnie z ciekawością.

– Nie, nawet Yeng to ma, rodzaj twardości w oczach.

– Ta – powiedziała Suze. – To ten wzrok „starych towarzyszy”, o którym ci mówiłam.

– Hmm – powiedziałam. – Nie wiem. Mam wrażenie, że sam jesteś dość twardy, Sam. – Poruszyłam dłońmi na boki. – W innych czasach… Chciałam się zapytać, jak sobie radzisz z matematyką? Czy nasze cuda neuronalnego nano ożywił Twój geniusz?

Malley się roześmiał.

– To jedna z tych rzeczy w Tobie, o której mówiłem, Ellen. Możesz powiedzieć coś jak to bez uśmiechu, a jednak traktować inne sprawy z przerażającą lekkością. Tak czy inaczej, jak mówisz.

Psychologia później. Odpowiedź na Twoje pytanie jest, tak, robię postępy, ale są wolne... nie sądzę, że to z powodu wieku mojego mózgu. „Rozważania techniczne”, która kiedyś beztrosko podsumowałem jako poza rozumem człowieka, zaczynają wyglądać nieco łagodniej, i co do teorii rozmaitości kwantowo-chaotycznych, nawet moje dawne artykuły zaczynają być dla mnie sensowne.

Nie byłam pewna, czy mówi to ironicznie, czy nie.

– Ok – powiedziałam. – Słyszałeś, co powiedziano, zeszłej nocy. Mniemam, że mam zapewnić konieczną, praktyczną pomoc, zaczynając od dzisiaj. To oczywiście obejmuje dostęp do wszystkich obserwacji, wszystkie maszyny obliczeniowe, jakich potrzebujesz, i tak dalej. Jednak jest więcej niż to. Jeżeli chciałbyś obserwować Bramę Tunelu z bliska lub wysłać sondę przez nią, lub w ogóle chciałbyś sam przejść, możemy to załatwić.

– Mniemam, że najlepiej będzie zrobić rzeczy w tej kolejności – zauważył Malley. – Obserwacja, sondy badawcze, ekspedycja. Raczej niż na odwrót. – Uśmiechnął się, jak przy słabym żarcie, i przez chwilę, pomimo jaskrawego sukcesu jego odmłodzenia, wyglądał jak starszy akademik z jednej z tych dwudziestowiecznych taśm wykładów, których nauka była poprawna, ale dla współczesnych studentów dziwna wydawała się dykcja lub ubrania. – Jednakże... to praktyczne obliczenia, które muszą być najpierw rozwiązane, zatem tak, doceniłbym tyle mocy obliczeniowej, ile się da, oraz przedstawienie waszego dostępnego oprogramowania matematycznego. Och, i przejrzenie literatury, nie chcę odkrywać koła na nowo, co?

Załatwiłam mu to wszystko i połączenie do zespołu fizyki wormhole’a. Mieli dekady doświadczeń z wysyłaniem sond w tunelu i z brakiem odpowiedzi. Kiedy był komfortowo uwikłany w przestrzeni roboczej wirtualnej rzeczywistości, odwróciłam się do Suze.

– Jest coś ważnego, co możesz zrobić – powiedziałam. – Jeżeli Sam znajdzie sposób na przejście, możemy cię potrzebować, żeby poradzić sobie po drugiej stronie.

– Nowy Mars?

– Tak – powiedziałam. – Jeżeli możesz, wyobraź sobie całą planetę nie-spółdzielców. – Zmarszczyłam brwi. – Gdy teraz myślę o tym, jest ich około pół miliona, co jest pewnie mniej, niż miałaś do czynienia na Ziemi... ale oni mają cały świat dla siebie. Chciałabym, żebyś przejrzała pliki, które zebraliśmy z opisów Nowego Marsa przez Wilde'a i niektóre ze zdjęć, które jego mały pojazd miał w swojej pamięci.

– Z przyjemnością – powiedziała Suze. – To marzenie, naprawdę.

– Każdej to, co jej – powiedziała.

Suze się roześmiała.

– Nie lubisz tego?

– Nie lubię tego, co dowiedziałam się o Nowym Marsie, lub co Wilde powiedział nam o tym – powiedziałam, gdy kierowałam ją ku ostatnio wybudowanym stacjom roboczym, na końcu pokoju. Najbliżej lodowego przodka i zajętych, małych robotów, było to najmniej pożądane miejsce dla członków Komitetu. – Dla mnie to tylko potwierdza coś, o czym myślałam, przez długi czas, że ludzie w świecie własności są własnością.

Suze usiadła i zaczęła dostosowywać przestrzeń pracy do swoich upodobań. To, co mogłam widzieć z tego procesu, to hologramy poza centrum, blade w pełnym świetle i delikatne ruchy mięśni twarzy Suze, gdy ustawiała je na scenie. Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła jakby z odległości.

– Oni tak tego nie widzą – powiedziała mi, a zanim mogłam odpowiedzieć, nasunęła system dźwiękowy na uszy i już jej nie było.

Około dziesiątej pojawili się wszyscy członkowie Komitetu. Żadne

z nich nie wyglądało, że dużo spało, ale nie z tych samych powodów co Suze i Malley (i, jeżeli o to chodzi, ja). Zapewne zapadli w kilka godzin głębokiego snu po zostaniu w pracy większość nocy. Kilku z nich uciekało się do psychostymulantów, jak również do pełnego wykorzystania maszyny do kawy.

Wykorzystałam czas aż do ich przybycia na sprawdzenie obecnego stanu zdatności do lotu *Strasznego Piękna*. Według zespołu utrzymania, była całkowicie w porządku, zatem wszystko, co musiałam zrobić, to zarezerwować ją dla mojej załogi. Były dwa powody ku temu. Jeden był taki, że odkrycie, że wszystkie klipery termojądrowe są już przypisane lub w użyciu, kiedy ich potrzebowałam, byłoby całkiem niewygodne, ale przewidywalne. A drugi był taki, że, tak jak ja, reszta załogi była znacznie bardziej obznajomiona z obsługą i działaniem myśliwców bombardujących niż kliperów, a nasze doświadczenie z jednostkowymi trickami *Strasznego Piękna* ułatwiłyby nam następny lot.

Tatsuro zajął miejsce u szczytu długiego stołu.

– Dlaczego tutaj jesteś, Ellen? – spytał.

– Doktor Malley jest całkowicie zajęty – powiedziałam. – Jeżeli potrzebujemy mojej dalszej pomocy, tylko musi spytać. W międzyczasie, chciałabym tutaj zostać.

– Bardzo dobrze – powiedział Tatsuro. Pozostali członkowie zaczęli się zbierać z drugiego końca pokoju i zasiadać. Clarity uśmiechnęła się do mnie i zajęła miejsce koło mnie, inni patrzyli jakoś powściągliwie. Tatsuro rozpoczął spotkanie.

– Na rzecz tych, którzy nie byli tutaj zeszłej nocy – zaczął Tatsuro, rzucając okiem w moim kierunku – zakończyliśmy przygotowanie sprzętu na otwarcie bezpiecznego kanału komunikacyjnego. Nasze zespoły na powierzchni przygotowały nadajnik-odbiornik wąskiej wiązki, połączony przez kompletnie niezależne i izolowane

kable do ekranu i głośników w tym pokoju. Długość fali i lokalizacja, którymi wczoraj towarzyszka Ellen nawiązała kontakt, będą wykorzystane jako podstawa naszej pierwszej próby. Podczas kontaktu, ten pokój będzie izolowany, i każdy, kto nie chce uczestniczyć, może wyjść.

Spojrzeliśmy się po sobie. Nikt się nie poruszył.

– Dobrze, towarzysze – powiedział Tatsuro. – Ellen, czy mogłabyś poprosić doktora Malleya i towarzyszkę Suze o wyjście.

Malley i Suze, kiedy przerwałam ich transy uwagi, kategorycznie odmówili wykonania takiej rzeczy.

– Nie straciłbym tego za nic – powiedział nam Malley. Suze po prostu wyglądała uparcie.

Tatsuro lekko wzruszył ramionami.

– Wasze życie – powiedział. Oboje usiedli razem przy stole, Suze koło mnie, Malley koło jej. Ścisnęłam ramię Suze.

Joe Lutterloch, specjalista od elektroniki w Komitecie, obszedł pokój, sprawdzając każdą pozycję kamery kanałów wiadomości i ją odłączając. Mogliśmy usłyszeć szum przez ściany, gdy ludzie na zewnątrz, jak wszyscy w Oddziale, którzy oglądali, zobaczyli wyłączające się ekrany.

Wielki ekran został przesunięty na pozycję na końcu stołu i na nim została zamontowana kamera. Izolowany kabel był podłączony do obu, przez podobnie izolowany komputer, przez które wiadomości, jeżeli byłyby, zostałyby przefiltrowane. Mały kabel rozwinął się i przeciągnął się przez stół do sterowania przed Tatsuro.

– Gotów – powiedział Joe.

Dołączył do reszty nas przy stole. Wszyscy przesunęliśmy nasze krzesła dookoła, póki układ nie przypominał szerokiego kształtu „U”, z Tatsuro na jednym końcu i ekranem, na który wszyscy patrzyliśmy na drugim. Każdy z nas mógł widzieć wszystkich innych.

Tatsuro ostatni raz się rozejrzał, jakby sprawdzając, że wszyscy nadal chcą być obecni i nacisnął przycisk. Małe światło na zamontowanej kamerze zaświeciło się na czerwono. Wcześniej nagrana wiadomość wywołująca została posłana, kilka razy, razem z obrazem pokoju i naszymi cichymi, czekającymi jaźniami.

Czas minął, może minuty. Wydawało się dłużej. Potem ekran rozświetlił się obrazem. Nie było rozmycia, żadnego dostrajania. Od razu pojawił się ostry. To nie był żaden z kształtów, które widziałam. Zamiast tego, pojawiła się głowa i ramiona młodego mężczyzny, ubranego w białą podkoszulkę i najwidoczniej stojącego od niechcenia we wnętrzu jednej z baniek. Mogłam dojrzeć sześciokątne wzory na płytach jakby z wielkiej odległości. Bardziej znajome – od wczoraj – formy bytów Jowiszan dryfowały i przesuwały się w wielkiej przestrzeni pomiędzy mężczyzną a okrągłym dachem jak dziwne ptaki w ptaszarni. Mężczyzna wyglądał jak zwykły Amerykanin, głównie typ kaukaski z dobrą mieszanką innych ras. Jego twarz była zwyczajna: zdrowa, przystojna, uważna i przyjazna. Obraz mógł pochodzić z reklam starego NASA i prawdopodobnie tak było.

Uśmiechnął się i pomachał.

– Cześć – powiedział. – Dzięki za kolejny kontakt. Dla nas był to ekwiwalent dwóch lat od waszego pierwszego kontaktu, zatem mieliśmy czas przygotować naszą odpowiedź. Działam z waszą prędkością, przy okazji, możemy bezpośrednio rozmawiać. – Uśmiechnął się. – Oczywiście, oprócz opóźnienia prędkości światła. Widzę, że doktor I.K. Malley jest pośród was. Jesteśmy zaszczyceni, proszę pana.

Malley coś chrząknął. Nastąpiła kilkusekundowa przerwa. Jowiszanin się uśmiechnął.

– Jak wiecie, to, co teraz widzicie, nie jest tym, jak zwykle się

prezentujemy w obecności innych. Ale nie jest to tylko maska, pochodzimy od ludzi i mamy dużo wspólnego z wami, może znacznie więcej niż myślicie.

Bez wątpienia możemy powiedzieć to samo wobec goryli lub złotych rybek.

– Jednak – kontynuowała przyjazna twarz – jesteśmy oczywiście postludźmi. Nie chcemy tego ukrywać lub pomijać. Wiemy o długiej historii niezgody pomiędzy tymi, którzy poszli naszą drogą, a tymi, którzy wybrali pozostanie w ludzkiej ramie.

Jego wzrok, niesamowicie, skupił się na mnie.

– Ellen May Ngwethu – powiedział, zastanawiającym tonem. – Niesamowite zobaczyć cię tutaj. Twoi dawni przeciwnicy z roz-kładu przesyłają wyrazy szacunku.

Uniósł otwartą dłoń, potem zacisnął ją w pięść w czymś, na podstawie jego zagadkowej miny, sądziłam, że było ironicznym salutem.

– Skąd mnie znasz? – spytałam, zachowując spokojny głos. Opóźnienie w odpowiedzi dało mi dużo czasu na nerwy.

– Jesteśmy jednostkami – powiedział Jowiszanin, poruszając zaciśniętą pięścią, zwróconą do siebie, do piersi. – Nie rojem, nie… – i tutaj przerwał na uśmiech – …mózgiem wielkości Jowisza. Jednak wspomnienia są współdzielone, nic nie jest utracone. Niektórzy, którzy byli z Tobą, są z nami, a niektóre ich wspomnienia są ze mną. Mam nadzieję, że dojdziesz do wniosku, że żyjemy, jako inne ciało, a nie jako symulacja lub bezduszna mimikra. Myślimy, czujemy, może w sposób szerszy i głębszy niż pamiętamy z naszej fazy ludzkiej, ale poza tym jesteśmy jak wy. Też jesteśmy ludźmi, Ellen, jak mamy nadzieję, w końcu zrozumiesz.

Nie odpowiedziałam, a po nieuniknionym opóźnieniu uwaga Jowiszanina się przeniosła.

– Tatsuro, czyż nie? – powiedział. – Bez wątpienia masz pytania do nas.

– W rzeczy samej mam – powiedział Tatsuro uprzejmie. – Ale najpierw, pozwólcie mi powiedzieć jak bardzo ja, i większość z nas tutaj, cieszy się z możliwości przegadania spraw. Będę z wami szczery. Jak możecie wiedzieć, reprezentujemy siły obrony, która spędziła większość ostatnich kilku wieków, co dla was musi być prawie wiekiem geologicznym, na konflikcie przeciwko wam. Wasze ciągłe nadawanie programów wirusowych, pokolenia niszczących maszyn molekularnych, są dla nas kłopotem. Ich pierwsze pojawienie, tuż po waszym pojawieniu się w atmosferze Jowisza, skończyło się milionami śmierci i zadało ostatnie pchnięcie już chwiejącej się cywilizacji.

– Wasze pojawienie się z wirtualnej rzeczywistości, jak to przedstawiliście, w innym ciele, zmienia sytuację, ale na sposób, który, jak zapewne rozumiecie, wielu z nas nie może przestać traktować jako zagrożenie. Wasi przodkowie, ludzkie byty z którymi potwierdzacie ciągłość, pozostawili nas bez pogodnych prognoz przyszłości, w Układzie Słonecznym zdominowanym przez byty post-ludzkie. Jesteśmy zainteresowani tym, co macie do powiedzenia w tej kwestii.

Może z powodu długości wypowiedzi Tatsuro, odpowiedź Jowiszan zaczęła się natychmiast. Dała nam powierzchownie uspokajające wrażenie rozmowy, ale po namyśle, tylko potwierdziło obcą wyższość bytów konfrontujących z nami. Musieli być w stanie wydedukować, z subtelnych wskazówek w głosie Tatsuro, minie i postawie, dokładny moment, kiedy podświadomie planował przestać mówić i precyzyjnie dopasowali czas ich odpowiedzi, by nadeszła chwilę potem. Bez wątpienia Jowiszanin nadal przetwarzał ostat-

nie kilka zdań Tatsuro, podczas gdy mówił pierwsze swoje zdania. Poczułam ciarki na przedramieniach.

– To jest dla nas szokiem – mówił Jowiszanin. – Zapewniamy was, że nie byliśmy świadomi tego sabotażu wirusowego. Zasmuciła nas wiadomość, że to wyrządziło wam w przeszłości tyle szkód. Miejcie, proszę, na uwadze, że dopiero co pojawiliśmy się z tego stanu, który nazywacie wirtualną rzeczywistością, a co my pamiętamy jako rodzaj koszmarnego snu. Ostatnie dwa miesiące, dla was, było około półtorawiekiem dla nas. Spędziliśmy większość z tego na naszych własnych walkach o przetrwanie, w rozwijaniu, jak widzicie, początków kultury materialnej w czymś, co pozostaje wyjątkowo surowym środowiskiem. Kiedy zrozumieliśmy, jak dużo czasu minęło pomiędzy projektem statku gwiezdnego w tunelu a teraźniejszością, byliśmy zdziwieni i, muszę przyznać, przerażeni. Sabotaż wirusowy nie jest, przynajmniej, naszym świadomym działaniem, a może nie być, nawet pośrednio, naszym czynem. Istnieją fizyczne, mechaniczne procesy, post-biologiczny równoważnik wegetacji, stanowiące podstawę naszego istnienia, a wirusy mogą być odruchowym, obronnym produktem tego, jak naturalne środki owadobójcze w roślinach. – Uśmiechnął się autoironicznie. – Lub może to nasz naturalny zapach. Przepraszam za to, ludzie. Może to w waszych oczach agresja, ale nie jest to, po naszej stronie, działanie agresywne. Zrobimy, co możemy, żeby odkryć, co jest przyczyną i, jeżeli będzie to możliwe, zatrzymamy to.

Zauważył, z kolejnym uśmiechem, kiwnięcia, które obiegły stół od wszystkich, prócz mnie, i kontynuował.

– Ewidentnie mamy wiele problemów do przezwyciężenia na temat naszej wspólnej przeszłości. Jedną ze spraw, którą mamy nadzieję, że pozyskamy z kontaktu z wami, jest lepsze zrozumienie, co się wydarzyło w trakcie naszego. . . czasu snu, jak do tego doszło

i jak szkody wyrządzone w tym czasie mogą być naprawione, lub przynajmniej, za jakim odszkodowaniem. A to doprowadza mnie do waszych, bardzo zrozumiałych obaw co do przyszłości.

– Pierwszą rzeczą, jaką chciałbym powiedzieć, w imieniu nas wszystkich brzmi: prosimy, zachęcamy i błagamy was, nie podtrzymujcie przeciwko nam szalonych wypowiedzi wyobcowanych dorastających, jakimi niektórzy z nas dawno temu byli. Czy osądzalibyście dorosłego na podstawie każdego złośliwego lub głupiego powiedzenia z jego dzieciństwa? Jesteśmy znacznie bardziej zaawansowani od naszych przodków! A co do rzeczy powiedzianych przez niektórych, którzy powinni być, może wiedzieć lepiej, filozofów, przewidujących post-ludzkość, większość z ich spekulacji była popełniona w tekście, zanim nawet jedna AI istniała na świecie, proszę, nie wykorzystujcie tych domysłów, straszliwych lub inspirujących, przeciwko nam. Proszę, sądźcie nas za to, kim jesteśmy, nie za to, czego robotycy i pisarze science-fiction mieli nadzieję, lub bali, że możemy się stać.

– Ellen, i inni obecni, zwykli żartować o naszym pojawieniu jako „Wniebowzięciu Nerdów". Cóż, nie wszyscy jesteśmy nerdami, wiecie! A dla nas, nie było to do końca Wniebowzięcie. Było to wielkie i radosne czasy, wieki dla nas, we wczesnych latach. Od tego czasu, od naszej katastrofy, był to długi i bolesny proces ewolucji, w każdym sensie tego słowa, podczas którego nauczyliśmy się odwracać od naszych snów i koszmarów, które nasze nowe możliwości umożliwiły, i zwrócić się ku realnemu i jedynemu kosmosowi, temu, który dzielimy z wami, i z całym życiem. Nie mamy planów przeciwko wam. Wszystko, o co prosimy, to życie w pokoju z wami. Cieszenie się częścią tego systemu, który należy do nas, a wam cieszenie się waszą częścią. Mamy nadzieję, że pójdziecie

dalej i rozwiniecie z nami możliwości tego, co możemy dokonać, razem. Wybór jest wasz.

Tak był w rzeczywistości, ale zastanawiałam się, jak wielu, którzy usłyszeli tę wiadomość, zrozumiałaby przedstawiany wybór.

Jowiszanin rozłożył dłonie.

– Ten kontakt dość mocno wyczerpuje nasze zasoby, przyjaciele. Chcielibyśmy was zostawić, do namysłu, i czekamy na waszą odpowiedź.

Ekran stał się czarny. Tatsuro nacisnął na panelu sterowania i światło kamery się wyłączyło. Po chwili ciszy nastąpiło przesuwanie i wzdychanie, gdy ludzie się relaksowali.

– Dobra – powiedział Tatsuro – to była niezwykła wiadomość. Coś, nad czym warto pomyśleć. Spotkanie Komitet Sterowania jest odłożone, aż trochę się nad tym zastanowimy. Nie mówcie wszyscy na raz.

Wszyscy mówili, ale Tatsuro zdecydowanie zignorował ich, gdy wstawał i przechodził do ekspresu do kawy, żeby nalać kubek. Inni podążyli za nim i w ciągu minuty, wszyscy staliśmy dookoła. Był to całkiem mądry ruch po stronie Tatsuro, ponieważ dał nam moment oddechu, szansę odprężenia po napięciu kontaktu. W tłoku dookoła ekspresu, Malley stanął przede mną.

– Udało mi się spojrzeć na Ciebie podczas ostatniej części tej wiadomości – powiedział. – Mam nadzieję, że mamy taśmę, jak nasza strona wyglądała od strony kamery. Twoja mina była klasyczna.

– Och? – Sięgnęłam do maszyny i wybrałam espresso. – Jak to?

Malley uśmiechnął się nad krawędzią kubka.

– Hmm – powiedział. – Kiedyś widziałem zdjęcie w gazecie z końca dwudziestego wieku, zdjęcie szalonej kobiety ściskającej obrazy Stalina i ostatniego Cara, patrzącej w witrynę pełną telewi-

zorów pokazujących nowych polityków składających obietnice po kontrrewolucji. Miałaś *dokładnie* ten sam wyraz twarzy.

– Czasem, Sam – powiedziałam – mam nader mgliste poczucie, o czym w ogóle mówisz. Ale jeżeli to oznacza, że wyglądałam jakoś sceptycznie i może nieco wrogo, to…

– Tak, właśnie tak. – Zachichotał. Potem jego mina stała się poważniejsza. – To prawie przerażające, Ellen, że gdybym nie naciskał na wasze nawiązanie kontaktu, nigdy nie mielibyście szansy usłyszeć, co Jowiszanie mają do powiedzenia.

– Tak – powiedziałam. Poruszaliśmy się bokiem, pozwalając ciśnieniu ciał przesunąć nas z tłoku. Znalazłam pustą część przy krawędzi stołu i usiadłam. – Bez tej wiadomości, moglibyśmy nigdy nie wiedzieć, jak są wrodzy.

Malley prawie wypluł kawę.

– *Wrodzy*? To była taka hojna oferta pokojowej współpracy, jaką mieliśmy nadzieję usłyszeć.

Pokręciłam głową.

– Czasem mogę brzmieć uprzedzona, ale wbrew temu, co możesz sobie myśleć, *potrafię* wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać hojna oferta pokoju od Jowiszan. Nie mówię, że uwierzyłabym w nią, lub nawet, gdybym uwierzyła, że zaakceptowałabym, ale potrafię sobie wyobrazić. A to, co właśnie usłyszeliśmy, nią nie było.

– Szczerze, jestem zdumiony – powiedział Malley. – Jaki z nią masz problem?

– Ciągle je dodaję – powiedziałam. – Diabeł tkwi w szczegółach.

Malley skrzywił się.

– Dobrze. Jestem naukowcem, a nie politykiem.

– Jak idzie nauka? – spytałam lekko.

– Ach. – Malley spojrzał w dół, potem spojrzał mi w oczy. –

Jak powiedziałaś, diabeł tkwi w szczegółach. To wszystko kwestia otrzymania właściwego kąta wejścia w wormhole, w ten sposób kończysz za wormhole-córką, a nie w dupie sondy. Raz, kiedy to otrzymasz, jest już prosto. Ale jestem daleko od pozyskania tego. Nawet fizyczne mierzenie kątów zależy od tego, jak zdefiniujesz lokalizację nibypowierzchni, a to jest technicznie nieco zdradliwe. Jednak... po to tutaj jesteśmy, co?

Kiedy wszyscy kręcili się dookoła, Joe i Clarity przeprowadzali diagnostykę na zapisach wiadomości. O ile potrafili powiedzieć, wiadomość była czysta. Gdy tylko to zostało ogłoszone, Tatsuro uderzył w stół i podjął zebranie.

– Ok, wszyscy – powiedział. – Wiemy, że wiadomość nie zawiera wirusów trojańskich, pułapek semiotycznych, wyzwalaczy, zatem proponuję opublikować ją Oddziałowi bez dalszych opóźnień. Ktoś się nie zgadza?

Nikt się nie odezwał.

– Dobrze – powiedział. – Przegłosowany *nem con*.

Joe podłączył znowu kamery. Znowu usłyszeliśmy dźwięki z zewnątrz. Tatsuro uderzył w klawisze i konwersacja pomiędzy Jowiszanami a nami zaczęła się odtwarzać na zewnętrznych ekranach, podczas nasza dalsza dyskusja była pokazywana w innych wątkach.

– Kolejny punkt: czy ktokolwiek jest całkowicie przeciwko kontynuowaniu kontaktu?

Znowu, żadnych sprzeciwów.

– Zatem sugeruję przejść szybko do odpowiedzi – powiedział Tatsuro. – Z tego, co Jowiszanin powiedział, szybki ludek jest tak szybki jak zawsze, tysiąc razy szybszy niż my. Tym razem nie dawajmy im dwóch subiektywnych lat pomiędzy wiadomościami. Mieliście czas, żeby poukładać pierwsze wrażenia, oto moje.

– Sprawozdanie, które otrzymaliśmy na temat sposobu... implementacji

post-ludzkiej inteligencji Jowiszan pasuje idealnie do tego, co sami ustaliliśmy. Mają pewną ciągłość pamięci ze swoimi ludzkimi protoplastami, co nie jest niespodzianką, choć ich rozpoznanie jednostek pomiędzy nami jest, można powiedzieć, niepokojącym doświadczeniem. Zdecydowanie wysilają się, przynajmniej chcieliby, żebyśmy uważali, że jakimś kosztem, żebym nam pokazać, dosłownie, ludzką twarz. Przedstawili stanowisko, które powinniśmy ocenić ostrożnie, ale które, na pierwszy rzut oka, jest apelem o współpracę i ofertą życia w pokoju. Dla mnie to sugeruje, że nie mają, jeszcze, wystarczających środków do pokonania nas w bezwzględnym konflikcie, oraz że my, na razie, mamy środki do ich zniszczenia. Przy ich obecnym, lub możliwym, stopniu rozwoju, ta równowaga mogłaby się nagle zmienić. Na razie nie pokazali żadnych znaków możliwości rzutowania swojej władzy poza atmosferę Jowisza, prócz wiadomości radiowych, oczywiście, oraz dziwnych cząsteczek wystrzeliwanych w kosmos, co do których twierdzą, że nie jest to ich działanie.

– Wyrażone osłupienie na szkody poczynione przez wirusy radiowe oraz wyparcie się odpowiedzialności za nie również są w obrębie możliwości, które sami rozważaliśmy. Nie możemy tego potwierdzić, ale myślę, że powinniśmy skorzystać z domniemania niewinności.

– Teraz... co do apelu o współpracę. Kwestie nieosądzania ich przez ich przodków lub przez spekulacje myślicieli przed-Osobliwości są dobrze podjęte. Ale mają dalsze implikacje. Jeżeli Jowiszanie będą się rozwijać i uda im się uniknąć pułapki wirtualnej rzeczywistości, to oni, lub ich następcy, wkrótce mogą oddalić się poza obecne jaźnie, tak jak są poza swoimi przeszłymi. Teraz patrzą na przeszłe jaźnie i w rezultacie się ich wypierają. Cień przyszłości, który dla nich, teraz, może wyłaniać się prawdziwie oddalony, byłby

dla nas okresem boleśnie krótkim przed ich zdradą. W ciągu dni lub tygodni, mogliby ocenić swoje obecne jaźnie i odrzucić ich zainteresowania i obietnice jako dziecięce, lub jeszcze gorzej.

– Jak możemy ich przywiązać do obietnic bez wyższej siły? I jak możemy utrzymać naszą siłę jako wyższą? Nie możemy... ani *zaufać*, ani zniszczyć.

Tatsuro położył dłonie, wnętrzem do góry, na stole i jego wzrok powoli przesunął się po nas wszystkich. Uniósł brwi, a potem usiadł.

Byłam zaskoczona i ulżyło mi, że powiedział to wszystko. On, przynajmniej, nie był porwany retoryką Jowiszan. Inni nie przyjęli zimnej wody, którą wylał na ich nadzieje. Mogłam ujrzeć to w ich twarzach, ale wydawało się, że nikt nie chce mówić.

Zatem ja zabrałam głos.

– Jest jeszcze jedna kwestia – powiedziałam – która powinna zostać wyjaśniona w następnej wymianie. Jowiszanie twierdzą, że chcieliby cieszyć się własną częścią systemu i zostawić nas do cieszenia się naszą częścią. Byłoby bardzo interesujące dowiedzieć się, o których częściach mówią, co uważają za swoje, a co za nasze. Pamiętam, że ten rodzaj praw własności był jednym z kłopotów, na które pierwotnie wpadliśmy. On, lub to, również wspomniał o naprawie lub odszkodowanie krzywd wykonanych w trakcie ich tak zwanego okresu śnienia. Nic nie powiedział, kto kogo będzie spłacał i za co.

– Ale z pewnością miał na myśli... – Ktoś zaczął mówić.

– Nie! – nalegałam. – Nie możemy zakładać, że mają na myśli krzywdy, które *oni* nam wyrządzili. Mogą myśleć o krzywdzie, którą my im wyrządziliśmy. Niektórzy bardzo bogaci ludzie stali się Zewnętrznymi i ciągle mogą twierdzić, że my, to jest Związek, ukradliśmy ich własność w rewolucji społecznej. W terminach ich systemu prawnego, krwiopijcy-lichwiarze posiadali połowę Ziemi,

i teraz mogą chcieć ją z powrotem, a resztę jako odsetki! Według tego jak rozumiem, co Jowiszanin powiedział, nasz wybór pozostaje ten sam: bijemy w nich kometami lub żyjemy pod ich żelazną stopą, poddani jakiemukolwiek zniewoleniu, które musiało być wprowadzone, żeby spłacić ich tak zwaną własność.

– Och, Ellen! – powiedziała Clarity. Spojrzała na Tatsuro. – Przepraszam. Hm, towarzyszu przewodniczący. Komentarz Ellen, obawiam się, dokładnie podsumowuje to złe podejście, którego nie powinniśmy przyjmować w tej sytuacji. Pomysł, że te post-ludzkie byty byłyby zainteresowane Ziemią, lub odsetkami, cokolwiek to jest, kiedy mają cały wszechświat przed sobą i całą przyszłość jest wywlekaniem starych walk. Nie sądzę, że w ogóle powinniśmy *wspominać* o tym. Nie mówię, żeby przyjmować każde ich słowo, ale pokażmy im rodzaj podstawowej dobrej woli, którą okazujemy obcemu, a nie grzęźnijmy w starodawnej historii.

Fala zabawy przebiegła dookoła komitetu na to przydzielenie pięćdziesięciolatki młodości nas wszystkich do starodawnej historii. Suze uniosła dłoń. Tatsuro kiwnął głową.

– Towarzyszu Tatsuro – powiedziała Suze – moje sympatie są przy Clarity, ale chciałabym powiedzieć, że Ellen ma rację. Jeżeli Jowiszanie myślą w sposób, jaki opisała, to mogą czuć się usprawiedliwieni praktycznie we wszystkim. Z drugiej strony, jeżeli mają jakąś wersją Prawdziwej Wiedzy, to cokolwiek chcą nam zrobić, byłoby swoim własnym usprawiedliwieniem, gdy tylko będą mieli władzę. Byłoby bardzo przydatne, gdybyśmy mogli oddzielić to, co uważamy za ich, a co za nasze, i zgodzić się wbudować to rozróżnienie do przyszłych wersji nas samych, coś, czego nie mogą cofnąć bez poważnego wewnętrznego konfliktu. Wtedy czy są moralistami, czy egoistami, będą nas szanować.

Tatsuro uśmiechnął się zachęcająco i powiedział:

– Towarzyszko Suze, możecie mieć rację, ale ciągle to się opiera na zaufaniu. Bez władzy, szacunek jest martwy. Jednak nasza władza nie jest ograniczona do niszczenia, nasze własne dzieci i wiele niższych zwierząt ma władzę nad nami, ponieważ nasze cele są związane z nimi. Ponieważ *my* cenimy *ich*, i ponieważ dobór naturalny wbudował to wartościowanie w nasze systemy nerwowe, aż do momentu, że nawet nie możemy marzyć, by je zmienić, choć bez wątpienia chcielibyśmy, gdybyśmy mogli. To są podstawy: druga iteracja Prawdziwej Wiedzy. Pytanie, na które naprawdę musimy odpowiedzieć, zatem, to czy Jowiszanie cenią nasze niezależne istnienie.

– To – powiedział Joe Lutterloh, nagle mówiąc – wynika z przeżycia jako dzikie życie lub jako zwierzęta domowe.

Wtedy dyskusja się rozgrzała i trwała przez około godzinę, aż Tatsuro przerwał ją niczym innym jak niecierpliwym stukaniem paznokci w stół.

– Towarzysze – powiedział stanowczo – myślę, że przedyskutowaliśmy to na tyle, że mamy więcej niż potrzeba, żeby doprowadzić do kolejnego kontaktu. *Jakkolwiek* to wyjdzie, jeszcze silniej jestem przekonany, że praca doktora Malleya nad tunelem musi być kontynuowana równolegle. – Spojrzał na Malleya i na mnie. – Przyjmuję Twoje powody dla pragnienia bycia świadkiem pierwszego kontaktu i potwierdzenia *naszej* szczerości w nim, ale czy mogę przyjąć, że jesteś usatysfakcjonowany?

Malley skinął głową.

– Bardzo dobrze. Jestem pewien, że chętnie powrócisz do problemu wormhole'a. Ellen, myślę, że powiedziałaś wszystko, co powinno być powiedziane. Nie widzę dalej twojego wkładu w dyskusję lub negocjacje. Mam rację?

– Chyba tak – powiedziałam.

– Dobrze. Dopilnuj tego, że część na końcu pokoju jest dźwiękoszczelna, żeby doktor Malley mógł kontynuować swoją pracę bez rozpraszania i zapewnij mu każdą pomoc, jakiej będzie potrzebował. Jeżeli dalszy rozwój sytuacji będzie wymagał Twojej obecności, damy Ci znać.

Wstałam, uśmiechnęłam się do reszty Komitetu po koleżeńsku i towarzyszyłam Malleyowi do jego stacji. Po chwili wahania, dołączyła do nas Suze.

– Cóż – powiedziała – to my ustawieni do pionu!

Klepnęłam ją w ramię.

– Nie martw się. Tatsuro właściwie komplementował nas, niezależnie jak to wyglądało dla innych. Mówił, że nasza praca jest tak ważna jak cokolwiek, co prawdopodobnie wyjdzie z kontaktu.

Malley usiadł przy stacji i wpatrzył się w ekran. Złapał skronie końcami palców i potarł.

– Wiesz, Ellen, on ma rację. Ponieważ to, co próbujemy, to dostać się gwiazd!

– Tak trzymać – powiedziałam. Spojrzałam do tyłu na grupę przy stole. Joe raz jeszcze odłączał zewnętrzne kamery. Kolejna sesja rozmów miała się rozpocząć. Zastanawiałam się, jak bardzo zmienili się Jowiszanie w czasie od naszego pierwszego kontaktu, i jak bardzo my.

– No weź – powiedziałam. – Suze, pomóż mi zagonić jakieś roboty do zbudowania ekranu dźwiękowego.

Przez następne trzy godziny pomagałam Malleyowi ustalić i zestawić tysiące nagrań Bramy, przeglądać dane nawigacyjne ze statku Wilde'a, który przeszedł przez wormhole z tamtej strony. Frustrująco, te ścieżki nie były przemienne: nie było możliwe wykorzystanie kursu z systemu Nowego Marsa i puszczenie go na odwrót. Z zewnątrz, przez plastikowe oddzielenie, które przepuszczało światło,

ale nie dźwięk, mogłam dojrzeć Komitet co jakiś czas nawiązujący łączność z emisariuszami Jowiszan. Suze była zatopiona w studiach społeczeństwa wokołomarsjańskiego, co jakiś czas mamrocząc do siebie.

Około piętnastej Clarity weszła, niosąc trzy kubki kawy. Wszyscy przerwaliśmy pracę, oparliśmy się i uśmiechnęliśmy do niej z wdzięcznością.

– Clarity, jesteś miłosierna – powiedział Malley.

– Jak idzie? – spytałam.

Clarity zmarszczyła jej mały, doskonały nos.

– W porządku, chyba – powiedziała. – Jowiszanie są bardzo przyjaźni i teraz pokazują nam nie tylko ten obraz mężczyzny. Są inne formy stłoczone dookoła nich, a czasem wydają się przekazywać odpowiedzi przez niego. To jakby zrozumieli, że się do nich przyzwyczajamy.

– Jakieś postępy w kwestii wirusów?

– Nie, ciągle mówią, że sami nie znaleźli ich źródła.

– Ha. A co z problemem kto co dostaje?

– Och, to! Jowiszanin był bardzo zaskoczony, że to w ogóle wyszło. Nalegał, że nie mają planów wykorzystania systemu poza Jowiszem, który, co podkreślił, jest całkiem duży.

Uraczyłam ją swoim złośliwym uśmiechem.

– „Żadnych planów” ciągle nie oznacza niczego, poza tym, co dosłownie mówi, czyli niezbyt dużo. A *nic* jest dostatecznie duże dla wzrostu wykładniczego, do którego starzy Zewnętrzni byli bardzo chętni.

Wzruszyła ramionami.

– Tak, ciągle nam przypominasz. Smacznej kawy.

– Dzięki.

Malley obserwował, jak odchodziła, a Suze obserwowała Malleya. Złapałam spojrzenie Suze i się uśmiechnęłam.

– To odmłodzenie – wymamrotałam.

– Co? – spytał Malley.

– Nic.

– Wiesz, kim jesteś? – powiedział Malley do mnie. – Jesteś jastrzębiem.

– Hej, podoba mi się to – powiedziałam. – Myślałam, że wszyscy tutaj jesteśmy, po prostu nie oczekiwałam, że każdy stanie się taki gołębi, gdy tylko staną twarzą w twarz z anonimowymi wrogami.

Malley wyjął fajkę z sakiewki przy pasie i wsunął ją między zęby. Odłożył ją znowu i wziął łyk kawy.

– Wiesz – powiedział z pewnym żalem – nie jestem pewny, czy jeszcze lubię *smak* tytoniu. – Upuścił fajkę i złapał ją, kilka razy, jakby zafascynowany wolnym opadaniem. Odchylił fotel, wpatrzył się w ekran i pogrzebał w wirtualnej przestrzeni.

– Z powrotem do pracy – powiedział.

Kontynuował przez kolejną godzinę, a potem nagle przerwał. Rozmawiałam po cichu z Suze w tym czasie, gdy odświeżała moje wspomnienia zawiłości teorii prawa anarcho-kapitalistycznego, coś, czym niektórzy Zewnętrzni zanudzali mnie wtedy na roz-kładzie, a czego Nowy Mars był szalonym logicznym wynikiem. Przypominało to ptolemejskie epicykle, nieskończone dodawanie wymyślanych na nowo kół. Dlaczego, zastanawiałam się, ci ludzie nie *widzą* odpowiedzi?

Nieartykułowany dźwięk frustracji Malleya przerwał nam.

– Jakiś problem? – spytałam.

– Jakiś jebany problem. – Malley wyjął znowu swoją fajkę, tym razem wypchał ją tytoniem i zapalił, sapiąc z furią. Małe maszyny

przerwały to, co robiły i powąchały powietrze. Niektóre z nich szybko zaimprowizowały sprzęt gaśniczy i zaczęły się zbierać dookoła.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział Malley. – Cały problem zależy od kąta, pod jakim wchodzisz do wormhole'a, kiedy wlatujesz w niego. Nie mogę otrzymać go z kąta, jaki wykorzystał statek kolonii buntowników jeszcze w 2093, wormhole działa w jakimś cyklu, którego okresu nie znam, a na razie, obliczenie jest poza wszystkimi zasobami, jakie mamy. Gdzieś jest klucz do tego, ale jest matematycznie niepodatny. Musiałabyś zbudować tunel, żeby dowiedzieć się, co to jest.

– Nie możesz chociaż zgadnąć?

– Och, pewnie – powiedział Malley. – Mogę zgadnąć. Choć nie stawiałbym na to mojego życia.

– Nie musisz! – powiedziałam. – Przetestujemy to sondą. Zobaczymy, czy coś wraca...

Malley dźgnął ekran ustnikiem fajki.

– Pewnie – powiedział. – Problem w tym, moglibyśmy wysyłać sondy od teraz aż do dnia sądu ostatecznego. Znaczy, moje najlepsze próby są nie lepsze niż najlepsze, z jakimi Twoi ludzie przyszli, a *oni* wtedy niczego nie mieli.

Walczyłam, żeby ukryć moje przerażenie. Nie ma szans, żebyśmy mieli czas bawić się sondami badawczymi. Wszyscy liczyliśmy na Malleya, pewni, że z jego głęboką teoretyczną wiedzą i naszą masą danych, znalazłby drogę na drugą stronę.

Malley, marszcząc brwi, spojrzał na mnie w górę.

– Coś mnie dziwi – powiedział.

– Tak?

– Ta droga czasoprzestrzenna do tutaj z Nowego Marsa... w jaki sposób mamy to, ale nie mamy w drugą stronę?

– Dobra – powiedziałam – to dość śmieszne. Wilde miał kurs

powrotny na komputerze pojazdu i mogliśmy otrzymać dostęp do tego. Kurs na zewnątrz, który może już nawet nie być poprawnym rozwiązaniem, miał w swojej głowie, że tak powiem. Mam na myśli, był czas, kiedy obie „jego głowa" i kurs powrotny były zapisanymi programami w tym samym komputerze, ale nawet gdybyśmy wiedzieli, ciągle nie umiemy zhakować ludzkich umysłów, nawet w komputerze. Żadnych ścieżek dostępu, adresów pamięci…

Malley uśmiechnął się, chłodno.

– Wiem. Zastanawiałem się, w jaki sposób Wilde był w stanie opracować kurs powrotny z Nowego Marsa. Czy Nowomarsjanie mają super zaawansowane komputery lub mnóstwo fizyków ze wzmocnionymi mózgami, czy co?

– Nie do końca – powiedziałam. – Na Nowym Marsie mają zachowane oryginalne stany umysłów Zewnętrznych i zachowane umysły niektórych z późniejszych „makr" przed ich katastrofą. To, co zrobili, co ciągle daje mi ciarki, gdy o tym pomyślę, było zrobienie ich kopii, uruchomienie ich w kontrolowanym środowisku, jak się wydaje standardowym zbiorniku do nanotechu, potem zadanie im pracy kursu powrotnego, a kiedy otrzymali odpowiedź na to pytanie, i na kilka innych, przykładowo sposób wskrzeszenia wielu umysłów ludzkich oraz ciał, które mieli w magazynie… cóż, dobra, po prostu zalali je wybielaczem! Czymś, co nazywają Niebieski Glut, właściwie, środek nano do niszczenia nanoware'u.

– Jezu! – powiedział Malley. – Znaczy, wytworzyli całą post-ludzką kulturę w środowisku wirtualnym, zadali kilka trudnych pytań, a potem ją *zniszczyli*?

– Tak – powiedziałam. Zachichotałam na jego przerażoną minę. Nawet Suze była zaskoczona tą częścią historii, której Oddział zdecydował się nie publikować. – Ok, to trochę ryzykowne, nie zaufał-

bym kulturze post-ludzkiej, nawet gdybym miał ją w wiadrze. Ale wiesz, piątka za inicjatywę.

– I zero za moralność – powiedział Malley. – To jakby wersja w małej skali tego, co masz na myśli dla Jowiszan i znacznie gorsza wymówka.

Przytaknęłam energicznie.

– Wilde na własny sposób rozumie Prawdziwą Wiedzę – powiedziałam. – Nawet jeżeli jest niespółdzielcą.

Malley westchnął.

– Nie wchodźmy w to. Zatem w jaki sposób otrzymali oryginalny kurs, ścieżkę przez wormhole-córkę do Nowego Marsa?

– Och – powiedziałam – otrzymali ją od makr Zewnętrznych.

Malley gapił się.

– Zewnętrzni im to *dali*?

Rozłożyłam dłonie.

– Jeden, lub kilku, z nich dał. Nie wiemy, czy to była umowa, którą załatwili jako płatność dla operatora firmy pracy niewolniczej, facet nazywał się Dave Reid, bardzo nieprzyjemne gość, który prawdopodobnie jest grubą rybą na Nowym Marsie, czy też wormhole-córka była przygotowana przez Zewnętrznych dla innych celów, a Reidowi i firmie tylko udało się wyciągnąć te informacje, gdy makra zaczęły się degenerować.

– Ach – powiedział Malley. – Przyszło mi do głowy, że możemy zrobić to samo. Po prostu zapytać.

Naprawdę o tym nie pomyślałam.

Tatsuro siedział u szczytu długiego stołu, rysując w notatniku i przeczesując rzednące włosy palcami. Członkowie Komitetu stali lub siedzieli dookoła, rozmawiając i pijąc kawę. Kolejna sesja kontaktu właśnie się zakończyła, przeskanowana na wirusy i przeka-

zana reszcie Oddziału. Clarity była po łokcie w wyświetlaczu stanu obecnej opinii o rozmowach: zmieniały się na pierwszy rzut oka.

Malley i ja podeszliśmy do Tatsuro.

– Mamy problem – powiedziałam mu. – I możliwe rozwiązanie.

Gdy słuchał, obserwowałam jego miny, prawie niewykrywalne, pod gładką powierzchnią jego skóry. Trwoga, rozczarowanie, gniew, wątpienie i delikatny błysk nadziei.

– Mniemam, że warto spróbować – powiedział w końcu. – Ale daje im to informacje, że tam przeszliśmy.

– Odkryliby to od razu, gdybyśmy się przedostali – powiedziałam. – Przynajmniej musimy założyć, że mogliby.

Tatsuro kiwnął głową wolno.

– Być może. Choć muszę powiedzieć, astronomia obserwacyjna z atmosfery Jowisza jest prawdopodobnie trochę trudniejsza, nawet dla nich. Tak czy inaczej, jeżeli spytamy ich o kurs, musimy to zrobić tak, żeby nie zaczęli się martwić o nasze intencje.

Wzruszyłam ramionami.

– Z pewnością zainteresowanie innym ludzkim społeczeństwem jest zrozumiałe…

– Aha! – powiedział Malley. – Może tak? Jowiszanie ciągle mają, hm, na pieńku z buntownikami, tak? Oraz Ty, jak sobie wyobrażam. Czy operator siły roboczej nie zarekwirował niektórych z waszych ludzi do swoich zespołów pracy?

– To jeden sposób przedstawienia – powiedziałam kwaśno. To było coś, o czym myślałam wcześniej, że odpowiedzialność za te dawne rajdy i śmierci mogło zależeć bardziej od firmy Reid niż od jego klientów, Zewnętrznych. Nie, żeby to miało znaczenie.

– Zatem powiedz im to – powiedział Malley. – Powiedz im, że chcesz otrzymać odszkodowanie za to, co było zrobione. Jowiszanie mogą uznać to za *bardzo* zrozumiałą motywację.

– Szczególnie jeżeli pomyślą, że zdejmuje ich to z haka – powiedział Tatsuro. – Ok, zrobimy to przy następnej sesji.

– Przy okazji – powiedziałam – z kim właściwie rozmawiamy? Czy wiemy, że oni są w jakikolwiek sposób reprezentantami?

– Jak my, znaczy? – spytał sucho Tatsuro. – Powiedziałbym, raczej tak. Mamy dowód, że kontakt jest śledzony w całej populacji Jowiszan. „Mężczyzna”, którego widzimy, to konstrukt, przedstawiający konsensus lub zdanie większości.

– Sumowanie historii – powiedział Malley.

Przygotowania do kontaktu jeszcze raz zostały wykonane. Stawały się rutyną tak jak sam kontakt. Znowu pojawiła się twarz. Pierwsze kilka zdań dotyczyło kwestii podniesionych we wcześniejszych sesjach, których nie widziałam. Potem Tatsuro poruszył temat wormhole'a i kursu do Nowego Marsa.

Po raz pierwszy, przedstawiciel Jowiszan się zawahał.

– Chwilę proszę – powiedział. Jego twarz nagle stała się abstrakcyjna, rozdzielczość się zmniejszała, aż wyglądała jak pusta maska. Przemykające kształty indywidualnych Jowiszan na niebie dookoła niego zaczęły przekształcać się podniecone, wirować w kandelabrach, rozciągać się w długie kolumny, przebudowywać się w ciemne budowle…

– To może nie był taki dobry pomysł – wyszeptał ktoś.

Zamknij się, nie powiedziałam. Moje usta były suche.

Kolor i tekstura przedstawiciela Jowiszan wróciła jak spłukanie.

– Przepraszam za to, ludziska – powiedział. – Informacja, o którą prosicie, była zakopana całkiem głęboko w naszych archiwalnych wspomnieniach. Do tego, niektórzy z nas nie byli chętni do przekazania. – Uśmiechnął się. – Ale reszta z nas przekonała ich, zatem oto jest.

Palce Tatsuro poskrobały panel, gdy linia pulsującego światła

na dole ekranu wskazywała transmisję surowych danych. Była zakończona w mniej niż pięć sekund.

– To wszystko, czego potrzebujecie – powiedział Jowiszanin. – Przekażcie wyrazy uznania naszym dawnym pracownikom i proszę, zapewnijcie ich, że nie trzymamy urazy za bunt. Do zobaczenia na razie.

Obraz się wyłączył.

– O kurwa – powiedział Malley. – Te rzeczy są bystre.

Próbowałam się roześmiać. Ludzie patrzyli na pusty ekran, patrzyli na nas.

– Coś tam poruszyliście – powiedziała Clarity.

– To pierwsza oznaka, jaką dostaliśmy, waśni pomiędzy nimi – powiedział Tatsuro. – Sugeruję, żebyście dane, które otrzymaliśmy, *bardzo* dokładnie sprawdzili pod kątem wirusów.

Wywołałam Yeng i poprosiłam o przyjście. Razem z Joe i Clarity, przeczesała dane wszystkim, co miała. Dane były czyste. Malley załadował je do swojej przestrzeni i okazało się, że pasowały do jego niekompletnych obliczeń.

W tym czasie, był już późny wieczór. Yeng, Suze i ja siedzieliśmy dookoła Malleya. Za nami, inna praca trwała. Kiedy Malley się oparł i skinął głową cicho, wszyscy wydaliśmy okrzyk, który spowodował rozproszenie uwagi.

– Testujemy to pierwsi – powiedziałam.

Wywołałam drona i załadowałam dane do jego komputera nawigacyjnego. Dołączyłam widok na ekran Malleya i obserwowaliśmy całą misję, od małego startu rakiety do ostrożnego wejścia pod kątem w tunel. Zajęło to około godziny. Ostrzegliśmy myśliwce patrolujące, trzymające się na orbicie przed Bramą. Mimo tego ponowne pojawienie się sondy ich zaalarmowało. Mogłam sobie wyobrazić te poszarpane nerwy.

Sonda miała na pokładzie tylko kamerę teleskopową, film fotograficzny, a nie telewizję. Jeden z myśliwców zebrał sondę i puścił film dla nas, przez jedną z własnych kamer telemetrycznych.

Patrzyliśmy na ziarniste obrazy nieznanych gwiazd, spektrum nieznanego żółtego słońca i oddalony czerwony glob z wybudowanymi kanałami.

– Cholernie niesamowite – powiedział Malley. – Tylko patrzenie na to. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek w to wcześniej wierzyłem.

Objęłam ramionami Malley, Yeng i Suze.

– Uwierz w to – powiedziałam. – Wybieramy się tam. Jutro.

Rozdział 8

Miasto Żywych Nieożywionych

Przechylony pierścień Jowisza wciął się białym fragmentem w widok dziobowy. Dwadzieścia kilometrów przed nimi, również pod kątem, wisiała znacznie mniejsza elipsa Mili Malleya. Z tej odległości, rakiety i silniki manewrowe przyczepione do kolistej krawędzi pokazywały się jako małe, czarne krople rozmieszczone dookoła tęczowego pierścienia. Myśliwiec bombardujący, *Tester Turinga*, stał koło nich, gotów przesunąć się na naszą dokładną pozycję zaraz po tym, jak ją opuścimy.

Straszne Piękno, z myśliwcem, obecnie bez załogi, *Węglowa Świadomość*, przypiętym do boku jak czarna mucha siedząca na białym jaju, miała właśnie wykonać ostateczne pchnięcie ku Bramie Wormhole'a. Cała załoga była na pokładzie, razem z Malleyem i Suze. Malley, mimo protestów Tatsuro i innych, nalegał, że z pewnością nie zostanie na tyłach. Zresztą, kogo to była przeklęta teoria, chciał wiedzieć. Kogo nazwisko było na tej rzeczy, co? Równoważne upieranie Suze miało więcej logiki za sobą: rzeczywiście jej potrzebowaliśmy, ponieważ była jedyną osobą, która wydawała się czuć, jak działa nowomarsjańskie społeczeństwo.

– Kąt podejścia 1 koma 274066 radiana – powiedział Jaime.

– Kurs potwierdzony – powiedziała Andrea. – Odległość pięt-

naście i sześć kilometra, prędkość względna 5 setnych kilometra na sekundę.

– Potwierdzam.

Wszystko zależało od nich, od nich i komputera pokładowego, który naprawdę kierował statkiem. Jednak, poruszeni impulsem, który pochodzi z czasów Wostoka i Mercury, kiedy ludzie są na pokładzie statku, lubią mieć ostatnie zdanie. Może to iluzja, może byłoby lepiej pozwolić maszynom to załatwić, ale kiedy zaczniesz tak myśleć, gdzie się zatrzymasz? Nie zatrzymasz, oto odpowiedź, i skończysz z samymi maszynami i bez ludzi. Jeżeli o tym pomyśleć (myślałam, unosząc się w pasach, dwa centymetry nad pryczą przeciążeniową i próbując nie myśleć za dużo), kończysz dokładnie z tym, przeciwko czemu walczyliśmy.

– Trzynaście kilometrów.

Właśnie, teraz gdy patrzyłam na powiększającą się Milę Malleya na ekranie nad głową, nie miałam dużego poczucia kontroli. Spadaliśmy w dziurę w niebie i nie było nic, co mogłabym z tym zrobić.

– Dziewięć kilometrów.

– Gotowa na ciąg – zaśpiewała Andrea. – Trzy minuty.

Malley powiedział nam, że musieliśmy przejść, przyśpieszając. Próbował nam powiedzieć dlaczego, ale stracił większość z nas przy czwartym równaniu, a to była wersja uproszczona. Spojrzałam na niego. Leżał na pryczy koło mnie. O ile widziałam, oczy miał mocno zaciśnięte. Jego usta się poruszały. Odwrócił się i otworzył oczy.

– Ach – wyszeptał – złapałaś mnie na tym.

– Na czym?

Zamknął oczy na sekundę, potem otworzył je i się uśmiechnął.

– Modlitwie.

– Nie wiedziałam, że jesteś wierzącym.

– Nie jako taki – powiedział Malley. Wpatrzył nieruchomo w nasz wyłaniający się cel na ekranie nad nami. – Ale rozumiem, że Bóg słucha niezależnie, czy jesteś wierzącym, czy nie.

Nie było czasu na debatę filozoficzną.

– Tak – odszeptałam. – To właśnie mówi Andrea o jej medalioniku świętego Krzysztofa.

– Słyszałam to – powiedziała Andrea. – Nie wierz w to. Mogę być sentymentalna, ale nie jestem przesądna.

Malley uśmiechnął się i jakoś wydawał się zrelaksowany.

– Widziałem Boga – dołożył się Borys z pryczy po mojej lewej. – Na niebie nad Brnem.

– Znaczy, gdy zostałeś złapany w inteligentny deszcz z przestarzałej, hanzeatyckiej amunicji psychochemicznej.

– Nie mieszaj rzeczy. Wiem, co mi to zrobiło – powiedział Borys spokojnie. – I wiem, co widziałem.

– Cisza tam z tyłu – powiedziała Andrea. – Przyśpieszenie za dziesięć, dziewięć, osiem. . .

Tym razem przyśpieszenie było delikatne, narastało powoli do połowy g, ale brama tunelu zbliżała się do nas w pośpiechu. Zanim mogłam pomyśleć, zanim mogłam podziwiać, zanim Malley mógł znowu się pomodlić, ekrany błysnęły krótko na niebiesko, a potem stały się czarne.

– Wyłączam napęd – powiedziała Andrea. Mała waga znikła.

Głos Jaime wzniósł się nad nagłą ciszę.

– Czy to jest *to*?

Andrea przełączyła przez ekrany, stabilizując na czerwonym półksiężycu planety, którą widzieliśmy dzień wcześnie, sto tysięcy kilometrów dalej i na wprost.

– Tak – odparła. – Dokładnie tak. Przeszliśmy.

Jaime sprawdzał gwiazdozbiory w atlasie astronomicznym kom-

putera nawigacyjnego. Babbage pracowały przez kilka sekund, fiksle błyskały i pracowały. Obrazy katalogowe 3D dodawały właściwe ruchy gwiazd i po kilku iteracjach połączyły z zewnętrznym widokiem. Jaime zbadał wyniki zbiornika.

– Dziesięć tysięcy lat świetlnych od domu i tylko nieco ponad dziesięć tysięcy lat w przyszłość, z grubsza – powiedział. – Witamy w Ramieniu Strzelca.

– Rany! – powiedziała Suze.

– Myślę, że przemówiłaś w imieniu nas wszystkich – powiedziałam. – Wszyscy, nie odpinajcie się. Yeng, czy mogłabyś puścić dla nas skan?

Yeng szybko to zrealizowała, ściągając swój interfejs ze zgromadzonej puli komputerów, sprawdzając czy jest izolowany od innych, a potem ostrożnie omiatając część radiową spektrum elektromagnetycznego i losowo skanując ewidentne wiadomości w programie antywirusowym.

– Jest tłoczno – powiedziała.

– Nie śpiesz się – powiedziałam.

– Tu jest *naprawdę* tłoczno. Nigdy nie widziałam niczego takiego. Sygnały są na *każdej możliwej* częstotliwości! Skanowanie ich wszystkich za wirusami może zająć wieczność. – Machnęła dłonią bezradnie na ekran, na którym rozwijały się ciągi próbek. – Nic nie ma, ale to dopiero początek, tylko drobny ułamek.

– Spróbuj losowego próbkowania w całym spektrum – zasugerowałam.

Zabrało to godzinę, w trakcie, której dryfowaliśmy dalej od wormhole-córki i bliżej ku planecie. Dobrze wykorzystaliśmy ten czas. Po pierwsze, obróciliśmy statek i zwolniliśmy tak, że mogliśmy uciec prosto przez tunel, gdyby badania Yeng pokazały coś nieprzyjemnego. Potem, umieściliśmy małego satelitę komunikacyjnego na

stałej pozycji względem wormhole'a, pozycji, którą miał utrzymać. Był również zaprogramowany do kierowania lasera komunikacyjnego pod właściwym kątem, żeby przedostać się do *Testera Turinga* po drugiej stronie. (Światło, nie mając masy, mogło przedostać się bez przyśpieszania, co oczywiście w każdym przypadku byłoby niemożliwe. Dalsze wyjaśnienia Malleya, dlaczego tylko spójne światło mogło przejść, obawiam się, były stratą czasu na mnie).

Przetestowałam łącze, nerwowo, z Malleyem za plecami.

– *Straszne Piękno* do *Testera Turinga*, odbieracie nas?

Sekundy minęły.

– *Tester Turinga* do *Strasznego Piękno*, odbieramy, jasno i wyraźnie. Jesteście we właściwym miejscu?

– Tak, jesteśmy – powiedziałam. – Dziesięć tysięcy lat świetlnych od domu, według Jaimego.

Kolejne krótki opóźnienie.

– Właśnie posłałem wiadomość do Komitetu Sterowania. Teraz łączę z Tatsuro.

Głos się zmienił.

– Gratulacje, towarzysze, właśnie stworzyliście historię. Mały krok, wielki krok i tym podobne.

Mały krok dla Jowiszan, wielki krok dla nas.

– Dziękuję – powiedziałam. Po kilku wymianach, głównie technicznych, rozłączyliśmy się.

Następnie wypuściliśmy lustro i ustawiliśmy je przed statkiem, nieco po jednej stronie tak, że mogliśmy prowadzić obserwacje wizualne przez przedni teleskop *Strasznego Piękna*. Czystym szczęściem, przybyliśmy na czas, kiedy główna osada planety, Miasto Statku, pojawiła się w środku tarczy półksiężyca i zmierzała w noc. Światła mniejszych osad były rozrzucone po ciemnej stronie i wkrótce pięcioramienny kształt miasta dołączył do nich, jasna gwiazda neo-

nowa. Było więcej osad, niż nam powiedział Wilde, i miasto wydawało się większe i jaśniejsze niż opisywał.

– Wygląda dostatecznie ludzko dla mnie – powiedział Tony.

– Cóż, nie jest – powiedziałam. – Według Wilde, cztery z tych ramion są zamieszkałe, jeżeli można tak powiedzieć, przez dziko działające roboty.

– Światła są włączone, ale nikogo w domu? – powiedział Malley dokuczliwie.

– Dokładnie – powiedziałam. – Zatem nie zakładajmy niczego, ok?

– Wygląda, że ktoś robi założenia o nas – zauważył Borys.

– Co?

– Żadnych wyzwań – powiedział łagodnie. – Muszą zakładać, że jesteśmy przyjaźni.

– Dzięki za podzielenie – powiedział Tony. – Zawsze uważałem, że hipoteza zerowa nigdy nie dostała uczciwej części reklamy.

– Przestańcie jęczeć, towarzysze – powiedziałam.

– Kto jęczy?

Kontynuowali w tym stylu przez jakiś czas.

– *Kiedy już* skończycie – powiedziała Yeng. Odepchnęła aparaturę od siebie i sprężynowy wysięgnik podniósł go bliżej gromady. – Możecie zechcieć usłyszeć mój wstępny raport na temat losowych próbek sygnałów radiowych.

– Słuchamy – powiedziałam.

– Są czyste – powiedziała. – Dużo szyfrowania, ale nic z tych rzeczy nie robi brzydkich rzeczy wszystkiemu, co na to rzuciłam. Zdecydowanie pasywne dane, a nie aktywne programy. Zatem, czy chcielibyście usłyszeć nieco o tym, co się dzieje w systemie gdzie ludzie mają spektrum dla siebie i nie muszą się martwić o . . . – głę-

boki, katastroficzny głos – . . . „pasożytujące programy od potwornych umysłów" zwierające ich obwody i zjadające mózgi?

– Tak, dawaj – powiedziałam.

Wszyscy usiedliśmy na naszych pryczach – a raczej odepchnęliśmy się łokciami – by wysłuchać, co ludzie bez martwienia się o zagłuszanie Jowiszan mają do powiedzenia. Yeng, psotnie się uśmiechając, sięgnęła po pokrętło i poruszyła strojeniem. Głośniki pokładu dowodzenia wypełniły się najbardziej smutną muzyką, jaką słyszałam. Smutny, gardłowy głos śpiewał piosenkę o słowach, dla których musiałam przypomnieć najstarsze wspomnienia, żeby zrozumieć: tematy dotyczyły bezrobocia, nadużywania alkoholu, opuszczenia, zdrady, frustracji seksualnej, zazdrości, religii.

– To jest *przerażające* – powiedział Tony po kilku minutach słuchania z otwartymi ustami. – Tam na dole musi być piekło.

Suze się roześmiała.

– Nie piekło, kapitalizm.

– Tak, tak, tak – powiedziałam. – Ale co to *jest* za rodzaj muzyki?

– Country – powiedział Malley. – Albo może western.

– Daj nam coś innego – poprosił Borys. – Cokolwiek.

– Jasne – powiedziała Yeng z akcentem. (Infekcja już ją dopadała). Przekręciła pokrętło przez kilka krzyków banshee i ustawiła częstotliwość, gdy głos właśnie obwieścił:

– . . . i chciałbym powitać was wszystkich na Black Wave, pierwszej i najlepszej stacji bluesa i soula Miasta Statku, tutaj, żeby pomóc wam przetrwać noc. . .

Żeby być uczciwym, nie cała muzyka brzmiąca z lokalnych stacji radiowych była zachętą do samobójstwa: część z nich była zdecydowanie prowokacją do morderstwa. To pasowało dobrze do tego, co widzieliśmy w nadawanej telewizji, która na pierwszy rzut oka

pokazywała społeczeństwo, gdzie morderstwo było normalne. Ale Suze i Malley zapewnili nas, że Wilde miał rację w opisach z oryginalnych przesłuchań, było to tylko udawane, wyreżyserowane, udawana przemoc dla rozrywki. Tak czy inaczej, większość z tego była. Śmiertelne walki były legalnym sportem, jak Wilde powiedział nam i co wkrótce potwierdziliśmy. Unosiliśmy się dookoła, obserwując ekrany z przerażoną fascynacją.

– To jest *chore*, człowieku – powiedział Borys. – Hej, widziałem więcej zabójstw w ciągu ostatniej półgodziny, niż kiedykolwiek zobaczyłem na Wojnie Stuletniej.

– Jeżeli dobrze pamiętam, to zabijałeś na odległość – powiedziałam. – To, co widzisz to jedna sprawa, to, co robisz to inna. Zresztą – dodałam, wskazując na przegranego gracza wyciąganego ze stadionu przy wiwatach – on będzie na nogach, cóż, kiedy je znajdą, w ciągu kilku dni.

– Nieprzyjemna rana głowy – powiedziała Yeng.

– Wszyscy robią kopie, zanim wejdą, zatem wszystko, co straci to wspomnienie walki. Oni to widzą w ten sposób.

– Ale nie Ty? – spytał Malley.

Pokręciłam głową, zdecydowanie.

– Śmierć to śmierć i nie czuję pocieszenia w myśli, że klon z moimi wspomnieniami będzie nadal istniał w przyszłości.

Malley odepchnął się od ściany, z którą miał się zderzyć i natychmiast podryfował w kierunku innym niż zamierzał.

– Myślę – powiedział nad ramieniem – że właśnie napotkaliśmy kolejną z Twoich idei nie do poprawienia, Ellen. Jest dokładnie tam z tym błędem „maszyny nie są świadome” w Twoim programie mentalnym. – Złapał się rośliny, przez które liście się poruszał i udało mu się tylko oderwać liść.

– „Świadomość jest wyłaniająca się właściwością węgla" – zacytowała radośnie Yeng. – Zatem przestań ranić nasze rośliny.

Potrzebowaliśmy tego obijania się, żeby jakoś odnaleźć w napięciu, które wszyscy czuliśmy po przejściu przez tunel, większym, dla mnie tak czy inaczej, niż przy innych manewrach, których doświadczałam, przynajmniej od czasu lądowania w bitwie w Lizbonie, która była dawno temu. Przekroczyć tę otchłań czasoprzestrzeni było straszniejsze niż lądowanie promem w ogniu przeciwlotniczym, a w retrospekcji nie było mniej kłopotliwe. Zdecydowanie odwróciłam umysł od wspomnień. Zajęłoby to trochę czasu, zanim szok o tym, co zrobiliśmy, uderzyłby nas i chciałam być bezpiecznie w domu, zanim to zrobi. Transmisje radiowe i telewizyjne, choć wprowadzały w błąd co do codziennego życia, były również użyteczne w mentalnym przygotowaniu nas do przybycia do zupełnie obcego społeczeństwa.

Jednak to trwało dostatecznie długo.

– Ok, towarzysze – krzyknęłam. – Przestańcie się śmiać z kanałów seksualnych i wróćcie na stanowiska. Mamy pracę do wykonania.

Kiedy wszyscy oddryfowali, lub w przypadku Malley, zostali zaciągnięci, do swoich prycz, przyczepiłam się luźno do swojej i ustawiłam siebie, żeby widzieć i być widzianą.

– Dobra – powiedziałam. – Ustaliliśmy, przynajmniej tymczasowo, że Nowy Mars nie miał jeszcze uciekającej Osobliwości. Jeżeli miał, ktoś na pewno upewnia się, żeby wyglądało i brzmiało, jakby nie było, ale nie możemy tego wykluczyć. Oczywistym sposobem sprawdzenia jest posłanie na dół małych, dyskretnych sond i podejrzenie jak to wygląda z bliska. Ale najpierw, chcemy dać im znać, że tutaj jesteśmy. O ile wiemy, nie zostaliśmy wykryci, ale

na pewno będziemy, gdy zaczniemy nasze podejście i wejście na orbitę.

– Już to robiliśmy, ale przejdźmy to jeszcze raz. Nie mają obrony kosmicznej w rodzaju wojskowym, ale mają wyrzutnie laserowe, statki kosmiczne z rakietami i laserami. Używają ich, kiedy ich nadlatujące komety mogłyby wylądować w złym miejscu, lub uderzyć za mocno, terraformowanie przy pomocy bombardowania kometami jest nieco ryzykowne. Ich lasery nie są dostatecznie mocne do wypalenia nas z nieba, używają wyrzutni laserowych dla małych, zrobotyzowanych pojazdów, w jakim przybyła symulakra Wilde'a, ale mogą wyrządzić nam szkody i nawet dla myśliwca że ich rakiety mogą być zbyt dobre. Przy okazji, stosują czarująco swobodnie atomówki.

– Zatem zróbmy to według podręcznika. Pierwsza rzecz, którą sugeruję, to Suze i Yeng przygotują i wyślą miłą, uspokajającą wiadomość powitalną, a Jaime i Andrea wyznaczą kurs, który wyraźnie celuje w wysoką orbitę nad planetą. Geostacjonarna, lub, precyzyjniej. . . – przerwałam, uśmiechając się na własną pedanterię – . . . *neo-areostacjonarna* nad Miastem Statku byłaby idealna.

– Nie tuż nad – powiedział Tony. – Zbyt zastraszająca.

– Ok, tylko o ile zostaniemy nad horyzontem. Zanim zaczniemy wywoływanie, chciałabym, żeby Borys uruchomił z dziesięć sond, tych małych, dobra, których ostatnim stopniem było latanie przez powietrze jak liść, i przygotował je do odpalenia tuż po wejściu na orbitę. W międzyczasie, chciałabym, żebyś był w Sterowaniu Ogniem od chwili, gdy zaczniemy sygnalizować, do dobrze po tym, jak będziemy pewni, że jesteśmy mile widziani. I Ty i Jaime bądźcie gotowi do wykorzystania myśliwca. Yeng, mogłabyś skanować za odpowiedziami na naszą wiadomość na kanałach kontroli lotu przestrzeni powietrznej, lub cokolwiek mają, a Suze mogłaby robić to

samo na kanałach informacyjnych. Nie powinno zająć długo, zanim będziemy wiadomością numer jeden.

– W końcu ... ostatnim słyszeliśmy, nie mają tutaj państwa. Wszystko dla naszego dobra, bez wątpienia, ale to, co mają w zamian, to mnóstwo konkurujących przedsiębiorstw obrony. To nie jak Oddział, czy nawet Związek, nie musimy się martwić o podrasowanych ludzi, ponieważ nie jesteśmy agresywni. Ci ludzie mogą nie być agresywni, jak można by wnioskować z telewizji, ale są nieco, hm, drażliwi i nieprzewidywalni. – Spojrzałam pytająco na Malleya.

– Myślę, że można tak bezpiecznie powiedzieć – przyznał.

– Dobra – powiedziałam. – Zróbmy to. Według podręcznika.

Dość szybko otrzymaliśmy naszą pierwszą odpowiedź. Ten historycznie pierwszy kontakt pomiędzy Związkiem Słonecznym a pierwszą i jedyną pozasłoneczną kolonią ludzkości przebiegł, jak następuje:

– Tu pasażerski statek gwiezdny Związku Słonecznego *Straszne Piękno*, z Kallisto przez Milę Malleya, wzywam kontrolę ruchu Miasta Statku. Proszę o pozwolenie na wejście na orbitę geostacjonarną i...

– WYPIERDALAJ z tego kanału, gówniarzu. Ostrzegam Cię, zagrażasz ruchowi, i *właśnie* namierzamy Twój nadajnik. Masz cholerne kłopoty, ty mały gnojku. Ok, mamy Cię, ...

Długa pauza.

– Och. Jonesy, mamy widmo. Powtarzam, mamy widmo. Stan Żółty. Przechodzę na szyfrowanie Zero-Prime, powtarzam, Zero-Prime od teraz *kcchchchgh...*

– Spróbuj innego kanału – poradziła Suze. – Zobaczmy, czy ich rywale są bardziej otwarci.

Yeng przeszła przez kolejne odmowy z Miasto Statku KRL Sp.

z o.o., Loty Przemysłowe Reida, Wieża Kontrolna Lowell Field, Chłopaki Barsoom, Przyjazna Kontrola Lotu Xaviery…

– Kiedy powiedziałaś, żeby działać według książki, Ellen, mogłaś nam powiedzieć, że masz na myśli książkę telefoniczną – powiedział Malley.

Musiałam się roześmiać (i tak, mamy książki telefoniczne, nawet w bezpieniężnej wspólnocie). Jednak wszyscy mogliśmy sobie wyobrazić telefony, które bez wątpienia były wykonywane, do kolejnej listy firm: tych, które sprzedawały ochronę przed nadlatującymi odłamkami z kosmosu. Wiedzieliśmy również, że ludzie na Nowym Marsie mieli, jak się zdaje dobry powód, żeby martwić się o rzeczy wychodzące na nich z tunelu. Pięć lat wcześniej, kopia robota Jonathana Wilde'a zniknęła w Mili Malleya, desperacko zmartwiona, że szybki ludek na Jowiszu chciał przejąć kontrolę drugiego końca. To zmartwienie było niesłuszne, ale nigdy nie odesłał wiadomości…

A nasze intencje nie były do końca przyjazne. Jeżeli Nowi Marsjanie wiedzieli, jakie one *były*, wysłaliby każdy posiadany statek przechwytujący i zestrzelili nas z nieba.

Suze zawołała:

– Jesteśmy w wiadomościach!

Yeng odsunęła się i przesunęła ekran dookoła w taki sposób, że wszyscy mogliśmy zobaczyć. Ekran pokazywał podnieconego chłopczyka, mówiącego bardzo szybko przed zdjęciem zamazanego, ale rozpoznawalnego jajowatego kleksa.

– …UFO ciągle powoli się porusza ku nam od Bramy Tunelu. Według wysokopostawionego źródła, UFO twierdzi, że jest ludzką ekspedycją z Układu Słonecznego! Źródła milczą, jednakże, czy to twierdzenie jest prawdziwe, czy może szybki ludek z domu chce nas szybko załatwić! Czy stajemy w twarz naprzeciw prawdziwej inwa-

zji, czy wirtualnej? Usługi Software Seduction nalega, aby wszyscy dokonali aktualizacji ich systemów antywirusowych. Nie ryzykuj, zadzwoń teraz! – Długi numer pojawił się na dole ekranu. – A teraz... przedstawiamy, wyłącznie i na żywo, zewnętrzną transmisję startującego pogromcy komet Ochrony Wzajemnej z lotniska Lowell Field! Żadna praca zbyt duża dla Ochrony Wzajemnej... i żadna za mała! Czy *Twój* dom lub firma są tak bezpieczne, jak powinny być? Zadzwoń do Ochrony Wzajemnej i też możesz cieszyć się ochroną, którą tylko najbardziej doświadczeni ochroniarze mogą zapewnić, dumni z tradycji, która rozciąga się aż do starej Ziemi, i ciągle jest na czele Nowego Marsa!

– I poszły – zaimprowizował dzieciak z podziwem, gdy ekran wypełnił się zaskakującym oświetlonym kadrem dużej liczby rakiet w kształcie igieł, startujących w nocne niebo jak strzały pod Azincourt, warczenie silnika za silnikiem wznoszącego się i łączącego się w jeden wyjący krzyk.

Na dole ekranu był kolejny numer telefoniczny.

– Borys, Jaime, ładujcie się do myśliwca – powiedziałam. – Nie oddzielajcie się, póki nie powiem, chyba że zaatakują. Jaime, oblicz, kiedy te rakiety do nas dolecą...

– Nie dolecą – powiedział płasko Borys. – Ten obraz to *gówno*, Ellen. Zdjęcia archiwalne lub wprost fałszywka. To są rakiety przeciwrakietowe ostatniej szansy. Typ, który nazywaliśmy Obywatelami. Bez sensu do rozwalania komet, chyba że kometa jest tuż nad Tobą. To dywersja...

Rozbrzęczał alarm i widok dziobowy rozpalił się od ognia laserowego napotykającego cele. Ciężkie uderzenia odbijały się w statku, nie uderzenia, jak rozpoznałam początkowo w szoku, ale wabiki wystrzeliwane z rur kadłuba w szalonym, mylącym nie-wzorze, żeby odwrócić uwagę jakichkolwiek nadlatujących rakiet, które szuka-

łyby promieniowania w oszałamiającej różnorodności transmisji radio, radarowych i podczerwonych.

– Przypiąć się! – krzyknęła Andrea. Nasze skafandry, odpowiadając na alarm z równoważnym odruchem warunkowym, już utwardzały się wokół nas, zaciskając pasy. Andrea odpaliła rakiety manewrujące i, choć statek ciągle się odwracał, uruchomiła napęd termojądrowy. Przyśpieszenie przycisnęło mnie jak dusząca, olbrzyma dłoń. Pomimo wsparcia skafandra, moje żebra prawie pękały od wysiłku oddychania. Zaczęłam tracić przytomność, potem poczułam, że moja skóra mrowi, gdy skafander zaczął wprowadzać tlen bezpośrednio do krwi przez kanaliki mikrometrowej szerokości. Widok z przodu – to, co widziałam z niego, przez jaskrawe plamy, które ciężar moich gałki oczne tworzył, naciskając na siatkówkę – był burzą rozszerzających się sferycznych błysków.

A potem znowu byliśmy w nieważkości. Leżałam, dysząc boleśnie. Mnóstwo małych igieł skafandra wycofało się, ich infinitezymalne bóle nieodróżnialne od mrowienia wracającego krążenia.

– Zostańcie, gdzie jesteście! – Ostrzeżenie Andrei było znowu zbędne, żadne z nas nic nie mogło zrobić, nawet podnieść dłoni.

– Zrobiliśmy to – kontynuowała. – Wyprzedziliśmy ich.

Borys skanował raporty starcia i zniszczeń.

– Nieźle – powiedział. – Uszkodzenia kadłuba w obrębie tolerancji. *Węglowa Świadomość* jest nietknięta i wydaje się, że walczyła całkiem dobrze na własny rachunek.

– Co się tutaj *wydarzyło*? – spytała płaczliwie Suze. – Zostaliśmy zaatakowanie?

– Pewnie, że tak – powiedział Borys. – Choć nic wyszukanego. Wygląda na to, że mieli mały rój niszczycieli komet zaparkowany dookoła tunelu. Dużo nie zrobiły przeciwko aktywnej obronie. Właściwie zużyłem na nie wabiki. Szkoda.

– Dlaczego – spytałam, patrząc z niedowierzaniem na powiększający się ciemny krąg na ekranie dziobowym – kierujemy się prosto na Nowy Mars?

– Ach – powiedziała Andrea. – Przepraszam, towarzysze. Odruch, zdaje się. Mogę skorygować kurs, jeżeli...

– Nie, nie, zostaw na razie. – Zaczęłam ponownie rozważać nasze nastawienia, dosłownie jak również metaforycznie. Wiadomości telewizyjne ciągle były przekazywane.

– ... UFO przebił się przez naszą pierwszą linię obrony i teraz *kieruje się prosto na nas*! Zostańcie na kanale...

– „UFO”, w rzeczy samej! – powiedział Malley. – Jasna cholera.

– Co to jest UFO? – spytała Yeng.

– Coś w co ludzie wierzyli, zanim dostali Prawdziwą Wiedzę – odszczeknął Malley.

– Yeng – powiedziałam, zanim jej zaskoczenie mogło zmienić się w zranienie – zastanawiam się, czy masz dostęp do sieci komunikacyjnych Nowego Marsa i czy możesz *wydzwonić ten numer*?

– Zadzwonić do Ochrony Wzajemnej?

– Tak, dlaczego nie? Suze, myślisz, że mogłabyś z nimi pogadać? Zrobić umowę? – Suze roześmiała się. – Nie wiem o tym, ale mogłabym ich bardzo zmieszać.

– Tak czy inaczej, warto spróbować – powiedziałam. – Ok, wszyscy, zostajemy w pasach. Wystarczy prób przekonania ich, żeby nie byli paranoiczni. Damy im coś, czym *naprawdę* się zmartwią. Andrea, wejdź na kurs z trzy gie w ich kierunku, potem zakręć i zejdź gdzieś, gdzie jest pusto i niezbyt daleko od Miasta Statku. Suze, Yeng, próbujcie telefonu. Borys, Jaime, wejdźcie do *Węglowej Świadomości* i lećcie z nami tak długo, jak możecie, odłączcie się, gdy wejdziemy w atmosferę, wylądujcie aerodynamicznie i wykorzystajcie całą potrzebną siłę ognia, żebyśmy przeszli.

– To bardziej lubię – powiedział Borys. – Ogień osłaniający dla lądowania bojowego. Budzi wspomnienia. – Odłączył się od pryczy i podążył za Jaime prostym nurkowaniem do śluzy powietrznej.

Zdecydowałam się, że przypomnienie mu, że nigdy nie robił takich rzeczy, i że to ja je robiłam, wpłynęłoby źle na jego morale. Około minuty później wywołał nas z myśliwca i obwieścił, że on i Jaime są gotowi na ciąg.

– Dobrze – powiedziałam. – Teraz pokażmy tym niespołecznikom, z czego jesteśmy zrobieni.

– Nadzieja, że nie będą musieli się tego domyślać z naszego spalonego DNA – powiedziała Andrea tuż, zanim napęd się włączył. Tym razem siła g była mniejsza niż przy naszym unikach, ale trwała znacznie dłużej. Moment nieważkości podczas odwracania nie dał wytchnienia, części mnie, które wytrzymywały tępy ból, wykorzystały sytuację zmniejszającej się ciężaru, żeby zgłosić mocny ból, i nie przestały, kiedy rozpoczęło się zwalnianie i znowu pojawiła się waga.

– Odłączanie – powiedział Borys. – Do zobaczenia na ziemi, jeżeli się wam uda.

– Też Cię kocham – powiedziałam. – Trzymaj się.

W bocznym widoku złożony owadzi kształt myśliwca odsunął się na równoległym kursie krótkim impulsem rakiet i szybko odpadł do tyłu. Wtedy odpalił jego główny napęd i myśliwiec przeleciał koło nas, na swoim własnym, niebezpiecznym i z konieczności jednokierunkowym zejściu.

Suze i Yeng jednocześnie powiedziały coś, trudno zrozumieć, gdy ich głosy były napięte wobec ciężaru na ich piersiach.

– Powtórz, proszę – powiedziałam ciężko.

– Połączyliśmy się – wystękała Suze, jej głos brzmiał, jakby miała na myśli, że to koniec. – Jesteśmy na linii z Ochroną Wza-

jemną. Wydają się traktować nas poważnie. Mam ich teraz na wstrzymaniu.

– Wrzuć ich na główny ekran – powiedziałam. – Połącz mnie.

Twarz poważnie wyglądającego młodego człowieka pojawiła się nade mną.

– Cześć – powiedziałam słabo. – Zamierzamy lądować na silniku poza waszym miastem i chcielibyśmy zapewnić was, że jesteśmy przyjaźni i poprosić, byście trzymali swoje rakiety z dala. I tak możemy je zwalczyć. – To był blef, ale moja twarz prawdopodobnie była zniekształcona, że moja mina była nieczytelna. – Ale wolelibyśmy lądować pokojowo.

– Wy ten statek gwiezdny, który nazywa się *Straszne Piękno*?

– Tak – powiedziałam. Statek gwiezdny, pomyślałam. To lepiej niż nazywanie nas UFO!

– Możecie zaoferować poręczenie?

– Ręczne co?

– Przepraszam – powiedziała Suze, włączając się. – Możemy zaoferować przynajmniej tonę złota jako poręczenie za jakiekolwiek zniszczenia.

– Ach. – Młody mężczyzna zmarszczył brwi, próbując nie wyglądać zbyt wyraźnie pod wrażeniem. – Imperialną czy metryczną?

Zanim te negocjacje mogły toczyć się dalej, uderzyliśmy w górne warstwy atmosfery i obraz stał się mętny, a potem czarny. Powietrze na Nowym Marsie jest rzadsze niż na Ziemi, nie, żebyśmy opierali się mocno na hamowaniu aerodynamicznym. Widok na zewnątrz stał się czerwony, a łączność i obrona aktywna niedużo mogły zrobić. Tak jak my. Musieliśmy tylko leżeć tam i mieć nadzieję, że wrzaski i bicia były związane z naszym przejściem przez powietrze, a nie bliskimi wybuchami, każdy z nich mógłby być ostatnią rzeczą, jaką się dowiedzieliśmy. Malley wydawał się znowu modlić i pra-

wie marzyłam, żeby robić to samo, nawet przy jego agnostycznych zastrzeżeniach. Jednak byłam dobrą materialistką w zbyt wielu okopach, żeby teraz złagodnieć. Wszystko, o co mogłam prosić boga, to bezwarunkowa miłość i bliskie wsparcie z powietrza, i w obu przypadkach mogłam polegać na Borysie.

Spadochrony szarpnęły nami trzy razy, cztery, pięć, rzadsze powietrze oznaczało, że więcej potrzebowaliśmy niż na Ziemi, nawet przy mniejszej grawitacji. Potem było ostatnie uderzenie rakiet, które dołożyło ciężaru i pomogło wystawić wsporniki, i byliśmy na dole. Nic nie słyszałam, prócz skrzypienia mojej klatki piersiowej i pneumatycznego szeptu osiadających wsporników.

– Jesteśmy na dole w jednym kawałku – powiedziała Andrea. – Żadnych nadlatujących rakiet, a *Węglowa Świadomość* właśnie się zgłosiła. Schodzą spiralą i zgłaszają brak ostrzału.

Ludzie próbowali wiwatować. Andrea ustawiła laser komunikacyjny na pośrednika przy tunelu i przekazała dalej wiadomości o naszym bezpiecznym lądowaniu.

Mozolnie, wykorzystując sto procent pomocy skafandra, przesunęłam się na pozycję siedzącą i wstałam.

– Wszyscy ok?

Wszyscy walczyli o wyprostowanie.

– Czuję się jakbym był w walce – powiedział Tony. – Gdzie jesteśmy?

– Sześćdziesiąt kilometrów od Miasta Statku – powiedziała Andrea. – Na polu pokrytym jakiegoś rodzaju monokulturą.

– To coś, co ludzie robią, kiedy nie mają hydroponiki – powiedział Malley.

– Niespołecznikowskie takie, co? – spytała Yeng.

Byłam zadowolona, że zaczyna odpowiadać sarkastycznie.

Nieco później odkryliśmy, że naprawdę była to sprawa niespo-

łeczników, gdy wyjrzałam przez właz śluzy i zobaczyłam mężczyznę stojącego w półcieniu, tuż za kręgiem światła i szerszym kręgiem zniszczeń będących skutkiem naszego lądowania. Trzymał coś, co wyglądało jak strzelba. Grunt dookoła niego był płaski we wszystkich kierunkach, z małymi, podświetlonymi kopcami co jakiś czas, o których domyślałam się, że są jakimiś mieszkaniami. Gwiazdy wydawały się bliżej niż w kosmosie i, dziwnie, jaśniejsze.

– Nie wiem, kim lub czym jesteźcie[1] – krzyknął. – Ale zapłaćże za zniszczenia albo jasda z mojej ziemi.

– Jaką zapłatę chcesz? – odkrzyknęłam, uradowana z ulgi i całkiem przygotowana zaoferować temu mężczyźnie tonę złota, imperialną lub metryczną.

– Hej – powiedziała Suze zza mojego ramienia. – Ja się tym zajmę.

Farmer, który przedstawił się jako Andrew Calvin Powell, okazał się być całkiem inny od niespółdzielców, których spotkałam w Londynie. Po kilku minutach targowania się („Ile to będzie gramóf?"), wydawał się zadowolony tym, co Suze zaoferowała jako odszkodowanie i zaprosił nas wszystkich na „Chodźże i poczekajże na helikoptery".

– Wojskowe? – spytałam, spoglądając z lękiem na drabinę.

Mężczyzna się roześmiał, białe zęby błysnęły na jego przyjaznej, opalonej twarzy.

– Dobry Boże, nie, proszę pani. Słyszałem, że Okrona Wzajemna wzięła was wszyskich pod zkrzydła. Nie, będziecie odwieceni przez grube ryby miasta, wyciongniente z wasznych spotkań biznesowych, albo łóżek i barów! Nie bendo tutaj przynajmniej przez

[1] autor stylizuje wypowiedzi na amerykański angielski, zatem wprowadzam stylizację inspirowaną dialektem Małopolski, według `https://pl.wikipedia.org/wiki/Dialekt_ma%C5%82opolski` – przyp.tłum.

godzinę, kiedy próbujom się zorganizować. A wasi kumple w bombowcu wylądowali szczenśliwie na lotnisku, gdzie rozmawiajom z reporterami.

Zasygnalizowałam reszcie, żeby zeszła po drabinie. Nie było powodu zostawać w statku, był zdolny zadbać o siebie tak jak my. Nasze skafandry mogły utrzymać szyfrowaną łączność radiową ze statkiem lub myśliwcem, kiedy będą bliżej. Właściwie, mogliśmy działać lepiej niż to, pomyślałam i stuknęłam w mankiet, jakby mnie coś tam drapało. Uformowały się małe, perłowe oczy nanokamer, ledwie zauważalne, w tkaninie skafandra.

– Skąd wiesz to wszystko? – spytałam, gdy zebraliśmy się dookoła Powella i ruszyliśmy przez osiemset metrów zaoranej ziemi ku rozjarzonym oknom jego domu, który był w kształcie długiego, niskiego kopca. – Czy to było w telewizji, zanim wyszedłeś?

– Nie macie łonczy korowych?

– Cóż, na pewien sposób – powiedziałam ostrożnie. – Po prostu nie używamy ich dla *wiadomości*.

Spojrzał na mnie z boku.

– Tacy sami starzy czerwoni, co? Kontrolowana prasa i nendzna elektronika domowa. Dobra, przynajmniej jesteście przyjaźni, jak stary Nowy Wietkong w domu.

– Hej – powiedział Tony, człapiąc koło mnie przez błotniste pole – pamiętem ich.

– Chwila – powiedziałam, zanim Tony mógł rozpocząć wspominki polityczne – to nie tak. Mamy problem z elektroniką, pewnie, ale to z powodu szybkiego ludku. Mamy każdą wymyślną technikę, jaką chcemy, ale po prostu rozwinęliśmy ją w zupełnie innym kierunku.

– Mój dziadek mawiał, że przeklente Ruzkie zawże tak mówili – powiedział Powell z irytującą powolnością i niewzruszonością. –

I jedyne rzeczy, dla których to była prawda, to rakieta nośna Energia, miśliwiec MIG i karabin AK-47. Rerzta sprzentu była gówniana.

Z tyłu mogłam usłyszeć śmiech Malleya.

– Och, weź – powiedziałam – w jaki sposób widzimy w ciemnościach? – Pomachałam dłonią w mroku.

– Założę się, że nie dzienki genowym wzmacniaczom wzroku – powiedział Powell.

Mrugnęłam soczewki kontaktowe w wyższą ostrość i nic nie powiedziałam, aż dotarliśmy do tylnych drzwi Powella. Stanął tyłem w progu i gestem zapraszał do środka. Tuż, zanim weszłam, nakazałam skafandrowi odepchnąć błoto z butów i zrobić widowiskową transformację, gdy weszłam dramatycznie nad progiem w jasno oświetlony pokój.

Obróciłam się z wirowaniem spódnicy, zauważając rzutem oka w dół, że przynajmniej niektóre z kamer skafandra zmieniły się rozsądnie z widzialne perły.

– Czy ludzie tutaj mają ubrania, które tak potrafią?

Powell uśmiechnął się.

– To bardzo pienkna zuknia, prosze pani. – To było wszystko, co powiedział.

Czekał na nas, żebyśmy weszli do środka – inne kobiety poszły za moim przykładem, każda we własnym stylu – i wszedł, odwiesił strzelbę na drzwi, potem poprowadził nas przez dom.

Pierwszy pokój, przez który przeszliśmy, był tylko magazynem: gołe ściany z betonu – prawie takie jak morskiego betonu, prócz tego, że składnikiem wapnia były skamieliny z regałami i półkami narzędzi, nasion i zaparkowanych robotów. Potem Powell poprowadził nas korytarzem, koło zamkniętych drewnianych drzwi, do głównej części domu. Gdzieś po drodze posadzka zmieniła się w gruby

dywan, w który Powell wszedł bez strząsania błota z butów. Kilka kroków dalej jego buty były czyste. Nie mogłam całkiem złapać, jak to się zdarzyło. Włókno dywanu lekko się błyszczało, gdy przeszedł przez nie, to wszystko.

Z zewnątrz, dom wyglądał na całkiem duży, pokryty sztuczną trawą kopiec, około trzydziestu metrów długości na cztery metry wysokości. Wewnątrz, wyglądał na jeszcze większy, ponieważ okazało się, że ma około stu metrów kwadratowych i jest częściowo pod ziemią. Wyszliśmy z korytarza na balkon, który otaczał obniżone atrium, gdzie dach był warstwami szkła, za którymi mogliśmy dojrzeć apatyczne ryby i zniekształcone falami, gwieździste niebo. Światło było jaśniejsze niż na dolnym poziomie, który był umeblowany czymś, co wyglądało jako sofy pokryte skórą, fotele i kilka stolików. Kobieta siedziała przy jednym ze stolików i gdy weszliśmy, wstała i uśmiechnęła się do nas. Zeszliśmy za Powellem po schodach, które biegły przy zakrzywionej ścianie do podłogi, koło basenu z wyrastającymi wysokimi roślinami i rybami pływającymi dookoła.

Dookoła ścian były ekrany, najwyraźniej puste. Kilka dużych, nieruchomych zdjęć ludzi i krajobrazów Ziemi, duża liczba nieznanych obiektów, większość z nich wyglądających niejasno organicznie, ale prawdopodobnie sztucznych. Wisiały na ścianach, leżały na półkach lub wisiały z sufitu. Nigdy ich nie widziałeś poruszających, ale przy drugim spojrzeniu dawały niepokojące wrażenie, że właśnie się poruszyły.

– Ludziska, poznajcie mojom żonę – powiedział Powell, odwracając się i patrząc na nas wszystkich.

Kobieta, która siedziała przy stole, podeszła do nas, uśmiechając się. Miała około metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu w ciele krzepkim i zaokrąglonym, co przy jej raczej ciasnej, wy-

sadzanej klejnotami czerwonej sukience niedużo ukrywało, a wiele uwydatniało. Jej blond włosy układały się kaskadą na jej ramionach w wyszukanych lokach i falach. Jej twarz była pokryta kosmetyczną charakteryzacją, całkiem niepotrzebnie: była młoda i piękna pod tym całym pudrem i kolorem. Wyciągnęła dłonie i złapała moją.

– Cóż, witaj – powiedziała. – Naprawdę miło mi i to zaszczyt Cię poznać. Nazywam się Abigail, a ty musisz być Panną Ellen May.

– Wystarczy Ellen, sąsiadko Abigail – powiedziałam. – Ja też się cieszę i jestem zaszczycona poznaniem Ciebie.

– Och, jak miło z Twojej strony – powiedziała. Jej akcent był mniej zauważalny niż Andrew, a w istocie od tego miejsca przestałam zauważać jego. Głównie, co zauważyłam w jej głosie, to jego ciepło. Gdy przedstawiałam resztę załogi, witała wszystkich jak dawno straconych przyjaciół. Słyszała o Malleyu i wydawała się oniemiała z wrażenia ze spotkania. Kiedy powitania były skończone, Andrew, lub ktoś, lub coś, nakrył stół zachęcającym układem butelek i kieliszków. Para nalegała na zajęcie wszystkich większych sof i podanie nam drinków, niż na spoczęcie naprzeciwko przy stole i samoobsługiwanie.

Andrew Powell uniósł swoją szklankę.

– Pokój i wolność!

Wypiliśmy za to. Poczułam się trochę źle na temat, co moglibyśmy o tym pomyśleć, w ciągu kilku dni, ale zawsze mogliśmy mieć nadzieję. Nastąpiła chwila dziwne przerwy, niezaskakująca: etykieta pierwszego kontaktu pomiędzy ludźmi dawno odseparowanych ludzkich społeczeństw była w powijakach.

– To było odważne z Twojej strony – powiedziałam do Andrew – wyjść tylko ze strzelbą. Nie wiedziałeś, kim możemy być czy jak możemy zareagować.

Machnął ręką.

– Nie do końca odwaga – powiedział. On i żona uśmiechnęli się do siebie. – Abigail tutaj osłaniała mnie z domu, z dostateczną siłą, żeby zatrzymać pułk wojska.

– Ach – powiedział, rozważnie. – Ale byłeś na linii ognia, tak?

Wzruszył ramionami.

– Zrobiłem kopię zeszłego tygodnia. Niektóre wspomnienia byłoby szkoda stracić. – Kolejny uśmiech, trącenie łokciem i chichot Abigail. – Ale tak czy inaczej, nie martwiłem się tak bardzo. Domyśliłem się, że jesteście ludzką ekspedycją po pierwszych wieczornych raportach. Cholerny fart, że wylądowaliście na mojej działce. Będę pokazywał to miejsce przez lata i pewnie za opłatom!

Abigail musiała źle zrozumieć nasze zdziwione miny.

– Och, widzicie, nie mamy problemy ze wskrzeszeniem. Oboje zasnęliśmy jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku i zostaliśmy przywróceni do życia pięć lat temu. Dlatego właśnie. . . – machnęła dookoła z miną lekkiego zażenowania – . . . jesteśmy ciągle umiarkowanie bogaci, jak widzicie. Znaczy, nie możemy sobie jeszcze pozwolić na dzieci. Ale mamy siebie, naszą małą farmę, i Bóg był dla nas łaskawy.

Jej grube rzęsy podkreśliły to kilkoma szybkimi mrugnięciami.

– Nie zajmowałem się religią, póki nie umarłem – powiedział niezręcznie Andrew. – Ale to doświadczenie jakoś skupia myśli na rzeczach duchowych, a kiedy obudziłem się całkiem nagi, mokry i widząc śmigłowiec Czerwonego Krzyża, powiem wam, po prostu padłem na kolana i chwaliłem Pana.

– Mógłbyś się nazwać nowonarodzonym chrześcijaninem – powiedział Malley. Reszta z nas nie całkiem złapała, dlaczego Andrew i Abigail śmiali się tak mocno, że musieli się złapać.

– Tak mógłbyś powiedzieć – sapnął Andrew, wycierając oczy.

Wziął głęboki wdech i przemówił bardziej poważnie. – Ale oprócz tego, hm, tej ulgi i wdzięczności i tak dalej, kiedy mogłem o tym pomyśleć, doszedłem do wniosku, cóż, jeżeli zwyczajny człowiek mógł tak zrobić, to byłbyś *przeklętym* głupcem, żeby myśleć, że Wszechmogący nie wskrzesi wszystkich martwych w Jego wybranym czasie, a wiedziałem, że tylko Jezus stanąłby pomiędzy mną a jego sprawiedliwym oburzeniem tego dnia.

Uśmiechnął się na nasze uprzejmie zamarłe miny.

– Ok, to tyle mojego świadczenia wam, bezbożni komuniści, i nie usłyszycie więcej ewangelii ode mnie, chyba że poprosicie, a ja wam ochoczo podam. Ale dobra księga mówi, żeby nie rzucać pereł przed…

– Z pewnością tak – wtrąciła się Abigail z ewidentnie niepotrzebnym pośpiechem. – Teraz pozwól, że Ci przyniosę drinka.

Nasze około czterdzieści minut cieszenia się gościnnością Andrew i Abigail zrobiło nam dużo dobrego, choć wtedy wydawało się, że umożliwia nam nieco relaksu i poczucia nierealności powstającego z nagłej zmiany z niebezpiecznego lądowania do tej sceny wystawnego komfortu. Gdy tylko przeszli „świadczenie", które najwyraźniej traktowali jako coś, co muszą zrobić, choć krótko, każdemu przybyszowi, rozmawiali wygodnie z nami. Głównie o sobie, ale nawet to była uprzejmość, jakby nie chcieli, żebyśmy się poczuli przesłuchiwani. Wszyscy wiedzieliśmy, że na to wkrótce nadejdzie czas.

Dumnie nazywali się „farmerami gleby". Warzywa wyhodowane w prawdziwej glebie były tutaj luksusem, dostarczanym do elitarnych restauracji dla wyrafinowanych podniebień ludzi, który twierdzili, że są w stanie odróżnić kopię i którzy mogli sobie pozwolić – co było bardziej oczywiste – na różnicę w cenie. (Musiałam w tym momencie dyskretnie szturchnąć Yeng). Różnorodność była

ich specjalnością, Andrew wyjaśnił, jak dużo musiał szukać w bankach genów, żeby trzymać się na czele zmieniających mód. Większość z pracy na farmie była wykonywana przez coś, co nazywali „głupimi maszynami", a nie przez to, co nazywali „wynajętą pomoc". (Kolejne szturchnięcie Yeng, żeby była cicho).

Ich pytania o Układ Słoneczny były ostrożnie ogólne. Odpowiadaliśmy z podobną troską. Wyrazili ulgę, że Ziemia jest dobrze zaludniona, szacunek dla naszych zapewnień, że jest dostatnia, i tylko skrzywiony żal, że to wszystko „stało się komunistyczne" (jak to przedstawili) od ich zgonu.

– Nie sądzę, że uznacie to, za cokolwiek podobnego do tego, co uważacie za komunizm – powiedział Malley. – I nie jestem częścią ich społeczeństwa, więc może przyjmiecie moje słowo w tej sprawie.

– Jestem pewna, wy to lubicie – powiedziała Abigail uspokajająco. – Ale dla nas, lubimy tutaj.

– Każdy człowiek pod własną winoroślą i własnym figowcem i nikogo, żeby go straszyć – dodał Andrew.

– Rzeczy musiały się nieco zmienić, od kiedy Jonathan Wilde odszedł – zasugerowałam.

– Od kiedy *odszedł*? Och... rozumiem, co masz na myśli. – Abigail pokręciła głową. – No nazwę to nienaturalnym, posiadanie działającej drugiej kopii. Tak czy inaczej, masz rację, rzeczy z pewnością się zmieniły. Wiecie, w dawnych czasach, przed Abolicją, nie dawali nawet praw obywatelskich robotom, które były tak inteligentne jak człowiek, jeżeli nie cholernie bystrzejsze.

– Mieli androidy i gynoidy chodzące, wyglądające jak ludzie – powiedział Andrew. – Bóg jeden wie, jeżeli miały dusze, ale na pewno miały własne umysły i ktokolwiek mógł posiadać takie jakby to były brutalne bestie.

Zanim ktokolwiek mógł zareagować – nasze miny zaskoczenia, może nawet, w moim przypadku, szoku zostały zinterpretowane przez Andrew jako podzielanie jego ponurych poglądów na ten nieoświecony, przeszły stan rzeczy – rozległ się odległy dzwonek.

– To będzie delegacja oficjeli – powiedział Andrew. Spojrzał na panel przy stole, który nie był szary i błyszczący ostatnim razem, gdy patrzyłam. – Lądowanie za kilka minut. Najlepiej przenieść się na patio.

Gdy wstaliśmy na nogi, Abigail powiedziała:

– Jedna sprawa... było to uprzejme, że wy, damy, zmieniłyście się w ten piękne sukienki na wizytę, ale myślę, że będziecie w telewizji i tak dalej, najlepiej *wyglądać* jakbyście właśnie wyszły ze statku, a nie z taksówki w drodze na tańce, jeżeli nie macie nic przeciwko, że tak mówię.

Och, cóż, myślę, że będą jeszcze szanse na popisywanie się. Ale poczułam lekkie ukłucie, gdy mój warstwowy szyfon, brokatowe qipao Yeng, grube koronki Andrei i srebny aksamitny płaszcz Suze stopiły się i zamieniły się w wersje wysokograwitacyjnego, służbowego sprzętu.

Andrew uśmiechnął się, gdy transformacja się zakończyła.

– Już jest grupa w sieci, która mówi, że cała sprawa jest fałszywa, przygotowana przez przedsiębiorstwa obronne, żeby podbić biznes. Nie wiem, czy wasze wyglądanie jak przestrzeniowcy zmniejszy ich podejrzenia.

Abigail zatwierdziła moje niebieskie dżinsy i wysokie buty.

– Ale wolałabyś jakieś ciemniejsze kolory na tej kurtce i może jedną lub dwie naszywki misji... – Zatem kiedy maszerowaliśmy schodami, balkonem i na patio, każda miała okrągłą niebieską naszywkę nad sercem z gwiaździstym pługiem Ziemi i obrazem *Strasznego Piękna*.

Szeroki dziedziniec również był obniżony, dwa metry poniżej poziomu gruntu, otwarty i jasno oświetlony. Ponad na lewo, powyżej stoku dookoła, był kolejny płaski, podświetlony teren, na którym był zaparkowany mały helikopter. Ponad tym unosił się znacznie większy helikopter, cichy prócz *łoskotu* łopatek wirnika. Powoli obniżył się koło małego, przy którym wyglądał jak dorosły dziwnego gatunku stojący koło swojego dziecka. Myślę, że było to coś sprytnego w planie ułożenia, a nie więcej zaawansowanej technologii, która trzymała prąd stępujący wiejący ponad głowami, a nie prosto w twarze.

Boczne drzwi helikoptera się odsunęły i rozwinęły się stopnie. W chwili, zanim ktokolwiek się pojawił, zrozumiałam, że czułam się, jakbyśmy my, a nie oni, czekali na spotkanie obcych.

Mężczyzna zszedł po stopniach, z powolną godnością, która jest tylko częściowo należna trosce, jaką otaczał wysokie obcasy wysokich butów. Jego średniej wysokości i szczupła budowa były dalej rozszerzane przez cylinder i rozpięty surdut, kolorową kamizelę na białej koszuli z czarnym sznurkowym krawatem. Pistolet w kaburze dopełniał wyglądu: prawo na zachód od Pecos, na całe życie. Przeszedł nad krawędzią dziedzińca, spojrzał w lewo i prawo, znalazł schody i po nich zszedł.

Tuż po nim zeszły kolejne osoby, mężczyzna i dwie kobiety z całym tłumem innych ludzi za nimi. Miałam czas rozpoznać drugiego człowieka, to był David Reid, który zapewniał pracę niewolniczą Zewnętrznym, włączając w to niektórych z naszych. Nasz stary wróg...

A wtedy mężczyzna w wysokim kapeluszu potrząsał moją dłonią.

– Cześć – powiedział. – Nazywam się Eon Talgarth. Miło mi was powitać w Mieście Statku, w którym – jego uśmiech nieco się

skrzywił – jestem nieco ociągającym się Prezesem Sądu. A tym musisz być Ellen May Ngwethu, kapitan tej ekspedycji?

– To prawda – powiedziałam. – Miło mi Cię poznać, sąsiedzie. – Jego głos i akcent przypomniały mi, dziwnie, londyńskich niespołeczników. Zatrzymał swój wiek około czterdziestki, ale był znacznie starszy niż to, może nawet starszy niż ja, niesamowita myśl, która zrobiła na mnie większe wrażenie niż jego śmieszny rys sądowy.

– Tak, zdaje się, że wszyscy teraz jesteśmy sąsiadami – powiedział.

Odwrócił się jakby do przedstawienia tych nowych sąsiadów, ale możliwości formalnego przedstawienia zostały stracone: każdy po każdej stronie bezkrytycznie witał się z każdym, kogo mógł znaleźć po drugiej stronie i przedstawiał się lub przedstawiał kogoś innego. Talgarth patrzył przez chwilę na stratę, nawet zaskoczony, zanim wzruszył ramionami i się rozluźnił. Reid, jak zauważyłam, fachowo pracował z małym tłumem, prawdopodobnie unikając mnie, przez chwilę, i próbując zrobić dobre wrażenie na moich towarzyszach. Abigail i Andrew, z nagłej inspiracji, zaczęli rozdawać drinki i wkrótce wszyscy zaczęliśmy się zachowywać jakbyśmy właśnie przybyli na półformalną imprezę.

– Towarzyszko? – powiedział ktoś przyjaznym, ale lekko nieśmiałym, głosem. Odwróciłam się, uśmiechając się na niespodziewane powitanie.

Dziewczyna przede mną miał długie, jasne włosy, które opadały grzywą pomiędzy jej łopatkami. Była ubrana w przepasany kombinezon, który pokazywał jej muskularną, ale zdecydowanie kobiece ciało. Prawie tak wysoka jak ja. Niebieskie oczy, szeroki uśmiech, cienki, ostry nos, uderzający raczej niż piękny, ale byłam przyzwyczajona do piękna.

– Ellen? Cześć. – Wyciągnęła rękę, a ja ją potrząsnęłam. – Nazywam się Tamara Hunter – kontynuowała. – Miło mi Cię poznać.

– Wzajemnie – powiedziałam uprzejmie. – Jaki jest Twój…

– …udział w tym wszystkim? – Podrapała się po głowie. – Nieco musiałam się nawalczyć, żeby dostać się do tej delegacji. Żeby ludzie interesów i sędziowie nie zajęli wszystkiego dla siebie. Jestem przedstawicielem związku zawodowego, właściwie, centrali związkowej.

– Negocjujesz warunki dla niewolników pensji?

– Dokładnie! – powiedziała, wyglądając na zadowoloną. – Brudna robota, ale ktoś musi ją robić.

– Też ich mamy – powiedziałam, krzywo.

Tamara rozejrzała się, jakby zaniepokojona, że może być usłyszana.

– Czy to naprawdę prawda – spytała, pochylając się bliżej – że w Układzie Słonecznym macie anarchokomunizm?

Pomyślałam chwilę nad tym nieznajomym słowem.

– Nie musimy się sprzedawać i nikt nie mówi nam co robić, zatem mniemam, że mogłabyś tak to nazwać.

– Super! – powiedziała, jej oczy błyszczały. – Tylko wiedząc, że jest to *możliwe*, że może *działać*, zrobi tutaj wielką różnicę.

– Nie wiem o tym – powiedziałam, w głowie porównując, co Abigail i Andrew uznawali za skromną pomyślność z warunkami, które spowodowały rewolucję społeczną na Ziemi. – To nie tylko pytanie o idee w głowach ludzi…

– Przestań tam spiskować, Hunter! – powiedział głośny męski głos. – Będzie wystarczająco dużo czasu potem.

Mężczyzna, który mówił, podszedł i stanowczo złapał moją dłoń. Jego czarne włosy do kołnierzyka ostro wyciętej bawełnianej kurtki, ciemne, brązowe oczy, gęste, czarne brwi, gładko opalona skóra

i wygląd spokoju i niezachwianej pewności siebie, które w naszym społeczeństwie oznaczało „starych towarzyszy”, a w tym, domyślałam się, (poprawnie, jak się okazało), bogaczy.

Jednak było więcej niż to. Był przerażająco stary, pośród najstarszych ludzi żywych i w odróżnieniu nawet do jemu współczesnemu Wilde, żył w tym samym ciele, ten sam człowiek, przez ponad trzysta pięćdziesiąt lat. Znów inaczej niż Wilde, zarówno pragnął i umiał zdobyć władzę, wzrósł silny i sprawny w jej użyciu.

– Cześć, Ellen May – powiedział. – Nazywam się Dave Reid. Cieszę się, że w końcu mogę Cię poznać. Wiesz, słyszałem o Tobie dawno temu w starych czasach od, cóż... – roześmiał – ... Zewnętrznych, muszę się przyznać!

– Twoi byli klienci przysyłają wyrazy szacunku – powiedziałam, raczej zimniej niż zamierzałam – i zapewniają, że nie gniewają się za Twoje... odejście.

– Naprawdę? – Wydawał się zaskoczony i zadowolony. – Cóż, jak mówię, później na to. To jest wspaniała okazja.

Łyknęłam drinka.

– Tak wszyscy mi ciągle mówią.

Uśmiechnął się, niewzruszony.

– Trochę to bijatyka, co? Nie sądzę, żeby ktokolwiek opracował protokoły kontaktu pomiędzy anarchokomunizmem i anarchokapitalizmem. Wasi towarzysze w *Węglowej Świadomości* opowiadali reporterom o waszym społeczeństwie. Fascynująca sprawa.

– Jestem pewna, że tak – powiedziałam, żałując, że nie pouczyłam Borysa i Jaime’a o tym co, a czego nie mówić.

– Sam kiedyś byłem socjalistą, wiesz – kontynuował Reid. – Zrezygnowałem, kiepska praca. – Uśmiechnął się do Tamary. – Może powinienem się tego trzymać.

Potem spojrzał na mnie, przeze mnie, jego twarz chwilowo posępna. Potrząsnął głową i się znowu uśmiechnął.

– „Dzwoni w nim bitew stal?”[2] – powiedział. – Skoro o tym mowa, Ellen, Dee ma Ci coś do powiedzenia...

Kobieta podchodziła do nas delikatnie na szpilkach-sztyletach. Ubrana była w krótką sukienkę z czarnej koronki nad dłuższą z białej krepy, wszystko super i trzepot. Miała czarne włosy, bladą skórę, zielone oczy, szerokie policzki i ciepły uśmiech.

– Cześć, Ellen – powiedziała. – Jestem Dee. Miło mi cię poznać.

– Cześć – powiedziałam, próbując usunąć lód z głosu.

– Jestem partnerką Dave'a – kontynuowała. – Byłam jego, hm... jego mechaniczną wyciskarką. Klonem z komputerem w głowie. Tylko jebaną maszyną.

– Wiem – powiedziałam. – Wilde powiedział nam o Tobie.

Kobieta gynoid potrząsnęła moją dłonią, poczułam, a może wyobraziłam sobie, elektryczne mrowienie w jej dotyku. Uśmiechnęła się do mnie z niepokojąco szerokimi, jasnymi oczami i rozwartymi ustami.

– Zatem udało mu się – powiedziała cicho. – Meg również?

Meg, towarzyszka Wilde'a, sztuczna kobieta. Kolejna chodząca lalka, kolejna maszyna do jebania.

– Tak – powiedziałam. – Obojgu się udało.

– Ellen – powiedziała Dee. Złapała moje dłonie. – Mój umysł pracuje... inaczej od waszych. Mam dostęp do wszystkich starych rekordów firmy i do sieci miasta. Muszę Ci coś powiedzieć. Wielu ludzi tutaj, jak wiesz, zostało ożywionych ze zrobotyzowanej siły roboczej szybkiego ludku. Twoi rodzice... nie było ich wśród nich.

---

[2] cyt. z wiersza „Samotna Żniwiarka” W. Wordswortha, zob. `https://milosc.info/william-wordsworth/samotna-zniwiarka/` – przyp.tłum.

– Nigdy ich nie było wśród nich? – spytałam. – To nie tak, że po prostu nie zdążyli na statek?

– Wszystkim udało się dostać na statek – powiedział Reid. – Jestem tego cholernie pewny. Nikogo nie zostawiłem, człowiek, czy po-człowieka, żywego lub martwego, kto był powołany lub zatrudniony w mojej firmie.

Spojrzałam na niego i rozluźniłam palce i zęby.

– Cieszę się, że to słyszę – powiedziałam. – Szczerze. Cieszę się, że dwieście lat koszmarów o nich zniewolonych w robotach były tylko złymi snami, nawet jeżeli to znaczy, że nigdy nie zobaczę nawet ich kopii. – Przerwałam i wzięłam głęboki wdech przez nos. – Mogę z tym żyć, Reid, ale nie mogę zapomnieć, kto ich zabił.

Reid pokręcił głową stanowczo.

– To nie byłem ja ani moja firma, która przeprowadziła te napady – powiedział. – To wszystko było działanie Zewnętrznych. Ja tylko uratowałem, co mogło być do uratowania i dałem ludziom szansę na nowe życie. Za co nikt się nie skarżył.

– Bardzo dobrze – powiedziałam. Złapałam jego ramiona i uśmiechnęłam się do niego, w sposób, który sprawił, że na jego twarzy na krótko pojawił się bardzo satysfakcjonujący cień strachu. – Teraz wiem, kogo szukać i przyjmuję Twoje słowo, że to nie Ty.

Reid zrobił krok do tyłu, gdy puściłam jego ramiona. Jego kurtka w tym miejscu była pognieciona i wilgotna. Automatycznie wytarłam rękę o udo. Obie kobiety patrzyła na mnie z miną nieuchwytnego współczucia. Eon Talgarth, sędzia, może przyciągnięty do naszej małej grupy intensywnością naszej rozmowy, przerwał niezręczne milczenie.

– Jeżeli to sprawiedliwości szukasz, Ellen, jeżeli to jest częścią Twoich powodów, że przybyłaś taką drogę, możesz ją tutaj znaleźć.

Pokręciłam głową.

– Przykro mi – powiedziałam. Zniżyłam głos. – To jest wspaniałe wydarzenie, szczęśliwe wydarzenie, i nie chcę go psuć. – Wskazałam na bardziej serdeczne bratanie odbywające się wokół nas, mając nadzieję, że towarzysze nie przesadzą. – Ale powinniście wiedzieć coś o nas, o mnie. Nie szukamy sprawiedliwości. Nie wierzymy w sprawiedliwość. Mamy Prawdziwą Wiedzę. Nie ma sprawiedliwości. Jednak jest obrona, odstraszanie i zemsta. Tego właśnie chcę. I będę je miała.

Reid, ku mojemu zaskoczeniu, uśmiechnął się i zrobił krok do przodu. Choć niższy niż ja, wytrzymał moje spojrzenie, jakby to on patrzył w dół.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział. – Byłem tam. Jeżeli chcesz zemsty na szybkim ludku, proszę bardzo! – Machnął ekspansywnie ramieniem. – Możemy polecieć w każdej chwili do miejsca, gdzie przechowujemy ich wzorce. Możesz je ożywić, powiedzieć dokładnie co zamierzasz im zrobić i dlaczego, i zabić je tysiącem śmierci, zanim zalejemy zbiorniki Niebieskim Glutem. A potem, jeżeli chcesz, znowu możesz to zrobić. I znowu. I…

– Stop. – Złapałam go za ramię. – Wystarczy.

Bezowocność moich najgłębszych i najmroczniejszych, choć nie najtajniejszych, motywów dla przybycia tutaj sprawiła, że poczułam zimno, mdłości i zawroty głowy. Moja nadzieja wobec nadziei spotkania kopii moich zmarłych rodziców była jednym z nich, a ja byłam umęczona przez jednoczesny zawód i ulgę. Moje pragnienie zemsty na bytach, które były bezspornie najbliższe oryginalnym Zewnętrznym została właśnie przedstawiona przez Reida jako równie, boleśnie pusta. Nie było powodu w dręczeniu, żadnej satysfakcji w karaniu, bytów, dla których nie miałam nawet wystarczającej empatii, żeby czerpać przyjemność z ich bólu, jeżeli był to ból. Byłoby tak bezcelowe niczym deptanie opornej maszyny.

Dla mnie istniała tylko jedno odstraszanie, jedna obrona, jedna zemsta, a było to wysłanie ich w tę samą niepamięć, w którą wysłali moich rodziców i tak wielu innych: wieczną śmierć bez nadziei wskrzeszenia. Nic, co powiedziałam lub zrobiłam, nie mogłoby narazić tego na niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęłam się do Reida.

– Masz rację, oczywiście – powiedziałam. – To nie jest tylko jedna z fantazji, prawda? Kiedy ją wypowiesz, kiedy masz szansę ją zrealizować, rozumiesz, jak naprawdę jest tandetna i dziecinna.

– Cóż, to zrozumiałem – powiedział. – Wiem, jak musisz się czuć. – Klepnął mnie w przedramię. – No weź. Za kilka minut reporterzy zaczną tutaj brzęczeć i będziesz musiała z nimi porozmawiać. Kiedy załatwisz to, możecie wszyscy przybyć i obejrzeć Miasto.

– Tak – powiedziałam. – Nie mogę się doczekać. – Moje kolana drżały. Reid zauważył i pokierował mnie na krzesło przy stole na patio. Poruszył brwiami na Talgartha i obie kobiety, a oni wsunęli się między wszystkich innych, stojąc i rozmawiając. Reid usiadł koło mnie, odkorkował srebrną piersiówkę i podał mi. Łyknęłam czegoś ognistego i oddałam.

– To nie to samo – przyznał Reid z żalem. – Naprawdę mam nadzieję, że wiecie jak zrobić single malta.

Musiałam się uśmiechnąć. Mężczyzna posiadał, oprócz reputacji bezwzględności, rozbrajającą umiejętność rozluźniania atmosfery.

– Będziesz musiał zapytać o to ludzi w Japonii – powiedziałam mu.

– Och, Boże – powiedział. Wziął kolejny łyk. – I naprawdę macie świat bez pieniędzy? Czego używacie zamiast. . . komputerów?

– Tak – powiedziałam z dumą. – Nie mamy dużo planowania,

ale do tego, co robimy, używamy komputerów. Największych na świecie.

Głowa Reida się odchyla, jego śmiech wzbija się pod niebo i nie widzi mojej posępnej chwili przypomnienia, dlaczego nasze najważniejsze komputery zostały zbudowane z mosiądzu i stali i wyglądają jak lokomotywy historii, niezniszczalne silniki analityczne, których nic nie może odwrócić lub odchylić.

Jest rok 2098. Pode mną przelatuje miasto, jego stare wieże betonu i szkła w cieniu ostatnich iglic zbudowanych przez nano, otoczone slumsami, które poprzedza, i przetrwa, budowle, które wyrosły ponad nimi jak grzyby na wilgotnej, ciemnej glebie. Nawet poza slumsami, żywa zieleń lasu z szarobrązowymi bliznami drogi. Wyżej niż wieże i ciągle się wznosząc, i powielając, kolumny oleistego dymu.

Dym wznosi się z wypadków. Oto płonie wieżowiec, w górę od dwudziestego piętra, gdzie śmigłowiec rozprysnął się na ścianie budynku jak owad na szybie. Ruch drogowy jest zablokowany przez niezliczone kolizje, gdzie indziej samolot spadł z nieba i podpalił hektary drewnianych bud.

Unoszę się w pokładzie obserwacyjnym Stacji, a bezzałogowy sterowiec z cargo unosi się nad Lagos, jego kamery pokazują mi sceny, gdzie nic nie mogę zrobić. To było miasto sukcesu, jeszcze pół dnia temu. Zachodni Afrykanie, zdziesiątkowani wciąż przez zarazy dwudziestego wieku, są prawie odporni na ostatnią wielką Zarazę dwudziestego pierwszego wieku. Przetrwali Śmierć i nawet zakwaterowali powodzie uchodźców europejskich, którzy zapełnili dzielnice nędzy i wirowali dookoła wieżowców. Ciągle mają ropę, ciągle mają sieci komputerowe. Tutaj cywilizacja sią rozwija, nie upada.

Dotąd.

Komputery przestają działać, a z nimi, wszystko, co się na nich opiera: kontrola drogowa, kontrola lotów, sterowanie *samolotami*, procesy przemysłowe, zarządzanie zapasami, telekomunikacja i zasilanie elektrycznością. Z przewidywalną racjonalnością dylematu więźnia, ludzie grabią żywność z nagle wyłączonych i ciepłych lodówek, zanim się zepsuje, napadają na sklepy, zanim zostaną opróżnione, uzbrajają się, zanim zostaną ograbieni, wyruszają w drogę do wiosek, zanim ktokolwiek inny wpadnie na ten pomysł, i każdy dowiaduje się, że wszyscy robią to samo.

Sami mamy kłopoty, działając na ręcznym, na kopiach zapasowych lub w trybie awaryjnym. Nasze programy komputerowe zostały zredukowane do bełkotu, wirusy zwarły systemy, wyczyściły rdzenie pamięci, okaleczyły maszyny... ale nasze podstawowe systemy są solidne, zostały zbudowane tanio, awaryjnie i były poprawiane tak często, że nic prócz fizycznej siły ich nie wyłączy. Ciągle mamy jedzenie i powietrze.

Ludzie na dole są w znacznie gorszych warunkach. Paradoksalnie są znacznie bardziej uzależnieni od sieci sztucznych organizacji niż my. Największe dobro eksportowe Lagos to usługi finansowe, ściągające nawet więcej niż malejąca ropa. Wszystko to przepadło.

Ludzie, którym bezradnie się przyglądam walczącym na ulicach, są w gorszej sytuacji, niż sądzą. Znikąd nie nadejdzie pomoc, ponieważ wszędzie jest taka sama sytuacja. Z niesamowitą straszną pewnością, wiem, że bardzo duży procent tych ludzi jest już martwa, tak martwa jakby chodzili dookoła – jak gdzieś indziej, w innych miastach, niezbyt wielu w tej chwili chodzą – w elipsoidalnych strefach opadu powietrznego z płonących reaktorów.

Sterowiec wbija się w bok nano-wieżowca i obraz znika.

Drzwi helikoptera znowu się otwierają i reporterzy wylatują i zaczynają unosić, brzęcząc, tak jak powiedział Reid. Myślałam, że mówi w przenośni, ale nie. „Reporterzy” to małe śmigłowce, niosące mikrofony, kamery i głośniki. Niektóre z nich potrafią wyświetlić hologram ludzkiej postaci, która jest zsynchronizowana z pytaniami z głośnika.

– Wyglądają całkiem solidnie, kiedy dostroisz swoje kontakty – zapewnił mnie Reid.

– Nie jestem pewna, czy chcę – odpowiedziałam.

Zebrałam załogę w grupę i wszyscy razem stawiliśmy czoła kamerom i mikrofonom. Borys i Jaime, domyśliłam się, musieli zaspokoić pytania o podstawowe informacje o nas: większość pytań, które otrzymuję (a to ja byłam pytana, lokalne media wskazały mnie jako rzecznika ekspedycji), wyglądała, jakby reporterzy tutaj tylko sprzątali.

– Wydajesz się zdziwiona naszym widokiem, panno Ngwethu – powiedział jeden widmowy młody parę metrów dalej. – Nie macie sobowtórów i pyłków w Układzie Słonecznym?

– Oczywiście, że mamy – powiedziałam. – Ale jak zapewne słyszeliście, mamy problemy z naszą łącznością elektroniczną, dzięki naszej lokalnej wersji szybkiego ludku. W każdym razie nawet gdybyśmy nie mieli, wątpię, czy byśmy ich używali do. . . jak to nazywacie, zbierania wiadomości? Używamy ich w ograniczonym stopniu, do badania i monitorowania niebezpiecznych środowisk i tak dalej.

– Zatem czego używacie do zbierania wiadomości? Czy reporterzy muszą biegać osobiście?

– Właściwie nie *mamy* reporterów jako takich – powiedziałam. – Znaczy, niektórzy ludzie prowadzą newslettery i pchają wiadomości w kanały informacyjne, ale nikt nie zwraca na nie dużej uwagi.

– Zatem jak... – Reporter przerwał, zbity z tropu. – W jaki sposób ktokolwiek wie, co się dzieje?

– Och! To. Cóż, każdy w Związku może zawiadomić o wszystkim każdego i uczestniczyć lub słuchać każdego spotkania w administracji społecznej i powiedzieć, co mu się podoba o tym. Lub przeciwko temu, jeżeli o to chodzi, chyba że zacznie tracić czas wszystkich i zostanie wyrzucony.

– Zatem wasz Komitet Centralny, ta Rada Układu Słonecznego, mogłaby mieć setki tysięcy osób pojawiających się na spotkaniach, a wszyscy by krzyczeli na raz?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam z oburzeniem. – Mniemam, że w teorii tak, ale kto by tego chciał? Oprócz delegatów Rady Układu Słonecznego znaczy, a niektórzy z nich muszą być praktycznie wpychani. To wszystkie jest bardzo praktyczne i szczerze nieco *nudne*. Lokalne spotkania są znacznie bardziej interesujące, ponieważ mają więcej do zrobienia.

– Czy to stosuje się do waszej organizacji, Oddziału Cassini? – spytał hologram.

Pomyślałam o tym.

– Nie – powiedziałam.

– Dlaczego nie?

– Walka jest odmienna. Czasem musimy mieć tajemnice, ale nie na długo.

Reporter wahał się przez sekundę i kolejny wykorzystał możliwość. Miała proste włosy blond i wyglądała na dwanaście lat.

– Dlaczego tutaj przylecieliście? – spytała.

Uśmiechnęłam się najlepszym uśmiechem.

– Jesteśmy bardzo zainteresowani w ustaleniu, co się stało jedynej drugiej ludzkiej społeczności oraz w ustanowieniu przyjaznych

relacji z wami. I oczywiście jesteśmy naukowo zainteresowani tunelem, Milą Malleya.

Spojrzała się na mnie wzrokiem „nie urodziłam się wczoraj”: raczej śmiesznie, biorąc pod uwagę jej i mój wiek.

– Prócz tego.

– Czy to nie wystarczy? Dlaczego jeszcze chcielibyśmy tu przybyć?

– Może, żeby narzucić wasz system na nas?

Ten pomysł szczerze nie przyszedł mi do głowy. Nasz zamiar zniszczenia lokalnego szybkiego ludku lub zniszczenia tego, co Reid nazywał wzorcami, był tajny i wystarczająco złowieszczy, żebym martwiła się wyciekiem. Niemniej jednak nie tym. Po prostu się roześmiałam.

– Wydajecie się dobrze radzić, tak jak jest – powiedziałam dyplomatycznie. – I nie możecie mieć socjalizmu, chyba że większość ludzi zrozumie go, będzie chciała i będzie gotowa coś z tym zrobić. Z tego, co wiem o Nowym Marsie, tak nie jest. . . jeszcze.

To spowodowało wdzięczny śmiech dookoła, a Talgarth wkroczył z uniesioną dłonią.

– Panie i panowie – powiedział do widmowych postaci i ich wirnikowych obwódek – jestem pewien, że nasi goście będą mieli dużo wam do powiedzenia już wkrótce. W międzyczasie, chciałbym zapewnić im gościnność i prywatność.

Mieliśmy dość obojga, póki Talgarth i inni czołowi obywatele oraz im towarzyszący rój ciekawskiego infopyłku się nie pojawił, ale nie narzekałam. Pożegnaliśmy się z Abigail i Andrew i zostaliśmy odeskortowani do wielkiego helikoptera. Dostałam miejsce przy oknie, koło Tamary. Gdy maszyna się unosiła, pomachałam do Powella i jego żony, którzy odmachali. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, zanim straciliśmy widok, był Andrew Powell idący przez

pole z rojem infopyłku za nim, kierujący się ku statkowi. Wiedziałam, że byłby na tyle rozważny, żeby się nie zbliżać do statku, ale raczej nie podejrzewałam, żeby infopyłki były tak samo rozważne.

Oparłam się z uśmiechem, już ciesząc się lotem.

Tamara i ja zaczęłyśmy rozmawiać o życiu na Nowym Marsie i na Ziemi, śmiejąc się ze wzajemnych nieporozumień, oraz o naszej przeszłości. Byłam zadowolona i zażenowana zachwytem Tamary nad moim i zachęciłam ją do powiedzenia o jej własnym.

Powiedziała, że była Abolicjonistką.

– Co to znaczy?

Abigail i Dee wspominali Abolicję, ale nie doszłam do tego, co to znaczy.

– Byliśmy małą grupą anarchistów, niektórzy społecznych, inni bardziej w stylu życia, którzy wierzyli, że używanie świadomych maszyn jako narzędzi było złe, wiesz, jak niewolnictwo. Jednak pięć lat temu wszystko się zmieniło.

– Nie wierzysz już w to?

Tamara spojrzała na mnie, widzialnie zdecydowała, że żartuję i roześmiała się bardziej z osobliwości mojego żartu niż z jego treści.

– Nie, zmieniliśmy światopogląd ludzi! Wynikło to ze skomplikowanej serii pozwów sądowych dotyczących Wilde'a, kopii Wilde'a w maszynie, własności Dee przez Dave'a Reida i oczywiście szybkiego ludku. Po tym, wiele posiadanych rozumnych zaczęło żądać samoposiadania i niektórzy ludzie stanęli za nimi, nowi ludzie z Nieożywionych nie mogli zrozumieć, jak ktokolwiek mógł traktować roboty w ten sposób, nie mieli uprzedzeń, które mieli pierwsi ludzie.

– Tak – powiedziałam – Wilde powiedział nam o tym. Powiedział, że sprawy stawały się całkiem gwałtowne, gdy wylatywał.

– Z całą pewnością były! Byliśmy najbliżej rewolucji, wszyscy na ulicach spierający się.

– Co się stało z Szybkim Ludkiem? – spytałam lekko.

Mina Tamary zrzedła.

– Cóż, po tym jak Reid i Wilde użyli ich do rozpoczęcia ożywiania, ono ciągle trwa, sprowadzamy nieożywionych ludzi z magazynu inteligentnej materii cały czas, około miliona przez ostatnie pięć lat, to dlatego miasto tak się rozrosło i powstają nowe osady, cóż, potem oni wyczyścili kopie szybkiego ludku, który ożywili, a Reid ciągle siedzi na zapamiętanych oryginałach. Ciągle przerażony kolejną złą Osobliwością. – Przerwała z namysłem. – Ale teraz, gdy wasi Jowiszanie zaczęli się zachowywać rozsądnie i nie zamierzają oszaleć, czy coś, może to też się zmieni.

– Jestem pewna, że tak – powiedziałam – Reid nie będzie się martwił złą Osobliwością już dłużej, nie, jeżeli mam z tym coś wspólnego.

Zadowolone spojrzenie Tamary w odpowiedzi na te prawdziwe, ale wieloznaczne zdanie nieco mnie zawstydziło. Odwróciłam się do okna i spojrzałam na Miasto poniżej i przed nami, trzy z pięciu ramion skrócone, ich długie ulice z kanałami promienistymi połączone przez kanał okrężny, błyszcząca rozgwiazda w nocy.

Rozdział 9

Współczesna Utopia

Lotniska są miejscami ciszy, gdzie ludzie przechodzą bez pośpiechu wzdłuż krytych chodników do czekającego pojazdu. Wzdłuż ścian hali dworcowej stoją stoły z napojami i przekąskami, otwarte magazynki z różnego rodzaju zaopatrzeniem, które mogłabyś potrzebować i prawdopodobnie zapomniałaś, półki i regały, gdzie możesz przeglądać i, jeżeli chcesz, zabrać książkę, dziennik czy dysk. Wymaga to talentu, *kurtuazji*, zabranie wystarczająco dużo rozrywek, żeby ukończyć podróż, lub dokończyć jej etap, tak, że możesz mimochodem odłożyć zabrane rzeczy na półki innych lotnisk. Na niektórych lotniskach występują grupy muzyków, akrobatów lub podobne. Możesz pozostawać w zasięgu wzroku i słuchu lub się odsunąć. Jedyne bariery, które napotkasz, powstały, żeby uchronić cię przed wejściem w niebezpieczeństwo. Czasem pomożesz innym ludziom z bagażem, czasem sama poprosisz o pomoc. Jeżeli długo czekasz na lot, możesz poczuć chęć dołączenia do niektórych działalności wsparcia, upewniając się, że bardziej śpieszący się pasażerowie otrzymają napoje orzeźwiające, książki, czy pomoc przy ciężkim bagażu lub przy małych dzieciach. Tak wyglądają lotniska.

Jednak nie w kapitalizmie. Kiedy pojawiłam się na końcu długiego korytarza z ruchliwego pasa startowego w głównej hali portu lotniczego Miasta Statku z moimi towarzyszami u boku i przykład-

nymi obywatelami za nimi, zostałam przywitana przez setki rozentuzjazmowanych ludzi za barierką, latające stada reporterów, olśniewająco uderzające kolory i huk dźwięku. Każdy metr kwadratowy, który nie był całkowicie potrzebny pasażerom lub ludziom czekających na nich, był zajęty przez stragan, sklep lub kiosk, każdy z własnym fluorescencyjnym prostokątem reklamujący loty, leki, skarpetki, kosmetyki, bieliznę damską, ubezpieczenie, backupy, taksówki lub hotele. System nagłaśniania bijący pilnie brzmiącą muzyką sprawiał, że to wszystko było bardziej niepokojące przez częste, i równie pilnie brzmiące, przerwy.

W międzyczasie, odbywały się inne działalności, najwidoczniej niezwiązane z naszym przybyciem. Szerokie przejście pomiędzy nami a tłumem powitalnym było przemierzane od prawej do lewej przez ciąg automatycznych małych pojazdów wolno ciągnących obciążone przyczepki oraz szybko idących kobiet i mężczyzn, oraz – to było moje pierwsze spotkanie – coś, co wyglądało jak małpoludy różnych gatunków. Pomiędzy nimi roboty, niektóre z nich przypominały ludzi, szły lub się toczyły. Na zewnątrz budynku terminala, na dalekim końcu pasa startowego, odległe dźwięki i błyski startujących rakiet wstrząsały powietrzem i oświetlały noc. Żaden z ludzi, hominidów czy robotów śpieszących się przed nami nie obdarzył nas więcej niż ciekawym, o ile przyjacielskim, spojrzeniem.

Zawahałam się, niepewna jak przejść przez ten strumień światła, ciągłego i prędkiego ruchu. Talgarth minął mnie, wkroczył prosto w ruch i, patrząc na zbliżający się pływ, podniósł rękę. Ten władczy gest umożliwił nam przejście aż pod bariery. Krzyki i uśmiechy powitały nas, ręce sięgnęły, żeby nas dotknąć, kamery i dzieci zostały podniesione ponad głowy. Talgarth poprowadził nas koło nich, wzdłuż barierki i za róg w cichsze miejsce, z którego nawet małe infodrony były zawracane. Wzdłuż ścian stały wyściełane ławki.

Jaime i Borys siedzieli tam, wyglądając jakoś na zmęczonych, ale rozmawiających gorliwie z dwiema młodymi kobietami w identycznych błękitnych kurtkach i spódnicach. Kiedy zobaczyli nas zbliżających się, pożegnali się z kobietami (które natychmiast wstały i przyjęły dziwne stałe uśmiechy) i dołączyli do nas.

Andrea uściskała Jaime'a, a ja Borysa i wszyscy kręciliśmy się przez kilka minut, aż Talgarth zagonił nas wszystkich znowu jak nauczyciel dzieci na wycieczce i poprowadził nas pomiędzy parami wielkich szklanych, rozsuwanych drzwi na krawędź płaskiego obszaru asfaltu, gdzie parkowało wiele pojazdów, jeden z nich czekał na nas.

Miał około osiem metrów długości i dwa i pół metra wysokości z wielkimi oknami z boku i nisko zawieszonym podwoziem. Mężczyzna w szarym mundurze, z szarą czapką z daszkiem stał na zewnątrz otwartych drzwi i dał nam kolejny przykład dziwnie, bezosobowego uśmiechu. Talgarth staną z boku i zachęcił gestem do wejścia do pojazdu. Wewnątrz były rzędy siedzeń pokrytych czymś jak skóra, wykładzina dywanowa na podłodze i zapach świeżego plastiku w powietrzu. Przeszłam na koniec i usiadłam koło Borysa. Talgarth usiadł na miejscu przed nami, a reszta załogi wypełniła sąsiadujące fotele. Reid, Dee i Tamara również weszli. Inni, którzy z nimi byli, zostali, machając do nas z krawężnika, wyglądając jednocześnie ważni i pominięci.

Gdy kierowca zamknął drzwi i usiadł za kierownicą, powiedziałam do Talgartha:

– To sąsiedzkie z Twojej strony, że przygotowałeś to dla nas.

– Minibus? – Uśmiechnął się. – To standard w ruchu z lotniska do miasta.

– Cóż, tak czy inaczej dziękuję – powiedziałam. – Dokąd zmierzamy?

– Reid zarezerwował piętro hotelowe dla was, w tym samym budynku co jego biura – wyjaśnił Talgarth. – Udamy się najpierw do jego biura, jeżeli się zgadzacie, ponieważ chcielibyśmy porozmawiać z wami prywatnie, zanim zorganizujemy jakieś inne wydarzenia.

– Dobrze – powiedziałam. – Mamy wiele do przedyskutowania.

Lotnisko było pomiędzy bliższymi końcami dwóch z miejskich ramion. Poza nim leżały kilometry otwartego, płaskiego gruntu, część ewidentnie pokryta wodą: gdy spojrzałam do tyłu przez wielkie, zakrzywione i okrągłe okno, baseny błyskały odbiciami silnika wznoszącej się rakiety. Gdy zblakł, rozpaliła się następna. Działo się *dużo* wynoszenia ciężkich ładunków. Przed nami, wzdłuż kilku kilometrów szerokiej, pustej drogi, wznosiło się centrum miasta. Budynki w dwóch zbiegających ramionach po obu stronach nas stawały się coraz wyższe im bliżej były centrum, które było zdominowane przez gromadę wysokich, smukłych wież. Nie były tak wysokie jak wieżowce na Ziemi lub drzewa księżycowych kratero-kopuł, ale były bardziej wdzięczne niż tamte, wznosząc wzrok i zapierając dech w piersiach. Ich niższe części były połączone spiralnymi lub w inny sposób zakrzywionymi podjazdami, dając całemu kompleksowi wygląd jakby delikatnego, metalowego, dekoracyjnego nakrycia głowy. Pośród nich były inne budynki, okrągłe, wielościenne, oraz wysokie szklane prostokąty jak te, które oglądałam – tylko dwa tygodnie temu – przy lądowaniu *Strasznego Piękna*.

Wszystkie budynki świeciły od okien, reflektorów i wyświetlaczy. Patrzyliśmy przed siebie, oczarowani.

– To jest piękne – powiedziała Suze. Reid, siedząc przed nią, odwrócił się i powiedział nad ramieniem:

– Jest, i to też drobny żart z nas. Najdelikatniejsze wieże i eleganckie kopuły geodezyjne zostały zaprojektowane przez szybki

ludek na podstawie starych ilustracji miast futurystycznych, tylko żeby powiedzieć nam „patrzcie, możemy to zrobić lepiej".

– Zrobili to – powiedział Malley. Jego chichot rozbrzmiał ponad mruczeniem elektrycznym busu. – Sam pamiętam te stare okładki science-fiction. Cholerne spiralne pochylnie, u nikogo nie wyglądały dobrze, ale ktokolwiek to zbudował, zrobił to.

Kierowca, zauważyłam, nie robił dużo, a większość pojazdów na drodze wydawała się automatyczna. Kierowca był formalnością, gestem w kierunku pojęcia niektórych ludzi usługujących innym, będących na ich skinienie i zawołanie. Kolejna z tych kapitalistycznych rzeczy, jak stewardesy, z którymi rozmawiał Borys, mówił mi o nich teraz... słuchałam sceptycznie: wydawał się nadmiernie pod wrażeniem ich niewolniczymi prośbami.

– Jednak czy są one bardziej przyjazne lub pomocne niż sąsiedzi pomagający z napojami w transporcie? – spytałam, mój umysł wracał do tego, jak poznałam się z Suze.

Borys wzruszył ramionami.

– Może nie – powiedział niechętnie. – Jednak robią to cały czas i robią to, żeby dostać to, co potrzebują do życia i to sprawia, że to jest bardziej... intensywne.

– Ha! – Złapałam go za ramię i przytuliłam do niego. – To jest *perwersyjne* – wymamrotałam mu do ucha. – Jesteś w sercu tylko starym sinosowieckiem kapitalistą państwowym. Założę się, że od lat potajemnie grasz w seksgierki typu „pracodawca i pracownica".

– Nie *grałem* – warknął z oburzeniem, potem odwrócił się i dotknął boku mojego nosa czubkiem jego i się uśmiechnął. – Zresztą, nigdy nie znalazłem nikogo do zabaw, ale jeżeli to jest co *Ty* chcesz...

– Idź się sam zatrudnić – powiedziałam mu, bardzo cicho. Nikt nawet w sąsiadujących fotelach nie mógł dosłyszeć mojej surowości. Ale Dee musiała mieć, może nie zaskakująco, superludzki słuch,

ponieważ odwróciła się i spojrzała na nas z przodu busu, uśmiechając się przyjaźnie i grzesznie, jakby wiedziała dokładnie, o czym rozmawialiśmy. Poczułam, że policzki nieco mi płoną i odwróciłam wzrok.

Minibus teraz płynął ulicą pomiędzy wysokimi budynkami. Przy podstawach wysokich budynków, chodniki były całkiem szerokie, i całkiem zatłoczone, nawet o tej późnej, wieczornej godzinie. Ruch był tutaj gęstszy i wolniejszy, a gdy przejeżdżaliśmy, ludzi (i zaskakujący, wszechobecny nibyludzie, wzmocnione małpy, przeinżynierowani człowiekowate i samodzielne maszyny) na ulicy odwracali się, patrzyli przez chwilę, rozglądali po sobie i uśmiechali.

– Skąd wiemy, że jesteśmy w tym busie? – spytałam.

Dave Reid, z przodu, parsknął. Pokazał gestem na płaski szary ekran za siedzeniem kierowcy.

– To dlatego, że . . . ach przepraszam . . . – Wydawało się, że wszystko, co zrobił, to strzelił palcami, z irytacją, a ekran nagle pokazał obraz naszego busa z góry i z tyłu. Spojrzałam przez tylne okno i zauważyłam śledzące infopyłki. Inni w autobusie się roześmiali. – Nie zachęcaj ich – powiedział Talgarth, gdy spojrzałam znowu na ekran i ujrzałam tył głowy w zbliżeniu, który potem się oddaliło, rozczarowane.

Infodrony ciągle unosiły się nad nami, kiedy zatrzymaliśmy się przy wieży jak wielkim betonowym pniu drzewa, z wysokimi oknami rozmieszczonymi najwyraźniej losowo, blisko centrum miasta. Talgarth i Reid poprzedzali nas przy wyjściu z busa, gestykulując na infopyłek, jakby odpędzając muchy. Gdy wysiadałam, podziękowałam kierowcy i pożegnałam się z nim, po raz pierwszy nawiązując kontakt wzrokowy. Uśmiechnął się z lekko zaskoczoną miną i uśmiechnął się bardziej, kiedy Dee zatrzymała się przy wyjściu i podała mu napiwek.

Wewnątrz, budynek był umeblowany fałszywą skórą, prawdziwym drewnem, nieuchronnymi donicami roślin i bluszczem, z niektórymi ścianami pozostawionymi jako goły beton. Olbrzymia, wyłożona grubym dywanem recepcja miała uprzejmą aurę szyku. Winda, gdzie obsługujący w szarym ubraniu naciskał przyciski, była dostatecznie duża, żeby komfortowo zabrać nas wszystkich. Była również szybka, jej przyśpieszenie prawie wystarczyło, żeby kolana mi się ugięły.

Reid eskortował nas do pokoju przy korytarzu od windy. Był to wielki przedpokój małego biura, którego ciężkie, drewniane biurko i głęboko osadzone okna były widoczne przez otwarte drzwi. Podłużne ustawienie głębokich foteli i sof ze sztucznej skóry, dookoła długiego, niskiego, drewnianego stołu ze szklanymi popielniczkami, Przyćmione dookolne światła. Czarne cylindry reflektorów podświetlały obrazy na ścianie, rośliny i barek z drinkami.

– Siadajcie – powiedział Reid. Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu fotela u szczytu stołu, zaznaczając swoje terytorium, potem zajął się barkiem. Talgarth powiesił kapelusz i płaszcz, zawinął rękawy koszuli i usiadł, rozpinając kamizelę. Dee i Tamara czekały na nas, żebyśmy zajęli fotele, a potem usiadły razem.

Fotel, w którym się znalazłam, z Borysem po prawicy i Malleyem po lewicy, stał naprzeciw wielkich, dobrze oświetlonych fotografiach w ramach na ścianie. Większość z nich pokazywała Reida pozującego z nowymi systemami broni, lub mówiącego do, jak się domyślałam, kapitalistów i ich wynajętych ludzi. Ten naprzeciw mnie pokazywał Reid i Dee stojących razem na szerokim stopniu na zewnątrz olbrzymich, łukowatych drzwi z tłumem ludzi dookoła nich.

Mężczyzna stojący koło Reida wyglądał prawie jak Jonathan Wilde, a kobieta stojąca koło Dee wyglądała tak jak Dee: ten sam

wzrost, budowa, twarz. Zrozumiałam zaskoczona, że patrzyłam na oryginał Dee i kopię Wilde'a, tę, która została tutaj. Obaj mężczyźni byli ubrani w czarne płaszcze, spodnie i kolorowe krawaty, a kobieta stojąca koło Dee miała na sobie długą, wąską zieloną sukienkę o obniżonej elegancji.

Dee była ubrana w zadowolony z siebie uśmiech i bardzo szykowną, białą, satynową suknię z dopasowanym gorsetem, bufiastymi rękawami i całą spódnicę do podłogi, wszystkie udekorowane koralikami, wycięciami, wyszywaniem, ściegami, koronkami i organzy: żaden kosztowny tani trik wylewnego, wypełniającego nadmiaru nie został pominięty. Na głowie miała srebrną tiarę, z której kaskady wyszywanego tiulu spływały na plecy i przez szeroki, rozlany tren sukni. Cała przecukrzona konfekcja wydawała się kostiumem w jakimś karnawale, gdzie rozważania wpływu wzrokowego przeważyły nad tymi o smaku. Szturchnęłam skafander, żeby nagrał, na następny raz, gdybym chciała zrobić wielkie wejście na jedną z moich szalonych imprez.

Reid postawił tace kieliszków na stole, potem butelki alkoholu, piwa, tonica, wody i koli.

– Częstujcie się – powiedział, a kiedy to robiliśmy, usiadł w fotelu u szczytu stołu z butelką piwa przed nim. Kiedy porozstawialiśmy drinki, oparł się w fotelu i przesunął palcami przez długie czarne włosy kilka razy, raczej rozkojarzony, a potem zapalił papierosa. Wydał długie, dymne westchnięcie.

– Cóż – powiedział. – Nie ma to jak odrobina spokoju i ciszy. Ten pokój jest tak bezpieczny jak tylko można, jest wewnątrz klatki Faradaya. Siatka ogrodzeniowa w betonie, jak pamiętam, całkiem skuteczne. – Spojrzał na coś, co wyglądało jak zegarek, a potem na mnie. – Zatem, Ellen, obawiam się, że Twój szyfrowany sygnał telewizyjny nie wyjdzie poza ściany. – Uśmiechnął się. – Tylko mó-

wię, to nie problem. Możecie nagrywać wszystko i przekazać do waszego komitetu czy coś, później udostępnię urządzenia łączności i całkowitą prywatność, jeżeli chcecie.

Skinęłam głową.

– W porządku.

– Dobrze – powiedział Reid. Rozejrzał się dookoła po nas wszystkich. – Zatem przejdźmy do interesów. Jeżeli chcecie robić interesy z ludźmi tutaj, opłaciłoby wam się ugodzić się z nami. Talgarth włada sądem, który w tym momencie jest akceptowany przez inne sądy jako... ostateczny sąd, szczególnie dla problemów pomiędzy ludźmi a maszynami. Dee i ja prowadzimy największą agencję ochrony, która dość zabawne jest tą, która przyjęła wasz kontrakt. Tamary słucha znaczącej części populacji miasta, nie mówiąc o możliwości wezwania do strajku generalnego w każdej chwili.

Tamara uśmiechnęła się i rozłożyła dłonie.

– Niezupełnie.

– Jesteś zbyt skromna – powiedział Reid. – Nie rządzimy tutaj, zdecydowanie nie jest nam po drodze i jestem w mniejszym stopniu szefem miasta, niż byłem, zanim byli zmarli ludzie zaczęli przybywać. – Uśmiechnął się krzywo. – Ale każde z nas mogłoby pomóc lub przeszkodzić w dogadaniu się z ludźmi i maszynami tego miasta... nie mówię tego jako groźby, tylko jako fakt. Zakładam, że macie podobny status tam, skąd przybyliście, i nie jesteście – zmrużył oczy – tylko grupą szeregowych kosmonautów.

– Jesteśmy, w pewien sposób – powiedziałam. – Nie mamy specjalnego status, ale mamy upoważnienie do negocjacji i podjęcia dowolnych działań, które uznamy za konieczne.

– W imieniu trzydziestu miliardów ludzi? – spytał Reid, patrząc na mnie przez zmrużone powieki i zasłonę dymu. Gdzieś uruchomił się wentylator.

Wzruszyłam ramionami.

– Mniej więcej, w tym zakresie, że przed nimi odpowiadamy, a oni przegłosowali szeroki zakres, co powinniśmy tutaj zrobić.

– To znaczy? – spytał Reid z celową swobodą.

Łyknęłam whisky z wodą. Można polubić smak, zdecydowałam. Malley bawił się fajką, Suze przyglądała się paznokciom.

– Jesteśmy tutaj – powiedziałam ostrożnie – żeby się upewnić, że szybki ludek po waszej stronie tunelu nie jest dla nas zagrożeniem, tak jak możemy zapewnić, że Ci po naszej stronie nie są zagrożeniem dla was.

Reid i Talgarth jednocześnie pochylili się do przodu, z taką samą uważną, ostrożną miną.

– Co masz na myśli? – spytał Talgarth.

– Wilde... – Pokręciłam głową. – Ten drugi, ten, którego nazywacie Jay-Dubem. Powiedział nam, że ta kwestia „praw robotów" była powiązana z tą ożywienia szybkiego ludku, i że kiedy odlatywał, strona praw robotów w sporze wydawała się wygrywać. Naturalnie, byliśmy zaniepokojeni. Muszę powiedzieć, że poczułam ulgę, słysząc od Tamary, że ciągle opieracie się sugestiom ich ożywienia. Możecie zagwarantować, że sprawa pozostanie zamknięta?

– Jakie gwarancje zaakceptowalibyście? – spytał Reid.

Tylko zniszczenie , pomyślałam.

– Co możecie zaproponować? – spytałam. Reid wiedział dobrze, że nie odpowiedziałam na pytanie, ale nie naciskał na to. Pochylił się do przodu, łokcie na kolanach, palce na papierosie przy ustach.

– Co z moim... naszym... trwałym przekonaniem, że majstrowanie przy nich byłoby to niebezpieczne?

– Majstrowaliście już raz – powiedziałam. – A wyniki, jeżeli chodzi o Ciebie, były całkowicie korzystne, ponownie zjednoczyłeś się z ludźmi, których straciłeś, zyskałeś populację, która, jak się

zdaje, materialnie zwiększyła dobrobyt miasta, wysłałeś... Jay-Duba przez wormhole, i tak dalej. Cóż, nie pamiętam zbyt dużo o kapitalizmie, ale niektórzy z nas tak, i sądzę, że można bezpiecznie powiedzieć, że w pewnym momencie pokusa wypuszczenia dżina z butelki, otrzymania kilku użytecznych odpowiedzi w niepodatnych problemach, a przez to uzyskanie dla firmy przewagi nad konkurentami, mogłaby być nie do odparcia.

Reid odchylił się i spojrzał się na mnie.

– To całkowicie rozsądny argument – powiedział i mnie zaskoczył, potem wcale nie zaskoczył, że kontynuował – *jednakże*... myślę, że możesz polegać na mnie, że nie zrobię tego, póki nie będzie to bezpieczne. – Spojrzał na Talgartha.

– Co to było, co zaoferowałem... pozwolę każdemu to robić, o ile zapewni izolowaną stację kosmiczną uzbrojoną w lasery za firewallami i nuklearne zabezpieczenia na wszelki wypadek?

Talgarth uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Hej... – powiedział Borys z tą miną pokazywaną w kreskówkach jako żarówka włączająca się nad głową.

– *Niemniej jednak* – przerwałam stanowczo – zrobiliście to wtedy, z, czym? *Niebieskim Glutem* zamiast ciężkiego sprzętu, i się wam udało. Co was zatrzyma od zrobienia tego znowu?

– Prawa szybkiego ludku – powiedział Reid, całkiem poważnie.

– *Jakie* „prawa”? – spytałam. Jeżeli dyskutowalibyśmy o kulturze bakterii, nie mogłabym być bardziej zaskoczona.

– Och, wiesz. – Reid machnął ręką. – Zwykłe. Życie, wolność i szczęście poszukiwania.

Oparłam się w fotelu i roześmiałam.

– Ale poważnie – powiedziałam. – Co was zatrzyma?

Reid zmiażdżył papierosa i wlepił spojrzenie we mnie.

– *Jestem* poważny. Byłoby złem zrobić to samo, co zrobiliśmy

pięć lat temu. Było złem wtedy, ale – skrzywił się – nie wiedzieliśmy lepiej. Byłoby w porządku ożywić Szybki Ludek i być gotowym bronić się przed nimi, to ten scenariusz z laserami i atomówkami, ale nie wskrzeszać ich, a potem usuwać, gdy tylko dostaniemy od nich to, co chcemy. Zatem nie musicie się martwić, że to zrobimy.

Talgarth skinął na zgodę. Zmarszczyłam brwi, próbując to zrozumieć. Dee i Tamara obserwowały mnie jeszcze dokładniej niż mężczyźni.

– Zaoferowałeś mi zrobienie tego – powiedziałam. – Dla mojej zemsty.

Reid uśmiechnął się zimno.

– Oferta, o której wiedziałem, że odrzucisz. Jesteś inteligentną kobietą.

Zastanawiałam się, jakby zareagował, gdybym się zgodziła, ale pomyślałam, że najlepiej byłoby zostawić takie niewygodne pytania i wrócić do głównej kwestii.

– Mówisz nam, że nie możemy zaufać Ci, że ich nie ożywisz, ale możemy Ci zaufać, że nie wyczyścisz ich, jeżeli ożywisz?

– O to chodzi – zgodził się Reid wesoło. – Ale, jak mówiłem, nie ożywilibyśmy ich bez odpowiedniej obrony i nie ma na to dużej szansy przewidywalnej przyszłości.

Mogłam przewidzieć całkiem sporo przyszłości, w których idea Reida „odpowiedniej obrony” mogła się różnić od mojej, i takie gdzie w każdym razie miałby silną motywację do oszukania samego siebie, jak dużo „obrony” potrzebował. Ale pozwoliłam temu minąć, na razie, i próbowałam z innej strony.

– Według Wilde’a – powiedziałam powoli – kiedyś myślałeś inaczej. Myślałeś, że Szybki Ludek, właściwie wszystkie AI i transferowane umysły, są płaszczakami, nie naprawdę świadome. A te-

raz, mówisz, że nasza cała ochrona zależy od Twojego trwania przekonania w przeciwieństwo. Co zmieniło Twoje poglądy?

Reid posłał nam duży, głupi, szczęśliwy uśmiech.

– Dee – powiedział.

Potrząsnęłam głową i spojrzałam dookoła na towarzyszy, potem na Dee, która ciągle na mnie patrzyła. Miałam nieprzyjemne uczucie, że ona wie, o czym myślę.

– Nie do końca rozumiem – powiedziałam, dyplomatycznie kłamiąc.

– To całkiem zrozumiałe – powiedział sucho Reid. – To kwestia doświadczenia. Odkryłem, że nie mogłem myśleć o Dee tak jak kiedyś, kiedy stała się autonomiczna. – Uśmiechnął się do Dee. – Zanim mnie zostawiła. Patrząc wstecz, muszę powiedzieć, że moja, hm, relacja z nią przed tym była trochę żałosna i chora, ale musisz pozwolić na lokalne zwyczajne. Gynoidy czy androidy były symbolem sukcesu dla bogaczy. Bardzo kapitalistyczne. – Uśmiechnął się z błyskiem zażenowania. – Tak czy inaczej, po wszystkich rozprawach i wyzwaniach, które mi postawiła, po wskrzeszeniu, po tym, jak znowu ją poznałem... odkryłem, że jest niemożliwe, by traktować ją jako cokolwiek mniej niż osobę. Nie przebiegła imitacja, nie płaszczak, ale prawdziwa kobieta, którą kochałem i która *mnie kochała*. A ponieważ często, notorycznie i publicznie zaprzeczałem, że ona lub inna sztuczna osoba byli prawdziwymi ludźmi, nie miałem wyboru, jak uznać błąd mojego stanowiska w bardzo publiczny i zdecydowany sposób.

Spojrzał na wielką fotografię naprzeciwko mnie, a potem znowu uśmiechnął się do Dee.

– Poślubiłem ją.

Zatem *to* była ta okazja! Małżeństwo oznaczało publiczną deklarację pewnego rodzaju wzajemnego posiadania: dawny, staro-

żytny zwyczaj, rzadki w Związku, ale ewidentnie tutaj szeroko rozpowszechniony. A Reid podjął to zobowiązanie, wobec tej maszyny w pięknym ciele i ładnej sukience, po posiadaniu jej i używaniu jej przez lata. Miałam nadzieję, że moja mina nie pokazała obrzydzenia.

– Ellen – powiedziała Dee – to naprawdę nie jest istotne, co myślisz o nas. . . o mnie. – Wstała i obeszła stół, przysiadła na krawędzi, tuż przede mną. Nie mogłam uniknąć jej zielonookiego wzroku. – Wiem, że myślisz, że jestem maszyną. „Tylko jebaną maszyną”, tak? Ale *ja* wiem, że jestem człowiekiem, a jeżeli znałabyś mnie przez jakikolwiek czas, uznałabyś, że nie możesz mnie traktować w żaden inny sposób. Nie możesz mnie posiadać, nie możesz mnie używać, nie możesz mnie włączyć i wyłączyć. Możesz spróbować! A jeżeli miałabyś władzę, żeby mnie zmusić, mogłabyś jakoś mnie użyć. Ale nie dostałabyś dużo i nie dostałabyś *mnie*. Jeżeli chcesz dostać wszystko, co można z tej maszyny, z wszystkich jej możliwości, musisz pozwolić *mnie* decydować o użyciu tych możliwości. Jeżeli jestem maszyną, Ellen, jestem taką, która nie funkcjonuje . . . *nie może* funkcjonować właściwie, póki nie jest wolna.

Sięgnęła do przodu i dotknęła mojej twarzy. Nie wzdrygnęłam się.

– Tak jak Ty. Zatem spróbujmy być dla siebie miłe, co?

Znowu wstała, przeszła do swojego krzesła i usiadła koło Tamary. Spojrzałam z boku na Suze, która patrzyła na Dee, na Yeng, która patrzyła w podłogę.

– Zdaje się – powiedział Malley – że ktoś właśnie zdał test Turinga.

Nastąpiła chwila śmiechu, napięcie upuszczone. Reid sięgnął i chwycił dłoń Dee.

– Zdała go dawno temu – powiedział.

Dee uśmiechnęła się do niego, potem do mnie. Ciepło jej uśmiechu zmroziło mnie, jak zmroziła mnie pasja i zdolność przekonywania jej rozumowania, oraz delikatny dotyk jej miękkich palców. To była jedna z tych niesamowitych chwil, kiedy patrzysz na coś, co wygląda jak patyk czy liść, a nagle to rozkłada skrzydła i odlatuje.

– Dobrze – powiedziałam do Reida. – Akceptuję, że szanse na zmianę Twoich poglądów o świadomości maszyny są małe.

Yeng ciągle badała podłogę. Nagle jej głowa szarpnęła się do góry.

– Zatem *co*? – spytała ostro. – Wszyscy możecie w to wierzyć, jeżeli chcecie. Zaprzeczanie świadomości maszyn nie jest częścią Prawdziwej Wiedzy, to tylko opinia Odkrywców miała. . . – Jej dłoń pokazywała poszukiwanie słowa, tuż na końcu języka.

– *Obiter dictum*[1] – zasugerował poważnie Talgarth.

Wątpiłam, czy Yeng słyszała tę frazę wcześniej, ale skinęła raźno.

– Tak! Coś w tym rodzaju. Wszystkie rzeczy, które powiedziała Dee, one są częścią Prawdziwej Wiedzy. To działa tak samo z ludźmi. Jeżeli chcemy najlepiej wykorzystać nasze życia, musimy wyciągnąć jak najwięcej od innych, a to znaczy nie traktować ludzi jako gorszych niż są. – Przerwała, zmarszczyła brwi, jakby dziwiąc się czemuś. Współczułam jej: dysonans poznawczy bycia nabranym przez zadziwiającą mimikrę Dee musiał być bolesny. – Póki nie wyciągniemy więcej, robiąc tego, oczywiście, co jednak nie zdarza się zbyt często. Jeżeli spotkamy maszyny, które stosują to samo, możemy z tym żyć. – Roześmiała się, bez humoru. – Może będziemy musieli! Nic z tego nie zmienia drugiego problemu, jak poradzić sobie z maszynami znacznie silniejszymi niż my, które, lub którzy, jeżeli o mnie chodzi, mogliby być *więcej* niż ludzie. Nie możemy żyć z bytami, dla których jesteśmy niczym mrówki.

---

[1] łac. powiedziane mimochodem – przyp.tłum.

– „Sami sobie wydawaliśmy się szarańczą i takimi byliśmy też w ich oczach.”[2] – powiedział Reid, najwidoczniej cytując jakiś niezrozumiały tekst. – *Dlaczego* uważacie, że nie możemy współistnieć?

– Ponieważ mają władzę nad nami – powiedziała Yeng, wyjaśniając oczywiste.

– Posiadanie większej władzy niż my – powiedział Reid z podobnie ciężką cierpliwością – nie oznacza tego samego, co posiadanie *władzy nad* nami.

– Dobrze – powiedziała Yeng – ale oni by ją mieli i zawsze mogliby jej użyć, tak jak Ty użyłeś jej nad Szybkim Ludkiem, który ożywiłeś.

– Ach – powiedział Reid. – „Oni”. To interesujące. Rozumiem, że negocjujecie z tymi Jowiszanami. Jak wam idzie?

Rozejrzałam się po załodze. Nikt nie rzuciła ostrzegawczego spojrzenia, zatem wyjaśniłam, w jaki sposób kontakt został nawiązany i jak komunikacja jest prowadzona.

– Zatem – powiedział Reid, kiedy skończyłam – ile ich tam jest?

Wzruszyłam ramionami.

– Miliony, prawdopodobnie. Przynajmniej tysiące.

– I są jakimś rodzajem umysłu-roju, racja? Jakimś gigantycznym kolektywnym bytem?

– Nie – odpowiedziałam mu, niepewna, do czego zmierza. – Mówią, że są jednostkami, a wszystkie posiadane dowody wskazują, że tym właśnie są.

– Rodzaj totalitaryzmu, co? Każdy podporządkowany pojedynczej woli, jak powiedział to Lenin? Czy jakaś anielska anarchia, gdzie one wszystkie zgadzają się na oczywiste wspólne dobro?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam zniecierpliwiona. – Za-

[2] Biblia, Księga Liczb, 13,3 – przyp.tłum.

uważyliśmy oznaki niezgody pomiędzy nimi, poświęcają czas na dyskusję i potem przedstawienie zdania.

Reid uśmiechnął się z Talgarthem. Uderzył w dłoń pięścią.

– Ha! – Ucieszył się. – Wiedziałem!

– Wiedziałeś co? – spytałam.

– Że wy ludzie będziecie negocjować z Jowiszanami, jakby *byli* bytem rojem. I jakbyście wy byli, jeżeli o to chodzi! – Zachichotał mrocznie. – I popełniliście ten sam błąd z nami – dodał. – Kiedy powiedziałem, że nie jesteśmy tutaj u władzy, miałem to na myśli. Kiedy rozmawialiśmy, całkiem sporo przedsiębiorczych ludzi działało. Ludzie, którzy myślą z wyprzedzeniem, projektują z wyprzedzeniem, planują z wyprzedzeniem, przez te pięć lat, które zabrało przyjście potwierdzenia z Bramy, że jest wystarczająco bezpieczne, żeby przechodzić. A teraz to, teraz *wy jesteście* tutaj, a oni wysyłali statki na orbitę, gotowi, żeby samemu przejść. Nieco szturchania, żeby być pierwsi, ale jestem pewien, że agencje ochrony utrzymują porządek w kolejce statków, która właśnie teraz musi się tworzyć przy Tunelu.

Wziął łyk piwa i zapalił papierosa, rażąco ciesząc się z naszych zaskoczonych spojrzeń i tlącego gniewu Tamary, to najwidoczniej musiały być też dla niej wiadomości.

– Żeby zrobić co? – spytałam, krzycząc ponad resztą.

Reid odchylił się, klasnął w dłonie i strzelił kostkami.

– Żeby handlować – powiedział. – Co jeszcze?

Roześmiałam się.

– Nie będą mieli dużych zysków z handlu z nami – powiedziałam. – A poza tym, nie znają kursu przejścia.

– W rzeczy samej nie znają – powiedział Reid. – Ale ja znam. Otrzymałem ją od szybkiego ludku, pamiętacie, tak jak dostałem

kurs na przejście w tę stronę. I zamierzam sprzedać. – Wyszukanie spojrzał na zegarek. – W każdej chwili, oferty zacząć się pojawiać.

Tony pochylił się do przodu.

– Bardzo sprytne – powiedział. – Ale całkiem szczerze, stracą swoje pieniądze. Firmy, którym zamierzasz sprzedać ten sekret, nie będą zadowolone, kiedy odkryją, że nie chcemy niczego, co macie do zaoferowania, a nic po naszej stronie nie jest na sprzedaż za wszelką cenę. Albo ponieważ dzielimy się tym za darmo, albo nie oddamy wam tego za nic. Jak powiedziała Ellen, niedużo w tym zysku. – Teraz on rozsiadł się i wyglądał na zadowolonego.

– Nie byłbym tego tak pewny – powiedział Reid. Machnął dłonią w powietrzu. – Nie, żeby to miało znaczenie. Tak czy siak, większość firm, z którymi rozmawiałem, nie jest zainteresowana handlem z ludźmi ze Związku Słonecznego.

– Więc z kim. . . ? – Przerwałam, nie chcąc zaakceptować oczywistą odpowiedź. – Och nie. Nie zrobicie tego.

– Zrobimy – powiedział Reid spokojnie. – Zamierzamy handlować z Jowiszanami.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy, ogłuszeni. To Yeng przemówiła pierwsza, jej zwykle wysoki głos surowy z gniewu i obaw.

– To jest szalone – powiedziała. – Po prostu *spójrzcie* na siebie! Widziałem jak działa tutaj łączność, macie radia dla wszystkiego, komputery elektroniczne wszędzie, włączając w to własne ciała, a wielu z was ma łącza korowe! Bezpośrednie interfejsy elektroniczne do mózgu, tak? Jesteście po prostu *śmiesznie* podatni, całkowicie nadzy wobec wirusowych ataków i przejęcia. Dla tych rzeczy jesteście *podłożem hodowlanym*. Jowiszanie mogliby *zjeść* wasze umysły żywcem i nigdy byście się nie dowiedzieli.

– Rozważaliśmy to – powiedział Reid spokojnie. – Jesteśmy pewni, że nasze środki zapobiegawcze powstrzymają ich, Jowisza-

nie nie powinni zachować się tak zdradziecko, jak wy ludzie wydajecie się oczekiwać.

– *Środki zapobiegawcze!* – Głos Yeng plunął pogardą. – Mieliśmy dwa wieki na pierwszej linii walki przeciwko ich zarazom wirusowym, żeby rozwinąć zabezpieczenia i ciągle nie rozważalibyśmy tego, co sugerujecie.

Reid wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Jestem całkiem pewien, że poradzimy sobie lepiej, ponieważ... – Zawiesił głos. – Mamy lepsze komputery – zakończył, raczej nieprzekonująco dla mnie. Ale może miał więcej do powiedzenia i nie powiedział tego.

– Nie... – zaczęłam, wtedy Borys uniósł dłoń i rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Wszystko nieistotne – powiedział Borys. – Ponieważ jeżeli wasze statki przejdą przez Milę Malleya, możecie być pewni, że Oddział Cassini, nasza agencja ochrony, nasze statki, zniszczą je. Oddział założy, że wszystko, co przechodzi, jest wrogie, chyba że usłyszą inaczej od nas.

– Zatem – powiedział Reid – zdecydowanie zalecam, żebyście to zrobili. Skontaktujcie się z waszym Komitetem Centralnym, czy czymkolwiek, i powiedzcie im, żeby nas przepuścili. Ponieważ jeżeli nie, a wasze statki zaatakują nasze, myśliwce Ochrony Wzajemnej osłaniające kupców podejmą wszelkie działania potrzebne do ich obrony.

Borys i Andrea w tej samej chwili zarżeli. Reszta załogi wyglądała przynajmniej na rozbawionych. Nawet Malley delikatnie, sceptycznie uśmiechał się na ewidentną fanfaronadę Reida. Malley widział nasze okręty, a Reid nie.

– Mogą spróbować – powiedział Borys. Znowu się roześmiał. – Mogą spróbować!

Reid wstał i przeszedł pod ścianę, oparł się o nią rękoma, koło swojej fotografii koło lśniącej maszyny, czegoś podobnego do myśliwca odrzutowego z okresu Trzeciej Wojny Światowej. Wyciągnął papierosa i spojrzał się na nas chłodno, oceniająco. Wiedziałam, co się zdarzy dalej, dlatego powiedziałam pierwsza.

– Zakładam, że już sprawdziliście *Węglową Świadomość*. – powiedziałam. – Przeskanowaliście, może próbowaliście posłać małą kamerę do środka. Powiedz nam, co odkryliście.

– Rzeczywiście tak zrobiliśmy – powiedział Reid, z lekkim mimowolnym cofnięciem się, które trochę mnie uradowało. Borys się zjeżył. Moje szybki, mroczne spojrzenie go zatrzymało. – Jesteśmy znacznie bliżej tego niż do *Strasznego Piękna*.– Tym razem to była jego zmiana na krótką, wewnętrzną satysfakcję, gdy zdradziłam swoje zaskoczenie.

– Och, tak, pan Powell uruchomił nasze sobowtóry w pracy, gdy tylko wyjechaliście – kontynuował Reid. – Bardzo pomocny i przyjazny facet, całkowicie życzliwy, jestem pewien, że się zgodzicie. Teraz, co do *Węglowej Świadomości*. – Spojrzał ponad naszymi głowami, jego oczy przesuwające się na lewo i prawo w sposób kogoś, kto patrzy na wirtualny obraz. – To dobry myśliwiec, przyznaję. Jednak taki był MIG-29[3], a wszyscy wiemy, jak poradziły sobie przeciwko polskim EFA[4] – Przerwał, marszcząc brwi. – Może nie wszyscy wiemy. Niezbyt dobrze. I pozwólcie, że wam powiem, jeżeli wasze myśliwce zmierzą się z *tymi*. . . – Kciukiem wskazał na samolot kosmiczny na fotografii – . . . nie dowiedzą się, co je trafiło.

---

[3] myśliwiec zaprojektowany w Związku Radzieckim, produkowany od roku 1983, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/MiG-29` – przyp.tłum.

[4] myśliwiec zaprojektowany przez europejskie konsorcjum i produkowany od 1998 roku, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Eurofighter_Typhoon` – przyp.tłum.

– Zatem nie weszliście do środka? – spytałam, tak spokojnym tonem, jak mogłam utrzymać.

Reid wzruszył ramionami.

– Nie było potrzeby – powiedział, równie lekko. – Zewnętrzna inspekcja była wystarczająca.

Borys znowu prawie rzucił się do przodu. Po moim ostrym geście, cofnął się, ponury. Miałam nadzieję, że Reid widział to, sama byłam ledwo w stanie powstrzymać się od bicia w powietrze i krzyczenia: „TAK! Tylko spróbuj, ty bankierze!"

Ponieważ skoro nie byli w stanie spenetrować pasywnej obrony myśliwca, z całą pewnością nie będą w stanie pokonać go w walce. Ten myśliwiec bombardujący był brzydką, owadzią rzeczą. Wyglądał bardziej jak ornitopter[5] niż pojazd kosmiczny, nie mówiąc o samolocie. Ale był zbudowany do najbardziej trudnej, wyobrażalnej walki, z bliska, szybko manewrując w kosmosie, a wyewoluował z dwóch wieków rozwalania wszystkiego większego od cząsteczki, co ośmieliło się wznieść z Jowisza, oraz z jeszcze dłuższego doświadczenia krótszych prac w obrębie niszczenia jąder komet.

Jedynym problem, który przewidywałam z wystawieniem naszych samolotów przeciwko Reidowi, był ten, o którym z całą pewnością nie pomyślał: tak niewielu z naszych pilotów kiedykolwiek zabiło człowieka, a tych nielicznych tak dawno temu, że mogli fatalnie się zawahać przed śmiercią. Nie była to słabość, którą ci po jego stronie prawdopodobnie dzielili.

– Nasze myśliwce są w pełni zautomatyzowane – powiedział Reid – w ogóle nie ma człowieka w obwodzie. To stawia waszą stronę w dalszej niekorzystnej sytuacji, nie sądzicie?

---

[5] pojazd powietrzny napędzany ruchem powierzchni nośnych pracujących jak skrzydła u ptaków, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Skrzyd%C5%82owiec` – przyp.tłum.

Och nie, nie stawia, pomyślałam w przypływie radości. Rozsmarowalibyśmy ich bez cienia w naszej świadomości.

– Widzę, że się nie zgadzacie – kontynuował. – Może powinniście zobaczyć, jak są produkowane. – Zrobił ruch klaskania dłońmi. Światła się przyciemniły, a nad stołem pojawił się hologram. Dwa metry wysokości, pokazywał ciemną, podziurkowaną grudę, powoli obracającą się z końca na koniec. Na jej powierzchni, wrzały smugi światła. A małe, jasne rzeczy, jak opiłki żelaza, oddryfowywały.

– Chondryt węglisty z nanofabrykami – powiedział Reid. – Teraz spójrzmy nieco bliżej.

Hologram zmniejszył się do łaty na powierzchni ciała, która potem się rozszerzyła. Wrzące smugi stały się ogromnymi konstrukcjami orurowania, głowic wiercących i zbiorników: małe jasne rzeczy, setki samolotów jak ten na obrazku.

– To jest oczywiście przyśpieszone – zgodził się Reid. – Każdy myśliwiec jest składany w ciągu jednego dnia przez asemblery. Ale jak widzicie – obraz wycofał się do tyłu – mamy *dużo* asemblerów.

Hologram zniknął i światła wróciły. Kiedy ciągle mrugaliśmy, Reid przemaszerował i znowu usiadł.

– Nawet jeżeli myślicie, że wasze myśliwce mogą pobić nasze „jeden na jednego”, choć tak nie sądzę, musicie wziąć pod uwagę ścieranie. To nie będzie jeden na jednego. Bardziej sto na jednego, a one będą nadchodzić.

W pokoju zapadła cisza. Ciągle moglibyśmy ich pobić, pomyślałam. Możemy liczyć na więcej niż myśliwce. Mamy znacznie potężniejsze lasery na Kallisto, forty orbitalne uzbrojone w broń jądrową, okopy na innych księżycach. Mamy siły obronne Systemu Wewnętrznego. Jeżeli dojdą do ostatniego okopu, mamy jeszcze populację samej Ziemi.

Jednak Nowi Marsjanie też mieliby więcej niż myśliwce i mogli

mieć bogów po swojej stronie, nie tylko Jowiszan, nawet gdyby tam znaleźli sojuszników. Mieli swój własny Szybki Ludek, w swoim magazynie inteligentnej materii w górach. Zakładając, że już nie uruchomili i nie korzystali, podstęp, co do którego, zdawałam sobie sprawę, Reid był całkowicie zdolny.

Starcia byłyby w istocie straszne, po obu stronach, a my ciągle mielibyśmy Jowiszan do załatwienia. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dywersję.

Uśmiechnęłam się i wstałam na nogi.

– Czy to nie wspaniałe, jak przegadanie rzeczy może zapobiec walce? – powiedziałam. – W każdym razie, w jaki sposób zaczęliśmy rozmawiać o walce? Oczywiście, że możecie przejść. Jeżeli chcecie robić interesy bezpośrednio z Jowiszanami, zapraszamy do skorzystania. Na wasze ryzyko, jak jest zawsze dodawane kapitalistycznym drobnym drukiem. Możecie nawet zrobić nam przysługę, poprzez podjęcie tego ryzyka w naszym imieniu. Możemy się o siebie zatroszczyć, cokolwiek się zdarzy.

Moja załoga patrzyła na mnie z ledwie ukrywanym osłupieniem. Nawet Malley i Suze wyglądali na zakłopotanych. Odwróciłam się całkowicie od Reida i jego partnerów i drżąco mrugnęłam.

– Zatem Dave – kontynuowałam, odwracając się do niego – w sprawie tej oferty bezpiecznego pokoju łącznościowego? Myślę, że to czas, żebyś nas tam zabrał.

– Skafandry na pełną moc, radio, silne krypto – powiedziałam. Nasze ubrania zżelowały się, a potem stwardniały w pancerz. Mały pokój na szczycie wieży Reida miał półkę dookoła ścian z panelami sterowania łącznością, z większą liczbą menu pomocy niż moglibyśmy użyć. Wszystko odporne na idiotów, radośnie zapewnił nas Reid, zamykając drzwi za sobą.

W rekonfigurowanych skafandrach towarzysze przypominali ano-

nimowe, humanoidalne roboty z wykończeniami z anodyzowanego aluminium w rozmaitości jasnych kolorów. Nikt nie mógłby czytać z naszych ust, a głębsze maskowanie kryptografii zapewniłoby nam bezpieczną komunikację, chyba że obliczenia nowomarsjańskie były tak zaawansowane wobec naszych, że równie dobrze moglibyśmy się poddać. Głosy towarzyszy rywalizowały w pustej przestrzeni kryptokanału.

Uderzyłam przycisk głośności.

– Spróbujcie mówić jedno na raz – powiedziałam znużona. Byłam głodna, drażliwa i jako jedną z pierwszych w historii dotykał mnie wormhole-lag. – Borys, jesteś przewodniczącym.

– Ha, ha, Ellen. W co Ty grasz? Nie możemy ich puścić, zdecydowanie nie teraz.

– Nie możemy walczyć z nimi *teraz* – powiedziałam. – Żadne z nas, mam nadzieję, nie wspomniało o Katastrofie Kosmicznej. Osiem dni od teraz. Potrzebujemy naszych sił nietkniętych wtedy, na wszelki wypadek... moglibyśmy zatrzymać zdeterminowane przebicie z tej strony *lub* moglibyśmy się upewnić, że komety nie zostaną przekierowane w złym kierunku. Nie możemy próbować zrobić obu rzeczy.

– To nie są jedyne opcje – powiedział Tony. – A my ciągle musimy...

– Wiem, wiem – powiedziałam.

– Musimy co? – spytał Malley.

– Upewnić się, że Reid nie uruchomi kolejnej uciekającej Osobliwości – powiedziałam. – Jeżeli już tego nie zrobił. Nie martwcie się, poradzimy sobie z tym. Teraz, decyzje nie należą do nas. Musimy skontaktować się z Oddziałem i pozwolić im zdecydować. Yeng, proszę, zajmij się tym.

Yeng się posłuchała, a kiedy przygotowywała łącze laserowe

do satelity przekaźnikowego (teraz, prawdopodobnie, gdzieś pośród rosnącej floty statków, które dzieliły jego orbitę i tunelu), wywołałam ekran w moim hełmie i zredagowałam zgrubnie nagrania ostatnich wydarzeń. Upewniłam się, że najbardziej informacyjne zdania Reid były tam w całości, żeby nie było wątpliwości do tego, co mówi.

– Gotowa – powiedział głos Yeng. – Zaszyfrowane łącze konferencyjne, wszyscy zobaczycie Komitet w wirtualnym widoku w hełmach, a oni zobaczą wasze twarze.

Zatroskane twarze, po obu stronach.

– Wszyscy w porządku? – spytał Tatsuro. – Nie mieliśmy wiadomości przez ponad godzinę, od kiedy weszliście do tej wieży.

– Byliśmy w klatce Faradaya – powiedziałam. – Wszyscy jesteśmy w porządku. Nastąpił… nieoczekiwany rozwój. Powiem wam o nim za chwilę. Jak sprawy po waszej stronie?

Tatsuro pomasował brwi, zostawiając mały, sparowany nieporządek.

– Dobrze, dobrze – powiedział. – Jowiszanom w końcu udało się wyłączyć transmisje wirusowe. To przynajmniej oznaka dobrej woli, ale nie otwieramy jeszcze kanałów radiowych. Ich własny ruch w atmosferze znowu zaczął narastać. Dodatkowo wykryli nadchodzący pociąg kometarny. Widzą, że idzie na orbitę asysty grawitacyjnej, ale poruszyli kwestię z każdym przejawem zainteresowania.

– Nie mogę powiedzieć, że ich winię.

– Powiedzieliśmy im, że to rutyna, dla terraformowania Marsa, pokazaliśmy im zapisy z naszych wcześniejszych przelotów komet, które porównali z czymś, co nazywają archiwami czasu snu. Wydawali się uspokojeni. Teraz, wasza pozycja. Przekaźnik rozpoznał i zgłosił gromadzenie się statków po waszej stronie. Co się dzieje?

Powiedzenie zabrało mi około dziesięciu minut, z wycinkami dyskusji wyświetlonymi prosto z mojego skafandra na ich ekranach. Oglądanie osłupienia zasianego w ten sposób było zabawne. Gniew, mamrotane dyskusje odbijały się echem i wzmacniały nasze własne. Podsumowałam oceną szans.

– Cóż – powiedział Tatsuro, kiedy skończyłam – to zdecydowanie komplikacja. Wolałbym, żebyś nie powiedziała Reidowi, że statki z jego strony mogą przejść. Czy to nie raczej sprawa Rady Układu Słonecznego, lub przynajmniej dla jego delegata?

– Och – powiedziałam. Prawie zapomniałam o tej drobnej sprawie. Delegat Rady Układu Słonecznego miał władzę, lub raczej reprezentował najwyższą władzę nad nami. Przy całej ogromnej, skoncentrowanej mocy Oddziału, Oddział nie mógł przemóc woli Ziemi i sił Obrony Ziemi Systemów Wewnętrznych, nie w długim czasie, nie bez starć.

– Jej kliper właśnie wszedł na orbitę Kallisto – kontynuował Tatsuro. – Z dołączonymi kilkoma myśliwcami Systemów Wewnętrznych. Możemy poczekać około godziny, żeby delegat przybył?

– Decyzja nie może czekać – powiedziałam. – Reid w tym momencie sprzedaje koordynaty flocie handlowej.

Tatsuro pokręcił głową z naganą, ale z błyskiem świetnej zabawy w oku, gdy mówił:

– Mogłaś spróbować wykłócić się o opóźnienie... nieco ponad tydzień!

– Ciągle tak możemy zrobić – powiedziałam.

Suze uniosła dłoń i przemówiła.

– Jeżeli mogę, sąsiedzi... towarzysze. Nie sądzę, żeby to zadziałało. Rozmawiamy tutaj o kapitalistach. Oni *oczekują* po nas opóźniania i podejrzewają nas o robienie ich w konia, to jest, robienia własnych interesów z Jowiszanami i odcinanie ich strony od nich.

– Co może nie być złym pomysłem – powiedziała Clarity, marszcząc brwi na nas przez lata świetlne i tysiąclecia.

– Och, byłoby! – powiedziała Suze. – Jeżeli wiem coś o tych ludziach, oni po prostu by się przebili. Ścigali się ze sobą, żeby pierwszemu dobić targu. Ich cały styl życia jest oparty na podejmowaniu wysokich ryzyk dla wysokich zysków.

– A nie ma dużego ryzyka przy tym – powiedziałam kwaśno. – Prawdopodobnie wszyscy zrobili backupy, spróbują różnych podejść i będą próbować, aż któreś zadziała.

– Lub póki Jowiszanie nie zakażą ich wszystkich i nie zamienią ich w marionetki – powiedziała Yeng. – Marionetki, które walczą z nami w kosmosie.

Tatsuro zrobił dłonią ruch odcinania.

– Nieważne. Wnoszę, żeby im pozwolić przejść. Zgadzam się analizą Ellen. Jeżeli to, czego się obawia Yeng, się wydarzy, jesteśmy ciągle w lepszej pozycji do walki, jeżeli nasze siły będą nietknięte. Jednakże, myślę, że powinniśmy nalegać, żeby niektóre z naszych myśliwców przeszły przez tunel i zajęły pozycje po stronie Nowego Marsa.

– Sprzeciw – powiedział Joe Lutterloh. – Nie powinniśmy otwierać Związku Słonecznego dla bankierów, nie powinniśmy pozwalać im na handel z Jowiszanami, którzy są ciągle dla nas zagrożeniem.

Po kolejnych kilku minutach dyskusji, zostało przeprowadzone głosowanie w sprawie przejścia handlarzy. Osiem za, cztery przeciw.

Tatsuro nie zatrzymał się na sekundę.

– Przeszedł – powiedział, gdy opadły dłonie. – Zatem, towarzysze, idźcie i powiedzcie Reidowi, jego handlarzom i myśliwcom, że mogą przejść pod warunkiem, że nasze myśliwce mogą zrobić to samo. Dajcie znać, czy się zgadza, czy nie. Oczywiście powin-

niście spróbować wrócić do swoich statków. Doceniam, dlaczego je zostawiliście, ale nie opuszczajcie ich na długo. Wróćcie na statkach w kosmos, jeżeli możecie, i bądźcie gotowi na nalot bombowy, przez was, lub innych myśliwców, na miejsce, gdzie wzorce Szybki Ludek są przechowywane. A w międzyczasie ... – rozejrzał się po Komitecie Sterowania, powolny, chytry uśmiech pojawił się na jego twarzy – ... pomyślimy, jak zamierzamy wyjaśnić to wszystko delegatowi Rady Układu Słonecznego. Do zobaczenia na razie.

Pomachałam Komitetowi, bardziej odważnie niż się czułam. Yeng wyłączyła łącze. Głosy Malley i Suze wrzeszczały w moim uchu. Komentarz Tatsuro był pierwszym razem, kiedy usłyszeli o naszych prawdziwych planach dla zapisanego szybkiego ludku. Zamachałam dziko rękoma o ciszę.

– To tylko plan awaryjny! – krzyknęłam głośno. – Tylko jeżeli Reid zrobi coś szalonego! Nie patrzcie na mnie w ten sposób! Ciągle nie możemy im ufać.

– Nie martw się – powiedział ponuro Malley. – Nie dbam, co zdarzy się ze wzorcami, i tak nie są świadome. Możesz mi zaufać, że nie powiem.

– I ja – powiedziała Suze. – Po prostu wolałabym, gdybyś powiedziała wcześniej.

Jej głos był ciężki od rozczarowania. Rozejrzałam się po Malleyu, Suze i towarzyszach, i jak moje spojrzenie przesuwało się od jednej czystej bańki do następnej, zrozumiałam, że nie potrafię określić, która jest która.

– W porządku – powiedziałam. – Przepraszam. Teraz chodźmy i przekonajmy Reida do tego.

Zanim została ustanowiona światowa wspólnota, przeszkoda, która zawsze się pojawiała, brzmiała *Ale kto odwali brudną robotę*?

Zawsze odpowiadałam *ja* i miałam rację.

Rozdział 10

Dni Komet

Jeden po drugim, brzydkie, najeżone, przegubowe myśliwce wychodziły z tunelu czasoprzestrzennego. Cały szwadron, ich nazwy bohaterskie, ironiczne lub po prostu głupie: *Gai Phong*[1]*, Tryb Debugowania, Alert Wirusowy, Tendencje Luddytów, Kaliber X, Nabywca, Generał Arnaldo Ochoa*[2]*, Łamacz Kodu* i *Zło Konieczne, ale Fajne*. A jeden po drugim, powolne, wyładowane frachtowce kupców i szybkie, zwrotne myśliwce ich najemników wchodziły. Nawet na ekranie portu kosmicznego, z dziećmi z wiadomości paplającymi komentarze zagłuszające ciszę, widok był niesamowity i wspaniały: statek za statkiem znikający w błysku niebieskiego światła, jakby anihilowany.

Ta sama myśl musiała uderzyć Andreę.

– Co się stało z prawem zachowania masy i energii? – spytała. – Czy po prostu zniknęło przy tych statkach?

Malley pochylił się z ławki koło mnie.

– Słuszna uwaga – powiedział, wskazując ustnikiem fajki, jak

---

[1] wiet. wyzwolenie południa, tytuł narodowego hymnu Republiki Południowego Wietnamu w latach 1969-1976, zob. `https://en.wikipedia.org/wiki/Gi%E1%BA%A3i_ph%C3%B3ng_mi%E1%BB%81n_Nam` – przyp.tłum.

[2] kubański generał, uczestniczył w rewolucji kubańskiej 1956-1959, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Arnaldo_Ochoa_S%C3%A1nchez` – przyp.tłum.

wskaźnikiem wykładowcy, na ekran. – Odpowiedź jest taka, że masa tunelu po tej stronie wzrasta, a po drugiej stronie maleje, o tę samą wielkość, która została przekazana.

Siedzieliśmy, z Reidem i Dee, w cichym rejonie portu, gdzie wcześniej czekali Borys i Jaime. Obserwowałam ekran z cichą satysfakcją, gdy nasze myśliwe zajmowały pozycje dookoła wormhole'a i rozmieszczały rozproszone rakiety manewrowe, które zacisnęły się dookoła obwodu Bramy. Reid przyznał nam taki poziom kontroli nad Bramą. Nie byłam pewna, czy przekonałam go, że był to jedyny sposób na wsparcie ludzi po naszej stronie, żeby zgodzili się, aby jego statki przeszły, lub czy jego wiara w wyższość technologii kapitalistycznych sprawiła, że ustępstwo było nieistotnej dla *jego* długoterminowych planów.

Słuchałam uważnie konwersacji i próbowałam mocno nie pokazać tego po sobie. Andrea była ciągle zdziwiona odpowiedzią Malleya.

– Zatem – spytała – czy to oznacza, że jedna strona tunelu po prostu zniknęłaby, jeżeli dostateczna masa przeszłaby na drugą stronę?

– Jak dla laika – powiedział ostrożnie Malley – tak. Jednak pamiętaj o tym, że masa może być *negatywna*.

Odchyliłam się, ręce za głową, patrząc w górę przez dach i dostosowałam ton do leniwej ciekawości.

– Co to oznacza, dla fizyka?

Malley się roześmiał.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Reszta tunelu, główny wormhole, może bilansować masę negatywną i przez to utrzymywać oryginalną bramę otwartą, aż do pewnego punktu.

– Ile, jednak? – Andrea była zmartwiona.

Malley wzruszył ramionami.

– Zależy od całkowitej masy wirtualnej, której nie znam. Tak czy inaczej, znacznie więcej niż te okręty.

– Brama po drugiej stronie ma masę zero koma dziewięć pięć siedem miliona ton – powiedziała niespodziewanie Dee. – Po tej stronie, znacznie mniej, tylko około stu tysięcy. Jeżeli utrzymamy ruch, będziemy musieli zapewnić, żeby się równoważyło. Chyba że chcemy się dowiedzieć, co znaczy masa negatywna, dla fizyka.

– Jesteśmy na razie dość bezpieczni – powiedział Reid. – Statki, które przeszły, prawdopodobnie nie mają masy większej niż tysiąc ton każdy.

– Nie widzę naszej strony wysyłające dwadzieścia kilka tysięcy ton w drugą stronę – powiedziałam z teraz łatwą nonszalancją.

– Nasze będą wracać. – Reid spojrzał na mnie i się uśmiechnął, jakby wyzywając mnie do zaprzeczenia. – Prawda?

Odpowiedziałam równie nieprzyjaznym uśmiechem.

– Oczywiście.

Port był znacznie cichszy, niż był, kiedy pierwszy raz przybyliśmy. Tłumy powitalne zniknęły, a wynoszenie ładunków na orbitę już się zakończyło. Tylko kilku pasażerów, z odległych osad, jak się domyślałam, wędrowało lub śpieszyło się przez. Nawet infopyłki, z właściwą koncentracją uwagi komara, oddryfowały. Dla Nowych Marsjan był to środek nocy, dla nas, wczesne przedpołudnie. Rozrzucone jednorazowe talerze i pozostałości podobnie jednorazowego jedzenia zaśmiecały nasze otoczenie. Teraz czekaliśmy na przybycie *Strasznego Piękno* na autopilocie i na zakończenie tankowania *Węglowej Świadomości*. W powietrzu było określone napięcie, i dużo dymu. Malley pykał z fajki, Dee i Reid palili papierosy jeden za drugim. Zwyczaj wydawał się powszechny w społeczeństwach kapitalistycznych. Gdybyśmy mieli czekać dłużej, skusiłabym się samej sprawdzić.

– Co zamierzacie sprzedawać i kupować? – spytała Suze.

– Gdybym to wiedział – powiedział Reid – prawdopodobnie robiłbym to sam. Ludzie, którzy przechodzą, przemyśleli zapewne to znacznie głębiej niż ja. – Rozłożył dłonie. – Informację, chyba.

– Mogą dostać więcej informacji, niż wytargowali – powiedziała mu mrocznie Yeng. – I Ty też dostaniesz. – Wstała, przeszła do przodu i wskazała na ekran. Jeden z myśliwców agencji ochrony zatrzymał się na kursie podejścia i wypuszczał przekaźnik, znacznie większy niż nasz, na tej samej osi. – Nie mogę *uwierzyć* w wasz spokój ducha. Mam nadzieję, że wyrwiemy się z tego miejsca, zanim wirusy Jowiszan przeciążą tę linię, prosto w wasze mózgi!

Dee się roześmiała.

– Nie łapiesz tego, co? – powiedziała. – Mamy otwarte systemy, tak, i jesteśmy osobiście podatni, ja, muszę powiedzieć, więcej niż inni, na zagrożenia hakowania umysłu. Dokładnie dlatego nie martwimy się o nie. *Rozwinęliśmy* środki zapobiegawcze, bardzo dobre, żeby chronić się od rywali w biznesie, kryminalistów, czy cholernych dzieciaków.

Yeng wzruszyła ramionami.

– Może tak – powiedziała powątpiewająco. – Ale jeżeli jesteście naprzeciw świadomym, cóż, rzekomo świadomym, bytom z mocami obliczeniowymi znacznie większymi niż wasze, nie widzę, żeby to dużo pomogło.

– Ale my. . . – zaczęła Dee. Spojrzała na Reida. Wzruszył ramionami.

– Och, powiedz im – powiedział. – W końcu sami do tego dojdą.

– Bardzo dobrze – powiedziała Dee. Wstała i spojrzała na nas wszystkich, gdy Yeng wróciła na miejsce.

– Powiem wam. – Jej ton, jej mina, lekko się zmieniły, jakby inna osobowość kierowała. – Świadomość, lub emulacja świado-

mości, jeżeli nalegacie …– uśmiechnęła się, jej zwykła jaźń mignęła na chwilę z powrotem – …kosztuje. Osobowość ma bardzo wysoki koszt w mocy obliczeniowej i ten koszt wzrasta z ilością informacji, którą musi zintegrować. To nie jest coś, co po prostu *wypada* z narastającej złożoności, jak niektórzy ludzie zwykli myśleć. Musi być aktywnie *zaprojektowane*, albo świadomie przez nas, albo nieświadomie przez dobór naturalny. Zatem jest całkiem możliwe zbudowanie sprzętu potężniejszego i software bardziej złożonego niż jakikolwiek istniejący mózg czy umysł: maszyny obliczeniowe, które nawet nie działają *jakby* były świadome, które nie mają *celów*, i które nie sprzeciwiają się, kiedy są używane jako narzędzia.

Jej przejęcie minęło, wróciło jej samowładanie. Przeszła do jednego z długich foteli i fachowo zarzuciła falujący brzeg spódnicy z kolana, gdy siadała. Uśmiechnęłam się do niej. Ona, i Reid, mieli rację: nieważne co myślałam, w najskrytszych głębinach mojego umysłu, o najskrytszych głębinach *jej* umysłu, było niemożliwym, być z nią, rozmawiać z nią i nie dawać przywileju wątpliwości, nie działać *jakby* jej umysł *miał* najskrytsze głębiny, a nie całkiem prosto *polubić* jej.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– A takie narzędzia – dodał Reid – mamy. To dlatego jesteśmy pewni, że możemy sobie poradzić na równych warunkach z bytami wspanialszymi niż my. Mamy sposoby wzmacniania naszych możliwości przewyższające nawet ich. Golemy stają dla nas przeciwko bogom. – Zgasił papierosa i wstał. – Produkty starej, dobrej rywalizacji kapitalistycznej. Powinniście spróbować sami, kiedyś.

Myślałam o wielkich silnikach analitycznych naszego socjalistycznego planowania, których wolne moce wzrastały przez dekady stabilności, w których coraz więcej decyzji było podejmowanych lokalnie, a tylko najbardziej ogólne, te dotyczące najszerzej uży-

wanych zasobów, musiały być podejmowane globalnie lub nawet regionalnie. Pomyślałam o naszych skafandrach z inteligentnej materii i domowej cybernetyce. Może wszyscy mieliśmy bogów, lub golemy, po swojej stronie, których pomoc nigdy nie pomyśleliśmy prosić.

Żeby coś powiedzieć o tym, spojrzałam na Reida, a potem prześledziłam jego wzrok do spadającej iskry widocznej przez przezroczysty dach dworca.

– Twój statek nadlatuje – powiedział. – Czas ruszać.

W końcu wolni, w końcu nieważkość! Zabrało to godziny – godziny przesuwania statków i łączenia ich razem, dziwna praca w grawitacji, pół godziny negocjacji pomiędzy Suze i jednym z pracowników Reida nad długiem wobec Ochrony Wzajemnej i kolejne pół godziny z firmą kosmodromu, nad usługami, które rzekomo wykonali, a za które na pewno chcieli zapłaty – i w końcu bolesne pięć sekund przyśpieszenia, żeby dostać się szybko na orbitę. Ostatnie słowa Reid do mnie brzmiały:

– Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Ja też. – powiedziałam, szczera tylko w nadziei, że nigdy.

Odpięłam swoje taśmy, odepchnęłam się z pryczy i wykonałam radosne salto, kończąc tuż przed widokiem do przodu.

Wyciągnęłam paski do przybliżania na ekranie, poruszałam gałkami dokładnego skupienia. Choć tunel był jeszcze daleko na naszej powoli zbliżającej się trajektorii, zakres dziobowego teleskopu – przesyłany przez soczewki, lustra, światłowody – ukazywał nasz cel jasny i ostro: tęczowy pierścień wormhole-córki – jak jej rodzica, milę wszerz – i migające gromady otaczających statków. Naszych dziesięć myśliwców i jeden Reida. Nasz mały satelita komunikacyjny, ich wielki.

Pobawiłam się ustawieniami i wprowadziłam drugi widok, powiększony nocny obraz Miasto Statku i jego okolic.

– Ok towarzysze! – wywołałam, obracając się dookoła. Wszyscy odpięli się i latali dookoła pokładu dowodzenia, ciesząc się nie tylko nieważkością, ale wytchnieniem w czasie pomiędzy wydostaniem się spod kapitalizmu a stawieniem czoła odrobinie demokratycznej odpowiedzialności wobec odległego socjalizmu. Uśmiechnęłam się do nich wszystkich i pokazałam im uniesione kciuki.

– Zadanie wykonane. . . na razie! – ogłosiłam.

– Tak? – powiedział Malley. – A co takiego wykonaliśmy?

– Dużo – odpowiedziałam. – Potwierdziliśmy, że Nowi Marsjanie są dokładnie tym, czym się wydają być, zwykłymi ludźmi, nawet jeżeli mają śmieszne pomysły, co zaliczają do ludzi. Wiemy na pewno, że ryzykują utratę tego, jeżeli Reid lub ktokolwiek inny stanie się zbyt pewny wobec ożywienia ich szybkiego ludku. A z tego, co ta miła anarchistyczna towarzyszka Tamara mi powiedziała, mamy dobry powód uważać, że zapisy szybkiego ludku są ciągle tam, gdzie Reid pierwotnie umieścił, w paśmie wzgórz zwanych Górami Madreporowymi.

Wskazałam je i przerwałam, gdy znacznie bardziej widzialny marker podkreślił: długi ślad kuli ognia w atmosferze i błysk w miejscu upadku. Nastąpił kolejny, i kolejny.

– To jest to – powiedziałam ponad dźwiękiem westchnień. – Tam, niedaleko miejsca, gdzie kierują fragmenty komet, przy źródle tego długiego kanału kierującego się do miasta. Mamy dokładne współrzędne od lat, z bazy danych tej sztucznej kobiety, Meg. Zatem jeżeli my, lub inny myśliwiec dostanie rozkaz, możemy rzucić atomówkę w wejście jaskini i wysadzić je i całą górę w cholerę.

– Masz *atomówki* na tej rzeczy? – spytał z oburzeniem Malley.

– Na *Węglowej Świadomości* – powiedział Borys. – Ten ptaszek

ma pięćdziesięciomegatonowe jajo, człowieku. Miły czysty zapalnik laserowy, gdybyś się martwił.

– Uważaj mnie za uspokojonego – powiedział Malley. – Bez wątpienia kilka pięćdziesięciomegatonowych niszczycieli miast będzie poręczne, jeżeli Nowi Marsjanie będą mieli pecha nie trafić w wasze definicje, co się liczy jako człowiek.

– To jest to – powiedział Borys zamyślony.

– Nie! – powiedziałam, zszokowana. – Nie zamierzamy tego zrobić!

– Dlaczego nie? – Malley się unosił, głos ciężki od sarkazmu. – Według Ciebie, to nie byłoby zabijanie *ludzi*.

– Zbyt niebezpieczne – wyjaśniłam. – To nie byłoby jak na Jowiszu, z wrażliwymi bytami na dnie studni grawitacyjnej. To byłoby masowa epidemia, miliony poludzkich marionetek i możliwość lotu w kosmos. Jeżeli będzie tutaj kolejna Osobliwość, bierzemy nogi za pas.

– Dokąd? – spytała Andrea.

– Przez tunel, jeżeli to będzie możliwe – powiedziałam.

– A jeżeli nie? – Malley wisiał przede mną, wisząc na moich słowach. Pomachałam ręką beztrosko przed jego twarzą.

– Przyśpieszamy, aż zużyjemy połowę masy reakcyjnej, robimy swoje backupy, jeżeli absolutnie musimy, a przy pierwszej rozsądnie wyglądającej bryle materii, jaką znajdzie statek, wskrzeszamy się i spędzamy resztę masy reakcyjnej na zwalnianiu. A wtedy, cóż ...– Uśmiechnęłam się na jego zmarszczone brwi. – Mamy tutaj zadatki na małe, fajne imperium galaktycznego. Z Twoim pięknem i moim mózgiem, sąsiedzie...

Lęk Malleya rozpłynął się w rubasznym śmiechu.

– A ja Cię nazwę...Ewą!

– Mitochondrialną Ewą – powiedziała Suze mocno, łapiąc dłoń Malleya.

– Mnóstwo dobrych genów w lodówkach – powiedział Borys.

Odwróciłam się, zanim Malley mógł zacząć podejrzewać, że była odrobina szansy, że mówimy na poważnie. (Ale była to część standardowego wyposażenia kliperów, nawet teraz: ciągły strach utraty kontroli palnika, lub wszystkiego innego idącego źle w naszej zimnej wojnie z Jowiszanami, był prawdziwym powodem, dla którego statki opierały się recyklowaniu zamiast zapasach i zmagazynowanych zamarzniętych nasionach zdolnej do życia populacji oraz projektami inteligentnej materii dla infrastruktury i technologii w swoich skarbcach.)

– Dość – powiedziałam. – Mamy pracę do wykonania. Jaime, Andrea, czy moglibyście przeciągnąć się do nawigacji i zestawu dalekiego zasięgu. Musimy namierzyć całą poruszającą się materię dookoła nas, wszystkie statki, rakiety i przede wszystkich wszystkie komety. Nie chcemy wejść na kurs jednego z *ich* pociągów kometarnych.

(*W istocie nie chcemy*, pomyślałam do siebie.)

– Nie martwcie się o pingowanie radaru dalekiego zasięgu – dodałam. – Wiedzą, że tutaj jesteśmy i wiedzą, że nie jesteśmy wrogami.

– Zapłaciliśmy za naszą ochronę – przypomniała Suze.

– Poręczna sprawa, złoto – zgodziłam się. – I Yeng, chciałabym, żebyś pomogła Andrei i Jaime z mapowaniem strumieni komet, kursy, czasy *muszą* być gdzieś informacją publiczną. Jak również, potrzebuję dwóch kanałów, jednego, żeby sprawdzić, czy jest jakaś odczytywalna informacja wychodząca z ich przekaźnika. . .

– Prawdopodobnie kanały informacyjne – powiedziała Suze. – Tylko dla abonentów, jak ich znam.

– Zatem spróbuj abonowania – powiedziałam.

Yeng wyszczerzyła zęby.

– A ten inny kanał?

– Tak jak wcześniej – powiedziałam. – Połącz nas z Komitetem Sterowania. – Złapałam uśmiech Malley *jesteś za to odpowiedzialna*, i odpowiedziałam wyzywającym uśmiechem. – Czas odkryć, co demokratycznie wybrany delegat socjalistycznej ludzkości myśli o tym, co wykombinowali bohaterscy obrońcy socjalistycznej ludzkości.

Rozpoznałam delegata Rady Układu Słonecznego od razu, co mnie zaskoczyło. Jako że Rada Układu Słonecznego – jak wszystkie inne rady, od lokalnych do globalnych – była wybierana bezpośrednio, i teoretycznie byłam jednym z jej wyborców, nie powinnam być zaskoczona. Lokalne rady miały tendencję do składania się z ludzi o lokalnej reputacji i tak dalej w górę. Delegaci Rady Układu Słonecznego powinni być znani wszystkim w Układzie Słonecznym, zwykle za dekady, jeżeli nie stulecia, dobrej, kompetentnej pracy na odpowiednich polach, re-gerontokracja, jak to określali niektórzy z młodszych i bardziej cynicznych sąsiadów. Jednak w większości ufałam ludziom w reszcie Związku, że wybiorą ludzi, których wcześniejsze doświadczenie i reputacja, której ufali (choć co jakiś wrzucali kompletnie początkującego, który na tyle wzniecił dymu o coś, że jego nazwisko było znajome), tak, że oprócz mojej ostatnio utraconej pozycji w Komitecie Badawczym Anomalii Jowiszowej, ogólnie trzymałam się moich intryg w Oddziale i pozostawiałam szersze sprawy samym sobie. Jednakże, nawet ja słyszałam o Mary-Lou Naród Radioaktywny Smith.

Była, jak myślę, Navaho, jeżeli to ma znaczenia. W każdym razie, członek jednego z tych „zbyt wielu plemion”, Aleutów, Kazachów, Aborygenów, Ujgurów i tak dalej, którzy byli niechętnymi

lub nieumyślnymi uczestnikami testów jądrowych starego społeczeństwa, a teraz utworzyli luźne, ale aktywne lobby nazywające siebie „Naród Radioaktywny”. Byli zjednoczeni, nie przez etniczność – do której Związek zachęcał jako podstawy związków kulturowych, ale zdecydowanie nie do administrowania – tylko przez całkiem zrozumiałą, choć, jak czasami myślałam, wyolbrzymioną troskę, że jesteśmy nieco zbyt beztroscy z inżynierią lądową, rozwalaniem ognisk AI czy wycinaniem lasów przy pomocy atomówek. *Tak*, powiedzieliby, *możemy zatrzymać raka, naprawić chromosomy, odtworzyć ekosystemy, ale zawsze będą nieznane straty, niewliczone ryzyka…* było to słuszne stanowisko, mimo wszystkich mamrotań o Zielonych pod maszynami, i jako szanowana biologini i statystyczka, Mary-Lou Naród Radioaktywny Smith miała kwalifikacje, żeby je poprzeć.

Czarna grzywka obramowywała jej twarz, ciemne oczy błyszczały z niej. Siedziała koło Tatsuro, którego niecharakterystyczny postrzępiony wygląd – włosy na głowie, brwi, wąs, który wystaje jakby naładowany elektrostatycznie – był skontrastowany z zadbanym opanowaniem.

– Ellen May Ngwethu – powiedziała, jakby samo to nazwisko było jakąś szczególnie wstrętną chorobą. – Towarzysze i przyjaciele. – Objęła nas wszystkich spojrzeniem, robiąc podobnie niesmaczną diagnozę. – I wybitny nie-spółdzielco doktorze Malley. Miło mi poznać was w końcu, nawet z tej odległości. *Szczególnie* z tej odległości, powinnam powiedzieć. Wasza energia i inicjatywa są całkiem zadziwiające. My w Radzie *nie mieliśmy* pojęcia, że planowaliście takie odważne inicjatywy. Nie tylko zorganizowaliście intrygę, żeby zniszczyć Jowiszan, jednocześnie rozpoczęliście z nimi negocjacje! Bez wątpienia już opracowaliście, co zrobić, jeżeli te superludzkie umysły przejrzą waszą *bardzo praw-*

dopodobną przykrywkę i zareagują. Z niecierpliwością czekam na niespodziankę, kiedy przedstawicie murowany, niezawodny fortel, który powstrzyma ich przewidywalną furię od rozwalenia nas. Nie psujcie mi suspensu, mówiąc mi wcześniej, niemówienie nam *niczego* wcześniej jest jedną z waszych zwyczajowych wad.

Przerwała, złożyła dłonie razem i palcami podparła brodę.

– Dobra? – powiedziała. – Słyszałam ... wyjaśnienia towarzyszy z Komitetu. Co *wy* macie do powiedzenia od siebie?

– Towarzyszu, ach, sąsiedzie Naród Radioaktywny Smith...

– Po prostu Mary-Lou – powiedziała słodko. – Lub sąsiedzie Smith, jeżeli wolisz formalnie. Moje drugie imiona jest przezwiskiem, całkiem jak Twoje nazwisko.

Z jej punktu widzenia, mogło to być niewłaściwe przypomnienie *dlaczego* wybrałam ten stary slogan na moje nazwisko. *Ngwethu!* Wolność! Miałam wolność, a w pewnym sensie, nawet więcej niż ona. Żądło jej sarkazmu wyblakło i (żenujące do odniesienia, ale jest) kilka na wpół zapomnianych taktów tego natarczywego hymnu *Nkosi Sikelele Afrika*[3] brzęczało mi z tyłu głowy.

– Ok, Mary-Lou – odpowiedziałam. – My w Oddziale mamy upoważnienie do ograniczenia i zniszczenia zagrożenia Zewnętrznych i to właśnie robimy. Zakładałam cały czas, że nasze działania są odpowiedzialne wobec Związku i że jeżeli byłoby to konieczne, globalne głosowanie mogło być przeprowadzone przed ostateczną decyzją, sprawy są dobrze znana i były już wielokrotnie dyskutowane, to nie powinno być problemu.

– *Żadnego problemu* – powiedziała cicho. – Oczywiście, utrzymanie naszej decyzji w tajemnicy przed Jowiszanami jest po pro-

---

[3] pieśń stworzył w 1897 Enoch Sontonga, nauczyciel z Johannesburga. W czasach apartheidu pieśń stała się popularnym hymnem wolnościowym, zob. `https://pl.wikipedia.org/wiki/Nkosi_Sikelel%E2%80%99_iAfrika` – przyp.tłum.

stu kwestią ciszy radiowej i kompletnej dyscypliny miliardów ludzi, wielu z nich byłoby przerażonych sugestią tego, co planujecie zrobić, nie wspominając już tego, co zrobiliście. Wiecie, *prawie* mogę sobie to wyobrazić jako możliwe, gdyby nie wasze inne wyczyny. Otwarcie łączności *i* działania wojenne z Jowiszanami nie były dla was wystarczające.

Potrząsnęła głową.

– Och, nie. Jako ostateczny zawijas, udało się wam, dosłownie godzinę przed moim przybyciem, otworzyć Układ Słoneczny dla żywiołowo rozszerzającego społeczeństwa kapitalistycznego, i do tego anarchokapitalistycznego. Jestem pewna, że gdybyście mieli wybór pomiędzy Nowym Marsem a jakąś nudną etatystyczną tyranią z nudnymi etatystycznymi tyranami, moglibyśmy przynajmniej dogadać się w jakiś sposób, który *mógłby właściwie zadziałać*, ciągle wybralibyście Nowy Mars, z czystej naukowej ciekawości co do tego, która anarchia obali którą jako pierwsza. Pozwólcie mi powiedzieć, że wasza ciekawość może być całkiem dobrze uzasadniona. . . doktorze Malley!

Malley podskoczył (o ile można w nieważkości) jak student złapany na przysypianiu na wykładzie.

– Tak?

– Nie jestem na pozycji, żeby upominać was, jako nie-spółdzielca, nie możemy oczekiwać, że będziecie żyć według naszych reguł. Jednakże musisz żyć z konsekwencjami Twoich działań. Oto pewne konsekwencje: po dziesięcioleciach ciszy radiowej na Ziemi, Twój odważny eksperyment w zachęcaniu studentów do produkowania i używania radia doprowadził do pewnej szczęśliwej paplaniny w łączności elektronicznej. Nasi przyjaciele niespołecznicy słyszeli, że jestem w drodze i zdecydowali się rozpowszechnić wiadomości do grupek niespołeczników w *kosmosie*. Byłbyś zaskoczona jak wiele

źle poinformowanych komentarzy o moich dobrze znanych obawach przeleciało przez Układ Słoneczny w ciągu ostatnich kilku dni. Widocznie handlarze nowomarsjańscy monitorowali je, niezbyt trudne, ponieważ w pojęciach absolutnych, *jeszcze* nie ma dużo ruchu radiowego. Kilka godzin temu, odebrałam *wiadomość osobistą* od jednego z tych statków, oferującą mi „niepowtarzalną, wstępną ofertę”, cokolwiek to jest, na „koncesję importu”, dziękuję, wiem, co to jest, na „biomechanizmy asymilujące alfa-emitery”, cokolwiek *to* może być.

– Jak odpowiedziałaś? – spytał Malley z chwalebnym, jak myślę, nerwem.

– Powiedziałam, żeby się wypchali. – Była jakoś szorstka. – Jednakże wkrótce potem odebraliśmy kolejną wersję tej samej oferty, posłanej ku Ziemi, dla kogokolwiek, kto chciałby ją przyjąć. To jedna z *tysięcy* podobnych propozycji skierowanych do Ziemi, które z kolei są jedynie *ułamkiem* komunikacji pomiędzy flotą handlarzy a Jowiszem. Większość z nich jest poważnie zaszyfrowana, więc nawet nie wiemy, jakie *składają* oferty.

Nic z tego nie było zaskoczeniem, ale wszystko to działo się szybciej niż oczekiwałam. Nie przewidziałam, że nieunikniony kontakt pomiędzy dominującym niespołecznikami Nowego Marsa a marginalnymi niespołecznikami Ziemi spowoduje tak duży wyciek informacji, że utrzymanie naszych planów przed Jowiszanami byłoby dobrze prawie niemożliwe.

– W porządku – powiedziałam. – Rozumiem. To tylko oznacza, że musimy działać pierwsi i głosować później, znaczy, jeżeli większości ludzi nie ulży usunięcie zagrożenia Jowiszan, że będzie oczywiste dla wszystkich, jaki jest pogląd większości.

Mary-Lou straciła minę oderwanej, ironicznej oceny. Spojrzała na mnie z czystą furią.

– Działać najpierw, głosować później? – spytała. – W kwestii takiej jak ta? Co za obrzydliwe nastawienie do Twoich współbraci ludzi!

– To nie jest moja postawa – zaprotestowałam. – To jest to, co jest wymagane przez realia sytuacji.

– Tak! Realia, które stworzyłaś! – Przez chwilę wyglądała, jakby miała zacząć uderzać głową w stół. Potem wyprostowała się i wzięła głęboki wdech.

– Dość – powiedziała. – Musimy poradzić sobie z sytuacją taką, jaka jest i ustalić powody tego bałaganu, kiedy będziemy mieć czas. Cała relacja pomiędzy Związkiem a Oddziałem musi...

Przerwała sobie, wstała, zrobiła kilka kroków do tyłu, żeby zobaczyć cały Komitet jak również wszystkich nas.

– Jak powiedziałam, dość. Oto, co proponuję posłać do Rady Układu Słonecznego i co, na podstawie mojej delegacji z Rady, *polecam* wam do zastosowania natychmiast, czekając nad decyzję Rady. Jeden, absolutnie musicie nie prowokować Jowiszan poprzez dawanie im podstaw do strachu przed bombardowaniem kometarnym. To oznacza, że musicie odwrócić serię komet do szerszej i nieodwracalnie bezpiecznej orbity *teraz*. Dwa, musicie zintensyfikować patrole myśliwców po tej stronie tunelu i nie iść na kompromisy w tym zakresie z Nowymi Marsjanami. Musimy postawić jasno, że są tutaj jako nasza niedogodność. Trzy, musicie przygotować się do zagłuszania wszelkich transmisji radiowych w obrębie systemu Jowisza, a pomiędzy Systemem Wewnętrznym, czy to od Jowiszan, Nowomarsjan czy niespołeczników.

Przeszła do przodu i znowu usiadła.

– To wszystko – powiedziała. – Pytania?

Nikt nic nie powiedział. Szybkie przyglądając się minom innych w Komitecie, zauważyłam, że większość z nich pokazywała

tylko ulgę, w przypadku Clarity i jednej czy dwóch innych, więcej niż ulgę. Przyjmowałam ich niepewne uśmiechy, zachowując minę ostrożnie neutralną. Tylko Joe Lutterloh okazywał gniew, który równie widocznie powstrzymywał. Tatsuro patrzył na mnie poważnie. Drobne pochylenie głowy mogło być tajnym skinięciem lub nieświadomym ukłonem przed nieuniknionym. Mary-Lou mogła nie mieć bezpośredniej władzy, żeby wpływać na nas, ale mogła zastosować ograniczenia. Oddział nie mógł działać przeciwko wyrażonej woli Związku lub jego autoryzowanego delegata, bez bezpowrotnego podziału. A jeżeli rozpadniemy się, ryzykujemy bycie łatwą ofiarą dla wroga.

Cóż, jeżeli inni byli zbyt zastraszeni, by przemówić, ja nie byłam.

– Proponujesz ryzykowny kurs – powiedziałam. – Podjęliśmy pewne ryzyka, przyznaję, ale zawsze mieliśmy ostateczne zabezpieczenie w postaci uderzenia komet na wypadek wycofania. Cokolwiek przyznanego Jowiszan, lub Nowym Marsjanom, ciągle mogło być tym zanegowane. Teraz chcesz wybić nam broń z rąk i pozostawić nas bezbronnymi.

Smith zerwała się na nogi i pochyliła do przodu, pięści na stole.

– Ellen May Ngwethu! – krzyknęła. – Mam *dość* Twojego nieelastycznego nastawienia! Słyszałam *więcej* niż potrzeba twoich przebiegłych mów. Mam tego…

Przerwała, wyprostowała się, wzięła oddech. Pochyliła głowę przez chwilę i pomasowała skronie, potem podniosła wzrok na mnie i się uśmiechnęła.

– Wybacz mi mój wybuch, sąsiedzie. Rozumiem Twoją sytuację lepiej niż Ty. Przetrwałaś dwa wieki ewidentnie niekończących się konfliktów, dwa wieki, gdy Twoje osobiste antypatie rozjątrzały się w nienawiść. Jeszcze dłużej miałaś do czynienia z najsurowszymi

aspektami Prawdziwej Wiedzy, jej ciemną stroną, o ile można tak nazwać, które przygniatają jej prawdę. Ponieważ Prawda jest *całością*, a podkreślając aspekt walki nieproporcjonalnie do tego dotyczącego współpracy, zamieniłaś ją w *kłamstwo*. Jeżeli mogłabyś siebie ujrzeć, tak jak ja, miałam czas, żeby wysłuchać zapisów tego Komitetu i tych, które Ty i Twoi towarzysze przesyłali, w swojej nieubłaganej wojowniczości, Twojej *głuchocie* na rozsądne apele racjonalnych bytów, czy to rzeczników Jowiszan czy gynoida z Nowego Marsa, żeby być uznanym za taką…jeżeli mogłabyś ujrzeć to wszystko, mam nadzieję, że ciągle jest w Tobie coś takiego, co mogłoby się zawstydzić.

Patrzyłam na nią, wstrząśnięta wbrew sobie.

– Nie zrobiłam niczego z osobistej złej woli, *niczego*, czego powinnam się wstydzić, oraz niczego, co występuje przeciwko Prawdziwej Wiedzy.

Mary-Lou pokręciła wolno głową.

– Istnieją dwie strony Prawdziwej Wiedzy, a Ty zapomniałaś o jednej z nich, wbrew imieniu. Istnieje nie tylko *amandla*, władza. Jest jeszcze *ngwethu*, wolność.

– Wiem o tym – powiedziałam spokojnie. – A my stracimy obie, jeżeli wyrzucimy naszą ostatnią szansę na zniszczenie Jowiszan, póki jeszcze możemy!

Przez ułamek sekundy, Mary-Lou dosłownie się zachwiała, jakbym ją uderzyła. Potem powiedziała:

– Dobrze. Powiem to w języku, który rozumiesz. Nie odrzucamy ostatniej szansy na zniszczenie Jowiszan. *Taka szansa nigdy nie istniała*. Gdy tylko pojawiła się stabilna, zorientowana na rzeczywistość kultura Jowiszan, nie *było szansy*, żeby została zniszczona przez cokolwiek, co moglibyśmy w to rzucić. To są byty, których *ewolucyjni przodkowie* zdezintegrowali Ganimedesa i wybili

dziurę w przestrzeni! Ile *godzin*, jak sądzisz, zajęłoby im przygotowanie jakiejś odpowiedzi, która odepchnęłaby na bok Twoje komety jak muchy? A gdy tylko przyniosłaś pierwsze obrazy, i pierwsze wiadomości, nie *było szansy*, że ludzie Związku zareagowaliby na powstanie Jowiszan inaczej niż z nadzieją, a wobec ich zniszczenia, inaczej niż z przerażeniem. Widziałaś, jak typowy członek Związku, Suze, typowy twardy umysł niespołeczników, doktor Malley, a nawet Twój własny Komitet Sterowania zareagowali. Wszyscy cofnęli się znad przepaści, w różnym stopniu, i mają rację! Naszą jedyną *szansą* na przetrwanie to przetrwanie *z nimi*, a jedynym wynikiem próby ich zniszczenia byłoby *stworzenie* z nich śmiertelnych wrogów, co, jak się zdaje, traktujesz jako pewnik.

Odwróciła się do Tatsuro.

– Co mi przypomina – powiedziała. – Nie słyszałam sprzeciwu wobec moich poleceń, prócz Ellen. Czy chciałbyś przeprowadzić głosowanie?

Tatsuro skinął ciężko głową.

– Za przyjęciem instrukcji delegatki.

Wszystkie ręce po jednej stronie poszły w górę, prócz Joe'ego.

– Przeciw.

Ja i Joe. Uśmiechnęłam się do niego. Pokręcił głową, usta zaciśnięte w cienką linię i przesunął palcem po gardle. Nie sądzę, żeby ktokolwiek widział ten gest. Za mną, wyraźnie usłyszałam Yeng mówiącą: „Kurwa". Nikt inny nie przemówił.

– Przyjęty – powiedział Tatsuro. Wziął panel sterowania z paska na szyi i wbił kilka długich ciągów kodów odpalających.

– Zrobione – powiedział do Mary-Lou. – Rakiety się odpalają, atomówki błyskają. Masy kometarne są przesuwane na orbitę, jak żądałaś.

– Pozwól, że to potwierdzę – powiedziała. – Bez urazy, sąsiedzie.

Mówiła krótko i cicho do osobistego telefonu, czekała kilka sekund, potem kiwnęła głową.

– Ok – powiedziała. – Lokalne obserwatoria właśnie to potwierdziły.

Jej ramiona poruszyły się, jakby został z nich zdjęty ciężar.

– A teraz – powiedziała – Ellen. – Spróbuję Cię uspokoić co do Jowiszan.

Moje serce uderzało, moje usta były suche.

Usiadła na brzegu stołu, opierając się na jednej dłoni, wykrzywiając ciało nieco, żeby patrzyć wprost na mnie, w pozie zwyczajnej rozmowy.

– Oni nie są *potworami*, wiesz. Dlaczego mielibyśmy oczekiwać, żeby byty potężniejsze i bardziej inteligentne niż my, mieliby gorsi niż my sami? Czy nie byłoby to bardziej rozsądne, by oczekiwać po nich, że są *lepsi*? Dlaczego więcej władzy oznacza mniej dobra?

Z trudem mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Rzucając spojrzeniem nad ramieniem, ujrzałem Andreę, Jaime i Yeng pracującą przy ekranach, ale uważnie słuchających, a reszta poświęcała całą uwagę Mary-Lou. Przeszukałam moje najprostsze rozumienie i wyciągnęłam:

– Ponieważ dobry oznacza dobry dla nas!

Mary-Lou uśmiechnęła się zachęcająco i przemówiła delikatnie, jakby przekonując kogoś na gzymsie budynku.

– Tak, Ellen. Jednak kim są *my*? Wszyscy jesteśmy ludźmi, post-ludźmi, nie-ludźmi, maszynami z umysłami w bezmyślnym kosmosie, powinniśmy pracować razem *jeżeli możemy* wobec bezmyślnego kosmosu. To możliwość współpracowania razem wykuwa

nas, a tylko jej niemożliwość wymusza *ich*. To jest Prawdziwa Wiedza jako całość, jako związek i jako oddział. – Roześmiała się. – Że tak powiem. W istocie, dokładnie tak, Związek i Oddział!

Obrazy Jowiszan w ich różnorodnych formach przechodziły mi po głowie. Moja skóra czuła jakby małe, chłodne, nieprzyjemne rzeczy po niej się czołgały. Pamiętałam zimny, ożywiony metal robotów, ciepło ciała palców Dee. I wiedziałam, że moja odpowiedź na te maszyny, choć nerwowa, choć podejrzliwa, choć uprzedzona mogła się zdawać, nie była tym samym jak moja zimna intelektualna odraza wobec Jowiszan, choć pięknych. Roboty, gynoidy i wszystkie ich rodzaju, świadome czy nie, stały się częścią *nas*, podczas gdy Jowiszanie…

– Znaczy, rozważałabyś związek z… *nimi*?

Mary-Lou raźno skinęła głową.

– Oczywiście. Z tymi, którzy by tego chcieli. Możesz tego nie wiedzieć, ale Jowiszan znają Prawdziwą Wiedzę, we własnych terminach. Niektóre z ich praktyk są nawet socjalistyczne!

Boże, dopomóż nam wszystkim, pomyślałam, heretycko.

– To – powiedziałam – tylko sprawia, że są bardziej niebezpieczni. Potężniejsi, ponieważ zjednoczeni, tak jak my jesteśmy dla nich niebezpieczni, lub *byliśmy*, póki *wy ludzie*…

Przerwałam, zbyt późno. Mary-Lou przesunęła ręką, odcinając. Odepchnęła się od stołu, powolny, wdzięczny ruch w niskiej grawitacji Kallisto i otrzepała dłonie, jakby usuwając jakiś świetlny kurz.

– To wszystko – obwieściła. – Koniec dyskusji. Jeżeli my jesteśmy teraz *wy ludzie*, zatem nie jesteśmy w żadnym związku *z Tobą*. Nie mam nic więcej ci do powiedzenia, Ellen. *Odejdź.* Trzymaj się po prostu z dala od kłopotów, nie sprawiaj nam więcej kłopotów, i pozwól komuś innego poukładać Ci w głowie, ponieważ ja nie zamierzam. Do widzenia.

Podniosła dłoń ponad ramię, spojrzała na Tatsuro i strzeliła niecierpliwie palcami. Tatsuro spojrzał się na mnie po raz ostatni, bezsilnie, sięgnął po coś poza kadrem i ekran się wyłączył.

Teraz wszystko zależało ode mnie, pomyślałam. Czas na plan B.

Przetoczyłam się w powietrzu i złapałam podporę. Towarzysze, i Malley, wszyscy gapili się na mnie lub na pusty ekran. Nigdy nie było tak cicho na pokładzie dowodzenia.

– Zatem to wszystko, zdaje się – powiedziałam.

– I bardzo zadowolony jestem – powiedział Malley. Suze spojrzała na niego, spojrzała na mnie i skinęła głową.

– To koniec – powiedziała. – No chodź, Ellen. Decyzja została podjęta. Kości zostały rzucone. Komety nie spadną, a Mary-Lou przekonała Komitet do jej rozwiązania. W porządku, istnieją ryzyka, ale ma rację, Twój plan był bardziej ryzykowny. Wszyscy musimy to zaakceptować i mieć nadzieję, że podjęli właściwą decyzję.

– Nadzieja – powiedziałam.

Nadzieja tam była, podświetlająca oczy Suze i Malleya. Twarze pięciu pozostałych towarzyszy nie pokazywały nadziei, ani nie współdzieliły strachu, który czułam. Byli zagubieni we własnych myślach, najgorsze, z czego mogło być, że może musieliby wybierać pomiędzy mną – pomiędzy nami, załogą – a Związkiem, lub nawet Oddziałem. Mimo naszego zaciekłego indywidualizmu wszyscy – świadomie lub nie – czerpaliśmy siłę ze Związku, nie tylko w oczywistym, obiektywnym znaczeniu, ale także psychicznie. Mary-Lou miała rację w tym, przynajmniej: „dobre dla nas” ma dwie strony.

Teraz musiałam pracować z tym uczuciem, zaakceptować je, i tak samo wszyscy, czy już to wiedzieli, czy nie.

– Nic nie jest skończone – powiedziałam. – *Nie* zostaliśmy wy-

rzuceni ze Związku, ani nawet z Oddziału, a cokolwiek może myśleć Mary-Lou, *ciągle* jestem w Komitecie Sterowania, póki nie usłyszę inaczej. – Machnęłam za mnie na pusty ekran. – Jeżeli towarzysze zdecydują się nas wyrzucić, dobra, pierwszą rzeczą, jaką zrobią, to nam o tym powiedzą. Nie zrobili tego. Póki tego nie zrobią, działam jako członek.

Malley się skrzywił, Suze wzruszyła ramionami, inni lekko się rozpogodzili.

– Ok – kontynuowałam. – Jest coś, co muszę wam powiedzieć. Bardzo długo Tatsuro i ja mieliśmy... porozumienie. Oboje wiedzieliśmy, że mogło dojść do tego, i oboje wiedzieliśmy, że musimy mieć możliwość odwrotu, nawet gdyby uderzenie komet zostało... wykreślone. – Uśmiechnęłam się i wydębiłam kilka słabych reakcji. – Czy to przez Jowiszan, czy przez naszą decyzję. Wiedzieliśmy, że może dojść do takiej decyzji. Wiedzieliśmy, że możemy się nawet sami z tym zgodzić. Nie byliśmy, nie byłam, tacy dogmatyczni co do Jowiszan, jak przedstawiła to Mary-Lou. *Ja* byłam pierwsza do proponowania próby kontaktu, pamiętacie, przeciw uczciwej opozycji.

– Daj spokój – przerwał Malley. – To było tylko po to, żebym pomógł.

– Oczywiście – powiedziałam. – Ale trudno to nazwać aktem ślepej nienawiści, prawda? *Zaryzykowałam* własnym umysłem próbując pierwszego kontaktu. Wiecie, co sądzę o backupach, i cokolwiek możecie myśleć o tym poglądzie, szczerze go podtrzymuję. Ryzyko było prawdziwe, dla mnie. Zaufałam im na tyle, żeby wykorzystać ich kurs przez tunel, ryzyko, które wszyscy współdzieliliśmy, tak, ale jestem pewna, że nie podjęłabym się, gdybym myślała, że Jowiszanie są *potworami*.

– Wyraziłaś się jasno – powiedział Malley. – Zatem dlaczego nie przedstawiłaś go Mary-Lou?

– Umiem rozpoznać beznadziejną walkę, kiedy ją napotkam – powiedziałam. Wzruszyłam ramionami. – Ona ma swój pogląd, słusznie, ale sądzę, że jest skłonna ku rozwiązaniom bez przemocy i jest zamknięta na inne możliwości. Nie zrozumcie mnie źle, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż odkrycie, że ma rację, że my i Jowiszanie możemy współistnieć, współpracować i tak dalej. Że nie okażą się złymi lub szaleni jak ich poprzednicy. Jednak póki nie będę o tym przekonana, póki nie będę wiedzieć, że jesteśmy bezpieczni, zamierzam zrobić co w mojej mocy, żeby zapewnić ostatnią deskę ratunku. *Tylko* w ostateczności i *tylko* jeżeli to będzie oni lub my i wszyscy dla siebie. I taką, że *nie będzie* zagrożeniem, nawet zmartwieniem Jowiszan, póki lub chyba że nam będą grozić.

Jaime i Andrea spojrzeli znad ekranów, na których pracowali, potem uśmiechnęli się do mnie z miną świtającego zrozumienia.

– To jest to, na co Tatsuro i ja się zgodziliśmy – kontynuowałam. – To jest prawdziwy powód naszego przybycia tutaj. Ponieważ tutaj mamy serie komet przygotowanych dla nas, takie, których Jowiszanie nigdy nie zobaczą, a które mogą uderzyć w nich bez ostrzeżenia. Możemy posłać komety przez tunel czasoprzestrzenny.

– Ale komety nie są . . . – zaczął Tony.

Malley uśmiechnął się sucho do niego, i do mnie, niechętnie z szacunkiem.

– Bardzo eleganckie – powiedział. – Ruch względny.

– Tak – powiedziałam. – Zamierzamy przesunąć *wormhole*.

Nie było to proste, ale proces przygotowywania do tego przekonał towarzyszy, że na pewnym poziomie nadal miałam autoryzację na to, co robiłam. I taką miałam. W takim stopniu, w jakim Tatsuro i ja w rzeczywistości się prywatnie zgodziliśmy na ten

plan awaryjny, zanim nawet wyruszyłam szukać Wilde'a lub Malleya. Fakt, że myśliwce Oddziału, po obu stronach tunelu, odpowiadały na moje żądania, było wystarczającym dowodem (nie tylko dla mnie), że nie zostałam wyrzucona z Komitetu Sterowania. Tak czy inaczej, jeszcze nie.

Siedziałam koło Yeng, podczas gdy ona wysyłała zaszyfrowane instrukcje, do szwadronu po naszej stronie i do *Testera Turinga* po drugiej. Działanie tego drugiego było kluczowe, ale przeszło prawie niezauważone w ogólnych przesunięciach myśliwców dookoła Mili Malleya, na które, wystarczająco ironiczne, Mary-Lou nalegała. *Tester Turinga* przesłał własne instrukcje do rakiet manewrowych Bramy, które odpaliły się w serii krótkich strzałów. Powoli, przez kilka godzin, prawie niezauważalnie, wielki tęczowy krąg obrócił się w osi, żeby skierować się ku powierzchni Jowisza.

W międzyczasie, my przydryfowaliśmy coraz bliżej do Bramy wormhole-córki. Ani nasze myśliwce, ani samotny, automatycznych strażnik – który, byłam rozbawiona spostrzeżeniem, właściwie należał do firmy Reida Ochrona Wzajemna – nam nie zagroziły. Jaime i Andrea ciągle mapowali nadchodzący strumień fragmentów komet, które upadały prawie co godzinę na niezamieszkałe części Nowego Marsa po może dziesięciu latach wolnego sterowania z równoważników Pasa Kuipera czy Chmury Oorta dla tego systemu. Obliczaliśmy, że moglibyśmy osiągnąć wystarczającą prędkość, żeby efektywnie bombardować od trzydziestu minut do dwóch godzin, ze statkiem ciągnącym wormhole z przyśpieszeniem do trzydziestu g, jeżeli musielibyśmy wybrać krótsze podejście: było to maksymalne, tolerowane przyśpieszenie dla tej długości czasu, nawet przy pełnym wykorzystania wsparcia naszych skafandrów z inteligentnej materii.

– W jaki sposób złapiemy wormhole? – spytał Malley.

– Kiedyś to było zrobione – powiedziałam. – Już jest skonfigurowane. Małe drony manewrowe zostały zaprojektowane dla oryginalnego przesunięcia orbitalnego, które nadaliśmy Mili Malleya w domu. Są przyczepione dookoła i mają dodatkowe pary zacisków, które mogą złapać kable holownicze statku. Możemy to zrobić, brama będzie obrócona pod kątem ostrym za nami, my będziemy w jej środku ciężkości, a nasz strumień będzie bił w nią, przechodząc…

Uniosłam brew. Malley wzruszył ramionami:

– Kto wie?

Tuż przed spotkaniem, musielibyśmy wyłączyć napęd, odłączyć się od obwodu wormhole'a i odpalić silniki manewrowe Bramy, żeby dokładnie dostroić kąt tunelu tak, żeby komety mogły podążać tym samym kursem co odlatujące statki i wylecieć z drugiej strony na prostym kursie ku powierzchni Jowisza. Połączone prędkości Bramy wormhole-córki i komet dostarczyłyby wystarczająco dużo energii kinetycznej, żeby rozprzestrzenić zniszczenie na dziesiątki tysięcy kilometrów dookoła punktów uderzenia. Byłoby najlepiej, gdybyśmy równocześnie mogli zmusić statki po drugiej stronie, aby przesuwać ujście Bramy, rozsiewając jak rozrzutem z lufy po całym Jowiszu i prawdopodobnie na kursie, który zabrałby to dookoła, ale nie mogliśmy liczyć na ten najlepszy scenariusz. Ani nie mogliśmy liczyć na przetrwanie układu przez dziewięciogodzinny dzień Jowisza, niosący wyjście bramy dookoła planety. Mogliśmy liczyć za to na bardzo mocne uderzenie w Jowiszan.

Yeng odkryła kilka komercyjnych kanałów i kilka wewnętrznych kanałów raportujących, które ani nie były zaszyfrowanie ani trudne do zhakowania. Trzymaliśmy nasze dziobowe lasery wycelowane w nowomarsjańskiego satelitę komunikacyjnego. Przeby-

waliśmy blisko naszych prycz przeciążeniowych, obserwowaliśmy ekrany i czekaliśmy.

Godziny mijały.

Patrzyłam w wąskopasmowy kanał monitorujący, przekazywany z kamery i mikrofonu z górnego rogu pomieszczenia na statku. Niezaszyfrowany, nic specjalnego. Pełny kolor, zaszumiony obraz, dźwięk mono, powoli odświeżany. Prawdopodobnie jedna z tych kapitalistycznych rzeczy: szpiegowanie przez kierowników. Może coś bardziej życzliwego, rodzaj czarnej skrzynki online. Zdecydowanie nie był to główny kanał łączności tego statku, który wysyłał z powrotem niehakowalną powódź zakodowanych danych. Pokazywał stały, niezmienny widok z wnętrza jednego z handlowych statków, na podstawie wyglądu pokład dowodzenia. Znacznie mniej zabałaganiony niż nasz, brak sprzętu recyklerów, żadnych ciągnących się rurek i wspinających się wici. Pięć prycz przeciążeniowych, formowanych, sprężystych i lśniących, jak czarne galaretki. Czterech mężczyzn i jedna kobieta w identycznych niebieskich ubraniach roboczych, dryfujących dookoła, sprawdzających instrumenty, obserwujących zewnętrzne ekrany, żartujących i rozmawiających. Wydawało się, że nie mają zbyt dużo do roboty. Byli podnieceni byciem w Układzie Słonecznym. Jeden mężczyzna był tutaj wcześniej, co dało mi niesamowite uczucie, kiedy stało się jasne z rozmowy, że był jednym z uploadowanych umysłów niewolniczych w robocie konstrukcyjnym Zewnętrznych.

Prawdziwa praca ich misji była wykonywana przez komputer statku, którego nazywali Dziwką, ewidentnie na cześć nazwy statku, które brzmiało *Piesek Salonowy*. Nie byłam tak znudzona jako oni, częściowo z powodu mojego ciągle gotującego się napięcia, a częściowo z powodu – jak pokolenia producentów wizualnych tapet

pokazali – czegoś hipnotycznego w oglądaniu ludzi w kosmosie, tak jak jest w obserwowaniu powierzchni planety z kosmosu.

Urywki konwersacji, łapane przez ten nienatrętny mikrofon, wąskie pasmo do najbliższego satelity, przesłane laserem pod krytycznym kątem w tunel, przelatywało tysiąclecia czasoprzestrzeni, odbijało się od kolejnego przekaźnika, posłane radiem do, bez wątpienia, znudzonego obserwatora na Nowym Marsie, odebrane przez podsłuchujące anteny Yeng, w końcu usłyszane przeze mnie:

– Dziwka jest gorąca!

– Ta, człowieku, ogon ma wysoko podniesiony. Musiała spotkać Jowiszanina.

– Spotkania umysłów.

– Niuch, niuch.

Śmiech.

– Czerwoni ciągle dookoła Mili?

– Jak muchy na gównie. Nie podoba mi się to, człowieku, nie podoba mi się to w ogóle.

– Centrala mówi, żeby się nie martwić.

– Nie ufam im, ale. Kurwa. To ich terytorium...

– Kto tak mówi?

– Centrala, oto kto. Zresztą nie wiemy, co jeszcze potrafią.

(Racja, pomyślałam, nie wiecie.)

– Niezbyt cholernie dużo, nie jeżeli są jak komuchy, których znaliśmy i kochaliśmy.

– Ha, ha. Nie wiedziałem, że jesteś tak stary.

– Wyglądali jednak fajnie na tele. Widziałeś tę wysoką czarną?

– Aha.

Rubaszne odgłosy. To o mnie, zrozumiałam, i poczułam się mile połechtana. Mężczyźni obrócili się i zrobili salto, wymieniając się

nieefektywnymi pchnięciami i uderzeniami. Wtedy głos wciął się w ich śmiech, głos kobiety, jak uderzenie zimnej wody.

– *Coś jest nie tak.*

– Co…

– Spójrz na panel! Co do kurwy!

– Dziwka, wszystko w porządku? Dziwka?

Nurkowali tyłem w prycze, które złapały i objęły ich w gładko pojawiające się nibynóżki szklistej, czarnej galaretki. Gdy tylko uderzyli w miejsce, pięciu astronautów zaczęło pracować, bardzo mocno, bardzo szybko. Mogłam dojrzeć ruchy głowy, śledzące wirtualne ekrany przed oczami. Ich palce wyginały się nad niewidzialnymi klawiszami. Moje własne ruchy były prawie odbiciem ich, krzyczałam, wklejając obraz z tego kanału na inne ekrany i dokładając do istniejących.

Na kanałach wiadomości, jeden ze statków kupieckich, którego pasek gładko oznaczył jako *Piesek Salonowy*, zaczął poruszać się dziwnie, myszkując pod wpływem nieregularnych pchnięć z silników manewrowych.

– Wydają się mieć jakieś… – Dziecięcy zdziwiony głos.

– Borys! – krzyknęłam. – Dziobowe lasery już! Gotuj się walnąć w przekaźnik! Yeng! Wyłącz ich szyfrowane dane! Andrea, grzej palnik!

Głosy załogi z *Pieska Salonowego* były ciągle transmitowane.

– Nie mogą podnieść Dziwki! Nie mogę podnieść Dziwki!

– Zamknij się, zamknij, próbujemy. Kurwa, kurwa, kurwa, napęd nie odpowiada.

– *Piesek Salonowy* do centrali, *Piesek Salonowy* do centrali. Mamy tutaj złą sytuację. Silnik wyłączony, Dziwka popieprzona. Wpadamy w rodzaj ruchu obrotowego, nieregularnego. Powtórz jeszcze raz, powtórz jeszcze raz… gówno. Łączność leży.

– Światła są włączone.

– Nikogo w domu.

– Ha ha.

– Robię audyt... ok, chłopaki, jesteśmy w głębokim gównie, głębokim gównie. Dziwka chyba została trafiona ogromnymi danymi, leży... Nie! Działa!

– Cholera, że działa, nie... och kurwa. Musimy to zgłosić, musimy... kurwa! Łączność nadal leży.

– Hej, nadzór!

Twarze się obracają, patrzą prosto na mnie.

– Jeżeli ktokolwiek to odbiera – mówi głos kobiety, całkiem spokojnie – proszę, działajcie szybko. Sądzimy, że nasz komputer pokładowy został zhakowany i przejęty...

– Jebany Jowi załadował się do nas! – krzyknął kolejny głos, a w międzyczasie w tle trzeci głos intonował: – Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę *hej, chwila chłopaki, wszystko wróciło do normy, jest w porządku, spójrzcie*!

Gdy patrzyłam, ich miny zmieniły się z szalonej troski do spokojnej ulgi. Kobieta robiła machające ruchy przed monitorem.

– Anulujcie to – powiedziała szybko, uśmiechając się. – Fałszywy alarm. Przepraszam, chłopaki, fałszywy alarm! Usterka elektryczna, burza w atmosferze Jowisza, to wszystko, koniec paniki.

Mężczyźni za nią poruszali się w zupełnie inny sposób, niż robili to wcześniej, głowa i ręce pracujące w nowej przestrzeni wirtualnej, nie było nic złego z ich ruchami, prócz tego, że wszyscy robili te *same* ruchy, jednocześnie. Cztery głowy odwróciły się jak jedna, uśmiechając się do nadzoru, gdy ich ręce sięgnęły, a palce poruszyły się w synchronizowanym tańcu kukiełek.

– Borys – powiedziałam.

Na widoku dziobowym obracający się parasol satelity komunikacyjnego Nowego Marsa błysnął w skupieniu naszych laserów i natychmiast spłonął w milionach fragmentów zwijającej się folii.

Andrea uruchomiła napęd, gdy wszystkie inne ekrany znikły.

Nie było to długie przyśpieszenie, wystarczające, żeby pchnąć nas na orbitę zbieżną z Bramą. Mieliśmy tylko kilka minut, w których mogliśmy działać. Wiele rzeczy wydawało się zdarzać na raz.

– Wrogi myśliwiec się kręci – ogłosił spokojnie Borys. – Odpala. Rakieta odpalona i się zbliża. Aktywna obrona...

Widok dziobowy rozpalił się, wielkim błyskiem, a potem wieloma drobnymi, gdy lasery aktywnej obrony usuwały fragmenty rakiety.

– Myśliwiec rozpoczyna uniki. Kalibruję lasery. Ogień automatyczny. Cel zniszczony. – Pomyślał o tym przez chwilę i dodał: – Huu-raa!

– Za co nas atakują? – spytała Suze.

– Za zniszczenie przekaźnika – powiedziałam. – Powinni być wdzięczni.

Jaime przeprowadzał namiary na najbliższą serię komet, a Andrea wyrównywała statek według jego obliczeń. Nasze silniki odpalały, co chwilę, kierując nas w zawrotne obroty. Yeng przekazała dane do myśliwców i *Zło Konieczne, ale Fajne* wysłał wiadomość do małych rakiet manewrujących Bramy. Kiedy byliśmy gotowi zadokować przy Bramie, leżała pod dziwnym kątem, ewidentnie „poniżej” nas, jak przechylony talerz, a my wsuwaliśmy się tyłem „ponad” na milę szeroką powierzchnią. Na którymś ekranie zauważyłam, kątem oka, że nasz własny mały satelita komunikacyjny rzucał się jak pchła na patelni, trwoniąc paliwo w bezmyślnych próbach utrzymania właściwej pozycji względem dysku Bramy, w celu odbierania wiadomości Oddziału. Też go rozwalić? Nie, byłam pewna,

nawet teraz, że komputery i łączność Oddziału nie polegną w wybuchu ogniska Jowiszan.

Statek był teraz ustawiony w linii na proste pchnięcie na kurs do przechwycenia serii komet i kontynuował w „górę" tej opadającej ścieżki orbitalnej. Kadłub zatrząsł się wielokrotnie, gdy liny holownicze zostały odpalone. Wysunęły się i zostały złapane przez zaciski obwodu. Andrea zagrała kolejne subtelne, ale obrzydliwie brutalne crescendo na naszych silnikach manewrowych, dopasowując nasze ułożenie, gdy linie przyjęły napięcie masy Bramy.

Sto tysięcy ton, powiedziała Dee. Plus kolejne dwadzieścia tysięcy na konto statków, które przeszły przez nią w sprytnych, odważnych przedsięwzięciach... i napotkały przynajmniej jeden byt, który poczuł tak samo silną pokusę, lub konieczność konkurencyjną, *dostania się jako pierwszy* jak oni. Myślałam o Dee i zastanawiałam się jak jej wychwalane, konkurencyjne środki zapobiegawcze wytrzymywały cokolwiek, co przeszło po łączach z biednego, opętanego *Pieska Salonowego*. Mam nadzieję, że lepiej niż oczekiwałam, ze względu na mnie, i na nią, zrozumiałam, w nagłym uderzeniu udręczonej solidarności z jaźnią, która, ludzka lub nie, była przynajmniej tak pojedyncza jak moja.

– Utrzymywanie pozycji – powiedziała Andrea.

– *Generał Arnaldo Ochoa* do *Strasznego Piękna* – Yeng przesłała wiadomość do moich słuchawek. Głos był prawie ospały. – Sytuacja w domu poważnie zagrożona. Sytuacja tutaj kompletnie zagmatwana. Proszę o instrukcje.

Ktokolwiek to był, miał rację, w porządku! Przejęłam nadawania dla kanałów wszystkich statków Oddziału:

– Cześć, dziewczyny i chłopaki, tutaj *Straszne Piękno*. Sytuacja jest następująca. Przynajmniej jeden statek kupiecki Nowego Marsa, z załogą, został przejęty przez upload Jowiszan lub kopię

osobowości. To jest potwierdzone, powtarzam, potwierdzone. Satelity komunikacyjne zniszczone przez nas, żeby zatrzymać propagację wirusów. Nie wiemy, powtarzam, nie wiemy, czy udało nam się na czas. Obserwujcie ostrożnie łączność przychodzącą ze źródeł nowomarsjańskich. Zamierzamy odlecieć z Bramą tunelu na holu. Zamierzamy spróbować przepchnąć lokalne komety, żeby trafiły w Jowisza. Macie dwie minuty, żeby odejść lub wrócić do domu.

Ospały głos wrócił.

– Dziękuję za wyjaśnienia, *Straszne Piękno*. Powodzenia. Obserwujemy ciężkie walki w domu. Wszystkie statki zostały odwołane. Odchodzimy. Czy chcesz otrzymywać aktualizacje z naszego satelity komunikacyjnego?

– *Tak!* – krzyknęła Yeng, czysty poziom głosu przeniósł się moim kanałem.

– Łączę was.

Scena, przekazana z Układu Słonecznego przez, na razie, stabilny i na pozycji przekaźnik, błysnęła na ekranach wirtualnych skafandrów, które ciągle się napinały i twardniały dookoła nas. Została przekazana z zewnętrznej kamery na *Testerze Turinga*, lojalnie na pozycji przed Bramą.

Jowisz był dokładnie w środku kadru, jak miałam nadzieję. Reszta kadru skrzyła od błysków odległych uderzeń laserów, była zajęta ogniami wiązek cząstek, oprószona dipolami wyrzuconymi w wysiłkach, żeby odbić lub rozproszyć obie. Ślady rakiet i linie energii kinetycznej były dodawane do piekła bitwy. Dwa lub trzy pojazdy kupieckie były w polu widzenia, każde otoczone przez roje myśliwców. Jeden odchodził czymś, co wyglądało jak całkowicie ortodoksyjny kurs uników. Inne poruszały się w ten sam dziwny sposób jak *Piesek Salonowy*, kiedy jego systemy pierwszy raz zostały przejęte. Mogłam prawie czuć usiłowania nowych umysłów

w ich nieznajomych ramach, nowe impulsy biegnące przez sterowania, i walki z tymi częściami oprogramowania statku, które opierały się nowym panom. Obroty i nachylenia statku były wynikową tych walczących sił. W całym zdezorientowanym kadrze przemykały ciemne kształty naszych własnych myśliwców, ich gwałtowne manewry omijały przynajmniej broń kinetyczną i rakiety, ale nawet w pierwszych sekundach naszej obserwacji, dwa zostały namierzone z powodzeniem przez wiązki cząsteczek i spłonęły w cichej agonii.

Jeden po drugim, myśliwce po naszej stronie rzucały się do przodu, wydawało się mijać ponad naszymi głowami z punktu widzenia kamery, cały statek bujał się, gdy masa każdego myśliwca przechodziła przez Bramę. Policzyłam dziewięć, potem usłyszałam już znajomy głos.

– *Generał Arnaldo Ochoa* żegna się i życzy powodzenia.

– Do widzenia – powiedziałam.

Po raz dziesiąty i ostatni, wielki bęben rozciągniętej przestrzeni, do której byliśmy przyczepieni, zarezonował, gdy myśliwiec przeszedł na drugą stronę. Ujrzałam jego czarny nietoperzy kształt, gdy skoczył na bok chwilę po wyjściu. Byliśmy teraz zdani na siebie.

Wtedy ujrzałam, kierujące się prosto na nas, wypełniające kadr, cielsko statku kupieckiego. Coś zapłonęło w jego boku, ale pchał się dalej mimo tego. Ostatnią rzeczą, jaką pokazała kamera *Testera Turinga*, był rozmazany obraz wyłaniającego się przedniego pancerza. Ostatni – a, podczas gdy oglądaliśmy, tylko – dźwięk, jaki został przesłany przez satelitę, był łamiący się głos, przez jakiś szalony wyczyn hakowania, krzyczący ostrzeżenie:

– *Piesek Salonowy!*

Nasz statek zatrząsł się, gdy tysiąc tonowa masa przeszła, równocześnie odejmując taką samą wartość od wirtualnej masy Bramy.

Kabel pękł, strzelając przez widok dziobowy. Przez całą sekundę, gdy przełączałam teraz pusty wewnętrzny ekran na kamerę zewnętrzną, którą Yeng od razu i odruchowo połączyła, obserwowałam zastygła w szoku, gdy wielki statek wzniósł się z Bramy tunelu jak rakieta z silosa, z wrakiem *Testera Turinga* powyginanym na jego dziobie.

Gdy tylko opuścił Bramę, jego rakiety manewrujące odpaliły ze znacznie większą precyzją, niż pokazywały to wcześniejsze wysiłki. Ten nowy umysł opanował sterowanie, a teraz odwracał główny napęd od nas, a tępy, przedni pancerz ku nam.

– Andrea! – próbowałam krzyknąć, ale ona już uruchamiała napęd. Najgwałtowniejsze przyśpieszenie, jakie kiedykolwiek poczułam, spadło na mnie, miażdżąc mój krzyk w charkot. *Piesek Salonowy* natychmiast zniknął z widoku, potem pojawił się, gdy kamera przesunęła się, śledząc.

– Borys – wyjęczałam. – Atomówka.

– Nie mogę – odpowiedział jego mocniejszy głos. – Nie ma czasu na zaprogramowanie kursu.

– Ok – odetchnęłam. – Wyślij tylko *Węglową Świadomość* z nią, na kamikaze.

– Mam nadzieję, że myślisz o kamikaze na *autopilocie*.

– Nie… marnuj… oddechu…

Nie zmarnował ani oddechu ani czasu, ale minęła długa minuta, zanim wbił instrukcje, a nasz własny myśliwiec skoczył z boku i spłynął do tyłu, natychmiast wyprzedzony naszym przyśpieszeniem.

Yeng przełączyła do jego kamery dziobowej, i – w mniej niż minutę wypalił paliwo w ostatnim biegu – ujrzeliśmy to, co zobaczył, gdy zbliżał się do trafienia. Ujrzeliśmy znów wyłaniający się kadłub *Pieska Salonowego*. Ujrzeliśmy cichą, szokującą kulę jądrowej eksplozji o mocy pięćdziesięciu megaton… ale w nie tej kamerze.

Przysięgam, że zobaczyliśmy ją przez nasz kadłub.

Białe powidoki wszystkiego powoli zblakły, żeby zostać zastąpione czerwonym rytmem bólu. Nie oddychałam – skafander robił to za mnie – a mikrometrowe kanaliki zaopatrzenia tlenu skafandra były wykutymi gorącymi ostrzami wbijającymi się w moje prawie zapadłe płuca.

`Ruszamy, szybki, krótki ciąg` wiadomość Andrea pokazała się w zielonych literach na chwiejnym, szkarłatnym ekranie mojego pola widzenia.

`Nieważkość za 20 min, pierwsze spotkanie za kolejne 20.`

`Nie możesz pociągnąć dalej większa prędkość?` spytał Borys.

`Zero benzyny`, odpowiedziała Andrea.

Brak masy reakcyjnej, żeby być precyzyjnym. Nikt nie miał dalszych pytań. Miałam nadzieję, że Andrea zostawiła jakąś rezerwę, żeby zabrać nas do domu, gdziekolwiek dom teraz był, ale nie miałam serca, ani siły, żeby pytać.

Jaime błysnął danymi na temat docelowego pociągu komet: długi, bogaty ciąg fragmentów, przyjemnie ułożony dawno temu przez automatyczne maszyny Nowych Marsjan, lub w końcu, ironicznie, przez Zewnętrznych, daleko w olbrzymiej chmurze niepowiązanego lodu i materiałów organicznych, każdy zaminowany środkami wybuchowymi zsyntetyzowanymi *in situ* przez inteligentną materię, która go badała. Te ładunki były ustawione do wybuchu przed ostatnim, końcowym upadkiem na Nowego Marsa, krusząc masę na kąski podatne na ablację przez atmosferę planety.

Coś mnie kłopotało, o czymś zapomniałam. Walczyłam z tą nieuchwytną myślą, zgnieciona jakbym była w prasie przyśpieszenia i nagle wydawało mi się, że złapałam: co jeżeli popękają, zanim

uderzą w *Jowisza*? Odrzuciłam to jako mało prawdopodobne, nanomaszyny w kawałkach komet nie pomyliłyby gazowego giganta z małym, skalistym światem.

I tak czy inaczej, nic nie mogliśmy z tym zrobić, nic w ogóle. To był, w każdym znaczeniu, nasz ostatni rzut.

Miażdżące ciśnienie się skończyło. Wszyscy wzięliśmy pierwszy oddech i wydaliśmy wspólny jęk bólu, tuż przed tym, zanim skafandry podały pochodne opiatów w naszą krew, wymierzone tak dokładnie, żeby anulować agonię i nie wystrzelić nas w euforię. Nie, żeby było duże ryzyko.

– Ok – powiedziała Andrea, jej głos drżący. – Mamy dwadzieścia minut, żeby się usunąć i ustawić te rzeczy w linii. Zostańcie na swoich miejscach.

Całkiem nadmiarowe instrukcje, pomyślałam, gdy starałam się poruszyć palcami i przywołać ekrany. Po około minucie mi się udało. Przenikanie skafandra w moim ciele nie wycofywało się, tym razem. Ciągle miało pracę do wykonania, jak wszystkich innych, pierwsze ekrany, które przywołałam, pokazywały ich odczyty fizjologiczne. Wszyscy żyli, świadomi, i otrzymywali potężną pomoc i naprawy.

A ja nie.

Popatrzyłam na ekrany, z trudem wierząc, co widziałam, z trudem wierząc, że nie widziałam własnymi oczami, nerwami czy mózgiem. Mój mózg nie wyłączył się kompletnie: ciągle utrzymywał ciało, w porządku, ale to, co Dee nazywała kosztem podtrzymania świadomości, utrzymania jaźni, przeszło w inne miejsce. Skafander przetoczył mój umysł prosto w siebie, uruchamiając mnie jako zaktualizowany model, który otrzymał, kilka dni wcześniej, z mojego backupu przed pierwszą sondą do Jowiszan.

Zatem teraz wiedziałam. Wiedziałam, jak symulowany umysł doświadcza świata. Nie było żadnej różnicy.

Przynajmniej, nie, żebym ja, symulowany umysł, mogła określić.

Dlaczego skafander to zrobił? Dlaczego mnie?

W tym momencie odkryłam różnicę w moim doświadczeniu. Byłam mocno świadoma obecności skafandra, jego własnej świadomości, jako lojalnej, żyjącej rzeczy. Oraz jego odpowiedzi.

`Jest nie tylko Ty`, powiedziało.

`Potencjalnie, jest tutaj inny.`
`Nosisz płód.`
`Zoptymalizowałem,`
`na podstawie sugerowanych priorytetów.`
`Wybór należy do Ciebie.`
`Możesz nadpisać moje, jeżeli chcesz.`

Nie chciałam.

Jak z wielkiej odległości, obserwowałam Yeng odpinającą liny holownicze, Andreę pchającą nas na stabilną pozycję kilka kilometrów od Bramy, i Jaime'ego poruszającego przypiętymi rakietami manewrującymi Bramy, żeby obrócić ją na dokładnie właściwy kąt dla nadchodzącego strumienia komet.

– To wszystko – powiedział Jaime. – Zrobiłem to, rakiety są prawie bez benzyny.

– Trzy minuty do przejścia – powiedziała Andrea.

Komety zbliżały się tak szybko, że, nawet w tej ostatniej chwili, były ciągle niewidoczne dla dziobowych teleskopów. Nawet gdyby ich odbite światło mogło zostać odebrane, nie pokazywały żadnego ruchu na tle gwiazd, aż do ostatnich kilku sekund przed przejęciem. Tylko radar dalekiego zasięgu oznaczał ich podejście. Leżałam nieruchomo, moje palce wbijające kody przełączające przez zewnętrzne widoki: słońce systemu, małe w porównaniu z tym, jak

nasze wyglądało z Ziemi, wielkie i płonące w moich oczach Kallisto, odległy krąg ochry Nowego Marsa i paradoksalna elipsa Bramy.

– Dwie minuty.

Odliczała do ostatniej minuty. Gdy powiedziała „Dwa”, zobaczyłam, na jednym z ekranów, coś poruszającego się na tle gwiazd: pierwsza kometa, widziana, nie do końca, nagim okiem.

– Jeden!

– Ze. . .

Promieniowanie Czerenkowa zalało nasz widok.

Kolejne fragmenty podążały co mniej niż sekundę pomiędzy nimi. Niebieskie światło błyskało. Dziesięć mas kometarnych, każda ważąca setki tysięcy ton. Cztery przeszło przez Bramę, dodając masę do naszej strony i odejmując ją od drugiej.

– Teraz musimy być w masie negatywnej – powiedział Malley.
– Chciałbym zobaczyć, jak to jest.

Byliśmy w nieważkości, ale ciągle zostawaliśmy w pryczach, zbyt wyczerpani do ruchu i może się go obawiający. Nie mieliśmy nic do roboty, tylko czekać, oraz obserwować proces, którym mieliśmy nadzieję dokonać zniszczenia świata. Wiedziałam, teraz – teraz byłam też skopiowanym umysłem działającym w inteligentnej materii – że Jowiszanie nie byli płaszczakami. Że byli, w istocie, wyższym gatunkiem nie tylko co do zasięgu ich władzy, ale także co do głębi ich umysłów. Oni, tak jak my, mieli nieskończoną przestrzeń w swoim obrębie, subiektywne światy. Nie byli tylko bytami, ale istotami.

A w tej chwili – nie w innej chwili, dziesięć tysięcy temu – nasze pierwsze strzały w nich upadały, niszcząc te subiektywne światy. Nasze surowe skały waliły w cieńsze czaszki i głębsze umysły niż nasze. Jeżeli, tak jest, udało nam się dopiąć celu.

Dotarło do mnie, wtedy, że to, co *robiliśmy* zostało już *zrobione*,

że interakcje Bramy i fragmentów komet w naszej natychmiastowej przyszłości miały konsekwencje w dalekiej przeszłości, że, w pewnym sensie, bitwa już była zakończona. Wszechświat w obrębie dziesięciu tysięcy lat od Słońca już zostały skolonizowany przez naszych następców, lub przez nich. Nie było sposobu określenia tego, oczywiście, oni, lub my, mogli „już" mieć statki z napędem Malleya osiągające prędkość bliską prędkości światła, ciągnące nowe bramy wormholi, ale jeżeli „dotarli" dalej niż Nowy Mars, nie przybyliby jeszcze przez wiele lat w naszej przyszłości. Myśl ta dała mi dziwne, fatalistyczne zapewnienie, kiedy tylko nie wykręcała mojego umysłu w węzły, które tylko Malley, może, mógłby odwinąć.

Leżałam tam i czekałam. Co by było, byłoby.

Brama była ciągle otwarta, ciągle pędząca wzdłuż orbitalnej ścieżki kolejnych nadchodzących komet, gotowa przeciąć kolejny strumień, jak to zrobiła, pół godziny później. Te były większe, mniej ukształtowane, ale ciągle dostatecznie małe, żeby przejść. Tak jak kolejny strumień, i kolejny, aż w końcu, dziesięć godzin i niezliczoną liczbę komet później, dotarliśmy do granic możliwości struktury wormhole do podtrzymania ujemnej masy.

Malley chrząknął, jakby pewne obliczenia zostały potwierdzone.

– Teraz wiemy – powiedział.

Pozostałe fragmenty, które napotkaliśmy, przeszły przez miejsce, gdzie była Brama.

Już dłużej niepodtrzymywana przez napięcie Bramy, obręcz rozpadła się na części: matowe łuki, które odpłynęły na boki, a potem, bardzo wolno, razem, pod przyciąganiem ogromnych, niewidocznych mas jakiejś egzotycznej materii, która była wszystkim, co pozostało po zakrzywionej przestrzeni. Odłamki kontynuowały ruch do przodu, wobec opadającego strumienia komet, do miejsca ich źródła.

Rozdział 11

Spoglądając w Przyszłość

Przenieś czy skopiuj?

Pytanie skafandra mogło, dla mnie, mieć tylko jedną odpowiedź. Nie chciałam zostawiać drugiej jaźni wiszącej w obwodach skafandra. Niemniej jednak, moja druga jaźń miała wątpliwości. Czy ja, prawdziwa ja, istniejąca teraz, w tej chwili, miałam umrzeć? Co do samobójstwa, dla dobra drugiej osoby, kto obudziłbym się z moimi wspomnieniami, z powrotem w obecnie nieświadomym mięsie? Czy może ja, kopia, miałam zamordować *moją prawdziwą jaźń*, która inaczej zostałaby obudzona, bez wspomnień, tego, co wydarzyło się pomiędzy utratą przytomności a jej odzyskaniem?

Gdy zaczniesz myśleć w ten sposób, zrozumiałam, nie ma tego końca.

– Przenieś – powiedziałam.

Coś się wydarzyło wtedy, w tej krótkiej, wiecznej chwili, kiedy przeskoczyłam przerwę pomiędzy skafandrem a czaszką. Zobaczyłam sto miliardów gwiazd, jak mogłyby wyglądać po stu tysiącach lat. To była, oczywiście, wizja, halucynacja, lub intencja, program, plan, ale to, czego nie wiem do dzisiaj, czy to była moja: skąd nadeszła i kogo miała zaszczycić.

Ujrzałam galaktykę zieleni i złota, światła gwiazd przefiltrowane przez nieskończone, niezliczone habitaty. Federacja naszych

marzeń. A poza tym wszystkim, w ścianach naszych światów, ogromna, ale skończona życzliwość, wielki silnik ochrony i przetrwania, bóg po *naszej* stronie, strach dla naszych wrogów i przyjaciel dla nas, światów bez końca.

Bóg, który się uśmiechał, jego praca do obejrzenia, i który teraz uśmiechnął się na moją pracę.

Ktoś mną potrząsał. Walczyłam, w zbyt solidnym ciele.

– Ellen! – pytał się Borys. – Wszystko w porządku?

Otworzyłam oczy i uśmiechnęłam się okropnie (wiem, ponieważ widziałam nagranie z oka Borysa).

– W porządku – powiedziałam. – Tylko... straciłam przytomność na chwilę.

– Raport sytuacyjny – powiedziała Andrea, raźnie. – Prawie jesteśmy bez masy reakcyjnej, choć oczywiście ciągle możemy mieć zasilanie, którego potrzebujemy z napędu. Jesteśmy na orbicie ciemnej materii, czy cokolwiek, czym była Brama, i kierujemy się szybko na zewnątrz w kierunku lokalnej chmury komet. Nie wiemy, czy Nowy Mars otrzymał jakiekolwiek ostatnie transmisje z *Pieska Salonowego* i nie wiemy, co nasze bombardowanie zrobiło Jowiszanom. Było znacznie słabsze, w końcu, niż masywne uderzenia kometarne, które organizowaliśmy w Układzie Słonecznym. – Przerwała, patrząc na poznaczony gwiazdami widok dziobowy. – A teraz Bramy nie ma, nigdy się nie dowiemy.

– Póki nie pojawią się pierwsze statki z napędem Malleya – powiedziałam, ponuro. – Nasze lub ich.

– Dlaczego statki? – spytał Malley. Wydawał się rozbawiony.

Gapiłam się na niego.

– Cóż – zaczęłam – zakładając, że ktoś może ponownie wynaleźć napęd wirtualnej masy, który postulowałeś, a który pierwszy szybki ludek wbudował w sondę, to może podróżować z prędkością

bliską światłu, a my jesteśmy dziesięć tysięcy lat dalej, ale dziesięć tysięcy lat w przyszłość, zatem…

Przerwałam, nagle czując się głupio, gdy wszyscy zrozumieli w tym samym momencie i się roześmiałam.

Te dziesięć tysięcy lat było czasem wystarczającym na dotarcie do nas dla dowolnego sygnału radiowego z Układu Słonecznego. Sygnałów, które powstały natychmiast, po tym jak go opuściliśmy.

– Nie będzie łatwo ich odebrać – powiedziała Yeng. – Będę musiała zbudować *radioteleskop*.

– Ile to zabierze? – spytałam.

Yeng zmarszczyła brwi.

– Trochę czasu – powiedziała. – Będę musiała wygrzebać nasz ostatni spadochron, z którego oczywiście nie ma zbyt dużego pożytku dla nas, i przebudować niektóre roboty utrzymania kadłuba, żeby pomalować go jednocząsteczkową siatką foliową. To prawie kilometr średnicy, zatem powinno być dostatecznie czułe, szczególnie że wiemy, gdzie celować. – Przeliczyła w głowie. – To zabierze kilka godzin, przynajmniej.

– *Tak* długo? – parsknął Malley. – Na litość, kobieto, myślałem, że mówisz o *latach*.

Liczyłam na miesiące, ale nie powiedziałam tego. Uśmiechnęłam się do Yeng i powiedziałam:

– Ok, to wspaniale. Jednak myślę, że *pierwszą* sprawą, jaką musimy ustalić to, czy Nowy Mars jest w porządku. Ponieważ jeżeli nie jest, możemy mieć poważne kłopoty, już wkrótce.

Pomimo protestów – jakoś, myśl o czekaniu była jeszcze bardziej nieznośna, teraz gdy wiedzieliśmy, że możemy się dowiedzieć – ruszyliśmy do przodu i powtórzyliśmy procedurę poszukiwania transmisji radiowych Nowego Marsa. Yeng przerobiła przez całą zbrojownię obrony i uznała, że są w porządku, opierając się na

tej samej natarczywej i całkowicie ludzkiej reklamie, którą znalazła wcześniej. Incydenty przeszłych godzin były analizowane przez wiele głośnych i sprzecznych głosów. Nikt nie wiedział, że nadal byliśmy w systemie i nie mieliśmy intencji, na razie, informowania ich.

Nowy Mars, przynajmniej, był bezpieczny. Zostawiliśmy radio włączone, w ramach obchodów. Stara muzyka nowomarsjańska z jej perwersyjnym świętowaniem dziwnych, żałosnych tęsknot i desperackich pożądań, znowu zaczęła wsiąkać w nasze umysły jak mem wiralowy. Tworzyła podkład muzyczny, gdy wszyscy ruszyliśmy na pomoc Yeng rozwinąć i dostosować cienki spadochron, proces, który nazwaliśmy projektem PZI, „poszukiwanie ziemskiej inteligencji".

Był to nerwowy żart. Nie wiedzieliśmy, co znajdziemy. Nie mówiliśmy o naszych obawach, że to, co znaleźlibyśmy, byłoby niezrozumiałe, lub zbyt zrozumiałe, głosy, które powiedziałyby nam, że nasze zesłanie, i nasze wielkie zbrodnie, były na nic.

Kiedy teleskop był zbudowany, wszyscy wisieliśmy w powietrzu dookoła Yeng, na pokładzie dowodzenia. Każdy dźwięk był głośny: klimatyzacja, szept samego statku, ping radaru, nasze oddechy. Yeng zignorowała je wszystkie, opracowując pierwsze słabe sygnały odebrane przez wielki talerz anteny. Przepuściła je przez wszystkie testy, przez hardware i software, analizator fiksli błyskający w grze o życie. Przez długie minuty, badała je, potem bez słowa, bez patrzenia dookoła, włączyła głośniki i podkręciła głośność.

Pokład dowodzenia wypełnił się głosami ludzi z odległej przeszłości: mówiących, śpiewających, kłócących się, sprzeczających, żądających i spierających, dźwięk natychmiast wzmocniony przez nas, robiących to samo, ale głośniej. Potem przestaliśmy krzyczeć

i znowu słuchaliśmy. Większość z transmisji ciągle była robiona przez niespołeczników i było – tak jak Nowym Marsie – wiele źle poinformowanych spekulacji, ale było oczywiste, że nasz uderzenie było sukcesem. Wewnętrzne wiadomości Oddziału były, jak mogliśmy się spodziewać, wąskopasmowe i nic na razie nie zostało posłane w naszym kierunku.

Wypiliśmy dużo alkoholu na tej wachcie.

Nieco później, jadłam pizzę z syntetyzowanymi sardelami, oliwkami, bananami i ananasem. Nigdy wcześniej nie jadłam takiej wstrętnej kombinacji i niejasno zastanawiałam się o tym, gdy jadłam na finał lody, zanim zasnęłam. Spałam przez godziny, dłużej niż ktokolwiek inny. Obudziłam się pomiędzy nimi, ciągle na pokład dowodzenia, i natychmiast i całkiem publicznie zwymiotowałam.

Suze spojrzała na mnie ze zabawnym, domyślnym uśmieszkiem.

– Towarzysze – powiedziałam – mam wam coś do powiedzenia.

Dopiero miesiąc lub coś później teleskop Yeng odebrał pierwszy sygnał wycelowany prosto w nas: sygnał telewizyjny, otwarty i niezaszyfrowany. Znak wywoławczy nakazał nam zostawić wszystko, co robiliśmy, dosłownie w powietrzu, i ruszyć do najbliższego ekranu. Pojawiła się twarz Tatsuro. Siedział w wirtualnej przestrzeni konferencyjnej, z niektórymi członkami Komitetu Sterowania, grupy ludzi w mundurach handlowych Nowego Marsa i, ku mojemu zdziwieniu, Jonathanem Wilde'm. (Kopia . . . ale przestałam myśleć w ten sposób. Zmieniłam się.)

– Czuję się bardzo dziwnie – zaczął Tatsuro. – Ta wiadomość zostanie wysłana przez najsilniejszy nadajnik, jaki posiadamy i będzie powtarzana, przez potężniejsze nadajniki, gdy powstaną, przez co najmniej kilka lat. Nie dosięgnie, oczywiście, adresatów przez dziesięć tysięcy lat. Jeżeli to odbieracie, to wiecie, jak dziwne są

okoliczności. Jednak musimy założyć, że tam jesteście, w przyszłości, i że dla was ta wiadomość wydaje się prawie natychmiastowa. Zatem…

– Do załogi *Strasznego Piękna*, wszyscy przesyłamy nasze podziękowania. Wasze uderzenie kometarne wystarczyło do rozerwania jowiszańskich postludzi. Według naszej wiedzy, wyginęli, nie tylko z powodu waszych działań, i naszych, ale także z powodu walk pomiędzy nimi. Nie musicie się martwić, że zniszczyliście byty, które mogły być przyjazne dla nas, te, które były, obawiam się, zostały zniszczone przez innych Jowiszan, którzy pędzili w procesie oszalałego ładowania kopii siebie w cokolwiek, czego mogły dosięgnąć. Dość dziwne, celem ich epidemii były raczej statki handlowe Nowego Marsa niż my. Nasze komputery były prawie nieprzenikalne dla wirusów Jowiszan, podczas gdy ich były, hm, raczej bardziej podatne, jak się okazało. Nasze ostatnie śledztwa i rekonstrukcje pokazują, że Jowiszanie mierzyli w Milę Malleya, z której mogliby władać całym zakresem wormhole'a, a zatem większą częścią wszechświata. Ocaliliście więcej, niż myślicie.

– Czy ocaliliście ludzi i post-ludzi na Nowym Marsie, tego nie wiemy. Jeżeli nie lub jeżeli ta wiadomość jest odebrana przez naszych wrogów, mam nadzieję, że zniszczenie Jowiszan jest wystarczającym ostrzeżeniem przerażających czynów, do których nasz gatunek jest zdolny. Ponieważ zamierzamy zbudować nowe statki z napędem wirtualnej masy kwantowej fluktuacji i nowe bramy wormhole, gdy tylko osiągniemy te możliwości. Odnowimy kontakt z Nowym Marsem. A teraz, chciałbym życzyć wam wszystkiego dobrego i przekazać transmisję dla ocalonych z ekspedycji handlowej Nowego Marsa, którzy mają wiadomości dla swoich.

Jeden po drugim, kobiety i mężczyźni Nowego Marsa, każdy przedstawiał szczerze i rozdzierająco, osobiste wiadomości – nie-

które, w pewien sposób dotknęły mnie jako dziwne – kierowane do własnych kopii jak do przyjaciół i rodzin. Jeden z nich zakończył, mówiąc:

– To jest ogólna wiadomość do was wszystkich tam. Zrobimy, co możemy, żeby utrzymać jednokierunkową łączność, pozostaniemy w kontakcie, póki oni nie zbudują statków. Oczywiście, także, póki nie zbudują kolejnej bramy, statki będą jednokierunkowe, o ile powrót do tego miejsca i czasu jest brany pod uwagę, ale wracamy do domu. I nie martwcie się, jak ludzie Związku Słonecznego będą nas traktować, Wilde tutaj żył tutaj z ich gościnności przez lata, według swoich potrzeb, jak mówią. Jednak to, co większość z nas chce, to robić interesy, z nie-spółdzielcami, jeżeli z nikim innym, ale myślę, że znajdziemy więcej partnerów handlowych niż tylko to. Jest wiele energicznych osób na Ziemi, a teraz, kiedy mogą używać elektroniki, jak chcą, zamierzają *wyparować*. Sprawy tutaj się zmienią. Jeszcze was *zobaczymy*.

Wilde dowiedział się od kupców o przeżyciu jego drugiej jaźni i wskrzeszonej żony. Miał dla nich wiadomości oraz dla mnie.

– Ellen May – powiedział – myślałem, że mogłabyś pokonać Zewnętrznych bez odkrywania drogi do Nowego Marsa. Cóż, myliłem się, a Ty zrobiłaś obie rzeczy. Wiesz, czego się bałem, że wasi ludzi najechaliby Nowy Mars, miejsce, wobec którego mam... pewną sympatię. Teraz, rozglądając się dookoła, zastanawiam się, kto najechał kogo. Życie może nas zaskoczyć.

Wzruszył ramionami.

– To wszystko. Powodzenia.

Patrzę na to, co ciągle, z przyzwyczajenia, nazywamy widokiem dziobowym. Słońce Nowego Marsa jest małym odległym dyskiem, ledwie zauważalnym wobec innych gwiazd. Jesteśmy w gę-

stej chmurze komet, ale jego grubość jest widoczna tylko w symulacjach, nie w rzeczywistości. Wszystko dookoła nas to coś, co wygląda jak pusta przestrzeń, prócz naszych własnych komet, otoczonych przez wydające się słabe, diamentowo mocne struktury, które zbudowaliśmy z ich materiału, i dziwne ruiny Bramy.

Materia egzotyczna jest pożytecznym towarem. Przyciągnęła nas na bliższą orbitę z nawet większym kawałem normalnej materii: materii komet, setki miliony ton, skały, lód i materiały organiczne. Zabrało nam to pięć lat, mniej więcej, żeby wydostać się z chmury kometarnej, także do tego czasu byliśmy gotowi docenić nasze korzyści. Obecnie pozostałości Bramy zaczęły zyskiwać własny dysk akrecyjny. To jest, jak powiedział Malley, cecha przyciągająca.

Każdy dom powinien mieć jedną.

Dom. . . jest tutaj, w pewnym sensie. W innym, jest dziesięć tysięcy lat świetlny stąd, i dziesięć tysięcy lat w przeszłości. (Choć ja ciągle myślę, że *my* jesteśmy dziesięć tysięcy lat w przyszłości).

Źródła solarne rosły i rozmnażały się, od czasu, kiedy pierwszy raz je usłyszeliśmy, wzrastały co dzień i co godzinę. W ciągu miesięcy były wykrywalne przez mniej czułe odbiorniki niż nasze, włączając w to te dookoła Nowego Marsa.

Transmisje opowiadały trwającą historię walki, którą przewidzieli nowomarsjańscy kupcy, a której wyników nikt nie potrafi przewidzieć: pomiędzy wspólną własnością Związku i niepowstrzymanym zawłaszczaniem zasobów Układu Słonecznego przez jednostki i grupy. Historia intensywnie śledzona przez nas i przez Nowych Marsjan. Łączy bliskość dziennych wiadomości i siłę starożytnej historii, której nic, co zrobimy, nie zmieni i które ostateczny wynik, jeżeli już, był ustalony tysiąclecia temu. Jest już to temat wielu filmów dokumentalnych, częstych debat i kilku całkowicie fikcyjnych i śmiesznie pomysłowych serialów Nowego Marsa.

Chmura komet jest olbrzymia, a my przyzwyczajeni jesteśmy do komunikacji wąskimi, zaszyfrowanymi kanałami, mrugnięciami laserów w pustce. Dookoła nas szersze, bardziej otwarte sygnały Nowych Marsjan i zrobotyzowanych górników komet wypełniały spektrum. Wiedzieliśmy wszystko, co robią, a oni wiedzieli, że tutaj jesteśmy, ale nieco mniej. Zachowywaliśmy kontakty do minimum. Byliśmy szczęśliwi z tego, na razie: chcieliśmy zbudować nasz własny świat tutaj, ze skał, lodu, związków węgla i słabego światła słonecznego, zanim zapuścimy się w świat posiadany przez innych.

Pewnego dnia Związek Słoneczny, lub cokolwiek co go zastąpi, zbuduje własne podświetlne statki z napędem Malleya. A dziesięć tysięcy później, co może stać się każdego dnia, pojawią się tutaj, może ciągnąc nowy tunel czasoprzestrzenny. Nie miałam nic przeciwko, jeżeli ludzie, którzy przybędą, nie będą dzielić naszych poglądów. Zdecydowanie nie będą dzielić naszej własności. Możemy, do tego czasu, zapoczątkować własne małe imperium galaktyczne, po cichu narosłe dookoła nas, z głębin chmury komet. Kiedy dostatecznie dużo masy przetworzymy, zaczniemy hodować ludzi, zwierzęta i maszyny z nasion w naszych magazynach, możemy rozrastać się długo, zanim ktokolwiek pomyśli, żeby nas zatrzymać.

Skanowałam odczyty analizatora z nowego złoża, marszcząc brwi nad śladowymi ilościami metalu, kiedy małe ciało wbiło się we mnie i głos powiedział:

– Ellen, oni mówią o Tobie!

Stef ma cztery lata, chudy i bystry. Wygląda trochę jak ojciec, fotograf, którego poznałam na Graciosa, ale wyrośnie na wyższego niż ojciec: moje geny i środowisko mikrograwitacji już o to zadba. To jest walka, żeby go zachęcić do ćwiczeń izotonicznych, dodatkowa do wszystkich zwykłych walk o mycie zębów czy włosów.

Twierdzi, że jego skafander zajmuje się tym wszystkim, i to robi, ale to nie wystarcza.

– Z domu? – pytam chętnie.

Stef potrząsa głową, niecierpliwie. Dla niego Związek Słoneczny jest prawie nierealną, mityczną przeszłością, historią, którą opowiadamy mu o naszych dniach Heliocenu. Nowy Mars jest, w każdym sensie, bardziej bezpośredni i sugestywny.

– W *świecie* – mówi mi.

– Ok – mówię. – Przełącz mnie.

Stef wciska rękę w otwarty przód jego skafandra i wyciąga, skręca tkaninę z inteligentnej materii w dokładnie ten nieostrożny, nieudokumentowany sposób, jaki zawsze chciałam go oduczyć. Na razie bezskutecznie. Traktuje skafander jako coś pomiędzy wyobrażonym przyjacielem a inteligentną wypchaną zabawką i traktuje wszelkie próby narzucenia systemu na ich prywatny język jako właśnie to, narzucenie.

Obraz na moim ekranie rozmywa się i jest zastąpiony przez jeden z tych nocnych programów dyskusyjnych, które stacje telewizyjne Nowego Marsa transmitują dla najsłabszej mniejszości widowni, rodzaj ludzi, którzy prawdopodobnie sami pracują w, lub wokół mediów, i traktują z pogardą śmieci, które podają wszystkim innym.

Format jest całkowicie konwencjonalny, z młodą prezenterką, nastolatką, a przez to bardziej dojrzałą niż większość prowadzących wiadomości, oraz kilka starszych głów dyskutujących gorliwie dookoła stołu. Rozpoznaję biskupę, która jest prawdopodobnie, czy zdaje sobie sprawę, czy nie, już papieżycą, rabina, delegata Reformowanych Humanistów, kilku duchownych Postrezurekcjonistów i Davida Reida.

– . . . nazywanie tego *uzasadnionym genocydem* jest, powiedzmy,

nieuzasadnione – mówił jeden z duchownych. – Rozumiem Twoją potrzebę bycia prowokacyjnym, oczywiście. – Szybki uśmiech „jesteśmy w tym wszyscy” do prezentera. – Ale myślę, że powinniśmy rozważyć to w bardziej, hm, moralnie neutralnych terminach. Rozmawiamy, w końcu, o *maszynach*.

Reid pochyla się do przodu, jak zwykle podkreślając powagę wypowiedzi falistym śladem dymu. Prezenterka, znając swoje ograniczenia, znużona kiwa głową.

– Bzdury – mówi Reid. – Jeżeli chcecie porozmawiać o moralności, nie możecie pominąć maszyn. My *jesteśmy* maszynami. Chodzi o to, wątpię, czy ktokolwiek zrobiłby to, co *musiało* być zrobione Jowiszanom nie posiadając całkiem twardego nastawienia wobec cierpienia maszyn. Zważcie, Zewnętrzni mieli dość niski poziom empatii dla cierpienia ludzi, a Jowiszanie odziedziczyli tę wadę, zatem...

– Grzech pierworodny? – przerywa Biskupa. – Jestem Tobą zaskoczona!

Dwóch kalwińskich pastorów uprzejmie się uśmiecha. Reid potrząsa głową.

– Pokazali to swoimi działaniami – mówi. – Przez to, co zrobili naszym statkom.

– Ach, ale czy to wystarczyło, żeby potępić cały... gatunek? – pyta Reformowany Humanista. – Podejrzewam, że Ellen May Ngwethu i jej załoga działali pośpiesznie, ale w pewnym stopniu umyślnie, odrzucając rozważania o alternatywach, które w sobie...

– Żyjemy w twardym świecie – mówi Rabin. – Jak moi ludzie tradycyjnie mówią, życie jest krótkie i zdarza się gówno.

Następuje kilka minut „wszyscy przeciwko wszystkim”.

– Co wszyscy wydają się zapominać – mówi prezenterka, próbując wtrącić słowo – to dowody z Układu Słonecznego, które przy-

najmniej sugerują, że wybuch Jowiszan *w ogóle nie był* zagrożeniem dla ludzi ze Związku Słonecznego. Zatem, w rezultacie, cokolwiek sądzimy o tym, co załoga *Straszne Piękno* zrobiła, było dla nas korzystne.

– I dla nowych społeczeństw pojawiających się w Układzie Słonecznym – dodaje jeden z duchownych. – Nie zaistniałyby bez zakończenia zagrożenia Jowiszan, które, czy to akceptujemy, czy nie, Oddział Cassini dokonał.

Humanista Reformowany potakuje poważnie.

– Przy pewnych kosztach, moralnych i materialnych.

Następny komentarz, jeżeli już, tonie w cynicznym śmiechu Reida, a potem on mówi:

– *W końcu* od czego są *komuniści*?

Zadowolony z siebie śmiech wszystkich dobrych liberałów dookoła stołu łagodzi ton reszty dyskusji, której nie poświęcam najmniejszej uwagi. Tulę dziecko do boku i patrzę na wesołe, rozmawiające twarze i myślę:

Poczekajcie, bankierzy! Tylko poczekajcie!

Nasz dzień znowu nadejdzie.

Posłowie od tłumacza

Ostatni przetłumaczony, ale trzeci w oryginalnej chronologii wydawniczej, tom Jesiennej Rewolucji rozwija wersję anarchokomunistyczną w uniwersum Ken MacLeoda.

Czy ta wersja jest najlepszą z przedstawionych w tej serii? Czy jest przekonująca, realistyczna? Naprawdę anarchistyczna, w świetle swoistej „tyranii" głównej protagonistki i „hierarchii" Oddziału?

Warto zauważyć, że bohaterzy w przedstawianym społeczeństwie anarchistycznym bardzo rzadko, jeżeli w ogóle, korzystają z metody konsensusu, natomiast bardzo szybko przechodzą do zwyczajowego głosowania większościowego, a zatem akceptują władzę głosów większości nad głosami mniejszości.

Wątpliwości te pozostawiam do rozważenia czytelniczkom i czytelnikom.

W przypadku tego tomu mogłem konfrontować moją pracę, porównując ją z jedynym, dotychczas dostępnym tłumaczeniem powieści „Dywizja Cassini" Kena MacLeoda w wykonaniu pani Ma-

ciejki Mazan[1]. Mam nadzieję, że dzięki temu wpływowi wersja ostateczna jest lepszą wersją tej powieści.

Mam także nadzieję, że moje tłumaczenia „Jesiennej Rewolucji”, surowe, proste, ukażą to, co pojąłem, czytając właśnie Kena MacLeoda.

Każdy z nas może być twórcą: artystą, pisarzem, poetą. Nie pozwólmy odebrać sobie tej wolności, oddać jej kapitalistom, żeby mogli trwać w „status quo” i żyć z wyzysku innych ludzi. Nie akceptujmy kapitalistycznej ideologii elitarności pracy twórczej i sprzeciwiajmy się prawom „własności” intelektualnej.

Między innymi dlatego tłumaczenia w serii „Czarna Flaga” są publikowane jako „Creative Commons”.Poznanie tej infoanarchistycznej idei zawdzięczam twórczości Cory Doctorowa. Dzięki temu każda osoba może je swobodnie pobrać, wykorzystać, poprawić, zaadaptować i przekazać dalej.

Jestem przekonany, że uważna czytelniczka, czy uważny czytelnik odnajdzie wiele błędów w tym tłumaczeniu. Ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność.

Jacek Hummel

Warszawa, lipiec – sierpień 2021 roku.

[1] pozycja, Wydawnictwa Amber, jest dostępna w antykwariatach, bibliotekach lub w wersji ebook na stronach `https://doci.pl/` lub `https://docer.pl/`

Chronologia „Jesiennej Rewolucji”

1995 wydanie pierwsze „Gwiezdna Frakcja” (The Star Fraction)
1996 wydanie pierwsze „Kamienny Kanał” (The Stone Canal)
1998 wydanie pierwsze „Oddział Cassini” (The Cassini Division)
1999 wydanie pierwsze „Droga do Gwiazd” (The Sky Road)
wydanie polskie „Dywizja Cassini”, Wydawnictwo Amber

2015 powstanie Republiki
2017 „Czwarta Międzynarodówka” zaczyna otrzymywać rady od AI znanej jako Zegarmistrz lub Generał

2021 polskie tłumaczenie „Jesiennej Rewolucji”

2025 upadek Republiki
Wojna niemiecko-polska znana też jako Trzecia Wojna Światowa
Powstanie USA/ONZ
2026 powstanie Norlonto
2028 Traktat o Restytucji i powstanie reżimu hanowerskiego
2032 Moh Kohn zakłada „Spółdzielnię Robotników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego”

2045 Jesienna Rewolucja
wydarzenia opisywane w „Gwiezdnej Frakcji”
2057 stulecie wystrzelenia Sputnika,
28 maja 2059 „Wyzwolenie” przez Myrę Godwin-Dawidową

1. Wersja przyszłości nr 1 – „Droga do Gwiazd” – dzieje się w bliżej nieokreślonej przyszłości co najmniej 200 lat, prawdopodobnie około 2300 roku, w zgodzie z wersją przyszłości nr 2.

2. Wersja przyszłości nr 2 – „Oddział Cassini”
   2080 Artykuł I.K. Malleya o tunelach czasoprzestrzennych
   3 marca 2093 przebudzenie się J. Wilde’a w robocie na orbicie Jowisza
   2093-2094 budowa Mili Malleya
   2094 przejście Statku z Ziemi na Nowy Mars
   2296 wydarzenia opisane w „Kamiennym Kanale”
   powrót J.Wilde’a z córki wormhole’a do Układu Słonecznego
   2303 wydarzenia opisane w „Oddziale Cassini”

Seria „Czarna Flaga”

W serii *Czarna Flaga* dotychczas opublikowano online:

1. Mężczyzna rodzaju żeńskiego, Joanna Russ
2. Engines of Light t. 1 – Wieża Kosmonauty, Ken MacLeod
3. Jesienna Rewolucja t. 1 – Gwiezdna Frakcja, Ken MacLeod
4. Jesienna Rewolucja t. 2 – Kamienny Kanał, Ken MacLeod
5. Jesienna Rewolucja t. 4 – Droga do Gwiazd, Ken MacLeod
6. Jesienna Rewolucja t. 3 – Oddział Cassini, Ken MacLeod

W planach:

1. Zradydalizowane (Radicalized), Cory Doctorow
2. Walkaway[2], Cory Doctorow
3. Dhalgren, Samuel R. Delany

[2] tytuł roboczy: „Odchodząc” lub „Odstępcy”

Projekt serii jest przygotowywany dzięki Wolnemu Oprogramowaniu. Zestaw narzędzi składa się z:

— Ubuntu 20.04 Ogniskowa Fossa – system operacyjny
— OmegaT – narzędzie wspomagające tłumaczenie (CAT)
— translate-shell – narzędzie do tłumaczenia w Google Translate przez terminal
— Glosbe – największy słownik online
— Wikipedia – podstawowe źródło tłumaczeń pojęć technicznych, politycznych i ekonomicznych czy not biograficznych
— LibreOffice – przetwarzanie dokumentów
— pandoc – uniwersalny konwerter dokumentów
— LaTeX – redakcja, skład i łamanie dokumentu
— sigil – przetwarzanie plików ebook
— calibre – konwersja plików ebook

Spis treści